

# ZUZANNA



# Hilary Norman

Photography: S. S. S.

# Norman Hilary

## Zuzanna

*Atrakcyjna, bogata, opromieniona sławą modelka - tyle wie o niej świat. Tymczasem życie Zuzanny Hawke naznaczone jest udręką, spotęgowaną nieuleczalną chorobą męża. Po jego śmierci młoda wdowa poświęca się opiece nad chorymi na AIDS i kiedy wydaje się już, że odnalazła spokój ducha, nadchodzi kolejna próba. Anonimowy list przypomina o wciąż nie zabliznionych ranach z dzieciństwa, przywołuje koszmary, od których Zuzanna daremnie próbowała uciec...*

# CZEŚĆ PIERWSZA

## *Rozdział 1*

Strauss miał w zwyczaju co wieczór zapisywać w swoim dzienniku co najmniej kilka słów. Dwudziestego drugiego marca 1991 roku powoli i z namysłem pisał o Zuzannie. Był świadomy faktu, że w ciągu ostatnich czterech lat myśli o niej bardzo często.

*Klucza do Zuzanny - do zrozumienia Zuzanny - należy szukać gdzieś wśród wydmy przylądka Cod. Kryje się on między nieustannie wędrującymi piaskowymi wzgórzami i kotlinami, z rzadka porośniętymi trawą, które widziałem tylko raz w życiu, kiedy jako dziecko byłem tam z ojcem. Pomyślałem wówczas, że ten krajobraz przypomina Saharę albo powierzchnię księżycy. Dość długo musieliśmy się z tatą to wspinać na wydmy, to z nich schodzić, zanim zobaczyliśmy plażę. Była całkiem zwyczajna: dzieci budowały na niej zamki z piasku, psy gonily za patykami i piłkami, gdzieś tam całe rodziny zasiadały do drugiego śniadania. Zapomniałem wtedy o księżycu. Plaża niczym się nie różniła od setek innych.*

Pete stawiał czytelne, lekko pochylone, okrągłe litery, typowe dla przeciętnego Amerykanina z wyższym wykształceniem. Siedział w swoim gabinecie przy starym dębowym, poplamionym atramentem biurku. Na lewo od suszki widać było dwie uśmiechnięte twarzyczki, wydrapane niewprawną rączką jakiegoś dziecka. Z zewnątrz, od Eighth Street, dobiegał śmiech młodych ludzi i kobiecy głos śpiewający w dziwny, jazzujący sposób „Che gelida

manina" z „La Bohème". Okno było otwarte i do pokoju wpadał chłodny wiatr. Strauss, wiecznie zajęty, korzystał z każdej okazji, żeby odetchnąć świeżym powietrzem; w styczniu nawet mocniej ogrzewał dom, by móc spać przy otwartym oknie.

*Od czterech lat spotykam się z Zuzanną; czasem robimy sobie długie przerwy. Dzisiaj wiem o niej i o jej niezwykłym, burzliwym życiu dużo więcej niż na początku, choć czasem podejrzewam, że to i tak jeszcze niewiele. Kiedy zaczęła mówić*

*O przyłasku, wydawało mi się - i jestem pewien, że nie był to wyłącznie wytwór mojej wyobraźni - iż nastąpiła w niej jakaś' nieuchwytna zmiana, jakby ostrożnie uchyliła drzwi na dawno pogrzebane wspomnienia.*

*Czuję, że jeśli tylko zdobędzie się na odwagę, wkrótce opowie mi o tym więcej. Odśloniła już przede mną wiele wstrząsających faktów, ja jednak wiem, że to jeszcze nie wszystko.*

*Czasem wspomina to miejsce, nie mówiąc, co ją z nim łączy. O tej dzikiej, niegościnniej, pokrytej wydmami, chłostanej przez ocean i żywioły okolicy opowiada cichym, niskim głosem. Czasem zamyka oczy, innym znów razem patrzy nieruchomo przed siebie i wówczas wydaje mi się, jakbym w uroczym błękitnie jej tęczówek widział morze i niebo. Muszę przyznać, że często przy Zuzannie doświadczam uczuć, jakich nigdy nie wywołują we mnie inni pacjenci czy przyjaciele, nawet kiedy się o to staram. Choć, być może - nawet po tylu latach przyjaźni - wcale nie mam do tego prawa.*

Minęła północ, zanim zamknął swój dziennik i schował go do szuflady. Zgasił światło, wstał zza biurka, zamknął drzwi gabinetu i przeszedł do dużego pokoju. Jego mieszkanie miało trzy pokoje: gabinet, w którym czasami przyjmował pacjentów, duży pokój, w którym mieszkał, jadł i spał, i trzeci, w którym malował. Gdyby wiódł nieco bardziej normalne życie, mieszkanie mogłoby być wygodne, a nawet przestronne. Ale Pete używał jako pracowni pokoju, w którym powinna się znajdować sypialnia albo jadalnia. Oddawał się tam swojej pasji, do której brak mu było talentu. Uważał jednak, że hobby pomaga mu radzić sobie

z życiem. Strauss malował źle, ale bardzo lubił to zajęcie. Choć kończąc obraz widział, jak mizerne są owoce jego trudu, malowanie sprawiało mu tyle przyjemności, że również swoje dzieła darzył przywiązaniem. Czuł się w obowiązku wieszać je na ścianach. Obrazy pomagały mu lepiej rozumieć pacjentów. Czas, jaki upływał, zanim zrobili pierwszą żartobliwą uwagę, był miarą ich szczerości i zaufania.

Wrzucając slipy do kosza na brudną bieliznę, Strauss -jak co noc - próbował zapomnieć o Zuzannie, wiedząc jednocześnie, że mu się to nie uda. Od kilku miesięcy często toczył wewnętrzną walkę: sam stawiał sobie pytania i sam udzielał odpowiedzi. Czy postępuje etycznie, służąc jej profesjonalną pomocą i jednocześnie przyjaźniąc się z nią? Dobrze wiedział, że nawet psycholog umiejący trzymać swoje uczucia na wodzy czasem może się przywiązać do pacjenta w sposób niedopuszczalny.

Nigdy dotąd nie doświadczył tego z taką siłą.

W 1987 roku, kiedy pierwszy raz spotkał ją w szpitalu, chciał jej pomóc, ale najważniejszy był dla niego Hawke. Stan emocjonalny Zuzanny interesował go tylko dlatego, że nie pozostawał bez wpływu na jego pacjenta. Podeszedł do niej ostrożnie i niepewnie, pełen (do dzisiaj się tego wstydi) bezsensownego uprzedzenia wobec kobiety, jak sądził, próżnej, która doszła do sławy i bogactwa dzięki urodzie. Zuzanna była tak piękna, że Pete stracił na moment poczucie rzeczywistości; stał, przyglądając się jej bez słowa, szybko się jednak opamiętał. Już na początku rozmowy zrozumiał, że Zuzanna bardzo kocha Hawke'a. Od tego czasu z mozołem zaczął poznawać głębiej jej cierpienia w tamtych dniach i po Hawke'u. I przed nim.

Hawke odszedł trzy lata temu. Pete i Zuzanna stali się współpracownikami i przyjaciółmi. Pete wiedział, że Zuzanna mu ufa, jednak mimo wieloletniej znajomości, licznych sesji terapeutycznych, wspólnych obiadów i kolacji i litrów wypitej razem kawy wiedział o niej tylko tyle, ile zechciała mu powiedzieć. Nie była gotowa do ujawnienia całej prawdy. Zwykle z pacjentami tak bywa; trzeba pracowicie uzupełniać krajobraz ich życia, z rzadka natrafiając na fragment o głębszych, bardziej intensywnych barwach.

Z ludźmi w ogóle - pomyślał Pete - zawsze tak jest. Nie ma znaczenia, czy jest się psychologiem, kierowcą autobusu, politykiem czy hydraulikiem. Ludzie zamykają się w sobie. Ekstrawertycy częściej niż introwertycy. Każdy ma swoje tajemnice, którymi dzieli się w wybranym przez siebie czasie i na swój sposób. Jedni podsuwają je wówczas pod nos jak pełen talerz, inni podają w małych kawałkach.

Pete wiedział, że w przypadku Zuzanny układanka nie jest jeszcze pełna i dlatego nie może zrozumieć całości. Zuzanna chciała ujawnić swoją tajemnicę, przekonała się jednak, że ukrywając prawdę nawet przed sobą samą przez tak długi czas, nie potrafiła jej teraz wydobyć z pamięci; pogrzebała ją zbyt głęboko. Mówiła, że na początku robiła to świadomie, później zaś nie musiała stawiać czoła faktom z przeszłości. Była to wymówka nie gorsza od innych. Podobnie słabe fizycznie dziecko wymawia się przeziębieniem albo krwawieniem z nosa przed ćwiczeniami na lekcji gimnastyki.

Powód, dla którego Zuzanna uciekała przed prawdą, był znacznie poważniejszy niż krwawienie z nosa. Ona walczyła o życie.

## *Rozdział 2*

Zuzanna poznała Pete'a Straussa w szpitalnej poczekalni, kiedy odeszła na chwilę od łóżka Hawke'a. Zwróciła na niego uwagę, zanim się do niej odezwał. Wyglądał na jakieś trzydzieści lat, nosił niebieskie dżinsy i sportowy podkoszulek. Włosy miał jasne, proste, krótko przystrzyżone, oczy zielone, usta dość wąskie, nos mały, a brodę ostrą i starannie wygoloną. Był szczupły, przystojny i liczył około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Odniosła wrażenie, że jest zmęczony, wyglądał jednak zdrowo. Zezłościło ją to.

W poczekalni oprócz niej znajdowała się tylko pogrążona w smutku, milcząca para. Zuzanna stała przy oknie, za wysokim, wyskubanym sztucznym kwiatem. Przełożona pielęgniarek powiedziała Pete'owi, że pani Hawke wyszła do poczekalni. Pete zauważył ją dopiero po chwili. Twarz miała piękną jak marzenie i ponętne ciało. Była ubrana w jasne spodnie, obszerny, niebieski, bawełniany sweter i wygodne buty. Mimo że dzień był ciepły, czerwcowy, Zuzanna Van Dusen Hawke wyglądała na zziębniętą. Pete nie ufał pięknym kobietom od dnia, kiedy zdradziła go żona, śliczna Leigh. Bez żadnego powodu zakładał, że kobiety takie jak ta, potrafiące sprzedać swoją urodę, silne, odważne, niezależne, są niczym próżne, nadęte lalki.

Podszedł do niej i spytał:

- Pani Hawke?

-Tak.



Stała oparta o ścianę, tuląc własne ramiona. Nawet się nie poruszyła, kiedy się do niej odezwał. Pomyślał, że jest nieuprzejma i arogancka, ale po chwili uświadomił sobie, że na dźwięk jego głosu Zuzanna zamarła z przerażenia. Często widywał podobny wyraz na twarzach krewnych chorego, kiedy lekarze prosili o rozmowę. W jakimś obronnym odruchu zdawali się mówić: „Milcz, może nie będzie aż tak źle; odwróć się do mnie plecami i idź sobie; nic nie mów”. Został wzięty za lekarza.

- Nazywam się Pete Strauss - powiedział. Jego nazwisko nic jej nie mówiło. - Spędzam dość dużo czasu z pani mężem. Jestem psychologiem. Uspokoila się nieco. Pete widział ją na niezliczonych fotografiach, ale z tak bliskiej odległości, żywa i prawdziwa, była całkiem inna. Jej włosy, na okładkach magazynów lśniące i jedwabiste, połyskujące różnymi odcieniami złota, nie sięgały ramion i były zmierzwiłone; widocznie nieświadomie rozczesywała je palcami. Ludzie zdenerwowani, albo bardzo zmęczeni, często to robią. Pete spodziewał się kobiety twardej jak kamień i nienaturalnej, tymczasem patrzył na istotę słabą i głęboko przejętą. Odniósł wrażenie, że Zuzanna nie ma na sobie makijażu, tylko usta pomalowała naprędce jasną pomadką. Pod jej oczami widniały sińce. Pete stwierdził, że wbrew jego oczekiwaniom Zuzanna jest naturalna i bardzo ludzka. Kiedy spojrzał w słynne, fiołkowe-bieskie oczy, zobaczył w nich tyle bólu, że aż się przeraził.

- Czym mogę służyć, doktorze Strauss?

Pete szybko zapanował nad swoimi emocjami.

- Czy zechciałaby pani ze mną chwilę porozmawiać?

- Oczywiście.

Głos miała spokojny, ale mówiła tak cicho, że z trudem ją zrozumiał.

- Mają tu nieduży pokój, z którego czasem korzystam - powiedział, zerkając na pogrążoną w bólu parę siedzącą na ławce. Nikt nie okazywał słynnej Zuzannie Van Dusen najmniejszego zainteresowania, ale Pete mimo to wołał rozmawiać z nią za zamkniętymi drzwiami. - Tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Zuzanna wahała się.

- Powiedziała Hawke'owi, że zaraz wrócę.
- Jeśli pani chce, możemy najpierw do niego zajrzeć.
- Nie - pokręciła głową. - Pewnie już zasnął. Kiedy siedzę przy nim, stara się walczyć z sennością.
- To dzielny człowiek.
- Wiem.

Opuścili poczekalnię i poszli długim szpitalnym korytarzem, po podłodze wyłożonej linoleum. Kiedy mijali drzwi pokoju Hawke'a, Zuzanna spojrzała na nie, ale nie zatrzymała się. Stawiała dłuższe kroki niż jej towarzysz i musiała zwolnić, żeby Pete za nią nadążył. Strauss nie był niezgrabny, ale przy tej uroczej kobiecie czuł się jak słoń. W jej sposobie poruszania się nie było nic z wystudiowanych ruchów modelki, chociaż z pewnością miała je opanowane do perfekcji. Szła lekko się kołysząc, pewna siebie, naturalna i spokojna. Kiedy Pete odruchowo otworzył przed nią drzwi na klatkę schodową, Zuzanna uśmiechnęła się do niego. Uniosła ku górze swą twarz - pełną kobiecego ciepła, taką samą, jaką można było oglądać na okładkach ilustrowanych magazynów na całym świecie.

- Tylko jedno piętro w dół - oznajmił.
- Dobrze.

Pokój nie miał okna. Był obskurny, duszny, zastawiony starymi gablotami na dokumenty i zniszczonymi krzesłami. Pete wytarł jedno z nich z kurzu i podsunął Zuzannie.

- Dziękuję - powiedziała i usiadła.
- Napije się pani kawy?
- Nie, dziękuję, ale nie będzie mi przeszkadzało, jeśli pan zechce się napić.
- Nie mam na to ochoty - powiedział. - Piję za dużo kawy. - Usiadł po drugiej stronie starego biurka, którego okleina udawała drewno tekowe. - Mogę zapalić?
- Proszę.

Wyciągnął paczkę marlboro i poczęstował ją. Pokręciła głową. Zapalił papierosa od zapałki, zdjął z plastikowego pojemnika na śmieci brudną popielniczkę i głęboko zaciągnął się dymem.

- Wielu lekarzy pali papierosy - powiedziała Zuzanna. -

Dziwi mnie to, bo przecież na co dzień stykają się z różnymi okropnymi przypadkami.

- Nie jestem lekarzem - sprostował Pete.

- Kim więc pan jest? .

- Psychologiem. Praktykującym psychoterapeutą. - Chwilę milczał. -  
Tutaj tylko dorabiam - dodał.

- Prowadzi pan poradnictwo dla chorych na AIDS? -Tak.

- Dlaczego?

- Ponieważ jest taka potrzeba.

Zuzanna pokiwała głową. Twarz miała pełną smutku.

-Mówiono mi, że bywają gorsze rodzaje śmierci niż w przypadku tej choroby - powiedziała przyciszonym głosem. - To pewnie prawda, ale w tej chwili trudno mi w to wierzyć.

- Pani mężowi wracają siły.

-Siły!

Wydała z siebie cichy, pogardliwy dźwięk; z pięknego, prostego noska wydobyło się lekkie, ale bardzo wymowne parsknięcie. Zuzanna pamiętała Hawke'a w pełni sił. Jeszcze niedawno. Dwa lata temu. Z dala od niego łatwo było to wspominać, ale kiedy siedziała przy jego łozku, patrząc, jak walczy o każdy oddech, jaki jest słaby, wydawało się niemal niemożliwe, że kiedyś było inaczej. Podniosła głowę i spostrzegła, że Pete Strauss przygląda się jej bacznie.

- Przepraszam - powiedziała.

- Za co?

- Myślałam o Hawke'u.

- To chyba normalne? Zuzannę ogarnęła irytacja.

- Czego pan ode mnie chce, doktorze Strauss? Zdawało mi się że chciał pan rozmawiać o moim mężu. Czy moglibyśmy przejść do tematu? -

Zaczerwieniła się, zmieszana. Nie chciała być niegrzeczna, ale ostatnio zdarzało jej się wpadać w złość bez powodu. - Przepraszam -  
powiedziała. - Mam niewiele czasu.

- Wiem - uspokoił ją Pete. - Nie chcę go pani zabierać,  
pani Hawke.

- Proszę się do mnie zwracać po imieniu.

- Dobrze.

Pete nie lubił pierwszych rozmów. Czuł się jak intruz, wtykający nos w cudze sprawy.

- Nigdy nie wiem, jak zacząć.

- Co zacząć? - spytała Zuzanna. Chciała być cierpliwa, ale nie bardzo jej się udawało.

- Czasem nic - odparł Pete. - To zależy od ciebie. - Zaciągnął się papierosem i położył go na brzegu popielniczki. - Od kiedy Hawke leży w szpitalu, spędzam z nim sporo czasu. Na początku mnie nie chciał, ale teraz przyzwyczał się do moich wizyt. Chętniej ze mną rozmawia.

- O czym?

- O tym, jak się czuje. O swoich lękach. O AIDS.

- Ze mną nigdy o tym nie rozmawia.

- Wiem.

Zuzanna nerwowo zamrugła oczami.

- Opowiada panu o mnie?

- Mów mi po imieniu.

- Czy mówi o nas? Była zła.

- Rzadko. - Pete był speszony. Mimo że spełniał swoje obowiązki, czuł się jak intruz. - Zuzanno, Hawke chciałby z tobą o tym rozmawiać.

- Więc dlaczego tego nie robi?

- Boi się.

- Czego?

- Najbardziej tego, że pogłębi twoje cierpienie. Poza tym wstydzi się.

- Nie ma się czego wstydzić. - Zuzanna wiedziała, że w jej spojrzeniu widać cierpienie. Hawke jej uświadomił, że oczy ją zdradzają. Mawiał, że niebieskie oczy zwykły mają w sobie jakiś chłód, ale w jej fiołkowych, z ciemniejszą obwódką, odmalowują się wszystkie uczucia.

- On jest innego zdania. - Atmosfera była tak cieżka, że Pete poczuł się w ciasnym, zagrożonym pokoju, jak więzieniu. - Chciałbym wam pomóc.

- Jak?

- Jeśli chcesz, mogę wam pomóc bardziej otwarcie ze

sobą rozmawiać. - Pete przeciągle spojrział jej w oczy. -Jeśli nie chcesz, możesz mi powiedzieć, żebym się odczepił.

-I co, odczepisz się?

- Oczywiście. Nadal jednak będę spotykał się z twoim mężem, jeśli on tylko będzie tego chciał.

Zuzanna chwilę milczała.

- To prawda, że nie o wszystkim ze sobą mówimy. Pomijamy milczeniem wiele spraw, które wiążą się z jego chorobą - powiedziała i zrobiła krótką przerwę. -Przykro mi, ale nie potrafię się zwierzać obcym ludziom - dodała.

- To zrozumiałe.

- W moim świecie... W naszym świecie trzeba umieć zachować dyskrecję w sprawach dotyczących życia osobistego. Niewielu osobom można zaufać.

- Obawiam się, że tak jest nie tylko w waszym świecie -odparł Pete.

Zuzanna odwróciła głowę i zapatrzyła się na ścianę, zastawioną rdzewiejącymi gablotami na dokumenty.

- Chce mi pan doradzać? Żeby pomóc Hawke'owi? Czy dobrze pana zrozumiałam, doktorze Strauss?

- Pete!

Znów na niego spojrziała.

- Czy o to ci chodzi?

- Chciałbym pomóc wam obojgu.

- Czy możesz sprawić, żeby on nie umarł? -Nie.

- Możesz uczynić jego śmierć mniej bolesną? -Nie.

- Możesz przemienić jego chorobę w jakąś bardziej czcigodną?

- To właśnie chciałbym osiągnąć. Ja oraz wielu innych, mnie podobnych.

Zuzanna powoli pokręciła głową.

- Myślisz, że Hawke ci ufa?

- Tak sędzę.

- Pozwolisz, żebym z nim o tobie porozmawiała? - Oczywiście. - Dobrze.

- Zuzanna wstała. - Masz wizytówkę?

Pete zaciągnął się jeszcze papierosem, zanim go zdusił. Potem wziął arkusik z firmowymi zapalnikami i zapisał na nim swój numer telefonu.

- Jeśli mnie nie zastaniesz, służba informacyjna znajdzie mnie o każdej porze dnia i nocy.

Wstał i wręczył jej zapalnik. Zuzanna spojrzała na niego i uśmiechnęła się niepewnie.

- Znasz „Amerigo”? - spytał Pete.

- Bardzo lubimy to miejsce - powiedziała Zuzanna. - Dziwi cię to?

- Nie mogę sobie ciebie wyobrazić, jak jesz obiad na Bronxie.

Zuzanna pominęła milczeniem niezamierzoną złośliwość tych słów.

- Nigdzie nie podają równie wspaniałego *osso buco*. Pete przełknął ślinę.

- Próbowalaś krewetek z małżami?

- Hawke zawsze je zamawia. - Nagle uświadomiła sobie, że mąż leży teraz na pierwszym piętrze, podłączony do kroplówek i walczy o każdy oddech. - Zamawiał - poprawiła się.

- I jeszcze to zrobi - powiedział spokojnie Pete. - Wygrywa tę rundę.

- Tak - zgodziła się z nim Zuzanna.

Hawke spał, kiedy wróciła do jego pokoju. Cicho zamknęła drzwi i usiadła w fotelu przy łóżku. Kiedy śpi, wygląda znacznie lepiej. Czasem Zuzanna przyjeżdżała do szpitala w nocy, gdy zaczynała już działać tabletki na sen, i wślizgiwała się do jego pokoju, żeby na niego popatrzeć. Dziwiło ją, że strach i inne przykre doznania znikają z jego rysów, kiedy tylko zaśnie. Twarz miał nadal godną uwagi: wojowniczą, a mimo to łagodną, inteligentną i wciąż jeszcze młodzieńczą. Przynajmniej podczas snu. Nawet kiedy zamykał bystre, mądre, szare oczy, na twarzy miał wypisany charakter: mocny, czysty zarys ust, nos nieco krzywy po jakimś złamaniu, energiczny podbródek, kasztanowate, poprzetykane siwizną włosy. Zuzanna zauważyła, że ostatnio zaczęło mu przybywać siwych włosów. Hawke, człowiek bez imienia. Jej czuły, ognisty Anglik.

Siedząc w fotelu, Zuzanna myślała o tym, że go traci. Czuła przeszywające ją silne, męczące fale bólu. Wsłuchiwała się w szum nowojorskiej ulicy i tęskniła za swojskimi odgłosami rozbijającego się o brzeg oceanu, potrafiącego swoim śpiewem ukoić jej ból, obmyć go i wypłukać z jej wnętrza. W czasie długich, bezsennych nocy często tęskniła za falami. Powiew, ryk głębin... jej kołysanka. Nieskończoność, a jednocześnie niestałość, nieprzewidywalność i wszechobecna groza - to, co uspokajało ją w mrocznych dniach, o których mimo wszystko nie zapomniała. Nigdy o nich nie zapomni, chociaż bardzo by chciała. Pete Strauss miał rację mówiąc, że Zuzanna nie chce rozmawiać ze swoim mężem o jego chorobie i nieuchronnej śmierci. Wiedziała, że postępuje nieuczciwie nie pozwalając mu o tym mówić, mimo że odczuwał taką potrzebę. Ale sama przez całe swoje życie starannie ukrywała to, co pogrzebała głęboko w niepamięci, i nie była w stanie podzielić się tym nigdy ani z Hawkiem, ani z Abigail, ani z Bry-anem, Connie czy Tabitą. Umiała dzielić się tylko dobrem. Potrafiła kochać, obdarzać ciepłem, szczodrością i uśmiechem, ale ciemność zamknęła w sobie. Do perfekcji opanowała sztukę unikania trudnych tematów. Zastanawiała się, czy Pete Strauss mógłby to zmienić. Miała co do tego poważne wątpliwości. Musiałaby mu na to pozwolić. Musiałaby tego chcieć. Pomyślała, że ze względu na Hawke'a warto byłoby spróbować, ale nie była do końca zdecydowana.

### *Rozdział 3*

Poznaliśmy się na otwarciu wystawy Connie. Connie Van Dusen to moja przybrana matka.

- Przyjęłaś nazwisko przybranych rodziców?
- Nie w sensie prawnym, ale używamy ich nazwiska: ja i moja siostra. - Zuzanna zrobiła krótką przerwę. - Connie zajmuje się fotografią. A wystawa urządzona była w Groentken Gallery przy Madison.
- Znam tę galerię.
- Siedem lat temu. Dwudziestego szóstego maja osiemdziesiątego roku.
- Ile miałaś wówczas lat? Osiemnaście?
- Prawie. Urodziłam się trzeciego czerwca. Hawke jest ode mnie o dziesięć lat starszy.

Zuzanna i Pete spacerowali po Central Parku, niedaleko zoo. Pytał, czy nie obawia się, że ktoś ją rozpozna, ale Zuzanna umiała się ukrywać o każdej porze roku, choć zimą, kiedy wszyscy noszą kapelusze, szaliki i obszerne palta, było to z pewnością łatwiejsze. Spodobał się jej pomysł Pete'a, żeby się spotkać w parku, a nie w biurze czy w domu. Dzięki temu łatwiej było zapomnieć, że oczekuje od niego fachowej pomocy; poza tym sam spacer sprawiał jej przyjemność. Spotkali się przed „Pierre'em”. Pete jej nie poznał. Była w ciemnej peruce i okularach przeciwsłonecznych. Kiedy zrozumiała, że udało się go oszukać, roześmiała się. Od tego cudownego, łagodnego uśmiechu znów zaparło mu dech w piersiach.

- Przyjechaliśmy wszyscy z Cohasset... To miasteczko na



południowym wybrzeżu, blisko Bostonu. Van Dusenowie, czyli Bryan, Connie i ich córka Tabita, a także moja młodsza siostra Abigail oraz Lucy.

- Jaka Lucy?

- Lucy Battaglia, asystentka i przyjaciółka Connie. Pomaga jej pod nieobecność Bryana. Bryan pisze książki o sprawach dotyczących społeczności lokalnej, w związku z czym często nie ma go w domu. Lucy pomaga Connie we wszystkim: w sprzątaniu, pracy w ciemni i w opiece nad Abigail. Connie jest sparaliżowana po wypadku, który miała trzynaście lat temu. Fotografowała mewy, stojąc na kamiennym murze oddzielającym ich dom od oceanu, poślizgnęła się i spadła na biegnącą w dole szosę. Miała pęknięty kręgosłup.

- Biedaczka.

Zuzanna pokiwała głową.

- Connie jest niezwykłą kobietą. Dzięki Bogu, może poruszać rękami i jest bardzo silna. Nie potrafi sobie wybaczyć, że do wypadku przyczyniła się jej beztroska. Mówi, że wolałaby coś bardziej interesującego. Na przykład mogła zostać postrzelona przez terrorystów.

- Jednak wypadek nie przeszkodził jej w dalszej pracy.

- Bynajmniej. Większość zdjęć wystawionych w osiemdziesiątym roku zrobiła, kiedy już była sparaliżowana. Przed otwarciem wystawy udzieliła „Boston Globe” wywiadu, domagając się w nim, żeby jej prace oceniano sprawiedliwie, bez stosowania taryfy ulgowej. Connie nie znosi być traktowana pobłaźliwie z powodu swojego kalectwa.

- Czy wystawa spodobała się krytykom? Zuzanna kiwnęła głową.

- Raczej tak. Pamiętam, że Connie była w świetnym humorze.

Minęli grupę ludzi przyglądających się popisom żonglerów. Nieco dalej starszy mężczyzna w koszuli i krawacie grał na poobijanej, ale lśniącej trąbce, ot tak, dla siebie. Możliwe, że był kiedyś dobrym muzykiem, choć teraz miał nierówny oddech. Pete poszukał wzrokiem kapelusza, do którego mógłby wrzucić jakiś datek, ale nic takiego nie zauważył. Poszli więc dalej.

- Jak Hawke tam trafił? - spytał.
  - Był dawnym znajomym Connie.
  - Więc poznała was matka?
  - Niezupełnie. - Zuzanna się uśmiechnęła.
  - Opowiedz mi o tym - poprosił Pete. - Jeśli chcesz.
  - Napiłabym się czegoś. Stanęli. Pete rozejrzał się wokół.
  - Może wstąpimy do kawiarni przy zoo? - spytał, chociaż wątpił, czy spodoba się jej ta propozycja. - Do „Plaża” też mamy blisko.
- Zuzanna pokręciła głową.
- Lepiej kupmy coś na straganie. - W jej oczach pojawił się ciepły blask. - Mam ochotę na hot doga.
  - Na pewno?
  - Jeśli pozwolisz... Pete uśmiechnął się.
  - Jeśli kiedyś odmówię hot doga, możesz się szykować na mój rychły pogrzeb.
- Kupili dwie cole, dwa hot dogi i usiedli pod drzewem, na trawie. Zuzanna wbiła zęby w bułkę i aż sapnęła z zadowolenia.
- Doskonały - powiedziała - i wbrew najbardziej surowym zasadom.
  - Nie sądzę, żebyś musiała martwić się swoją wagą - odparł Pete, spoglądając na nią ze szczerym podziwem.
  - W moim świecie? Jak najbardziej. - Wzruszyła ramionami. - Chociaż, biorąc pod uwagę mój obecny wygląd, obwód talii rzeczywiście nie jest największym problemem.
  - Wyglądasz cudownie - zapewnił ją Pete.
  - Dziękuję.
  - Zresztą teraz musisz być silna.
  - Ze względu na Hawke'a - zgodziła się z nim Zuzanna.
  - I na siebie samą.

Popołudniem dwudziestego szóstego maja 1980 roku Hawke przyszedł do Groentken Gallery, gdyż lubił Connie Van Dusen i był pełen podziwu dla jej wcześniejszych prac; poza tym wcześniej został zaproszony na jakieś spotkanie kilka domów dalej, przy Madison. Miał zamiar szyb-

ko obejrzyć zdjęcia i wrócić do siebie, do swojej ciemni. Van Dusen zadziwiła go. Nie poddawała się kalectwu. Seria zdjęć podwodnych spodobała mu się ze względu na ich techniczną doskonałość i mroczną, senną atmosferę. Hawke pomyślał, że Connie udało się osiągnąć to, co zamierzała. Zaprażył znaleźć się w wodzie razem z nią i spojrzeć przez okienko aparatu fotograficznego na to, co kryje się za następnym wirem, za nieprzeniknionym cieniem. Patrząc na Connie, popijającą szampana w swoim nieszczęsnym wózku, Hawke myślał o tym, ile odwagi i siły wymagało od niej zrobienie tych zdjęć.

Chwilę później dojrzał trzy fotografie jakiejś młodej, złotowłosej dziewczyny. Dwie były czarno-białe. Na jednej dziewczyna spacerowała po plaży, na drugiej siedziała w wiklinowym fotelu, ubrana, w wytarte spodenki, i śmiała się do obiektywu. Trzecia, kolorowy portret, przedstawiała dziewczynę częstującą kawałkiem czekolady małe dziecko. Jej śmiech był zaraźliwy, a ruchy pełne wdzięku, nawet w bezruchu zdjęć. Najbardziej jednak spodobały mu się jej oczy: niebieskie, z fiołkowym odcieniem, czułe, delikatne, ciepłe i inteligentne, z badawczymi czarnymi źrenicami.

- Śliczna, prawda?

Hawke odwrócił się i zobaczył przed sobą Bryana Van Dusena, męża Connie, z młodą dziewczyną, najpewniej ich córką, tak jak on rudowłosa, z piwnymi oczami i zgrabnym noskiem.

- Chyba nie poznałeś dotąd mojej córki Tabity?

- Nie miałem tej przyjemności. - Hawke uściśnął jej dłoń. - Bardzo mi miło.

- Mnie również, panie Hawke.

Tabita była onieśmielona, ale mocno odwzajemniła jego uścisk. Hawke pomyślał, że ma pewnie jakieś piętnaście lat i jest bardzo wysportowana. Bez trudu mógł ją sobie wyobrazić, jak biega po korcie tenisowym czy mknie po torze wielkiego basenu. Zastanawiał się, czy Connie zabierała ją na swoje podmorskie wyprawy, których owocem są te piękne zdjęcia.

- Udana wystawa - powiedział do Bryana. - Connie pewnie jest szczęśliwa?

- Mam wrażenie, że jeszcze nie ma odwagi się cieszyć. Bryan, potężny i pełen ciepła, nawet nie próbował ukrywać, że jest dumny z żony.
- Kim jest ta dziewczyna na plaży? - spytał Hawke, patrząc na zdjęcie.
- To Zuzanna.
- Przyjaciółka Connie?
- Nasza przybrana córka - uśmiechnął się Bryan. - Ten maluch to jej siostra Abigail.
- Rozumiem, że masz w domu jeszcze dwie piękności - powiedział Hawke, posyłając Tabicie długi uśmiech i czyniąc ją w ten sposób swoją oddaną niewolnicą. - Czy przyjechały z tobą?
- Gdzieś tu są - odparł Bryan.
- Abigail pochłoneła już kilkadziesiąt kanapek - oznajmiła Tabita.
- Miejmy nadzieję, że Lucy dopilnuje, by mała się nie rozchorowała - zaniepokoił się Bryan.
- Wiesz, gdzie jest Zuzanna? - spytał Hawke Tabitę.
- Pewnie patrzy na ocean.

Zuzanna doszła do wniosku, że prace Connie wyglądają na ścianach galerii przy Madison Avenue znacznie bardziej imponująco niż w domu. Wystawiono tu cudowne, kolorowe fotografie lasów w pobliżu ich domu i kilka zdjęć kwiatów. Zuzannie najbardziej podobał się pokryty rosą żonkil. Była też seria zdjęć wykonanych pod wodą. Wpatrując się w głębinę, Zuzanna zapomniała o całym świecie.

Poczuła na sobie jego wzrok, jeszcze-zanim się odwróciła i zobaczyła go. Był wysoki i szczupły, włosy miał nieco zmierzwione, nos kiedyś musiał być chyba złamany; na lewym policzku widać było niewielką szramę; oczy miał szare i przenikliwe. Ubrany był w wyblakłe džinsy i dobrze skrojoną, ale starą marynarkę z czarnego lnu, włożoną na biały podkoszulek. Zuzannie przyszło na myśl, że mężczyzna prawdopodobnie przygląda się jej już od dłuższego czasu.

- Wyglądasz jak topielica - powiedział. Zuzanna spojrzała na zdjęcia.

- Nawet jeśli tonę, to jestem z tego całkiem zadowolona - odparła.
- Rozumiem. To dobre zdjęcia.
- Jesteś Anglikiem? - spytała Zuzanna.
- A ty jesteś Zuzanna?
- Tak - zdziwiła się.
- Bryan mi powiedział - wyjaśnił Hawke. - Podeszedł do mnie, kiedy przyglądałem się waszym fotografiom... twoim i twojej siostry.
- Abigail... - uśmiechnęła się. - Jest cudowna, prawda? Hawke milczał.
- Masz niezwykłą twarz - powiedział w końcu. - Bardzo chciałbym zrobić ci kilka zdjęć.

Zuzanna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Kim jesteś?
- Jestem Hawke - powiedział.
- Ten Hawke?
- We własnej osobie.
- To księżę z bajki - szepnęła Zuzannie na ucho pół godziny później Tabita. Hawke rozmawiał z Connie. W galerii było tłoczno. W powietrzu unosiła się drażniąca nozdrza wońjszampana, dymu z papierosów i perfum. Słychać było gwar rozmów, szelest ubrań i ciche, stłumione przez dywan kroki ludzi przechodzących od jednego zdjęcia do drugiego.
- Jest przystojny - przyznała Zuzanna.
- Przystojny? - parsknęła oburzona Tabita. - Pierwszy raz widzę tak seksownego mężczyznę. O czym z tobą rozmawiał?
- Chce mi zrobić parę zdjęć.
- Żartujesz!

Zuzanna pokręciła głową.

- Naprawdę tak powiedział, ale pewnie tylko przez grzeczność.
- Co mu odpowiedziałaś? - Oczy Tabity zrobiły się z podniecenia okrągłe jak spodki.
- Nic.
- Dlaczego?

- Miałam wrażenie, że nie mówi poważnie.
- Jest znany.
- Wiem.

Tabita zauważyła, że Hawke i Connie spojrzeli w ich stronę, i mocno ścisnęła ramię Zuzanny.

- Rozmawiają o tobie.
- Niemożliwe.
- Mogę się założyć o twoje kowbojskie buty, że tak.

Tabita wiedziała, że buty nie będą na nią pasowały, mimo to zazdrościła ich Zuzannie, podobnie jak prawie wszystkich jej ciuchów. Nie dlatego, żeby ubrania były wyjątkowe, ale dlatego, że na Zuzannie wyglądały wspaniale. Silne, wysportowane ciało było dla Tabity źródłem nieustannego zmartwienia; dziewczyna marzyła o tym, żeby być podobna do starszej, przybranej siostry. Zuzanna była wysoka, wysmukła jak brzoza i miała cudowne długie nogi. Tabita zaś myślała czasem, że los podarował jej ciało zapaśnika. Oczy i usta Zuzanny były prześliczne, podczas gdy ona miała nieciekawe piwne oczy, a na zębach nosiła aparat. Zuzanna od samego rana wyglądała wspaniale. Nawet w chwili gdy wychodziła spod prysznic. Jej włosy, po kilku minutach suszenia suszarką, robiły wrażenie zdrowych i błyszczących. Kiedy Tabita się budziła, na twarzy miała zmarszczki i zagniecenia od poduszki; po prysznicu zaś przypominała przytopionego szczura. Musiała poświęcić kilkadziesiąt minut i zużyć mnóstwo lakieru, żeby jakoś ułożyć swoje niesforne kręcone włosy. Zuzanna mawiała wprawdzie, że mają kolor jesiennych liści, ale Tabicie przypominały raczej pędzelek do nakładania różu. Mimo to Tabita Van Dusen ani przez moment nie miała żalu o to, że Zuzanna i Abigail zamieszkały w jej domu i używają jej nazwiska. Mała Abigail była śliczna i miłutka i nie tak dokuczliwa, jak dzieci czasem potrafią. Zuzanna natomiast sprawiła, że życie stało się przyjemniejsze, ciekawsze i lepsze. W zasadzie była dla niej wymarzoną starszą siostrą. Tabbie kochała Zuzannę.

Hawke nie rozmawiał więcej z Zuzanną tego wieczoru. Connie też nie wspominała o nim do czasu, aż wszyscy go-

ście wyszli i Bryan zabrał Lucy Battaglię i Abigail do hotelu, obiecując jak najszybciej wrócić po Connie, Tabitę i Zuzannę. Mieli pójść w czwórkę na kolację do restauracji.

- Co o tym myślicie?

Connie była zmęczona, ale szczęśliwa. Przysiadły sobie w kąciku, gdyż personel Maxa Groentkena zaczął sprzątanie galerii.

- Było wspaniale - powiedziała Zuzanna, oparta o ścianę. - Wszystkim się podobało.

- Staralam się podsłuchiwać rozmowy. - Tabita usiadła na dywanie i skrzyżowała nogi. - Krytyk z „New Yorkera” (wydaje mi się przynajmniej, że był z „New Yorkera”) mówił coś o rozświetlonym niebie i czystości wizji. Miał chyba na myśli zdjęcia z North River. A jakaś kobieta - musiałaś ją widzieć, miała na sobie dziwną sukienkę, przypominającą skórę węża - powiedziała, że twój tulipan to najbardziej falliczna rzecz, jaką w życiu widziała. Ja najbardziej lubię lilię. - Zajrzała skonsternowanej Zuzannie prosto w oczy. - Symbole falliczne nie są niczym złym, Zuzanno.

- Nie przeciągaj struny, Tabbie - przerwała jej Connie. - Jak wyglądam? - spytała Zuzannę. - Może powinnam poprawić makijaż?

- Wyglądasz wspaniale - uspokoiła ją Zuzanna.

- Jesteś piekielnie seksowna - dodała Tabita.

- Naprawdę?

Connie robiła wrażenie zadowolonej z komplementu. Kilka tygodni wcześniej obcięła włosy na krótko i stwierdziła, że z taką fryzurą czuje się o wiele lepiej, a kiedy mocno podmaluje oczy, ludzie częściej patrzą na jej twarz, a rzadziej na wózek.

-Wiesz, mam, że nigdy nie prawie próżnych komplementów.

- To prawda. - Connie zamilkła na chwilę, jakby coś sobie przypominała.

- Tabbie, zadzwoń do hotelu i spytaj, czy tata jeszcze tam jest. Jeśli tak, poproś, żeby przywiózł mój kremowy wełniany żakiet.

- Zimno ci?

- Teraz nie, ale w restauracji może być chłodno.

- Jeśli usiłujesz się mnie pozbyć, żeby swobodnie poroz-

mawiać z Zuzanną o Hawke'u, mogę zostawić was same -powiedziała Tabita, nie ruszając się z miejsca.

- Nie o to chodzi. Proszę, żebyś zadzwoniła do taty. Tabita westchnęła, ale podniosła się z podłogi.

- Connie powtórzyła mi propozycję Hawke'a - opowiadała Zuzanna Pete'owi Straussowi siedem lat później, siedząc na trawie pod drzewem w Central Parku, obok pustych już opakowań po coca-coli i hot dogach. - Connie zawsze była z nami szczerą.

- Co więc zaproponował Hawke?

- Oznajmił całkiem po prostu... Dla niego to bułka z masłem. Pod tym względem przypomina nieco Connie i Tabitę. Podeszedł do Connie, odepchnął jej wózek na bok i powiedział, czego chce. Prawdę mówiąc, stwierdził, że musi mnie sfotografować. Od razu przyznał, że jeśli zaczniesz ze mną pracować, prawdopodobnie nie skończy się na kilku zdjęciach. Oświadczył, że instynkt rzadko go myli, a jeśli Connie się to nie podoba, powinna mu o tym od razu powiedzieć. Postara się jakoś pogodzić z rozczarowaniem, ale to będzie oznaczało stratę nie tylko dla niego, lecz i dla całego świata. - Wspominając to, Zuzanna uśmiechnęła się lekko.

- Jak zareagowała na to Connie? - spytał z zainteresowaniem Pete.

Nad ich głowami przeleciał niebieski krążek i po chwili wylądował na trawie; podbiegła do niego, piszcząc z uciechy, rudowłosa dziewczynka.

- Roześmiała się, odszukała mnie wzrokiem, przyglądała mi się przez chwilę, po czym powiedziała, że Hawke ma rację.

- Miałaś tylko siedemnaście lat. Czy Connie nie chciała, żebyś najpierw skończyła college?

- Już wcześniej przerwałam naukę. Connie i Bryan mieli chyba nadzieję, że zmienię zdanie, ale powiedzieli, że sama muszę o tym decydować.

Zuzanna zamilkła. Pete przyglądał się jej. Widział, jak pod jej oczami pogłębiły się cienie, kiedy wróciła myślami do teraźniejszości. Zuzanna czuła na sobie jego spojrzenie.



Wiedziała, że na jej twarzy malują się wszystkie uczucia. Pete ^hciał wrócić do przeszłości.

- Czy domyślałaś się wtedy, czym się to może skończyć?

- Ależ skąd! Prawdę mówiąc, zadurzyłam się w Haw-ke'u od pierwszego wejrzenia. Świadomość, że Connie go zna i lubi, uprościła sprawę. Od początku miałam do niego bezgraniczne zaufanie. Powiedział, że chce mi zrobić kilka zdjęć. Connie i Bryan wyrazili zgodę, a Tabbie była dosłownie zachwycona. Przystałam więc na to - powiedziała z uśmiechem.

## *Rozdział 4*

Pod nieobecność Hawke'a poddasze przy Canal Street zdawało się puste. Zuzanna czuła się samotna wśród jego rzeczy. Przebywała tu już cztery lata, zadomowiła się, ale w myślach zawsze nazywała je „mieszkaniem Hawke'a”. Zastanawiała się teraz, czy nie dlatego, że przeczuwała, iż jest tu tylko przejściowym gościem. Jeśli Hawke umrze... Kiedy umrze... Zuzanna wiedziała, że szybko się stąd wyprowadzi. Pokochała to miejsce. Podobały się jej ściany z czerwonej cegły, wysokie stropy, ogromne okna i dwoje kręconych, żelaznych schodów; jedne prowadziły do ciemni, drugie do sypialni ze staromodną toaletką, którą Hawke specjalnie wniósł na górę, żeby leżąc na łóżku móc obserwować, jak Zuzanna się maluje i czesze. Lubiła niewielką, ale wygodnie urządzonej kuchnię, w której razem przygotowali setki smakowitych dań, staczając niejedną batalię o to, czym przyprawić sos, a także wytykając sobie nawzajem resztki jedzenia na talerzach wstawionych do zmywarki. Najbardziej jednak lubiła jego pracownię, nieskazitelne królestwo Hawke'a, jedyne miejsce, które uważał za swoją wyłączną własność.

Czasem, kiedy nie było go w domu, Zuzanna siadała po turecku na podłodze pośrodku pracowni i powoli obracając głowę przyglądała się z uwagą wyczyszczonym meblom, połyskliwym sprzętom, starannie poskładanym rekwizytom. Miała wówczas wrażenie, że Hawke jest przy niej. Gdzieś w głębi duszy słyszała jego głos, wydający polecenia, prawiący komplementy, pokrzykujący i jego chrapliwy, głębo-

ki śmiech. Teraz, kiedy znów był w szpitalu, często tu przesiadywała, nasłuchując jego głosu i wyobrażając go sobie przy pracy. W pedantycznie czystej pracowni czuła, że ma go blisko siebie.

Hawke znalazł mieszkanie na poddaszu przy Canal Street, w miejscu, gdzie dawniej przebiegała (dzisiaj już się zacierająca) granica między Chinatown a Little Italy, ponad jedenaście lat wcześniej, dwa tygodnie po przybyciu do Nowego Jorku z ojczyzostego Londynu. Znajomi namawiali go na Soho, dzielnicę artystyczną, ale Hawke dobrze wiedział, czego chce. Był cudzoziemcem, Anglikiem urodzonym i wychowanym w małym miasteczku w Northamptonshire i narodzonym na nowo w Londynie, gdzie zrobił pierwsze zdjęcia. Przyjechał na Manhattan, by zaspokoić swoje pragnienia. Nie chciał zostać Amerykaninem. Zamierzał tylko wtopić się w tło, obserwować pulsującą kolorami kulturę.

Fotografował wszystko, co tylko napotkał - ruchliwych i sparaliżowanych, żywych i martwych, zwierzęta, rośliny i skały - ponieważ świat nabierał dla Hawke'a życia dopiero wtedy, gdy był oglądany przez obiektyw aparatu fotograficznego. Lubił rozmawiać z nieznajomymi, których fotografował, i pozdrawiał ich z taką naturalnością, że nigdy nikt - ani stary Chińczyk, ani nerwowy turysta, ani młodociany członek gangu - nie odpowiadał agresją.

Niektórzy dziwili się, że artysta patrzący wygłodniałym okiem na wszystkich i na wszystko, zarówno na sprawy najbardziej przyziemne, jak i na wzniosłe, człowiek o tak rozległych zainteresowaniach zdecydował się w końcu poświęcić fotografowaniu mody. Hawke'owi jednak łatwo przyszło wybrać za temat swoich zdjęć kobiety i ubiory, które je otulają. Decyzja ta była zrozumiała dla każdego, kto wiedział, że Hawke wysoko sobie ceni piękne kobiety oraz podkreślające ich urodę stroje, a do tego lubi sobie dogadzać.

Hawke znalazł się na szczycie z początkiem 1976 roku, kiedy dość nieoczekiwanie podjął się zrobienia czterech stron zdjęć reklamujących Kenzo dla Polly Mellen z „Vogue'a”. Jak przystało na zawodowca, przyjął tekst zaproponowany przez redakcję i zastosował się do wszystkich wskazówek, ale Mellen była zawiedziona, gdyż wbrew jej

oczekiwaniom zdjęcia nie przedstawiały dramatycznych wydarzeń. Hawke wiedział, że jego styl stoi w sprzeczności z tendencjami panującymi na rynku w połowie lat siedemdziesiątych. Niestety fakt, że kontrowersyjne komentarze i dwuznaczne sceny zwiększają sprzedaż żurnali, nie robił na nim najmniejszego wrażenia. Twierdził, że śliczna i inteligentna kobieta, do tego ładnie ubrana, jest jak marzenie, które z łatwością wybroni się samo. Zmysłowość była w modzie, ale Hawke uważał, że zwyczaj urozmaicenia zdjęć kreacji stworzonych przez dyktatorów mody seksualnym podtekstem lub scenami przemocy odwraca uwagę od tego, co chcą sprzedać. Nie rozumiał, dlaczego większe zainteresowanie czytelnika miałyby wzbudzać nie rzeczy, które zdjęcia prezentowały, ale to, co się na nich dzieje.

Hawke czuł wielki podziw dla Avedona, nie cierpiał natomiast Helmuta Newtona. Przepadał za Irvingiem Pennem i pracowicie zgłębiał prace Arthura Elgorta, śledząc jego metody pracy z modelkami. Robiąc zdjęcia na ulicy, Hawke był miłośnikiem przygód, ale kiedy miał do czynienia z modelkami i ubraniami, stawał się purystą. Alexander Liberman powiedział: „Fotografia mody nie pokazuje strojów, tylko kobietę”. Hawke uważał, że kobieta i strój nie powinny sobie nawzajem przeszkadzać. Im dłużej pracował z wielkimi modelkami i takimiż kreacjami, tym bardziej stawał się dogmatyczny. Mawiał, że jeśli fotograf nie potrafi bez uciekania się do tanich trików przykuć uwagi czytelnika do modelki i jej stroju, to znaczy, że nie jest dobry w swoim fachu. Hawke wiedział, ile można osiągnąć mając do dyspozycji najlepsze modelki i najelegantsze kreacje. W „Vogue'u” szybko go polubili. Potem zaczął pracować dla „Harper's Bazaar”. Projektanci i modelki wpra-szali się w jego łaski.

Zanim poznał Zuzannę, fotografował Patti Hansen w ubraniach Missoniego, Lisę Taylor w strojach Ralpho Laurena, Cheryl Tiegs w kreacjach Normy Kamali i Lauren Hutton w sukniach projektu Armaniego. Wszyscy byli nim zachwyceni. Wiosną 1980 roku Hawke był już kimś. Mimo to, kiedy zobaczył Zuzannę Van Dusen, poświęcił się tylko jej.

Zuzanna nigdy nie potrafiła tego zrozumieć.

- Część personelu szpitalnego - powiedział Pete Strauss w swoim gabinecie podczas drugiej sesji, tydzień po ich pierwszej rozmowie - czuje, że nie masz do nich zaufania. Czy rzeczywiście uważasz, że nie leczą twojego męża tak jak należy?
- Naprawdę tak mówią? - zdziwiła się Zuzanna.
- Nie mają racji? Pete zapalił papierosa.
- Oczywiście że nie - odparła. - Ale źle się czuję w szpitalu. Personel pokroju pielęgniarki Himmler nie ułatwia mi życia.
- Pielęgniarka Himmler? Któż to taki?
- Nazwałam ją tak, kiedy Hawke pierwszy raz zachorował na PCP\*. Ma lisią twarz i zawsze ostentacyjnie wkłada gumowe rękawiczki, zanim zmierzy Hawke'owi temperaturę. Inni również wkładają rękawiczki do niektórych zabiegów. Nie podoba mi się to, bo mam wrażenie, że odgradzają się w ten sposób od niego, chociaż rozumiem, że to konieczne. Ale ta kobieta ma wrażliwość nazisty - uśmiechnęła się krzywo Zuzanna.
- Dlaczego się uśmiechasz?
- Pomyślałam o tym, jak sobie z nią radzę. -Jak?
- To dość niezwykle. - Zuzanna znowu się uśmiechnęła. - Mam koleżankę, Lulu Fiedlander, która prowadzi zajęcia z aerobiku i doskonale potrafi zorganizować sobie czas. Lulu poradziła mi, żebym sobie wyobraziła chorobę jako coś materialnego, bo to mi pomoże uzewnętrznić gniew. Wybrałam więc sobie za symbol choroby pielęgniarkę Himmler. Czasem w nocy, kiedy nie mogę usnąć, wyobrażam sobie, że wbijam w nią wyimaginowane szpilki. Jak w wudu.
- Może powinnaś pójść krok dalej? - zaproponował Pete.
- Kupić lalkę w stroju pielęgniarki i nakłuwać ją praw' dziwymi szpilkami? - zdziwiła się Zuzanna.
- Gdyby to miało ci pomóc...

\*PCP - *Pneumocystis carini pneumonia* - zapalenie płuc wywołane przez pierwotniaka *Pneumocystis carini*, typowe dla chorych na AIDS. (przyp. tłum.).

- Wątpię - pokręciła głową. - Aż trudno uwierzyć, że ci o tym powiedziałam.
  - Dlaczego?
  - To bardzo osobista sprawa. I nieprzyjemna. Nie mam w zwyczaju o czymś takim rozmawiać.
  - Opowiadałaś o tym mężowi? -Nie.
  - Dlaczego?
  - Nie chcę, żeby wiedział, jak bardzo się złościę.
  - Hawke też się złości.
  - Wiem, ale to co innego.
  - Dlaczego?
  - On ma do tego prawo.
  - A ty nie?
  - Ja nie choruję na AIDS.
  - Nie odpowiadasz za to, że Hawke się zaraził.
  - Nie. - Zuzanna spojrzała Pete'owi prosto w oczy. -Skąd wiesz?
  - Od Hawke'a.
  - Rozumiem. - Umilkła, po chwili zaś spytała: - Co jeszcze ci powiedział? Zielone oczy Pete'a były pełne ciepła.
  - Ze testy wykazały, iż nie jesteś nosicielką wirusa.
  - Jak dotąd, nie. - Zuzanna poczuła nagły skurcz w żołądku. - Ale to nie ma większego znaczenia.
  - Nie zgadzam się z tobą.
  - To niczego nie zmienia. Choćbym złościła się nie wiem jak, nie przedłużę mężowi życia i nie zmniejszę swojego bólu.
  - To prawda - zgodził się z nią Pete. - Mimo to twój gniew jest zrozumiały. Nie powinnaś się go wstydzić.
  - Nie wstydzę się.
- Czas ich spotkania dobiegł końca. Wychodząc z gabinetu Pete'a, Zuzanna zatrzymała się, żeby pogłaskać psa. Był średniej wielkości, kudłaty, o popielatej sierści i miał ja-Nnobrazowe inteligentne ślepie. Kiedy go dotykała, uderzał długim ogonem o podłogę.
- Nazywa się Steinbeck.

W dzinsach, białym podkoszulku i granatowym blezerze Zuzanna robiła wrażenie osoby opanowanej i spokojnej. Pete znowu odczuł to, co przychodziło mu do głowy podczas każdego z nią spotkania: że jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

- Ma wielkie imię.

- Nie ja go tak nazwałem.

- Ile ma lat? - Klęcząc, Zuzanna drapała psa po szyi. - Jesteś śliczny, wiesz o tym?

- Osiem. Ale ze mną mieszka dopiero od kilkunastu miesięcy.

- Co się stało z jego poprzednim właścicielem?

- Jego właścicielka nie żyje. Zapadła cisza.

- Byłeś z nią zaprzyjaźniony? - spytała po chwili Zuzanna.

- Raczej tak.

- Na pewno tak. Skoro powierzyła ci swojego pupila... - Szary ogon mocniej uderzył o podłogę. Zuzanna podniosła głowę. Nagle zrozumiała.

- Umarła na AIDS?

- Tak.

- Była twoją... Nie wiem, jak to nazwać... Pacjentką? Klientką?

- Usiłowałem jej pomóc - powiedział cichym głosem Pete. -

Zaprzyjaźniliśmy się. - Uśmiechnął się ze smutkiem. - Mam jeszcze ptaka. Papugę kakadu o imieniu Alicja. Dostałem ją w podobnych okolicznościach jak Steinbecka. Właścicielka Alicji nie miała jej gdzie zostawić.

- Mogę ją zobaczyć? Lubię ptaki. I wszystkie zwierzęta, z wyjątkiem myszy. Ale może ktoś na ciebie czeka? - spytała z wahaniem.

- Jeszcze nie. Alicja będzie zadowolona z odwiedzin. Papuga siedziała na pręcie w wysokiej, przestronnej

klatce w pokoju, w którym Strauss jadł, spał i odpoczywał. Zuzanna odezwała się do ptaka tak cicho, że Pete nie rozumiał słów. Kakadu uniosła żółty czub, przechyliła łebek i przyglądała się Zuzannie. Ślicznie razem wyglądają - pomyślał Pete. Zrozumiał Hawke'a.

- Jest piękna.

- Lubi się bawić. Niemal codziennie zamykam wszystkie okna i wypuszczam ją z klatki. Za każdym razem zwiedza cały pokój: stół, łóżko, półki z książkami i inne miejsca. Potem przylatuje do mnie i dziobie mnie w stopy, nie zważając, czy jestem bosą, czy w butach. Najbardziej lubi tenisówki. Ciągnie za sznurowadła. Na koniec siada na kanapie i razem oglądamy telewizję.

- Potrafi mówić?

- Nie, ale i tak umie dać do zrozumienia, czego jej potrzeba.

- W przeciwieństwie do mnie. - Zuzanna odwróciła się od klatki, żeby spojrzeć na półki z książkami.

- Ty też potrafisz o sobie mówić - odparł Pete. - Mam jednak wrażenie, że bardzo starannie dobierasz osoby i nikomu nie mówisz wszystkiego. Zuzanna wodziła wzrokiem po książkach.

- Czytujesz powieści detektywistyczne.

Kolekcja dzieł Dashiella Hammetta stała blisko okna, w pełnym słońcu.

- Dziwi cię to? Czego się po mnie spodziewałaś?

- Może Freuda - odparła wzruszając ramionami.

- Freuda też mam. - Pete przyglądał się jej uważnie. - Mówiłaś wcześniej, że źle się czujesz w szpitalu.

- To nic ważnego - powiedziała.

- Jeśli nie jesteś zadowolona z leczenia, uznałbym to raczej za bardzo ważne.

- Nie mam żadnych krytycznych uwag do zastosowanego leczenia.

Oczywiście, nie przynosi ono znaczących efektów, ale na to nikt nic nie poradzi. - Zuzanna odwróciła spojrzenie. - Źle się czuję w towarzystwie lekarzy.

- Masz ku temu jakieś powody? Zuzanna milczała.

- Dajmy temu spokój - powiedział Pete.

- Zawsze taka byłam - tłumaczyła się Zuzanna. - Chociaż dawno, dawno temu, przez pewien czas, bardzo chciałam zostać lekarką.

- Dlaczego z tego zrezygnowałaś?

- Z mnóstwa powodów. - Zamilkła na moment. - Moje wykształcenie pozostawia wiele do życzenia.



- To było, zanim zamieszkałyście z siostrą u Van Dusenów?

Zuzanna przytaknęła.

- Chciałabyś mi o czymś powiedzieć? - spytał Pete.

- Może... - Spojrzała na zegarek. - Muszę już lecieć.

- Rozumiem. Odwiedzisz mnie jeszcze?

- A powinnam?

- Nie chcę nalegać. Nie prosiłaś mnie o pomoc. To ja chciałem z tobą rozmawiać.

- Ze względu na Hawke'a. - Tak.

Zuzanna spojrzała mu prosto w oczy.

- Jeśli poproszę cię o spotkanie, to nie tylko ze względu na Hawke'a, ale też i na samą siebie.

- Dobrze.

Milczeli. Za oknem, na Eighth Street, trąbiły klaksony i słychać było gwar rozmów.

- Wiele mi się przytrafiło... - odezwała się po chwili Zuzanna. - W przeszłości... Zanim poznałam Hawke'a... - Nie mogła znaleźć właściwych słów. - Nigdy dotąd o tym nie mówiłam. Nawet o tym nie myślę. Ale to tkwi we mnie.

- Chciałabyś o tym porozmawiać?

- Może...

- Jeśli się zdecydujesz, jestem do usług.

- Nie wiem. Może lepiej zostawić to w spokoju?

- O tym musisz sama zdecydować.

Wyszli do przedpokoju. Steinbeck ruszył za nimi. Zuzanna sięgnęła do kieszeni blezera i wyjęła okulary przeciwsłoneczne.

- Dobrze się tu czuję - powiedziała. - Masz przyjemne mieszkanie.

- Lubię je.

Uniosła głowę i lekko zmarszczyła nos.

- Co to za zapach?

- Farba i terpentyna.

- Jesteś malarzem?

- Upartym i beznadziejnym.

- Pewnie jesteś wspaniała!

- Rozczarujesz się, kiedy zobaczysz moje obrazy - uśmiechnął się Pete.
- Ale lubisz malować? -Tak.
- Zazdroszczę ci tego - powiedziała Zuzanna, kładąc rękę na klamce.
- Ty nie lubisz swojej pracy?
- Nie - powiedziała. - Raczej nie.
- Dlaczego więc to robisz?

Zuzanna włożyła okulary. Kiedy zasłoniła oczy, z jej twarzy trudno było coś wyczytać.

- Ze względu na Hawke'a - odparła.
- Dla niego?
- Nie, nie dla niego. Ze względu na niego.

Prosto od Straussa Zuzanna pojechała taksówką do Lulu Fiedlander na godzinę ćwiczeń sam na sam z instruktorką. Potem wybrała się do agencji, żeby rzucić okiem na portfolio, które Andrea Marantz uznała za niezwykle ciekawe. Andrea ceniła sobie zdanie Zuzanny wyżej' niż innych swoich modelek, ponieważ jej intuicja prawie nigdy nie zawodziła, ponadto Zuzanna nie miała podwójnej motywacji i nie była zazdrosna. Agencja Marantz była płótką w porównaniu z Ford Models i resztą wielkiej czwórki, ale właśnie tam Hawke wysłał Zuzannę na samym początku. Polegając na jego instynkcie i doświadczeniu, Zuzanna posłuchała rady Hawke'a i nigdy tego nie żałowała. Andrea spodobała się jej zresztą już od pierwszego spotkania.

W biurze agencji panował zwykły gwar. Przy wielkim sześciokątnym stole rozgorączkowni pracownicy odbierali telefony, notowali coś w kalendarzach, sprzedawali, przymilali się, organizowali, snuli domysły i uspokajali klientów. Zuzanna przywitała się z nimi, przeszła obojętnie obok ścian zawieszonych zdjęciami, minęła tłum pełnych nadziei interesantów, czekających, aż ktoś zwróci na nich uwagę. Na niektórych twarzach można było dostrzec błysk rozpoznania, trochę sympatii, odrobinę zazdrości, pożądania i strachu. Zuzanna miała szczęście, ponieważ udało się jej uniknąć męczących przesłuchań, spotkań i próbnych se-

sji. Wiedziała, że brakuje jej cechy, jaka w świecie, w którym teraz żyła, jest uważana za najważniejszą: ambicji. Ludzie, których mijala w korytarzu, byli gotowi niemal na wszystko, byle tylko zrealizować swoje marzenia. W ciągu najbliższej godziny większość z nich zostanie odesłana z kwitkiem, ale jedna czy dwie osoby dowiedzą się, że ich wiara w siebie była przynajmniej w części uzasadniona. Zuzanna nigdy, nawet przez chwilę, nie marzyła o tym, żeby zostać modelką, dopóki Hawke nie przedstawił jej swojej propozycji. Dała się mu przekonać z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że była w nim zakochana, a po drugie - potrzebowała pieniędzy.

- Często się zastanawiam, dlaczego żadna z tych dziewczyn mi nie zazdrości - powiedziała w cichym gabinecie Andrei Marantz.

- Dlaczego miałyby ci zazdrościć? - zdziwiła się Andrea. Była wyższa od większości swoich modelek i surowa, w garniturze i okularach w rogowych oprawkach. - Pewnie w głębi ducha każda z nich wierzy, że jest równie piękna jak ty. Możliwe nawet, że niektóre mają rację. Tobie się udało, jesteś znaną modelką... Dziewczyny cię podziwiają, kochanie.

- Bardzo zależy im na tym, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Twój widok większość z nich napawa nową nadzieją. Jesteś prawdziwa, żywa. Czują się zaszczycone, że znalazły się z tobą pod jednym dachem.

- To głupie.

- Oczywiście, ale tak właśnie jest. Zuzanna westchnęła.

- Przynajmniej one wiedzą, czego chcą. Andrea uśmiechnęła się.

- Ty też wiesz. Chciałaś Hawke'a.

Zadzwoił jeden z telefonów na wielkim owalnym biurku. Andrea podniosła słuchawkę. Wypowiadała krótkie zdania i szybko skończyła rozmowę.

Nie tracąc więcej czasu, Zuzanna zadała pytanie, które z pewnością chodziło po głowie i samej Andrei:

- Czy umowa z „Grace” przypadnie?

- Nie wiem - odparła Andrea.

- Wiedzą o Hawke'u?

- Wiedzą, że jest chory, i pewnie coś podejrzewają, ale dotąd się z niczym nie zdradzili.

Od kilku miesięcy wszyscy w branży rozmawiali o kontrakcie z „Maison Grace”, który Andrei Marantz udało się wynegocjować dla Hawke'a i Zuzanny. Dotyczył on reklamy nowej, międzynarodowej linii kosmetyków. Marie Hueberlein, prezes korporacji z główną siedzibą w Genewie, a zarazem wnuczka założyciela królestwa mody, musiała w tym celu pokonać opór współpracowników, którzy nie chcieli zgodzić się na wynajęcie zespołu składającego się z modelki i fotografa. Od kiedy jednak Marie zobaczyła pierwsze zdjęcia Zuzanny Van Dusen, była pewna, że tylko ta dziewczyna jest w stanie ją zadowolić. Zuzanna doskonale pasowała do reklamy „Grace”. Miała drobne kości policzkowe, prosty nos, piękną skórę, usta jakby stworzone do malowania szminkami, prześliczne oczy, nienaganną szyję i mocne ramiona. Hawke doskonale rozumiał jej wspaniałość, choć bynajmniej nie wyjątkową urodę. Potrafił podkreślić niepowtarzalny wyraz oczu, nie będąc wulgarnym. Hueberlein dostrzegła w Zuzannie istotę na tyle młodą, żeby kosmetyki doskonale na niej wyglądały, jednocześnie zaś jej spojrzenie mówiło o bogatym życiowym doświadczeniu, co mogłoby przyciągnąć do stoisk „Grace” tysiące starszych, poranionych przez życie kobiet z całej Ameryki. Hueberlein rozumiała, że ten wyjątkowy nastrój zdjęcia zawdzięczają Hawke'owi, a wszelkie próby rozbicia zespołu, jaki tworzyli on i Van Dusen, prawdopodobnie skończyłyby się niepowodzeniem. Zresztą gdyby nawet udało się ich rozdzielić, straciłoby się ten niepowtarzalny klimat.

- Jak on się czuje? - spytała Andrea.

- Dużo lepiej. Jutro albo pojutrze wypiszą go ze szpitala.

- Kiedy wróci do pracy?

- Nie wiem. - Zuzanna pokręciła głową. - Ostatnio szybko doszedł do siebie, ale tym razem jest dużo gorzej.

- Zdjęcia dla „Grace” powinniśmy zacząć za trzy tygodnie.

Zuzanna milczała.

- Rozważaliście to? - spytała Andrea.

- Hawke koniecznie chce zacząć w planowanym terminie - odparła Zuzanna.

- Świetnie. Powiedz mi jednak, co ty o tym myślisz. Czy to możliwe?

- Znasz Hawke'a.

- Pewnie stawi się do pracy w umówionym dniu.

- Mówi, że ze względu na mnie chce uruchomić kampanię reklamową dla „Grace”. - Zuzanna przerwała i uciekła spojrzeniem od przenikliwych oczu Andrei. - Mówi, że kiedy rozchoruje się tak bardzo, że nie będzie mógł w ogóle pracować, ja będę już zbyt znana, aby mogli mnie wyrzucić. Znajdą innego fotografa.

- Pewnie ma rację.

Zuzanna głośno przełknęła ślinę.

- Nigdy nie pracowałam z nikim oprócz Hawke'a. Nie wiem, czy potrafię.

- Oczywiście, że potrafisz. Nie jestem jednak pewna, czy będziesz chciała pracować z innym fotografem.

- Nie umiem sobie tego wyobrazić... Nie chcę sobie tego wyobrażać. -

Zuzanna szukała właściwych słów. - Czuję się jak artystka, która przystała do trupy cyrkowców tylko dlatego, że zakochała się w gimnastyku ćwiczącym na trapezie. Gdyby nie świadomość, że mam u boku Hawke'a, chyba nigdy nie zdecydowałabym się na tę pracę.

- Mówiłaś mu o tym? - spytała łagodnie Andrea. -Nie.

- Chyba powinnaś?

- Nie - odparła zdecydowanym głosem Zuzanna. - On myśli, że wiążąc mnie z „Grace” zapewnia mi przyszłość. Jeśli Marie Hueberlein się nie wycofa, to ja nie zamierzam rozwiewać jego złudzeń.

- Jeśli Hawke stawi się do pracy w umówionym terminie, Marie raczej nie zerwie umowy, nawet jeśli teraz chodzą jej po głowie takie myśli.

Przez chwilę panowała cisza.

- A co ze mną? - spytała Zuzanna. - Zrobiłam testy. Myślisz, że Marie Hueberlein o tym wie?

- Jeśli wie, że Hawke ma AIDS, z pewnością da jej tą do myślenia - powiedziała Andrea. - Gdyby mnie o to pytała,

powiem jej - oczywiście, o ile mnie do tego upoważnisz - że twoje wyniki są negatywne.

- Jak dotąd - skrzywiła się Zuzanna. - Obawiam się jednak, że testy na obecność HIV, niezależnie od ich wyniku, nie pasują do obrazu idealnej kobiety „Grace”, jaki wymyśliła sobie Marie Hueberlein.

- Chyba masz rację.

- Wiesz, że chętnie zerwałabym tę umowę? - spytała cicho Zuzanna. - Nie gniewaj się, ale mam ochotę w ogóle zrezygnować z pracy.

- Nie gniewam się. Zawsze wiedziałam, jakie jest twoje nastawienie do tego zawodu. Ale przecież nie zrezygnujesz - stwierdziła Andrea - dopóki żyje Hawke.

Zuzanna pokręciła głową.

- Nie - powiedziała. - Na pewno nie.

## Rozdział 5

Opowiedz mi o swoim życiu przed poznaniem Hawke'a.

- Co chciałbyś wiedzieć?
- Cokolwiek. Wszystko. To, o czym jesteś gotowa rozmawiać.
- To proste. Wcale nie chcę o tym rozmawiać.
- Naprawdę?
- Tak. Nie. - Zuzanna uśmiechnęła się z przymusem. - Sama nie wiem.
- Może opowiesz mi o Van Dusenach? O tym, jak ci się u nich żyło?
- Chętnie.
- Byłaś tam szczęśliwa?
- Bardzo.
- Powiedz coś więcej.
- Przyjechaliśmy do Cohasset, żeby z nimi zamieszkać, wiosną siedemdziesiątego szóstego roku.
- My? To znaczy ty i twoja siostra?
- I nasz ojciec. Mateusz Bodine.

Zuzanna siedziała na sofie w gabinecie Pete'a. Zdjęła buty, nogi podciągnęła pod siebie. Na jej lewym udzie spoczywał kudłaty łeb Steinbecka. Ślina z psiego pyska powoli spływała na jej spodnie. Był sierpień, za dwa dni miała rozpocząć pracę dla „Grace”. Zbyt było gorąco, aby otwierać okna. Klimatyzator cicho buczał. Z głośników ustawionych obok biurka płynęły dźwięki muzyki Vivaldiego.

- Przypominam sobie dzień, kiedy pierwszy raz zobaczyłam ich dom - powiedziała Zuzanna, wywołując ten obraz

z pamięci. - Stał przy prostym odcinku drogi i sprawiał wrażenie czystego i bezpiecznego. Wokół kwitły drzewa. Ojciec niewiele się odzywał, ale prowadząc samochód zerkał na mnie ukradkiem czekając, jak zareaguję. Wiedziałam, że chce usłyszeć mój zachwyty. Pamiętam, że poczułam ulgę, kiedy się okazało, że nie będę musiała udawać. Naprawdę byłam zachwycona. Pokochałam ten dom, zanim tam dojechaliśmy. A potem pokochałam go jeszcze mocniej.

Miał szalunek z białych desek, szare okiennice i pomalowane na szaro drzwi z mosiężną kołatką. Zuzannie przypomniał się nagle inny dom, z dawnych czasów, ale szybko odsunęła od siebie to wspomnienie. Wyszła z samochodu, tuląc w ramionach niemowlę. Nie mogła oderwać wzroku od domu. Płot z ułożonych poziomo bali odgradzał go od drogi. Po obu stronach drzwi pięły się róże. Pomyślała, że tak pięknego domu nigdy jeszcze nie widziała. Miał drewniany ganek, na nim huśtawkę i niski sosnowy stoliczek. Ze ścieżki wchodziło się do wnętrza po drewnianej, wznoszącej się łagodnie rampie.

- Pani domu jest inwalidką - powiedział Mateusz Bodine, wyjmując z bagażnika walizki. - Potrzebuje pomocy, dlatego nas tu przyjęli.

Wcześniej nic o tym nie wspominał, ale Zuzanna wiedziała, że lepiej zrobi milcząc. Stała spokojnie i mocno tuliła dziecko, kiedy Bodine stukał do drzwi. Pukał nieśmiało, delikatnie, nie używając kołatki. Zuzanna zdziwiła się, ponieważ było to do niego całkiem niepodobne, ale potem przypomniała sobie, że tak samo zachowywał się w klasztorze: poruszał się cicho, nie zwracając na siebie uwagi, zajęty tylko swoją pracą, a kiedy już zrobił to, co do niego należało, znikał wszystkim z oczu.

Nikt nie otwierał. Bodine zapukał ponownie, tym razem mocniej. Drzwi się otworzyły.

- Witajcie!

Mężczyzna był potężnie zbudowany i życzliwy. Miał rude włosy, zmarszczki wokół oczu i duży nos, garbaty jak u Indianina. Serdecznie uścisnął dłoń Bodine'a, nie odrywając wzroku od Zuzanny z niemowlęciem na ręku.



- Ty jesteś Zuzanna? - spytał Bryan Van Dusen.

- Tak, proszę pana - odparł Bodine. - Przywitaj się z panem Van Dusenem, Zuzanno.

Zrobiła krok do przodu.

- Dzień dobry panu.

- A to śliczne maleństwo ma na imię Abigail?

Uśmiechnięty, pochylił się nad dzieckiem. Abigail otworzyła oczy i odwdzięczyła mu się uśmiechem. Zuzanna usłyszała nagle jakiś dziwny dźwięk. Najpierw pomyślała, że to mewy, których mnóstwo kołowało nad ich głowami, przypominając o bliskości oceanu, ale potem zobaczyła duże, metalowe koła wózka. W drzwiach pojawiła się Connie Van Dusen.

- Witamy - powiedziała. - Wchodźcie do środka. Szybko i sprawnie zawróciła wózek. Zuzanna zauważyła

jej szczupłe (ale silne), opalone ramiona i mocne palce. Nogi, wystające z szortów, były nieruchome i nieużyteczne.

- Cieszę się, że znów pana widzę, panie Bodine. Connie Van Dusen miała równie przyjazny uśmiech jak

jej mąż. Zuzanna natychmiast polubiła niedużą, inteligentną twarz o ostrych rysach i jej pogodne, bystre spojrzenie. Jasne włosy, sięgające ramion, miała spięte w kucyk. Nosila koszulkę z napisem „Ratujcie wieloryby”.

- Dziękuję za pani dobroć, pani Van Dusen - powiedział pokornie Bodine.

- Niewiele jest rodzin gotowych przyjąć pod swój dach niemowlę.

Chociaż Zuzanna, jak już mówiłem, doskonale zastępuje mu matkę.

- Widzę. - Pani Van Dusen uśmiechnęła się do Zuzanny. - Mam nadzieję, że zarówno ty, jak i twoja siostra będziecie tu szczęśliwe. Chcemy, żebyś czuła się jak u siebie w domu.

- Dziękuję pani.

Zuzanna mocno tuliła Abigail. Ciepło małego ciała dodawało jej otuchy.

Mała była spokojnym dzieckiem, ale zbliżał się już czas karmienia i

Zuzanna bała się, że Abigail zacznie płakać.

- Gdzie jest Tabbie? - spytał żonę Van Dusen.

- Poszła nakarmić Baskina.

- To nasz pies - wyjaśnił Van Dusen. - Czarny labrador.

Głupi, ale bardzo serdeczny. Nasza córka Tabita nadała mu takie imię, ponieważ pies przepada za lodami\*.

- Najbardziej lubi te z kawałkami orzechów. - Dziewczynka pojawiła się nagle nie wiadomo skąd, trzymając za obrozę otyłego psa. - Cześć! Jestem Tabbie. A to Baskin. Trzymam go dlatego, że koniecznie chciałby się z wami przywitać, a mama uprzedziła mnie, że psu nie wolno skakać na dziecko. - Labrador machał ogonem i próbował się wyrwać. - Ty pewnie jesteś Zuzanna?

- Cześć! - powiedziała Zuzanna. - A to jest Abigail. Tabbie miała dziesięć lat, była wysoka i podobna do ojca. Podeszła, żeby z bliska zobaczyć niemowlę.

- Jest śliczna - stwierdziła.

- Dziękuję - powiedziała Zuzanna. - Boję się, że zaraz zaczniesz płakać.

- Mogę ją wziąć na ręce? - spytała Tabita.

- Lepiej uważaj na Baskina - ostrzegła ją matka. - Abigail jest pewnie zmęczona po podróży. Zuzanno, pójdz do kuchni i przygotuj dla niej jedzenie. Mam w domu trochę odżywki dla niemowląt. Bryan pokaże twojemu ojcu, gdzie znajdują się wasze pokoje.

- Bądź grzeczna, Zuziu - powiedział Bodine.

- Dobrze - obiecała Zuzanna. Connie Van Dusen pojechała przodem, pokazując drogę do kuchni.

- Lubisz, żeby nazywać cię Zuzią? - spytała Tabita. Baskin nadal usiłował się wyrwać i mocno drapał pazurami o podłogę.

- Nie bardzo - przyznała Zuzanna.

- Dlaczego twój tata tak do ciebie mówi?

- Rzadko mu się to zdarza.

- Będę do ciebie mówiła Zuzanno - powiedziała Tabita.

- Co się stało z twoją mamą? - spytała nieco później Tabita, kiedy znalazły się na górze, w niedużym, kwadratowym pokoju, który rodzice Tabity przeznaczili dla czternastolatki i jej małej siostry. Mateusz Bodine i Bryan

\*Baskin & Robins - znana firma produkująca lody o wielu smakach (przyp. dum.).

Van Dusen poszli do garażu, by obejrzeć silnik w starym dodge'u Bryana. Jednym z powodów, dla których Van Dusen zgodził się przyjąć Bodine'a, były zapewnienia ojca Zuzanny, że potrafi „rozumieć” silniki i inne martwe przedmioty. Poza tym był silny i bardzo zależało mu na pracy. Connie będzie potrzebowała jego siły w trudnych dniach powrotu do normalnego życia.

- Umarła - odpowiedziała na pytanie Tabity Zuzanna.

- To wiem, ale na co?

Siedziały na łóżku Zuzanny. Mała spała spokojnie w nowej kołysce, przykryta różowym kocykiem. Bryan Van Dusen zainstalował w domu windę, żeby ułatwić żonie poruszanie się, ale na drugie piętro prowadziły tylko wąskie schody, których Connie Van Dusen nie była w stanie pokonać. Kazała jednak Tabicie przygotować pokój Zuzanny i pokazać, gdzie są ręczniki, pościel i różne rzeczy dla niemowlaka, które Connie kupiła przygotowując się na ich przybycie. Mateusz Bodine powiedział Bryanowi, że po nagłej śmierci żony nie bardzo potrafi zadbać o niemowlę.

- Miała atak serca podczas porodu.

- To straszne. Wiedziałaś, że jest chora?

- Nie - odparła Zuzanna.

- Pewnie bardzo za nią tęsknisz.

Tabita wiedziała co nieco o kruchości życia. Sama z bólem serca przyglądała się ciężkiej walce matki o powrót do normalności.

- Tak - zgodziła się Zuzanna.

- Jeśli chce ci się płakać, nie krępuj się - powiedziała Tabita.

- Dziękuję.

Tabita czekała, ale oczy Zuzanny pozostały suche.

- Nie chce ci się płakać?

- Teraz nie.

- Nie szkodzi. - Tabita zajrzała do kołyski. - Jak długo będzie spała?

- Trudno powiedzieć - uśmiechnęła się Zuzanna. - Czasem śpi kilka godzin, a czasem budzi się po krótkiej drzemce i chce się bawić.

- Jest za mała, żeby się bawić.

- Lubi leżeć na golasa na podłodze i wymachiwać nóżkami.
- Tabita wstała i podeszła do kołyski.
- Jest ładna. Niektóre dzieci są pomarszczone, czerwone i brzydkie.
  - Uważam, że Abigail jest śliczna - powiedziała cicho Zuzanna.
  - Teraz, kiedy jesteś u nas, nie będziesz musiała poświęcać całego czasu na opiekę nad dzieckiem.
  - Lubię to robić - zapewniła Zuzanna.
  - Mama i tata mówią, że wszyscy musimy ci pomagać.
  - Twoi rodzice są bardzo mili.
  - To prawda.

Ciekawość przemogła powściągliwość nakazaną Zuzannie przez Bodine'a.

- Co się stało twojej mamie? - spytała. - Dlaczego nie może chodzić?
- Dwa lata temu spadła z muru w pobliżu naszego starego domu - wyjaśniła Tabita. - Miała pęknięty kręgosłup. To było straszne. Lekarze długo nie wiedzieli, czy będzie mogła poruszać rękami, ale mama się nie poddawała. -W piwnych oczach dziewczyny widać było dumę z matczynej odwagi. - Teraz wiele rzeczy potrafi już robić sama, ale tata uznał, że musimy się przeprowadzić, bo nasz stary dom stał nad samym oceanem i było w nim mnóstwo schodów.
- Kocham ocean - powiedziała Zuzanna.
- Ja też. Stary dom był bardzo ładny. Pokażę ci go, jeśli zechcesz.
- Dobrze.

Zuzanna wstała, żeby otworzyć okno. Z pokoju na poddaszu widać było podwórko i zagajnik. Niebiesko-żółtymi zasłonkami poruszał wiatr o słonym zapachu. Ocean był bardzo blisko. Wdychając wilgotne powietrze, słuchając wrzasku mew, Zuzanna poczuła się spokojniejsza.

- Całe życie mieszkałam nad morzem - powiedziała.
- Zdawało mi się, że mówiłaś, iż pochodzisz z Vermont -zdziwiła się Tabita.
- On pochodzi z Vermont - wyjaśniła szybko Zuzanna. -Ale mieszkaliśmy w różnych miejscach.

Tabita znów usiadła na łóżku.

- Mama mówiła, że mieszkaliście w klasztorze - powiedziała.

- To prawda.

Zuzanna nie odwracała się od okna. Patrzyła na krzaki róż na podwórzu. Baskin kopał dół, najwyraźniej czegoś szukając. Radośnie machał ogonem, a jego czarny nos zagłębiał się w ziemi, by po chwili znów ukazać się na powierzchni.

- Dlaczego?

- Tata dostał tam pracę.

- Pewnie dziwnie się czułaś, mieszkając z zakonnice.

- Były bardzo miłe.

- Nie zmuszały cię do modlitwy? Zuzanna roześmiała się i odwróciła od okna.

- Zakonnice są całkiem normalne. Jedna z nich, siostra Dominika, zaprzyjaźniła się ze mną.

- Twoja mama też tam pracowała? - Tabita była wszystkiego ciekawa.

-Tak.

- Co robiła?

Zdenerwowana Zuzanna podeszła do kołyski, spojrzała na dziecko, poprawiła kocyk i pogłaskała maleńką główkę.

- Gotowała i sprzątała.

- Chyba zadaję zbyt wiele pytań. Zuzanna zarumieniła się.

- Ależ nie.

- Moi rodzice twierdzą, że w ogóle za dużo mówię. Tata uprzedzał, żebym cię nie wypytywała o twoją mamę, bo będzie ci przykro.

- Możesz pytać, nie przeszkadza mi to - odparła Zuzanna.

- Uważam, że o zmarłych powinno się rozmawiać - ciągnęła Tabita. - Po śmierci babci prawie wszyscy, którzy do nas przychodzili, mówili o najróżniejszych rzeczach, tylko nie o niej. Moim zdaniem, to głupie. Gdybym umarła, chciałabym, żeby o mnie mówiono.

Abigail się obudziła i ułożyła usta do płaczu. Tabita przypatrywała się, zafascynowana, jak Zuzanna ją przewija i karmi.

- Doskonale dajesz sobie radę - powiedziała.

- Nauczyłam się.

Tabita przyglądała się różowym usteczkom chwytającym smoczek, pełnym napięcia oczom niemowlęcia, wpatrującym się w siostrę, maleńkim dłoniom, na zmianę zaciskającym się i rozluźniającym podczas jedzenia. Po karmieniu Zuzanna uniosła dziecko do pozycji pionowej, opierając główkę na swoim ramieniu i delikatnie masowała jego plecy.

- Czy ja też mogłabym się tego nauczyć?

- Chyba tak. - Zuzanna pocałowała Abigail w czubek głowy. Poczula pod ustami delikatną miękkość puszystych włosów. - To wcale nie jest takie trudne.

- Kto ci pokazał, jak to robić?

- Nikt.

- Ktoś jednak musiał.

- Ojciec dał mi książkę. Z książek można się dowiedzieć prawie wszystkiego.

- Ja tego nie potrafię - zaprzeczyła Tabita. - Jestem leniwą uczennicą.

- Założę się, że przesadzasz.

- Nie cierpię nauki. Lubię tylko sport.

- A co lubisz najbardziej?

- Pływanie i tenis. I gimnastykę.

Zuzanna oderwała wzrok od Abigail i spojrzała na Tabitę. Jak na dziesięciolatkę, była duża i silna. Rude, lekko kręcone włosy tworzyły złocistą aureolę wokół piegowatej twarzy. Zuzanna bez trudu mogła ją sobie wyobrazić grającą w tenisa albo płynącą na spotkanie wysokiej fali na morzu.

- Mogłabyś mnie nauczyć gry w tenisa? - spytała.

- Pewnie! Możemy też pójść nad morze i popływać, jeśli będziesz chciała.

- Świetnie.

- Wiesz, cieszę się, że z nami zamieszkałaś - powiedziała nieoczekiwanie Tabita.

Zuzanna poczuła w całym ciele błogie ciepło.

- Dziękuję - rzekła wzruszona.

Trzy tygodnie później, w jeden z pierwszych gorących dni tego lata, Tabita zabrała Zuzannę i Abigail (w starym wózku, który Bryan Van Dusen znalazł na strychu podczas przeprowadzki i którego, z niejasnych powodów, nie miał ochoty wyrzucić) na plażę White Moon. Na piasku wypoczywało już sporo ludzi. Jednym zależało na jak najszybszej opaleniznie, inni odważnie wchodzili do zimnej jeszcze wody. Większość po prostu spacerowała, grała w piłkę albo budowała zamki.

- „Tocz się, przepastny ciemny oceanie! Tocz! - zawołała Tabita klękając, żeby zdjąć buty. - Dziesięć tysięcy flotyli przemierza cię na próżno...”

- To piękne. Co to takiego?

Zuzanna wyjęła Abigail z wózka i położyła na gumowanym kocu, który przezornie wzięła ze sobą. Niemowlę spojrzało w błękitne niebo, potem radośnie zagruchało i zaczęło energicznie wymachiwać nóżkami.

- To chyba lord Byron - odparła Tabita.

- Mówiłaś, że jesteś słabą uczennicą.

- Bo jestem, ale lubię poezję. Przynajmniej niektóre wiersze.

Zuzanna usiadła obok Abigail, ujęła jedną z małych dłoni i połaskotała jej delikatne wnętrze. Dziecko poruszyło się i zagruchało jeszcze głośniej. Jego radość była zaraźliwa. Zuzanna była w coraz lepszym nastroju.

- Powiedz cały wiersz, Tabbie.

- Więcej nie pamiętam. Znalazłam go w książce z biblioteki, ale pamiętam tylko ten fragment o oceanie.

Zuzanna spojrzała na morze, na niewysłowione głębiny, ich potęgę i grozę. Zamknęła oczy.

- Dobrze się czujesz? - spytała po chwili Tabita.

- Tak. - Zuzanna otworzyła oczy i uśmiechnęła się. - Słuchałam.

- Dziwnie wyglądasz. Smutno. Zuzanna pokręciła głową.

- Nie jestem smutna. Słuchałam oceanu. Jego głosu. Czasem usypiając wsłuchiwałam się w jego pomruk.

- Twój dom stał blisko oceanu? -Mhm.

- Tak blisko jak nasz stary dom?

Tabita pokazała Zuzannie swój stary dom. Był duży i dosyć osobliwy. Stał na palach, ze względu na częste przypiływy i burze. Zuzanna natychmiast zrozumiała, dlaczego Connie po wypadku nie mogła w nim dłużej mieszkać. Zrozumiała też, dlaczego Tabita mówiła o domu z taką tęsknotą. Tam się wychowała. Tam mogła snuć marzenia o przygodzie i swobodnie wałęsać się po okolicy.

- Bliżej - odpowiedziała Zuzanna.

- Ekstra! - ucieszyła się Tabita.

Położyły się na piasku, spokojne i rozluźnione. Obie miały na sobie krótkie spodenki. Kiedy słońce zaczęło grzać mocniej, a wiatr ustał, więcej ludzi zdecydowało się wejść do wody, ale na plażę wciąż przybywali nowi. Dzieci nie dawały rodzicom spokoju i domagały się wyprawy nad morze, gdzie mogły posmakować letniej wolności.

- Chcesz się wykapać? - spytała Tabita.

- Nie mogę opuścić Abigail.

- Zostanę z nią.

- Nie. Nie przejmuj się mną. Idź popływać.

- Wiem, że ty też chciałabyś wejść do wody.

- Nie bardzo.

-Ależ tak. Popatrz na fale. Czujesz ich chłód na stopach?

Zuzanna zawahała się.

- Może na chwilę. Ale musisz pilnować Abigail. Nie wolno ci jej zostawić nawet na sekundę.

- Nie zostawię jej - zapewniła Tabita. - Idź już.

Zuzanna szła boso po mokrym piasku. Kiedy się obejrzała, zobaczyła Tabitę siedzącą na kocu obok Abigail; mała wyglądała jak lalka. Potem stanęła zwrócona twarzą w stronę oceanu. Poczwała nagły, głęboki i onieśmielający dreszcz, ale szybko się uspokoiła.

- Witaj, przyjacielu - szepnęła.

Ocean odpowiedział jej, jak zawsze, głosem swojskim, uspokajającym i potężnym. Na prawo od niej wylądowała śmiała mewa, mająca do plaży większe prawo niż Zuzanna i inni goście. Fala sięgnęła stóp Zuzanny. W zetknięciu z zimną wodą dostała gęsiej skórki, mimo to stała jeszcze



chwilę bez ruchu, patrząc na morze, słuchając go i wdychając niezmienną, dziką, niepowtarzalną woń. Potem skręciła w lewo i ruszyła przed siebie brzegiem morza. Stawiała drobniutkie kroczki i przyglądała się, jak w wilgotnym piasku powstaje odcisk jej stopy. Myślała o tym, że następna fala zniszczy jej ślady na wieki. Potem wydłużyła krok. Wiatr omiatał i palił policzki, podrywał i rozwiewał włosy. W oczach Zuzanny pojawiły się łzy radości, dławiło ją poczucie wolności. Z każdym krokiem ciężar przeszłości stawał się lżejszy, podmywany i unoszony w nicość przez ocean, wdzierający się na ląd i cofający, niszczący wszelki ślad po przybywających tu gościach, z których żaden nie był dla niego ważniejszy od ziarenka piasku.

Szczekanie psa usłyszała, zanim jeszcze do jej uszu dobiegł krzyk Tabity, porwany przez wiatr wraz z radosnym śmiechem innych plażowiczów i wołaniem mew. Odwróciła się i stwierdziła, że oddaliła się bardziej, niż sądziła. Dopiero po chwili dostrzegła Tabitę, próbującą uciekać z zawiniątkiem na ręku. Doskakiwał do niej duży brązowy dog. Dziewczynka kopała i wywijała się, chcąc ratować dziecko.

- Abigail! - krzyknęła Zuzanna i zaczęła biec. Serce waliło jej jak młotem. Piach sypał na wszystkie strony.

Kiedy znalazła się nieco bliżej, zobaczyła wyraźnie silne szczęki i ostre kły doga oraz przerażoną twarz Tabity. Zaczęła wołać o pomoc. Jakiś mężczyzna, zajęty dotąd wraz ze swoją córeczką budowaniem zamku z piasku, wstał i wymachując kijem, z krzykiem podbiegł do psa. Zwierzę podkuliło ogon i głośno popiskując uciekło.

- Daj mi ją! - Zuzanna wyrwała Abigail z rąk Tabity.

- Nic jej nie jest - szlochała dziewczynka. - Chyba nic się nie stało.

Teraz dziecko również płakało. Mała twarzyczka wykrzywiona była z przerażenia, a skóra zaczerwieniona od mocnego uścisku Tabity.

Zuzanna przyklękła, oparła sobie dziecko na kolanach i zaczęła badać twarz, rączki, nóżki, całe ciało, szukając obrażeń. Z trudem łapała oddech. Po chwili powtórzyła badanie. Upewniwszy się, że małej nie stała się krzywda, przytuliła Abigail, przycisnęła policzek do jej policzka i zaczęła szeptem powtarzać imię sio-

stry. Jej miłość była tak gwałtowna i potężna, że aż przerażająca. Nie liczył się nikt i nic. Nawet biedna, wystraszona Tabita.

- Nic się jej nie stało? - spytała Tabita. - Wszystko w porządku?

-Tak.

Zuzanna miała surowy głos. Wiedziała, że zbyt mocno ściska Abigail, bo mała zaczęła płakać jeszcze głośniej, ale nie mogła jej puścić. Zaczęła rozglądać się po plaży, szukając wzrokiem psa.

- Nic nie mogłam na to poradzić - powiedziała nieszczęsna Tabita.

- Nie powinnam jej z tobą zostawiać. - W głosie Zuzanny nie było słyhać przebaczenia.

- Pies i tak mógł tu przybiec.

- Odpędziłabym go.

Tabita milczała. Zuzanna włożyła małą do wózka i zwinęła koc. Kiedy wracały wyboistą ścieżką do domu, spotkały mężczyznę, który odpędził doga. Zuzanna podziękowała mu za uratowanie siostrzyczki.

- Pani przyjaciółka doskonale sobie poradziła - powiedział. - To był duży pies. Można się go było przestraszyć.

Kiedy wyszły na drogę, Zuzanna, nie patrząc na Tabitę, powiedziała:

- Przepraszam.

- To ja przepraszam - odparła Tabita.

- Słyszałaś, co powiedział ten mężczyzna. Uratowałaś ją.

- Nie jestem pewna, czy sama dałabym radę. Przestraszył mnie. Nadbiegł tak nieoczekiwanie.

- Każdy by się przestraszył. Postąpiłaś bardzo mądrze.

- Chyba tak - zgodziła się z dumą Tabita.

- Od tego dnia zaczęłam się przyjaźnić z Tabitą - opowiadała Pete'owi

Zuzanna jedenaście lat później. - Przyzwyczailiśmy się do tego domu i powoli zaczynaliśmy się lum czuć jak u siebie. Poszłam do szkoły. U Van Dusenów Abigail obchodziła swoje pierwsze urodziny. Z tej okazji mój ojciec dostał dzień wolny. Connie i Tabbie przygotowały coś do jedzenia. Pamiętam, że Baskin wdrapał się na

krzesło i usiadł naprzeciwko Abigail. Mała śmiała się, z buzią wysmarowaną kremem... Byliśmy bardzo szczęśliwi.

- Co było potem? - spytał Pete. - Mam wrażenie, że coś się stało.

- Coś bardzo nieoczekiwanego - powiedziała Zuzanna. - Mateusz Bodine, mój ojciec... - zaczęła i zamilkła na moment - uciekł.

- Dlaczego?

- Chcesz poznać prawdę czy wersję Van Dusenów?

- Jedno i drugie, jeśli można. Zuzanna kiwnęła głową.

- Pewnego dnia poszłam do szkoły sama. Tabbie została w domu, ponieważ była przeziębiona. Kiedy wróciłam, u Tabbie był lekarz, ale mojego ojca już nie było. Bryan i Connie próbowali mnie przekonać, że te dwa fakty nie mają ze sobą nic wspólnego, że mój ojciec odebrał jakiś telefon, po czym oświadczył, że musi na pewien czas wyjechać, ale ja widziałam po ich minach, że kłamią - mówiła bardzo spokojnym głosem.

- Nie przyznałam się, że o tym wiem. Robili to przecież dla mojego dobra. Wzięłam Abigail i wyszłam z nią na dwór. Connie domyśliła się, że trzeba mi powiedzieć coś więcej. Po pewnym czasie odnalazła mnie i powiedziała... bardzo delikatnie i łagodnie... że ojciec popadł w tarapaty, musiał wyjechać i nie wiadomo, czy jeszcze wróci.

Zuzanna zamilkła. Pete czekał, co jeszcze zechce mu wyznać.

- Dwa dni później, kiedy Abigail już spała, a w sypialni Bryana i Connie zgasło światło, poszłam do Tabity. W pokoju było ciemno, ale natychmiast wyczułam, że Tabita nie śpi, tylko płacze. Poprosiłam, żeby mi powiedziała, co się stało. Na początku nie chciała. Obiecała rodzicom, że z niczym mi się nie zdradzi, ale ja się uparłam, że muszę znać prawdę, i w końcu Tabita uległa moim namowom.

Steinbeck, rozłożony wygodnie na kanapie obok Zuzanny, przesunął łeb z jej uda na kolano. Z Eighth Street dobiegały codzienne odgłosy. Pałace sierpniowe słońce przebijało się przez zanieczyszczone powietrze nad Man-

hattanem. W mieszkaniu szumiała klimatyzacja, ale Vivaldi od dawna już zamilkł. Zegar na biurku pokazywał, że czas wizyty Zuzanny dobiegł końca, w poczekalni jednak nie było pacjentów, a Pete Strauss, który w trakcie wieloletniej praktyki nauczył się przerywać najszczerze nawet wyznania w pół zdania, nie chciał przerywać Zuzannie.

- Dowiedziałam się - ciągnęła Zuzanna - że mój ojciec napadł na Tabitę w niedwuznacznym zamiarze - mówiła spokojnym, monotonnym głosem. -

Przyszedł do jej pokoju, kiedy Connie i Bryan wyszli z domu, a przeziębiona Tabita spała. Najpierw udawał, że sprawdza jakieś przewody za łóżkiem, potem próbował jej dotknąć. - Zuzanna zrobiła krótką przerwę. - Tabbie mu powiedziała, żeby przestał, ale to nic nie pomogło. Chciała się odsunąć, ale on ją złapał i mocno trzymał. Jakoś udało się jej wyrwać. Krzycząc, że powie o wszystkim tacie, wybiegła z domu. To wystarczyło, żeby napędzić mu stracha.

- Ile lat miała wówczas Tabbie?

- Dwanaście.

- Czy potem ojciec kontaktował się z tobą?

- Nigdy.

- Przykro mi.

- Mnie nie.

Pete zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

- Jak się czułaś, kiedy o tym usłyszałaś?

- A jak sądzisz?

- Nie wiem. Dlatego pytam.

- Jak miałam się czuć? Zdegustowana? Zawstydzona? Winna?

- Nie sądzę, żebyś musiała czuć coś określonego - powiedział Pete, po czym na chwilę zamilkł. - Dlaczego miałabyś się czuć winna? - spytał w końcu.

- Ponieważ razem przyjechaliśmy do tego domu.

- Byłaś wówczas dzieckiem. Nie mogłaś w niczym zawinić. - Milczała. -

Nie wierzysz mi, Zuzanno?

- Ależ tak - uśmiechnęła się krzywo. - Teraz mówisz jak psychiatra.

- Przepraszam.

- Powoli zaczęłam zapominać, że to twój zawód. - Z jej

miny domyślił się, że go podziwia. - Jesteś dobry. Już ci mówiłam, że nie mam w zwyczaju opowiadać o sobie.

- Hawke wie o twoim ojcu?
- Wie o tym, co zrobił Tabicie.
- To jeszcze nie wszystko?
- Nie - odparła cicho.
- Chcesz mi opowiedzieć resztę?
- Chyba nie.

Zuzannie wydawało się, jakby zaczęła się budzić z długiego snu.

Rozmawiając z Pete'em była rozluźniona, swobodna, ale teraz poczuła się okropnie zmęczona. Spojrzała na stojący na biurku zegar. Minęła druga, zajęła więc Pete'owi ponad półtorej godziny.

- Czas na mnie - powiedziała.
- Nie ma pośpiechu. Następny pacjent przychodzi dopiero o trzeciej.
- Muszę wracać do domu, do Hawke'a.

Zuzanna pogłaskała Steinbecka po łbie i wyprostowała nogi, zdrętwiałe po długim siedzeniu bez ruchu.

- Jak on się czuje?
- Nie widziałeś się z nim?
- Od kiedy wyszedł ze szpitala, nie.
- Czuje się świetnie. Nie może sobie pozwolić na słabość... Za dwa dni musimy się stawić w pracy.

Pete zdusił papierosa.

- Zanim wyjdiesz, chciałbym ci zadać jedno pytanie.
- Zgoda.
- Co się działo po ucieczce twojego ojca? Wiem, że Van Dusenowie przygarnęli ciebie i Abigail, spodziewam się jednak, że przeżyłaś wiele ciężkich chwil. - Pomagali mi, jak mogli. Connie, Bryan, a szczególnie Tabbie. Gdy oznajmiłam, że ja i Abigail też powinnyśmy się od nich wyprowadzić, oburzyli się. Większość ludzi w takiej sytuacji próbowałaby się nas jak najszybciej pozbyć, nie sądzisz? Ale nie Connie i Bryan. Nawet nie wezwali policji. Tabicie nic się nie stało, a oni obawiali się, że dochodzenie i proces sądowy mogą się okazać dla nas zbyt ciężkim przeżyciem. Uznali, że to, co zrobił Mateusz Bodine, nie ma nic wspólnego z jego dziećmi. Koniecznie

chcieli, żebym kontynuowała naukę w szkole. Ja jednak nie zgodziłam się na to.

- Dlaczego?

- Musiałam zajmować się Abigail - odparła Zuzanna. -Miałam już prawie szesnaście lat i uważałam to za swój obowiązek. To przecież moja siostra i czuję się za nią odpowiedzialna. Mogłam się uczyć, kiedy mój ojciec pomagał Van Dusenom w domu, ale po jego ucieczce Connie nie dałaby sobie rady.

- Mogli zatrudnić kogoś innego.

- Chciałam się sama nią zajmować. - Zuzanna spuściła nogi na podłogę i wsunęła stopy w buty, ale nie wstawała. -Van Dusenowie chcieli nas adoptować i ja też bardzo tego pragnęłam, ale nasz ojciec żył, więc było to niemożliwe. Przyznano im jednak prawo do opieki nad nami, a oni pozwolili nam używać swojego nazwiska. Są niezwykłymi ludźmi, prawda?

- Z tego, co mówisz, można sądzić, że rzeczywiście są wspaniali.

- Miałyśmy szczęście - powiedziała Zuzanna. - Od początku o tym wiedziałam. Ale teraz szczęście mnie opuściło.

- Wierzysz w szczęście i w pecha?

- A ty nie?

- Do pewnego stopnia tak, ale zasadniczo uważam, że los można kształtować, chociaż czasem robią to za nas inni. Lubię jednak myśleć, że i my mamy w tym swój udział. A ty, Zuzanno, w co wierzysz?

- Masz na myśli religię?

- Na przykład.

- Nie wyznaję żadnej religii.

Pete poczuł, że coś się w niej zbuntowało, mimo to próbował drażnić dalej.

- Wierzysz w Boga?

- Staram się nie myśleć o Bogu - odparła.

- Tęskniłaś za ojcem? - Pete zmienił temat. -Nie.

- W krótkim czasie straciłaś dwie najbliższe osoby...

- Nie tęskniłam za nim - powtórzyła Zuzanna, wstając. -Pewnie myślisz, że jestem twarda jak kamień.

Steinbeck, nie schodząc z kanapy, stęknął, przeciągnął się i zamknął ślepią.

- Tego bym o tobie nie powiedział. Jesteś silna, ale nie twarda.

- Nie byłabym tego taka pewna - odparła Zuzanna. -Z upływem lat zbudowałam wokół siebie... wokół swoich wspomnień... coś na kształt muszli...

Schyliła się po torebkę.

- Musiałaś sobie jakoś radzić, żeby przetrwać - powiedział Pete.

- Chyba to jest w życiu najważniejsze? - spytała niepewnym głosem.

## *Rozdział 6*

W trzecim dniu sesji zdjęciowej dla „Grace”, w sali poświęconej Monetowi w Muzeum Sztuki Współczesnej, Hawke'a złapał gwałtowny i uporczywy kaszel, który spowodował pęknięcie drobnego naczynka krwionośnego w gardle. Z kącika jego ust popłynęła po brodzie strużka krwi, skapując powoli na biały podkoszulek. Wcześniej zdarzyło się to dwukrotnie i choć było przerażające, Hawke i Zuzanna starali się zachować zimną krew. Angie Lopez, fryzjerka i specjalistka od makijażu, współpracująca z Hawkiem od lat, przyniosła wilgotne chusteczki do nosa i czysty podkoszulek, ale James Kline z agencji reklamowej UKA i Lori Underwood z „Maison Grace” nie potrafili ukryć odrazy i strachu. Zuzanna zabrała męża do domu. Ich rodzinny lekarz, Saul Weinberg, obawiając się zapalenia płuc, kazał im pojechać do szpitala. Okazało się jednak, że to tylko okruch chleba utknął w przełyku i spowodował atak kaszlu, który doprowadził do pęknięcia naczynka krwionośnego. Nazajutrz Hawke mógł wracać do pracy, ale Underwood i Kline się nie odzywali.

Pięć dni później z Genewy przyleciała Marie Hueber-lein i zaprosiła Zuzannę i Hawke'a na obiad do „Lutece”. Usiedli przy stoliku w zacisznym ogródku. Goście lokalu, ludzie o nienagannych manierach, nie odwracali wprawdzie za Zuzanną głów, ale i tak idąc do stolika czuła na sobie pełne podziwu, czujne spojrzenia.

- Nie będę owijała w bawełnę - powiedziała z brytyjskim akcentem Hueberlein, kiedy już złożyli zamówienie.



Głos miała łagodny, matowy. - Namawiają mnie, żebym przełożyła kampanię reklamową na później.

- Ze względu na to, co zdarzyło się w zeszłym tygodniu? - spytał Hawke. Wyglądał zdrowo. Co prawda bardzo schudł, ale nie był wymizerowany.

- Tak.

W ogromnych, piwnych oczach Marie Hueberlein widniała szczerłość. Jej ciemne, krótko ostrzyżone włosy lśniły w słońcu.

- To nic wielkiego. - Zuzanna miała żołądek ściśnięty ze strachu i ze złości.

- Nieprawda - powiedział spokojnie Hawke, patrząc Marie prosto w oczy.

- Kaszlałem i plułem krwią. James Kline stał kilka kroków ode mnie.

Widziałem, jak potem oglądał swoją twarz w lusterku Angie. Bał się, że znajdzie na niej krople mojej śliny. Trudno mu się dziwić.

- Ja się dziwię - odparła Zuzanna.

- Ja też - zgodziła się z nią Marie Hueberlein. - Niestety, w „Maison Grace” nie ma nikogo, kto podzielałby moją opinię. Choroba, na którą cierpisz, *mon cher*, budzi strach w ludziach na całym świecie.

- Nie byliśmy pewni, czy wiecie - wtrąciła Zuzanna.

- Oczywiście, że wiedzieli - przerwał jej Hawke. - Andrea Marantz nie była jednak przekonana, czy zostaliście o tym oficjalnie powiadomieni.

- Co to ma znaczyć? - spytała zaskoczona Zuzanna. Nie miała najmniejszej ochoty na małże, na które namówiła ją Marie. Najpierw chciała się dowiedzieć, do czego prowadzi ta rozmowa. - Marie, musimy wiedzieć, na czym stoimy.

- Rozumiem cię, Zuzanno - odparła spokojnie Marie - zanim jednak powiem coś więcej, chciałabym, żebyście odpowiedzieli na kilka moich pytań.

- Niech będzie - zgodziła się Zuzanna.

- Ty też się zgadzasz, Hawke? - Jego imię brzmiało w jej ustach jak „Ołk”. Wymawiała je z szacunkiem i z czułością. - Chodzi przecież przede wszystkim o ciebie.

-Zgoda.

- Dziękuję. Jak sądzisz, jak długo jeszcze będziesz mógł

pracować? Ile minie czasu, zanim choroba wpłynie na jakość twoich zdjęć?

- Trudno przewidzieć - odparł szczerze Hawke. - Mogę ci tylko powiedzieć, jakie są moje zamiary i co wydaje mi się możliwe. - Marie kiwnęła głową. - Chcę rozkręcić kampanię reklamową, stworzyć wizerunek kobiety „Grace”. Spodziewam się, że będę w stanie to zrobić. - Uśmiechnął się rozbrajająco. - Ze względu na Zuzannę nie zabierałbym się do zdjęć, gdybym nie miał pewności, że jestem w równie dobrej formie jak zawsze.

- Następne pytanie - powiedziała Marie lekko ściszone głosem. - Czy mógłbyś coś zrobić, żeby ukryć swoją chorobę przed innymi? Nie tak, jak ostatnim razem?

- Nie wiem.

- Nie oczekuję cudów. Nawet się nie domyślasz, z jakim trudem przyszło mi postawić ci to pytanie, *mon cher*... Nie lubię atmosfery strachu i podejrzliwości, ale od mojego rozsądku zależą zarobki wielu osób.

- Chcesz, by Hawke zapewnił cię, że się nie rozchoruje na oczach innych ludzi? - Zuzanna była coraz bardziej zła. - Chcesz wiedzieć, czy może sobie wcześniej zaplanować, kiedy złapie zapalenie płuc czy toksoplazmozę... - Z trudem powstrzymywała się, żeby nie krzyknąć. - Chcesz mieć pewność, że następnym razem, kiedy dostanie krwotoku, nikt się o tym nie dowie?

Hawke w milczeniu popijał wino. Marie Hueberlein również zachowała spokój.

- Pytam, czy to możliwe - powiedziała. - Proponuję, żebyśmy utrzymali tę sprawę w tajemnicy.

Hawke spojrzał na Zuzannę.

- Ona robi to dla nas, ślicznotko.

Podczas pracy zawsze ją tak nazywał. Do swoich modelek zwracał się per „ślicznotko” albo „skarbie”. W domu, kiedy byli sami, a nawet w łóżku, zwracał się do niej po imieniu. Czasem mówił „kochanie”.

- Chce wiedzieć, czy możemy udawać. Czy to w ogóle możliwe.

- *Exactement* - potwierdziła Marie. Zuzanna poczuła mdłości.

- To nie jest zabawa!

-Marie chce ode mnie zapewnienia, że następnym razem, kiedy złapie mnie kaszel, wyjdę do łazienki, zanim zacznę krwawić. Kiedy poczuję się źle, zanim jeszcze zemdleję czy zwymiotuję, znajdę jakąś dobrą wymówkę, by przełożyć zdjęcia na następny dzień.

Zuzanna spoglądała to na męża, to na Marie.

-Nie ma powodu sądzić, że coś takiego się zdarzy. Hawke czuje się dobrze. Prawdopodobnie upłynie wiele czasu, zanim znów na coś zachoruje.

- Cieszę się. - Marie uśmiechnęła się do Hawke'a. - Patrząc na ciebie nietrudno w to uwierzyć, ale...

-Ale Lori Underwood widziała mnie, kiedy byłem w znacznie gorszym stanie - powiedział drętwo. - Bądźmy szczerzy. To, co się wówczas wydarzyło, nie pasuje do idealnego, wymyślonego przez nas obrazu kobiety „Grace”.

- Niestety - zgodziła się z nim Marie.

Przyniesiono pięknie ułożone zakąski, ale nikt nie miał na nie ochoty.

-Zwolnij mnie - powiedział nagle Hawke. - Wyrzuć mnie, ale zostaw Zuzannę.

- Jeśli zwolnią ciebie, ja też odchodzę - uparła się Zuzanna.

- Zuzanna Van Dusen bez Hawke'a to ziemia niczyja -oświadczyła spokojnie Marie. - Nie zamierzam nikogo zwalniać, jeśli nie będę musiała. Pytałam cię o coś... Czy jest możliwe, żebyś ukrył swoją chorobę przed innymi?

Hawke kiwnął głową.

- W tej chwili tak.

- *Bien.* W takim razie resztę zostawcie mnie - odparła Marie, biorąc do ręki łyżkę.

- Co to znaczy? - Zuzanna chciała mieć pewność. - Kontynuujemy pracę?

- Tak - powiedziała Marie z naciskiem.

- Bardzo tego chcę. Nadal mam w sobie dużo z wielkiego Hawke'a. - Po raz pierwszy tego dnia w jego głosie zabrzmiało jakieś uczucie.

Zuzanna poczuła skurcz w gardle. Marie odłożyła łyżkę i uniosła kieliszek z winem.

- Za wielkiego Hawke'a - powiedziała. Spełnili toast. Tydzień po obiedzie w „Lutece” z Marie Hueberlein na piersiach i ramionach Hawke'a pojawiły się pierwsze krosty. Przestraszyli się, że to mięsak Kaposiego\* i że zostaną ostatecznie zdradzeni. Hawke czuł się bardzo źle, krosty zaczęły ropieć. Saul Weinberg rozpoznał ospę wietrzną. Diagnoza była tak pomyślna, że śmiali się jak szaleni. Niestety, kilka dni później stan Hawke'a pogorszył się na tyle, że musiał pójść do szpitala. Wszędzie miał krosty, nawet w ustach i tchawicy. Lori Underwood przysłała mu kwiaty i list z wiadomością, że do czasu odzyskania przez Hawke'a zdrowia zawieszają kampanię reklamową. Wyraziła też nadzieję, że Zuzanna przechodziła już ospę wietrzną. Napisała to wszystko w bardzo miłych słowach, ale Zuzanna i Hawke wiedzieli, co się za nimi kryje. Ospa wietrzna jest jedną z tych niegroźnych i często spotykanych chorób, które potrafią zabić człowieka chorego na AIDS.

- Tę krótką wzmiankę o mnie również zrozumieliśmy - powiedziała Zuzanna Pete'owi Straussowi w szpitalu, gdy przyszedł odwiedzić Hawke'a. Przepęniała ją taka złość, że chętnie odwiedziłaby „Maison Grace” i napluła Lori Underwood w pełne strachu oczy. - Dlaczego nie spytała wprost, czy ja też jestem chora?

- Nie chce, żebyście podali ją do sądu - odparł Pete.

- Nawet gdybyśmy chcieli się z nią procesować, nie sądzę, byśmy mieli ku temu jakieś podstawy.

Siedzieli w zagraconym pokoju, położonym piętro niżej niż pokój Hawke'a. Tutaj odbyli kiedyś pierwszą rozmowę. Pete położył nogi na starym biurku z tekowego drewna.

- Oni mogą o tym nie wiedzieć. Zuzanna pokręciła głową.

- W naszej umowie jest kilkanaście punktów dotyczących zdrowia, moralności i tym podobnych rzeczy.

- Dotyczą kobiety „Grace” czy Hawke'a?

\* Mięsak Kaposiego - nowotwór charakterystyczny dla chorych na AIDS (przyp. tłum.).

- Tylko mnie.
  - Nie zrobiłaś przecież nic niemoralnego.
  - Śpię w jednym łóżku z mężczyzną chorym na AIDS.
  - On jest twoim mężem.
  - Jestem nieczysta, Pete. - Zuzanna unikała jego spojrzenia.
  - Bzdura.
  - Oni są innego zdania. Nie uciekniemy od tego problemu. Marie Hueberlein może sobie mówić, nawet całkiem szczerze, że zatrudniła właśnie mnie, ponieważ wyglądam na osobę, która niejedno w życiu przeszła, dzięki czemu mogą się ze mną identyfikować nie tylko dziewczyny, ale i dojrzałe kobiety - powiedziała i wreszcie spojrzała Pete'owi prosto w oczy. - Tak naprawdę „Grace” nie różni się niczym od innych firm kosmetycznych. Nawet jeśli chcą jakiejś skazy czy śladu doświadczenia na podsuwanym klientom, nieskazitelnie czystym obrazie kobiety, to jednak chodzi im o czystość. Od dnia kiedy Hawke pluł krwią w sali poświęconej Monetowi, wiedzieliśmy, że zawisł nad nami miecz przeznaczenia. - Uśmiechnęła się z ironią. Oczy miała pełne łez. - Teraz okazuje się, że Hawke'a wykończy cholerna ospa wietrzna.
  - Wylize się z tego - pocieszał ją Pete.
  - Miałam na myśli jego karierę. - Zuzanna wstała, podeszła do gablotek z dokumentami, po czym odwróciła się twarzą do Pete'a. - Dla Hawke'a praca to życie. Wiele osób tak mówi, ale w jego przypadku to prawda. Nie zależy mi na tej umowie, wiem jednak, że Hawke się zmartwi, kiedy go wyleją. Załamie się, jeśli zwolnią również mnie.
  - W takim razie nie wolno ci się poddać.
- Zuzanna wzruszyła ramionami i wróciła na swoje krzesło.
- Tymczasem nie muszę z nikim walczyć. To dla mnie dość trudna sytuacja. Oni nie zrobili nic niewłaściwego. Powiadomili nas tylko, że zawieszają kampanię reklamową na czas choroby Hawke'a. Okazali nam zainteresowanie i współczucie.
  - Myślisz, że to wszystko były nic nie znaczące słowa?
  - Jasne, że tak! - zawołała ze złością Zuzanna. - Niewiele wiem o wielkich korporacjach, mam jednak świadomość,

że nie mogą sobie pozwolić na odkładanie tak ważnych i kosztownych przedsięwzięć. Zapłacili za reklamy w gazetach, napisali setki reklamowych artykułów, może nawet opłacili czas w telewizji.

- Chcesz powiedzieć, że już podjęli decyzję? -Tak.

- Co na to twój agent? Prawnik? Zuzanna pokręciła głową, znużona.

- Nie chcę nikogo ciągać po sądach, Pete. Nawet jeśli Hawke o tym myśli, to wkrótce i tak będzie zbyt słaby, żeby się tym zajmować. Jeśli chodzi o mnie, chętnie się od tego wszystkiego uwolnię. Będę miała więcej czasu, żeby być przy nim, kiedy tylko będzie mnie potrzebował. Z mojego punktu widzenia najgorsze byłoby, gdyby „Grace” zwolniła jego, ale dotrzymała umowy ze mną. Hawke jest pewnie innego zdania.

- Co zamierzasz zrobić? Pete zapalił marlboro.

- Nic. Będę spędzała przy Hawke'u tyle czasu, ile on będzie chciał. Widziałeś go. Wiesz, jak okropnie wygląda, cały zsypany krostami. Widziałam, jak zadrżał, kiedy spojrział w lustro. Nie może się nawet ogolić. Czuje się brudny i odrażający.

Pete milczał.

- Chorowałaś już na ospę wietrzną? - spytał po chwili.

- Tak - odparła i dotknęła maleńkiej szramy na lewym policzku. - Pewnie się drapałam.

- Dziwi mnie, że lustro nie pęka, kiedy w nie zagładasz -powiedział Pete, patrząc na szramę.

- Mnie również... Pete, mógłbyś mnie poczęstować papierosem?

- Przecież nie palisz.

- Może powinnam zacząć?

- Nie powinnaś. Dlaczego tak mówisz? Zuzanna wzruszyła ramionami.

- Potrzebuję czegoś na uspokojenie. Nie chcę valium. Alkoholu też nie. Piję ostatnio więcej, niż powinnam.

- Jak dużo?

- Nie martw się, nie bardzo dużo, ale modelki powinny

pijać tylko wodę mineralną. Szczególnie kiedy reklamują kosmetyki. -  
Uśmiechnęła się nieszczerze. - Teraz nie będę musiała się tym martwić.  
Mogę pić, ile zechcę.

- Wolałbym, żebyś tego nie robiła - powiedział spokojnie Pete.

- Żartowałam. Papierosa też chyba już nie chcę.

- Może więcej ćwiczeń fizycznych?

- Trenuję wystarczająco.

- Co byś powiedziała na jogę? Uprawiam ją prawie codziennie. Możesz do mnie dołączyć.

- Nie mówię nie - odparła Zuzanna, uśmiechając się.

- Jeśli zechcesz, następnym razem możemy część naszego spotkania poświęcić ćwiczeniom.

- Tak się chyba nie robi? - zdziwiła się.

- Jeśli tobie to nie przeszkadza, to ja nie widzę w tym nic złego. Cóż za różnica, czy rozmawiasz ze mną leżąc na kanapie, czy siedząc ze skrzyżowanymi nogami?

- Nigdy nie kazałeś mi leżeć na kanapie.

- Nikt tego nie robi. Zuzanna uśmiechnęła się.

- Lubię cię.

- Ja też ciebie lubię.

- Cieszę się - odparła.

Pierwszego października, siedem dni przed podjęciem na nowo sesji zdjęciowej w muzeum, Andrea Marantz poinformowała Hawke'a i Zuzannę, że „Maison Grace” się wycofało, ale Marie Hueberlein zapewnia, iż zapłaci całą kwotę uzgodnioną w umowie i jeszcze pięćset tysięcy dolarów kary za zerwanie umowy z Zuzanną.

- Używając jednego z powiedzonek Hawke'a - powiedziała Andrea - to zawsze lepsze niż gdyby mieli skakać nam do oczu, jasne jednak, że płacą nam za to, żebyśmy nie narobili szumu wokół tej sprawy.

Zuzanna milczała. Ukradkiem zerknęła na Hawke'a, który miał zwyczaj się garbić. Teraz siedział prosty jak struna. Nie reagował na wiadomość przekazaną przez An-dreeę. Tkwił w miejscu bez ruchu, z zastygłą twarzą. Zuzanna miała ochotę wziąć go za rękę, obawiała się jednak, że

Hawke nie chce, by go teraz dotykano. Próba pocieszenia mogłaby zostać zrozumiana jako litość.

- Czy zgodziliby się zatrzymać Zuzannę i wynająć innego fotografa? - spytał cicho, chociaż z góry znał odpowiedź.

- Nie chcą o tym słyszeć - odparła Andrea.

- Świetnie - głos Hawke'a nadal był cichy. Zuzanna miała dość.

- To śmierdząca sprawa - orzekła.

- Masz rację - zgodziła się z nią Andrea.

- Mam ochotę im powiedzieć, że mogą sobie zabrać te swoje pieniądze i je sobie wsadzić - złościła się Zuzanna.

- Nie zrobisz tego - uspokajała ją Andrea.

- Oczywiście, że tego nie robi - zapewnił Hawke.

- Chciałabym powiadomić o tym „Timesa”, „Vanity Fair” albo telewizję - powiedziała Zuzanna. - Świat powinien się o tym dowiedzieć.

- Ludzi to głównie obchodzi - stwierdził Hawke.

- Jeśli przyjmiesz pieniądze, nie będziesz mogła ujawnić prawdy -

oświadczyła Andrea. - Zresztą Hawke ma rację. Są ludzie, których oburzyłoby takie postępowanie, ale wielu innych stanęłoby po stronie „Grace”. Zuzanno, ja również uważam, że to wstrętne, ale od początku byłam z wami szczerą. Ty też wykazywałaś dużo zdrowego rozsądku.

Wiemy, jak bardzo ludzie się boją. Wprawdzie wiedzą o tej chorobie coraz więcej... Dość, by mieć pewność, że przez zdjęcie w gazecie się nie zarażą... Ale nie chcą myśleć o AIDS, kiedy biorą do ręki „Vogue” albo kupują tusz do rzęs. „Grace” nie zatrudni innej modelki. Postanowili przenieść kampanię reklamową tej linii kosmetyków w Stanach Zjednoczonych na przyszły rok. Szczerze mówiąc, mamy szczęście, że nie wytoczyli nam procesu. Gdyby nie fakt, że nie chcą nadawać sprawie rozgłosu, na pewno by tak zrobili.

- Aż trudno uwierzyć, że odwołują całą kampanię - powiedziała Zuzanna.

- Nie odwołują, tylko odkładają na później - poprawiła ją Andrea.

- Nie mogą teraz zaczynać akcji reklamowej - mówił spokojnie Hawke - ponieważ ludzie mogliby skojarzyć ich kosmetyki ze mną.



- Przecież kobiety, które będą je kupowały, nie wiedzą, że jesteś chory - zdziwiła się Zuzanna.

- Jeszcze nie, ale gdyby kampania się rozkręciła i gdyby w jej trakcie musieli zmienić fotografa i modelkę, wszystko stałoby się jasne - wyjaśniła Andréa. - Prasa już wie, że to ty masz reklamować produkty „Grace”. Wiedzą też, że zawsze pracujesz z Hawkiem. Wiadomość o jego chorobie szybko znalazłaby się we wszystkich gazetach. Marie Hueberlein doskonale wie, że kobiety, widząc pomadkę „Grace” na twoich ślicznych ustach, wołałyby kupić produkt „Clinique” albo „Lancôme”.

- Dotknęła mnie zaraza, ślicznotko - oświadczył Hawke, dziwnie wydymając usta. - Ty też jesteś nieczysta.

- Zamknij się - burknęła Zuzanna.

- Taka jest prawda - upierał się Hawke.

- Nie chcę tego słuchać. - Zuzanna wstała. Poczowała mdłości. - Muszę już iść. Wyjdziemy razem, Hawke?

- Jeśli wybierasz się do baru...

Zuzanna spojrzała na niego z góry. Ślady po przebytej niedawno ospie już prawie zniknęły; nie będzie miał szram. Wyglądał zdrowo, jeśli pominąć mocno zaciśnięte szczęki i udęczone oczy.

- Możemy wrócić do domu - powiedziała - i napić się u siebie.

- Ja nie chcę się napić. Chcę się uchlać do nieprzytomności - odparł Hawke. - Jak świnia.

- Niech będzie - zgodziła się Zuzanna.

- To niebezpieczne - ostrzegła Andréa. Hawke wstał.

- Na trzeźwo mógłbym stać się jeszcze bardziej niebezpieczny - odparł.

## *Rozdział 7*

Pete i Zuzanna siedzieli w pozycji zbliżonej do kwiatu lotosu na wytartym perskim dywanie w dużym pokoju mieszkania Pete'a. Niedaleko okna, na pochłapanych farbą sztalugach, stał niedawno rozpoczęty obraz, przedstawiający pokryty śniegiem Washington Square wczesnym rankiem. Pete wstawił go tu specjalnie, żeby pokazać gościowi. Uważał (Zuzanna się z nim zgodziła), że jest to najbardziej udane z jego dotychczasowych dzieł. Było lepiej zakomponowane niż inne i pozbawione jaskrawych kolorów, jakich Pete chętnie używał, od kiedy Leigh wniosła sprawę o rozwód. Z głośników ustawionych obok półek na książki płynęły spokojne, pełne uczucia dźwięki drugiej części szóstego „Koncertu brandenburskiego” Bacha. Alicja, papuga kakadu, w swojej wysokiej klatce z przyjemnością zajadała ziarna. Steinbeck drzemał koło drzwi.

Była jedenasta rano, tydzień przed Bożym Narodzeniem. W październiku, listopadzie i pierwszej połowie grudnia Hawke czuł się dobrze. Dopiero potem atak toksoplazmozy, a po nim męcząca walka z zapaleniem płuc powaliły go na kolana. Dwa dni temu, patrząc na męża, Zuzanna po raz pierwszy uświadomiła sobie z całą jasnością to, o czym wiedziała już od dawna: że Hawke naprawdę umrze. Trudno się było z tym pogodzić. Ostatnio okropnie wychudł, a piękne kręcone włosy wychodziły mu garściami. Szare, inteligentne oczy zapadły się głęboko; jasna, typowo angielska cera przypominała pergamin. Ropień mózgu udało się wyleczyć, ale Hawke nie odzyskał pełni władzy

w jednej połowie ciała. Poruszał się o kulach. Trzydziestopięcioletni mężczyzna wyglądał jak umierający pięćdziesięciolatek.

- Chciałabym porozmawiać dzisiaj o Hawke'u i o mnie -powiedziała Zuzanna.

- Dobrze - zgodził się Pete.

- O tym, jak było przedtem. I co się stało.

Pete czekał. Mieli dużo czasu. Następnego pacjenta spodziewał się dopiero o wpół do trzeciej. W pokoju było ciepło; przez okno wpadało wprawdzie mroźne powietrze, ale ogrzewanie nastawione było na maksymalną temperaturę. Zuzanna oparła dłonie na biodrach, układając je wnętrzem do góry. Zamknęła oczy, wzięła oczyszczający wdech, jak ją nauczył Pete, i zaczęła.

Przez kilka tygodni po wystawie zdjęć Connie Van Dusen w Groentken Gallery, w 1980 roku, Hawke porozumiewał się z Zuzanną tylko za pośrednictwem aparatu fotograficznego. Bryan załatwił Zuzannie pokój w Queens, u dawnej przyjaciółki Connie. Hawke wynajął samochód, którym codziennie rano zabierał ją z domu i wieczorem odwoził z powrotem. Pracował nieustannie, niestrudzenie; czasem w swoim studiu na Canal Street, innym znów razem na ulicach miasta. Fotografował Zuzannę w Chinatown, Little Italy, Central Parku, przy Upper i Lower East Side, na Broadwayu, przy Times Square, w barach na Second Avenue, wychodzącą z eleganckich sklepów przy Fifty-Seventh Street, na ulicach Harlemu i na promie na Staten Island. Zwykle pracował w milczeniu. Był zapatrzony w swoje wizje, którymi nie potrafił i nie chciał się dzielić. Dawał Zuzannie polecenia i wskazówki; mówił, czego od niej oczekuje, i sprawdzał, czy wystarczy jej wyobraźni, czy potrafi się wczuć w pisane dla niej role.

- Widzisz tę kobietę przy kasie? Ma świetną fryzurę i zrobiła staranny makijaż, mimo to widać, że jest zmęczona. Zobacz, teraz zsunęła but i pociera jedną stopą o drugą, myśląc, że nikt tego nie widzi. Bądź nią, Zuzanno. Stań się tą kobietą. Nie zastanawiaj się długo. Spróbuj sobie wyobrazić, o czym myśli, gdzie była wczoraj wieczorem, jak

długo tam wytrzymała, jak bardzo ją to nudziło... Tak, dobrze, świetnie...  
- Zajął się robieniem zdjęć. - A teraz znów bądź sobą. Jesteś młoda, pełna werwy, świat ma ci wiele do zaoferowania. Znów jesteś Zuzanną i cieszysz się z tego...

Praca z Hawkiem zazwyczaj była łatwa i przyjemna. Chciał, żeby Zuzanna się dobrze bawiła; bał się ją przestraszyć. Zależało mu raczej na tym, żeby się przed nim otworzyła, żeby była odprężona, a jednocześnie umiała nad sobą panować. Starał się wydobyć przed obiektywem nie tylko uroki jej ciała, ale także wnętrze. Kiedy kończył robić zdjęcia, odwoził Zuzannę do Queens, sam zaś wywoływał filmy, robił odbitki, przyglądał się im uważnie i cieszył się, nie miał już bowiem żadnych wątpliwości co do tego, że to, co powiedział Connie przy Madison Avenue, jest prawdą.

Dwudziestego czwartego czerwca, trzy tygodnie po osiemnastych urodzinach Zuzanny, zabrał ją na Manhattan, zaprosił do rosyjskiej herbaciarni i zamówił dla niej chłodnik, omlet z czerwonym kawiozem i truskawki. Jej radość sprawiła mu niewysłowioną przyjemność.

- Ciesz się tym - powiedział, kiedy czekali na zamówione dania.

- Cieszę się - potwierdziła Zuzanna, rozglądając się po sali wykończonej czerwoną skórą, patrząc na różowe obrusy, lśniące samowary, na kwiaty, obrazy i przepiękne zegary. - Czy dzisiaj jest jakieś rosyjskie święto? - spytała, spoglądając na kolorowe ozdoby.

Hawke uśmiechnął się, rozbawiony.

- Tutaj świętują cały rok. Podoba ci się?

- Jest cudownie. Nigdy czegoś podobnego nie widziałam.

- Bo nigdzie nie istnieje nic podobnego do tego lokalu. Mówiąc, żebyś się tym cieszyła, miałem na myśli jedzenie. Od dzisiaj będziesz na ścisłej diecie.

- Nigdy nie przestrzegałam żadnej diety - powiedziała Zuzanna.

- To świetnie, bo od tej chwili, jeśli się zgodzisz, będziesz musiała bardzo uważać na swoją wagę.

- Na co mam się zgodzić? - spytała, zmieszana.

- Masz w sobie to, czego szukałem.

- Co takiego? - spieszyła się Zuzanna.

- To, czego mi potrzeba.

Zuzannę przeszedł przyjemny dreszczyk.

- Zanim jeszcze zaczęliśmy, powiedziałem Connie, że wydaje mi się, że masz w sobie coś niezwykłego.

- Mówisz o pozowaniu? - chciała wiedzieć Zuzanna. Hawke pokręcił głową.

- Pozowanie znaczy zarazem o wiele więcej i o wiele mniej od tego, co mam na myśli. Jak dużo wiesz o pozowaniu?

- Niewiele. Znam nazwiska najbardziej znanych modelek.

- Tych oglądanych na wybiegu i na zdjęciach? Prezentujących ubrania na pokazach i spoglądających na ciebie wielkimi oczami z okładek „Vogue'a” i „Harper's”? - Zuzanna przytaknęła. - Marzyłaś kiedyś o takiej pracy?

- Nigdy.

- Miliony dziewcząt na całym świecie o tym marzą.

- Ale nie ja - powiedziała zdecydowanym głosem.

- Mimo to pozowałaś mi przez kilka tygodni i miałem wrażenie, że robisz to z ochotą.

- To co innego. To nie było pozowanie.

- Ależ tak! O tym właśnie marzą dziewczęta. Sprzedałyby własną duszę, żeby tylko mieć szansę stanąć przed aparatem. Większość jednak odchodzi z kwitkiem. Te, które zostają, najczęściej zatrudniane są w katalogach, gdzie mają dobrą stałą pracę, mogą podróżować po świecie i zarobić dość pieniędzy, żeby prowadzić samodzielne życie.

- Nie podoba mi się to - odparła Zuzanna. Przyniesiono chłodnik, a także wódkę z lodem dla Hawke'a. Zapadło milczenie. Zuzanna myślała tylko o tym, że siedzi przy stoliku z najbardziej interesującym i najprzystojniejszym ze wszystkich gości. Hawke miał na sobie tę samą, doskonale skrojoną marynarkę z czarnego lnu, w której zobaczyła go po raz pierwszy. Prawie zawsze, kiedy byli razem, czuła wielką wewnętrzną siłę tego niezwykłego mężczyzny, kontrastującą z jego spokojnym, swobodnym stylem bycia. Pracując z nim, zauważyła, że jego humor potrafi się zmieniać bardzo szybko. W jednej chwili był swobodny, w następnej wymagający; czasem postępował z nią łagodnie i wyrozumiale, by nagle bez reszty skoncentrować

się na pracy, mnożąc wymagania. Kiedy Hawke poświęcał jej całą uwagę, Zuzanna czuła się kimś wyjątkowym i niezwykłym. Jednak w miejscach publicznych było inaczej. W eleganckiej nowojorskiej restauracji, mimo że miała na sobie nowy garnitur z białego lnu, kupiony w sklepiku przy First Avenue, czuła się zażenowana, jak naiwna, prosta dziewczyna.

Hawke odezwał się pierwszy.

- Pracowałem z wieloma pięknymi, zdolnymi kobietami - powiedział spokojnie - z których każda mogła pochwalić się czymś więcej niż tylko śliczną buzią. Nie myl modelek z laleczkami, Zuzanno. W tym zawodzie laleczki nie mają czego szukać. Najlepsze, co może je czekać, to praca w jakimś podrzędnym domu mody.

- Nie chciałam...

- Ależ tak - przerwał jej niecierpliwie. - Nie mam o to żalu. Większość ludzi nie wie, że modelki to inteligentne kobiety. - Na twarzy Zuzanny malowało się zażenowanie. - Moglibyśmy stworzyć razem doskonały zespół.

Zuzanna nic nie odpowiedziała.

- Wiem o tej pracy wszystko. Znam najlepszych agentów, właścicieli magazynów mody, projektantów, wizażystki i fryzjerki. Wszyscy oni chętnie ze mną pracują. Nie zawsze tak było. Nie brak dobrych fotografów. Mnie dopisało szczęście - uśmiechnął się. - Zresztą może jestem więcej niż tylko dobry.

- Connie twierdzi, że jesteś wspaniały - powiedziała cichym głosem Zuzanna.

- To miło z jej strony. Kilka tygodni temu szczęście znów się do mnie uśmiechnęło. Kiedy zobaczyłem cię na zdjęciach Connie, przeszedł mnie dreszcz.

Zuzanna poczuła, że się rumieni.

- Chciałbym, żebyś pracowała ze mną na zasadzie wyłączności - oświadczył.

- Co masz na myśli? - Nagle obudziła się w niej czujność.

- Nie bój się - uspokoił ją Hawke.

- Nie boję się - odparła, wiedząc, że to nieprawda.

- Chciałbym - mówił Hawke, pochylając się ku niej - nauczyć cię wszystkiego, co wiem o zawodzie modelki.

- Dlaczego właśnie mnie? - spytała speszona. - Jestem przeciętną dziewczyną. Nie jestem piękna. Tabbie wprawdzie twierdzi, że jestem ładna, ale to dlatego, że sama chciałaby być blondynką. Niczym specjalnym się nie wyróżniam. Jestem całkiem zwyczajna.
- Wszyscy jesteśmy zwyczajni - powiedział Hawke -i wyjątkowi zarazem. Każdy z nas postrzega bliźnich w niepowtarzalny sposób. Weź na przykład Connie i resztę rodziny... Założę się, że każde z was inaczej ją widzi.
- Oczywiście, że tak - zgodziła się Zuzanna. - Connie dla każdego z nas jest kimś innym: matką dla Tabbie, żoną dla Bryana...
- Chodzi mi o to, jak ją widzicie. O doznania wzrokowe.
- Hawke wygarnął resztę koperku i ogórka z wysokiej szklanki, w której podano chłodnik. - To, co jest w środku
- lekko dotknął skroni - wpływa na obraz zewnętrzny i decyduje o wrażeniu, jakie robimy. Jesteś śliczną dziewczyną, Zuzanno, są jednak setki, a może nawet tysiące równie pięknych. Ale w twoich oczach, w nadzwyczajnych ustach, w każdym twoim geście i kroku, uśmiechu i słowie jest coś niepowtarzalnego. - Hawke wbił w Zuzannę uparte spojrzenie. - Mówię o tym, jakie robisz wrażenie i jaki wywierasz wpływ na mnie osobiście. Inni ludzie mogą rozumieć, że jesteś wyjątkowa, ale tylko ja - poprzez swego rodzaju magię - mogę przekazać moje przeświadczenie całemu światu.
- Przez zdjęcia. - Zuzanna poprawiła się na krześle. Chłonęła wszystkie szczegóły tej niezwyklej sytuacji. - Ty rzeczywiście wierzysz, że mogłabym być modelką. - Była zdziwiona i miała wrażenie, że kręci się jej w głowie.
- Moją modelką - powiedział spokojnie Hawke. - To właśnie ci proponuję. - Dostrzegł w fiołkowych oczach Zuzanny cień podejrzliwości. - Nauczę cię wszystkiego, co sam potrafię. Zrobię z ciebie doskonałą, profesjonalną modelkę. W zamian obiecasz mi, że dopóki będziesz pracowała ze mną, nie zgodzisz się na współpracę z żadnym innym fotografem.
- Zrobisz ze mnie doskonałą modelkę? - powtórzyła cicho.

- Bez wątpienia - przytaknął Hawke, pochylając się nad stolikiem. - Masz w sobie coś, Zuzanno... Coś, czego zwykle nie widuje się na twarzach młodych kobiet. Masz wszystkie przymioty młodości, takie jak gładka, promienna cera, pełne usta i lśniące oczy. Starsze kobiety mogą to tylko próbować naśladować - mówił, przyglądając się jej uważnie. - Ale masz też coś jeszcze. Coś w głębi oczu...

Zuzanna milczała. Kelner zabrał naczynia po chłodniku i napełnił kieliszki winem. Od Fifty-Seventh Street nadeszła grupka gości, wśród których Zuzanna zauważyła aktorkę często występującą w telewizji. Nie mogła sobie przypomnieć jej nazwiska. Sława... Pełna trudnych do zdefiniowania uczuć pomyślała, że Hawke oferuje jej, między innymi, sławę. Trudno było w to uwierzyć, ale rzeczywiście siedziała w tym cudownym miejscu, z bardzo znanym mężczyzną.

Po chwili Hawke powiedział:

- Nie potrafię cię zrozumieć, Zuzanno.

- Co masz na myśli?

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Jej zdziwienie wyglądało na szczere, nie był jednak pewien, czy nagły błysk w jej oku - tak przelotny, że ktoś mniej nawykły do zwracania uwagi na najdrobniejsze zmiany wyrazu twarzy wcale by go nie zauważył - był wyrazem zażenowania czy obawy. Wiedział jednak z pewnością, że Zuzanna - celowo lub nieświadomie - ukrywa coś przed nim.

- Jesteś bardzo tajemnicza - wyznał w końcu.

- Bynajmniej - zaprzeczyła i zaczerwieniła się.

- Jesteś na tyle tajemnicza, że dla ciebie zostawię Tiegs i Hansen, Lisę Taylor, a nawet Lauren Hutton, którą uważam za najbardziej urocze stworzenie na ziemi. Nasza umowa będzie obowiązująca dla nas obojga. Ty będziesz korzystała tylko z jednego fotografa, a ja będę pracował tylko z jedną modelką.

Przyniesiono omlety z czerwonym kawiolem, polane kwaśną śmietaną. Rozmowa urwała się. Przed chwilą Zuzanna myślała, że nie da rady zjeść ani kęsa więcej, ale teraz poczuła się głodna. Może - pomyślała - jest to przejaw rosnącego apetytu na życie, które proponuje mi Hawke.



- Nie wiem, czy chciałabym się zmienić - powiedziała, kiedy skończyła już omlet. - Wolałabym, żeby nie zrobiono ze mnie kogoś, kim nie jestem. Hawke pokręcił głową.
- Nie jestem Pigmalionem. Nie musisz się mnie bać. Wcale nie chcę cię zmieniać. Chciałbym cię tylko otworzyć. Uzewnętrznić to, co w tobie najlepsze.
- Nie wiem, czy chcę być sławna - powiedziała po krótkim namyśle.
- A czego chcesz?
- Chcę być szczęśliwa - odparła bez wahania. - Chcę być z rodziną, z Van Dusenami. Z siostrą - dodała.
- Opowiedz mi o Abigail.
- Abigail... - Hawke spostrzegł, że Zuzanna rozpromieniła się cała, jakby w jej wnętrzu nagle weszło słońce. - Abigail jest najdoskonalszym elementem mojego życia - oświadczyła.
- Chciałbym ją poznać. Zuzanna uśmiechnęła się.
- Sądzę, że ona też by tego chciała. Hawke czekał chwilę, ale Zuzanna milczała.
- Mam wrażenie, że Connie i Bryan są dobrymi ludźmi - powiedział w końcu.
- Są bardzo dobrzy. Okazali wiele serca mnie i Abigail.
- Wiem, że jesteś ich przybraną córką... Zastanawiam się, czy są dobrze sytuowani.
- Przed naszym przybyciem nie opływali w dostatek. A nigdy nawet o tym nie wspomnieli. Do dzisiaj milczą na ten temat.
- Przydałoby im się trochę grosza? - spytał ostrożnie Hawke.
- Oczywiście.
- Supermodelki zarabiają mnóstwo pieniędzy. Zuzanna zaśmiała się.
- Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz. Ja supermodelką? Hawke wzruszył ramionami.
- No cóż, w tych sprawach trudno coś przewidzieć. Być może nie odniesiesz prawdziwego sukcesu. Ograniczenie

się do współpracy wyłącznie ze mną może ci zaszkodzić. Pracując z różnymi fotografami, mogłabyś się więcej nauczyć.

- Nie chcę pracować z innymi fotografami - powiedziała Zuzanna.

- A ze mną? - spytał Hawke.

- Sama nie wiem.

Kelner ponownie napełnił kieliszki. Od sąsiedniego stolika wstała jakaś para: siwy mężczyzna z ciemnowłosą córką. Dziewczyna uniosła prawą dłoń i pieszczotliwie pogłaskała starszego pana po szyi. Nie, ona nie jest jego córką - pomyślała Zuzanna.

- Zastanów się nad tym - nalegał Hawke. - Porozmawiaj z Connie i Bryanem. Powinnaś też odbyć rozmowę z agentem.

-Tak?

Zuzanna odwróciła spojrzenie od wychodzącej pary. Słowo „agent” brzmiało praktycznie i solidnie, w przeciwieństwie do „supermodelki”.

- Jak najbardziej. Może nawet z prawnikiem. Chociaż w tej sytuacji agent powinien ci wystarczyć. Mógłbym ci kogoś polecić, ale może Connie wolałaby sama wybrać. Nie chcę cię przejąć na własność. Mówimy o poważnych interesach.

Zuzanna spojrzała w przenikliwe, bystre szare oczy.

- Naprawdę?

- Jakżeby inaczej?

- Mój świat zaczął się rozrastać - opowiadała Pete'owi. -Do tego czasu nie sądziłam, że może istnieć coś lepszego, bardziej satysfakcjonującego od tego, co już miałam, od domu i rodziny. Uważałam, że nie ma nic ważniejszego od tego i od opiekowania się młodszą siostrą. Do dzisiaj tak myślę. Hawke pokazał mi jednak, że mnie samej życie może oferować coś więcej. Otworzył mi drzwi.

- Wypuścił cię - powiedział Pete. Zuzanna pokręciła głową.

- Nie. Wpuścił mnie do swojego świata - uśmiechnęła się smutno. - Do świata Hawke'a.

Otwierał drzwi łagodnie, uważnie, szerzej niż w najśmielszych marzeniach Zuzanny. Latem 1980 roku, kiedy Zuzanna spędzała soboty i niedziele w Cohasset, a w tygodniu mieszkała u przyjaciółki Connie w Queens, Hawke spełnił wszystkie swoje obietnice. Chronił ją pod skrzydłami swojego doświadczenia i umiejętności, ucząc wszystkiego, co sam umiał: technik i sztuczek, o których modelki zwykle dowiadują się w szkołach albo uczą boleśnie na własnej skórze. Zapoznał ją z garstką starannie wybranych ludzi. Tally de Kooning, projektantka, dawniej krawcowa w teatrze, oprowadzała Zuzannę po Nowym Jorku, pokazując jej ubrania - prawdziwe ubrania - pouczając, jak z byle czego zrobić coś wartościowego, jak się zmieniać w mgnieniu oka, skąd wiedzieć, kiedy trzeba krzyczeć, a kiedy milczeć. Angie Lopez, fryzjerka i prawdziwa artystka sztuki makijażu, odkryła przed Zuzanną tajemnice odnalezienia w jej twarzy tysięcy nowych oraz osiągania i podkreślania pożądanego nastroju. Lulu Fiedlander, trenerka i utalentowana tancerka, nauczyła ją poruszania się, oddychania, posuwistego kroku używanego na wybiegu, obracania się tak, by nie dostać zawrotu głowy, i nagłego zamierania w sekundowym bezruchu. Hawke prosił je, żeby nikomu nie mówiły o Zuzannie, ponieważ chciał do ostatniej chwili zachować wszystko w tajemnicy. Tally, Angie i Lulu uwielbiały go

1 uważały za geniusza, dlatego zgodziły się milczeć.

- Robię to z czysto egoistycznych pobudek - mówił, ilekroć Zuzanna próbowała mu dziękować. - Uczę cię wszystkiego po swojemu - udawał groźnego - żeby tym pewniej przykuć cię do siebie.

Oboje zgodzili się stworzyć jeden zespół, na dobre i na złe. Im więcej Zuzanna umiała, tym lepiej rozumiała, jak wiele udreki oszczędził jej Hawke. Nie musiała harować dniem i nocą, przeżywać lęku, znosić tysięcy upokorzeń, żeby dostać się do w miarę porządnej agencji. Nie musiała uczestniczyć w konkursach i sesjach, mozolnie wspinać się do góry ani doświadczać chamskiego traktowania niezbyt utalentowanych ludzi, dla których nie była warta nawet złamanego grosza. Hawke trzymał Zuzannę z dala od dużych nowojorskich agencji, a Connie, mając zaufanie do

niego i do jego doświadczenia, dała mu wolną rękę. Marantz Agency zajmowała się Hawkiem od jego początków na Manhattanie. Teraz Andrea Marantz zobowiązała się do reprezentowania interesów młodej kobiety, która - od samego początku było to dla Andrei jasne - nigdy nie wybrałaby kariery modelki, gdyby nie Hawke. Andrea widziała w swoim życiu wiele dziewcząt gotowych płacić za sukces dosłownie każdą cenę. Bez zastanowienia decydowały się na operacje plastyczne, godzinami cierpiały na fotelach dentystycznych i były skłonne zapłacić każdemu szarlatanowi, który obiecałby wydłużyć je o ten jeden brakujący centymetr, byle osiągnąć niezbędne sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Zuzanna mierzyła sto siedemdziesiąt siedem centymetrów, wyglądała - jak opisywała ją swoim kolegom Andrea - niczym świeży owoc prosto z drzewa i - co najważniejsze - była ulubienicą obiektywu. Kiedy fotografowała ją Connie, traktowała ją jak członka rodziny i niczego od niej nie wymagała. Z Hawkiem, który bez końca przyglądał się jej przez obiektyw, było całkiem inaczej. Nie zawsze był cierpliwy, ale starał się obchodzić z nią łagodnie. Jeśli nawet nie potrafił być łagodny, to nigdy nie bywał niegrzeczny. Hawke przekonywał samego siebie, że sesje z Zuzanną są przyjemne, ponieważ modelka jest inteligentna, naturalna i chętna do pracy. Rzeczywiście tak było. Zuzanna wmawiała sobie, że łatwość, z jaką Hawke budzi w niej uczucia prawie tak piękne, jak zdjęcia, które robi, i z jaką mobilizuje ją do zachowań nie mających nic wspólnego z prawdziwą Zuzanną Van Dusen, bierze się z jego wielkiego doświadczenia i talentu. Bo też rzeczywiście tak było. Jednakże czynnikiem leżącym u podłoża ich współpracy i ogarniającym ją w każdym aspekcie było wzajemne zauroczenie, ale żadne z nich nie chciało tego przyznać. I Hawke, i Zuzanna - choć każde z zupełnie innego powodu - byli przeświadczeni, że jest to niestosowne. Dlatego też ignorowali swoje uczucia.

Lato dobiegło końca. Hawke odesłał Zuzannę do domu. Była szczęśliwa, że tu wróciła. Cudownie było znów zna-

*leżć* się w towarzystwie Abigail, Connie, Bryana i Tabbie.

Cotygodniowe odwiedziny były czymś innym niż życie z nimi pod jednym dachem dzień po dniu. Zuzanna zauważyła, że Abigail znacznie urosła i w ciągu tych dwóch miesięcy bardzo się zmieniła. Na świecie - myślała - jest wiele spraw ważniejszych od pozowania; tak naprawdę, większość spraw jest od tego ważniejsza. W głębi serca przyznawała jednak, że moment, w którym Hawke kazał jej wracać do domu, należał do najbardziej bolesnych w jej młodym życiu.

- Dlaczego mam wracać? - spytała.

- Nie ma powodu, żebyś tu zostawała - odparł.

- Jak to? Przecież ciągle się uczę. Mówiłeś, że nigdy nie przestanę się uczyć.

- To prawda, ale kurs przygotowawczy dobiegł końca.

- Nie rozumiem, dlaczego odsyłasz mnie do domu. Dlaczego nie zaczniemy pracować? Przecież mi obiecywałeś. - Była bliska łez.

- Jeszcze nie jesteśmy gotowi.

- Oblałam.

- Nic takiego nie mówiłem.

- Skończyłam kurs, ale nie jestem gotowa do podjęcia pracy. To oczywiste, że oblałam.

- Możesz mi wierzyć, Zuzanno - powiedział Hawke, uśmiechając się - że nie oblałaś, ale jeszcze nie jesteś gotowa. Nie nadszedł właściwy moment. Byłaś cudowna i nadal jesteś...

- A kiedy nadejdzie właściwy moment? - chciała wiedzieć.

- Za miesiąc lub dwa.

- Wykręcasz się sianem.

- Jesteś natarczywa. Zuzanna zarumieniła się.

- Przepraszam.

- Nie musisz przeproszać. Właśnie dowiodłaś, że jesteś już prawie gotowa.

- Jak to?

- W czerwcu nie paliłaś się do pracy, a dwa miesiące później nie możesz się doczekać, kiedy zaczniemy.

- Czy to znaczy, że mogę zostać? - spytała z nadzieją.
  - Nie - odparł Hawke.
  - Oblałam - oznajmiła Tabicie wieczorem, w jej pokoju, zaraz po powrocie do domu.
  - Hawke tak powiedział? - zmartwiła się Tabita. - Nie mogę w to uwierzyć. Jesteś taka śliczna!
  - Mówi, że nie oblałam, ale ja mu nie wierzę.
- Zuzanna rozglądała się bezradnie po pokoju Tabity, zawieszonym zdjęciami jej idola Stinga. Zawsze lubiła towarzystwo Tabity, tak jej bliskiej jak rodzona siostra, ale tego wieczoru, po gwarnym Nowym Jorku i podniecających przeżyciach w świecie Hawke'a, to, co przedtem było normalne i dawało poczucie bezpieczeństwa, teraz wydawało się nudne.
- Dlaczego mu nie wierzysz? - spytała Tabita.
  - Twierdzi, że jeszcze nie nadszedł właściwy moment. Mówi, że modelki pozujące do zdjęć mają przerwę, ale nie wiem, co to może znaczyć.
  - Na pewno ma rację.
  - Ty zawsze uważasz, że Hawke ma rację.
  - Nie, nie zawsze.
  - Ależ tak - przekomarzała się Zuzanna. - Wpadł ci w oko.
  - Jasne, że wpadł - uśmiechnęła się Tabita. — W życiu nie widziałam tak niezwykłego faceta. Ty też za nim szalejesz.
  - Nie.
  - Ależ tak. Wiem o tym. Mama i tata też wiedzą. Nawet Abigail wie.
  - Abigail ma dopiero cztery latka - powiedziała Zuzanna surowo. - Czasem wygadujesz głupoty.
- Zdenerwowana, wstała z łóżka i zaczęła chodzić po pokoju, dotykając zasłon, pluszowych misiów ustawionych na toaletce i spoglądając na zdobiące ścianę zdjęcia; na niektórych widniała Zuzanna z Abigail. Tabita wzruszyła ramionami.
- No dobrze, może nie Abigail, ale ja wiem, że jesteś zakochana w Hawke'u, i mogę się założyć o twoje ulubione spodnie, że on też się w tobie podkochuje.

- Nie wejdiesz w moje spodnie.
- Nie bądź uszczypliwa.
- A ty nie wygaduj głupstw o mnie i o Hawke'u.
- A więc jednak o tobie i o Hawke'u - triumfowała Tabita.
- Oczywiście, że tak. Pracowaliśmy razem całe lato.
- Założę się, że będziesz za nim tęskniła.

Zuzanna znów usiadła obok przybranej siostry. Nietypowe dla niej rozdrażnienie szybko minęło. Czowała się zmęczona i smutna.

- Będę za nim tęskniła - przyznała. - Za nim i za innymi rzeczami.
- Nie cieszysz się, że wróciłaś do domu? - spytała Tabi-ta, patrząc na nią przenikliwie.
- Oczywiście - uśmiechnęła się Zuzanna. Nagle zrozumiała, jak bardzo kocha tę rodzinę. - Bardzo się cieszę. Zawsze, ilekroć dobrze się bawiłam tam, w Nowym Jorku, myślałam o tym, że przyjemnie byłoby mieć was przy sobie.

- Naprawdę?
- Tak. Nie mogę się nadziwić, jak bardzo zmieniła się Abigail.
- Przecież widywałaś ją co kilka dni.
- To nie to samo. Kiedy człowiek jest bez przerwy w ruchu, nieco inaczej patrzy na otoczenie. W Nowym Jorku, z Hawkiem, było cudownie. Poznawałam ciekawych ludzi, bywałam w niezwykłych miejscach i przez cały czas udawałam, że mogę być modelką, ale nigdzie nie czułam się tak jak w domu. Kiedy wracałam tutaj, wy byliście tacy sami, dom wyglądał tak samo, ale dla mnie to już nie było to samo.

Tabita pogładziła jej dłoń.

- Chyba rzeczywiście się cieszysz, że wróciłaś.
- Jasne, że się cieszę. - Zuzanna mocno ścisnęła rękę Tabity.

Czteroletnia Abigail była uroczym dzieckiem, podobnym do Zuzanny we wszystkim, z wyjątkiem wielkich ciemnych oczu, które odziedziczyła po Mateuszu Bodinie. Każdy, kto się z nią stykał, ulegał jej urokowi.

Dziewczynka stawała się

coraz bardziej świadoma swojej władzy nad dorosłymi. Jeśli nie będą się pilnowali - ostrzegęła czasem Connie - mogą rozpieścić dziecko, a tego by nie chcieli. Życie w domu Van Dusenów było przyjemne, ale nie wolne od obowiązków. Każdy musiał nieść swój ciężar, wykonywać to, co do niego należy, i okazywać domownikom szacunek. Czteroletnie dziecko wprawdzie niewiele mogło pomóc w domu, ale też nikt nie zamierzał tolerować napadów złego humoru, gdyż każdego - nawet najmłodszego - domownika traktowano tak samo. Abigail Van Dusen, śliczna i ciesząca się powszechnym zainteresowaniem członków rodziny, rzadko bywała niegrzeczna, prawie nigdy nie wpadała w złość i zwykle była nastawiona do świata bardzo przyjaźnie.

Zuzanna uwielbiała młodszą siostrzyczkę. Van Dusenowie od początku to zauważyli. Po ucieczce Bodine'a z Cohasset stało się dla nich jasne, że Zuzanna zachowuje się wobec Abigail jak lwica strzegąca najukochańszego kociaka. Connie czasem rozmawiała z Bryanem o wielkim oddaniu Zuzanny. Sama przeżyła ze swoją siostrą niejedną ciężką chwilę, dopóki obie nie dorosły. Wcześniej dziecięca rywalizacja często brała górę nad miłością. Bryan twierdził, że w przypadku Zuzanny i Abigail jest inaczej, ponieważ dzieli je duża różnica wieku i nie mają rodziców. Zuzanna chciała być dla Abigail matką, ojcem, siostrą i przyjaciółką.

- Mimo to chętnie zgodziła się spędzić lato poza domem - powiedziała Connie pewnego wieczoru, gdy, leżąc już w łóżku, rozmawiała z mężem o siostrach. - Byłam zdziwiona, że na to przystała.

- Nie zgodziłaby się - odparł Bryan - gdyby ją pytano o zdanie.

- Przecież wiesz, że podczas pobytu w Nowym Jorku wyrobiła sobie paszport na wypadek, gdyby Hawke chciał zabrać ją w podróż. Musiała prosić o odpis aktu urodzenia. On naprawdę ma na nią wielki wpływ.

- To niezwykley człowiek.

Connie wsunęła jedną rękę pod kołdrę i przesuwiała palcami po swoim prawym udzie, koncentrując uwagę na tym, co wyczuwała pod palcami. Lubiła to robić przed zaśnięciem, żeby nie tracić kontaktu z pozbawioną życia, sparali-



zowaną częścią swego ciała. Bryan, rozumiejąc jej uczucia, chwalił jej zgrabne nogi równie często jak dawniej, a latem malował jej paznokcie u stóp.

- Ciekawa jestem, co będzie, kiedy Hawke zadzwoni -powiedziała Connie.

- Myślisz, że zadzwoni?

- Jestem tego pewna.

- A jeśli zmienił zdanie? Co z oczu, to z myśli.

- Możliwe, ale nie sądzę, żeby tak było.

- Nie podoba mi się, że jest tak uzależniona od obcego człowieka, od jednego telefonu. - Bryan martwił się o przyszłość Zuzanny. - Miałem nadzieję, że skoro już raz zostawiła nam opiekę nad Abigail, wróci do szkoły.

- Hawke nie jest dla nas całkiem obcy, a Zuzanna dopiero co przyjechała do domu. - Connie położyła dłoń na udzie Bryana. Poczowała, że pod dotykiem jej palców napięte mięśnie rozluźniły się. Przypomniała sobie, jak było wspaniale, kiedy i ona mogła podobnie reagować na dotyk męża.

- Jeśli nic nie wyjdzie z tego pozowania, będziemy mieli dość czasu, żeby pomyśleć o szkole. Chociaż Zuzanna nigdy nie miała pod tym względem dużych ambicji.

Bryan zamknął oczy, rozkoszując się dotykiem żony.

- Mateusz Bodine nie zaszczepił w niej żądzy wiedzy. Całe życie przeprowadzali się z miejsca na miejsce.

- Szkoda. To bardzo inteligentna dziewczyna.

- Mam wrażenie, że chciałyby czegoś lepszego dla Abigail.

- Uchyliłyby jej nieba - powiedziała Connie.

Zuzanna szybko przyzwyczała się do spokojnego życia w domu, a o dniach spędzonych z Hawkiem zaczęła myśleć jak o śnie czy marzeniu.

Dopóki nie zadzwonił telefon. Było to we wtorek, w trzecim tygodniu października. Z wyjątkiem Abigail, cała rodzina oglądała film w pokoju telewizyjnym i zajadała popcorn; Tabita podkarmiła Baskina, chociaż z pewnością nie służyło to jego zdrowiu. Bryan podniósł się, żeby odebrać telefon. Po chwili zawołał Zuzannę, nie mówiąc jej, kto dzwoni.

- Co byś powiedziała na pięć stron w „Vogue'u” w stro-

jach Kamali? - spytał głęboki, czysty głos z brytyjskim akcentem.

- Hawke! - Zuzannie serce mało nie wyskoczyło z piersi.
- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie.
- Mówisz poważnie?
- W tych sprawach nigdy nie żartuję.
- Ale „Vogue”... Niemożliwe.
- A czego się spodziewałaś? Że poszukam ci zamówienia w lokalnej gazecie wychodzącej w Cohasset?
- Nie mamy takiej gazety - powiedziała Zuzanna.
- Chcesz czy nie?
- Hawke, nie mogę.
- Dlaczego?

Zuzannie kręciło się w głowie.

- Nie mogę do „Vogue'a”... Nic jeszcze nie zrobiłam.
- Ależ zrobiłaś.
- Ale to nie było poważne... profesjonalne.
- Za kogo mnie masz? - w głosie Hawke'a dało się słyszeć zniecierpliwienie. - Daj spokój, Zuzanno, nie udawaj mimozy. Poradzisz sobie, jeśli tylko zechcesz, decyzja należy do ciebie. To odpowiedzialne zadanie, mogę cię jednak zapewnić, że będziemy się przy tym nieźle bawili.
- Stroje Normy Kamali są takie cudowne... Mogłabym coś zepsuć.
- Na tobie będą wyglądały lepiej niż na innych modelkach - głos Hawke'a znów był pełen ciepła. - Co mogłoby się stać? Najwyżej ci się nie powiedzie i nikt cię więcej nie zechce zatrudnić. To nie oznacza końca świata. Przeżyjesz to. Ja zresztą też.

Zuzanna tak mocno ścisnęła słuchawkę, że pobiegały jej kostki u rąk.

- Kiedy?
- Przyjedziesz do Nowego Jorku jutro, a w czwartek polecimy do Paryża.
- Do Paryża?
- Tam mamy robić zdjęcia.

Zuzanna podniosła wzrok i zobaczyła, że Connie wyjechała na wózku na korytarz, a za nią stoją Bryan, Tabita i Baskin.

- Hawke chce, żebym pojechała do Paryża - wyjaśniła im drżącym głosem.
- Cudownie! - ucieszyła się Tabita.
- Po co? - spytała Connie.
- Robić zdjęcia dla „Vogue'a” - odparła Zuzanna. - Pięć stron ze strojami Normy Kamali.
- Dlaczego masz lecieć aż do Paryża? - chciał wiedzieć Bryan.
- Nie wiem. Tam mają robić zdjęcia.
- Pozwól, że z nim porozmawiam - poprosił Bryan.
- Ja to zrobię - powiedziała Connie.
- Connie chce z tobą rozmawiać - wyjaśniła Hawke'owi Zuzanna i oddała słuchawkę.
- Ktoś musi z nią pojechać - powiedziała surowym głosem Connie. Potem zamilkła, słuchając odpowiedzi. - Wiem, jest rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty i Zuzanna ma osiemnaście lat, ale mimo to ktoś musi z nią jechać. - Znów przez chwilę słuchała. - Ty się nie liczysz. - Słuchając wyjaśnień Hawke'a, uśmiechała się. - Chciałabym, ale mogłabym stać się dla wszystkich zawadą, a Bryan nie może jechać.
- Ja mogę - zaproponowała Tabita, ale nikt nawet na nią nie spojrzał.
- Porozmawiam z Andream Marantz jutro, z samego rana.
- On chce, żebym jutro już była w Nowym Jorku - wtrąciła Zuzanna.
- Będzie trudno - powiedziała Connie i znów przez chwilę słuchała Hawke'a. - On pyta, czy masz na to ochotę, Zuzanno.
- Oczywiście, że ma - odparła Tabita, zarumieniona z podniecenia. - Zrobiłabym wszystko, żeby znaleźć się na jej miejscu.
- Cicho, Tabbie - przerwał jej Bryan. - Zuzanno? Zuzanna kiwnęła głową.
- Chcę... Proszę - powiedziała.
- Prosi, żebyśmy ją puścili - powtórzyła Connie do telefonu. - Hawke mówi, że w takim razie coś wymyślimy - stwierdziła, odkładając słuchawkę. - Wygląda na to, że zostaniesz modelką, skarbie. - Connie promieniała radością. - Trudno w to uwierzyć.

- Sama nie wiem - zastanowiła się Zuzanna. - Ja w to nie wierzę.
- Powinnaś się już położyć - zauważyła Connie.
- Nie będę mogła zasnąć.
- Musisz - rozkazała Tabita - bo inaczej będziesz miała sińce pod oczami i „Vogue” z ciebie zrezygnuje.
- Jesteś zadowolona? - Bryan wciąż był zatroskany. - Jeśli nie masz pewności, nie musisz się zgadzać. Nie ma pośpiechu.
- Jeśli nie przyjmę tej pracy, znajdą sobie kogoś innego.
- To nie oznacza końca świata, skarbie.
- To samo powiedział Hawke. - Zuzanna nadal nie mogła w to wszystko uwierzyć. - Powiedział, że jeśli mi się nie powiedzie, świat się na tym nie skończy i wszyscy to jakoś przeżyją.
- Mądry człowiek - pochwalił go Bryan.
- Mogę się pakować? - spytała Zuzanna. - Co powinnam ze sobą zabrać?
- Pomogę ci - zaproponowała Tabita.
- Ty możesz pójść z Baskinem na spacer - powiedziała Connie. - Ja pomogę Zuzannie w pakowaniu.
- Przecież mówiłaś, że będziesz jeszcze musiała zadzwonić do agencji - przypomniała Zuzanna.
- Zadzwonię. Wszystko się jakoś ułoży.
- Jesteś pewna?
- Nie chcesz, żebyśmy wyrazili zgodę na twój wyjazd? - spytał Bryan. Zuzanna pokręciła głową.
- W takim razie, jestem pewna - stwierdziła Connie.

## *Rozdział 8*

W końcu pojechaliśmy do Paryża tylko we dwoje. Andrea Marantz przekonała Connie, obiecując, że na miejscu zajmie się mną zaufana pracownica agencji, która dopilnuje, żeby nie stała mi się żadna krzywda, żebym noce spędzała sama we własnym pokoju i tak dalej. Rzeczywiście się mną zajęła, choć rolę przyzwoitki postanowiła zlecić komuś innemu. Ponieważ ja miałam już osiemnaście lat, a Hawke cieszył się jej pełnym zaufaniem, uznała, że postąpi odpowiedzialnie zostawiając mnie w jego rękach.

- Jak ci się powiodło? Chociaż może nie powinienem  
o to pytać?

- Nadzwyczajnie. Od początku do końca. Najpierw byłam nieco spanikowana, gdyż pracowałam z samymi fachowcami, doskonale się znającymi na swoim rzemiośle. To było straszne. Ale za wszystko odpowiadał Hawke, a w pracy Hawke jest cudowny, prawdziwy geniusz. Przy nim czułam się bezpieczna. Wiedziałam już, że sobie poradzę. i rzeczywiście poszło mi bardzo dobrze.

- A po pracy? Jak było?

- Nic nie było. Żadnej dwuznacznej uwagi, dotknięcia czy spojrzenia. Kilka razy wyszliśmy razem na kolację. Wiesz, jaki jest Paryż. Dziewczyna czuje się zakochana, nawet jeśli idzie ulicą całkiem sama.

- Ale między wami nic się nie wydarzyło?

- Nic. Ani w Paryżu, ani w Mediolanie, ani w Los Angeles. Nigdzie, gdzie byliśmy w tamtym roku.

- Kiedy więc nastąpiła zmiana?

- W Londynie - powiedziała Zuzanna.

Po pierwszej pracy dla „Vogue'a” posypały się propozycje. O podpisywanych przez Hawke'a i Van Dusen umowach wiele się w nowojorskim świecie mody mówiło. Wiosną 1981 roku Hawke i Zuzanna byli najmodniejszym zespołem w swojej branży. Andrea Marantz często przypominała Zuzannie o przysługujących jej prawach i głośno zastanawiała się, czy dziewczyna mądrze robi pracując wyłącznie z Hawkiem, podczas gdy inni znani fotografowie również się nią interesowali.

- Na miłość boską, do kreacji Calvina Kleina mogłabym wziąć Arthura Elgorta - powiedziała. - Możliwe, że udałoby mi się namówić nawet Helmuta Newtona, gdybym wystarczająco mu się podlizwała.

- Ale ja nie chcę pracować z nikim innym - stale powtarzała Zuzanna.

- Rozumiem, że jesteś wdzięczna Hawke'owi, musisz jednak myśleć o przyszłości, sięgać wzrokiem jak najdalej. Ja też uwielbiam Hawke'a i wiem, że jest jednym z najlepszych w swoim fachu, ale przecież przyjdzie taki dzień, że zechce zająć się czymś innym. Nie chciałabym, żebyś się znalazła na lodzie.

- Zastanowię się nad tym, kiedy przyjdzie czas.

- Jestem twoją agentką i martwię się tym już teraz. Wolałabym zrobić wszystko co możliwe, żeby do tego nie dopuścić.

- Wiem i jestem ci za to wdzięczna, ale...

- Za często czujesz się zobowiązana do uczucia wdzięczności, Zuzanno - skarciła ją Andrea. - Masz zadatki na gwiazdę, a wiążesz się z jednym człowiekiem jak z mężem.

- Między nami nic takiego nie ma - sprostowała Zuzanna.

- A mnie wyrósł kaktus na dłoni - ironizowała Andrea.

W czasie kiedy na biurko Andrei Marantz przynoszono wciąż nowe propozycje pracy dla Hawke'a i Van Dusen, jedynym powodem do zmartwienia był fakt, że Abigail pod-

rasta, a Zuzanna nie może na co dzień obserwować jej rozwoju. Hawke zawsze, kiedy to było możliwe, pozwalał jej na krótki pobyt w Cohasset. Connie i inni domownicy przysyłali jej zdjęcia i filmy wideo z małą, a sama Abigail wykonywała własnoręcznie rysunki dla starszej siostry, którą uwielbiała i za którą tęskniła. Zuzannie to jednak nie wystarczało. Zamówień było coraz więcej. Zuzanna dostała nawet propozycję zagrania w filmie Polańskiego, ale była nieugięta. Nigdy nie myślała, że będzie tak dużo zarabiała. Hawke i Andrea zapewniali ją, że to dopiero, początek, że dwa zdjęcia umieszczone na okładkach „Vogue'a” przyniosły wprawdzie jakiś dochód, ale dzięki nim zdobyła również sławę, za którą przyjdzie większa gotówka. Każdy zarobiony przez Zuzannę dolar szedł do banku w Cohasset na konto, które - przy tym upierała się stanowczo - było kontem otwartym dla całej rodziny. Bryan nie chciał przyjąć od niej pieniędzy, ale Connie rozumiała, że oprócz uwielbienia dla Hawke'a jedynym powodem, dla którego Zuzanna zdecydowała się podjąć pracę modelki, była chęć wsparcia rodzinnych finansów. Po pewnym czasie Bryan również to zrozumiał. Dzięki zarobkom Zuzanny Abigail otrzymała dobre wykształcenie, a Lucy Battaglia, pomocnica Connie, będzie mogła zostać w domu Van Dusenów na dłużej.

Praca bardzo się Zuzannie podobała, chociaż czasem bywała wyczerpująca. Towarzystwo Hawke'a było dla młodej kobiety wystarczającą nagrodą. Nigdy się nie wymądrzał i niczego nie robił bez jej wiedzy. Z Hawkiem u boku Zuzanna lubiła wszystko: ubrania; miejsca, do których podróżowali; dziwne okolice i nie mniej dziwne sytuacje, w jakich się czasem znajdowali; ludzi, z którymi się stykali - drażliwych, mało zdolnych, władczych, bliskich załamania; humorystyczne (choć czasem trudne do zniesienia) nieprzewidziane wypadki, które groziły przerwaniem zdjęć: awarie sprzętu, nagłe napady wściekłości, pęknięte szwy, źle dopasowane ubrania, strajki pracowników (częste w Europie) rozbijające jedność w zespole (raz z tego powodu odwołano zdjęcia). Gdyby nie było przy niej Hawke'a, Zuzanna wiele razy uciekłaby od tego wszystkiego, by schronić

się w Cohasset. Ale przecież bez Hawke'a nigdy nie zdecydowałyby się zostać modelką.

Pod koniec czerwca 1983 roku byli w Londynie. Mieszkali u Ritza, w sąsiadujących ze sobą pokojach w stylu *belle époque* z oknami wychodzącymi na Green Park. W ciągu dnia mieli sesje zdjęciowe dla Ralpa Laurena i „Vogue” w Wimbledonie, a wieczorami odwiedzali teatry, Covent Garden i ulubione restauracje Hawke'a. Nie bywali w nocnych klubach z obawy, że nazajutrz Zuzanna mogłaby mieć podkrążone oczy i Angie Lopez musiałaby zastosować swoje sztuczki. A jednym z powodów, dla których Hawke'owi i Laurenowi podobała się twarz Zuzanny, był fakt, że nie trzeba było na niej nic ukrywać za pomocą makijażu.

Siódmego dnia fotografowali Zuzannę - ubraną w białą lnianą bluzkę i długą obfitą spódnicę - jedzącą truskawki z bitą śmietaną w klubie Ali England. Praca w rodzinnym kraju sprawiała Hawke'owi tyle przyjemności, że był w lepszym niż zwykle nastroju i okazywał wiele cierpliwości Zuzannie, cierpiącej na katar sienny, co w Stanach Zjednoczonych nigdy się jej nie zdarzało.

- Dobrze, ślicznotko. A teraz wstań - zawołał do niej, zmieniając film w pentaxie. - Oprzyj się o bufet i spoglądaj na świat z dystansem, rozmyślając o truskawkach.

- Mam je jeść?

- Nie. Myśl o tym, jakie są smaczne. Niech ktoś przyniesie świeże truskawki i nałóż na nie odrobinę śmietany. Nie za dużo. Źle, sam to zrobię.

Zuzanna kichnęła.

- Na zdrowie. Angie, zrób coś z jej nosem. Potrzeba więcej chusteczek. Jak się czujesz, ślicznotko?

- Dobrze. - Zuzanna znów kichnęła. Oczy miała załzawione. Gdy Angie podała jej garść chusteczek, wytarła nos, uważając, żeby nie rozmazać makijażu. - Przepraszam.

- To nie twoja wina - powiedział Hawke. - Angie, ona ma różowy nos. Angie, spokojna jak zwykle, delikatnymi, oszczędnymi ruchami nałożyła Zuzannie trochę pudru i różu.

- Zdaje się, że będą potrzebne krople do oczu.



- Dobrze.

- Przepraszam. - Zuzanna siłą powstrzymywała się, żeby znów nie kichnąć. Starła się nie zwracać uwagi na drapanie w gardle i swędzenie powiek.

- Chcesz zrobić przerwę?

- Nie, nie muszę.

Przechyliła głowę do tyłu. Angie wpuściła po jednej kropli do niemiłosiernie piekących oczu.

- Zamknij oczy - powiedziała do Zuzanny - ale nie zaciskaj powiek, żeby tusz nie popłynął. Dobrze, możesz otworzyć. Poprawię ci makijaż.

Kiedy byli gotowi do kolejnych ujęć, Zuzanna, trzymając na łyżeczce śliczną truskawkę ozdobioną przez Haw-ke'a bitą śmietaną, spojrzała przez okno; nagle wśród tłumu przechodzących ludzi jakaś postać przykuła jej uwagę. Odwrócony do niej plecami mężczyzna, wysoki, ciemnowłosy, szeroki w ramionach, idący spokojnym, lekko kołyszącym się krokiem, przypomniał jej coś, co sprawiło, że w mgnieniu oka zapomniała o zdjęciach, katarze siennym i o Hawke'u.

- Ślicznotko! - zawołał Hawke. Zuzanna zamrugała oczami.

- Przepraszam - powiedziała, wstając. Odwróciła głowę, chcąc się przyjrzeć mężczyźnie dokładniej, ale szybko zniknął wśród tłumu.

- Zuzanno, jesteś roztargniona - powiedział Hawke, zirytowany.

- Przepraszam. - Myślami Zuzanna przebywała gdzie indziej. - Muszę kogoś...

Pospiesznie odstawiła miseczkę z truskawkami i - ku wielkiemu zdziwieniu Hawke'a i pozostałych członków zespołu - bez słowa pobiegła do wyjścia. Na ulicy odszukała wzrokiem mężczyznę. Bez zastanowienia, nie do końca świadoma tego, co robi, ruszyła za nim, nie spuszczać z oka ciemnych, lśniących w słońcu włosów. Zobaczyła, że mężczyzna skręca w kierunku kortu, i poszła w tę samą stronę. Z trybun nad kortem podniosły się głośne okrzyki radości. Zuzanna, mając na nogach modne w tym sezonie płaskie buty, prawie biegła, żeby dogonić mężczyznę. Na-

gle drogę zastąpiła jej kobieta z rozkapryszonym dzieckiem, szarpiącym matkę za rękę, i zasłoniła jej widok. Zuzanna miała ochotę odepchnąć kobietę. Kiedy wreszcie droga była wolna, zaczęła biec. Ze zdenerwowania ścisnęła ją w dołku. W chwili gdy mężczyzna odwrócił się i Zuzanna zobaczyła wreszcie jego twarz, potknęła się o wystającą płytę chodnikową. Krzyknęła i byłaby upadła, gdyby nie podtrzymał jej Hawke, który zdążył ją tymczasem dogonić.

- Co się stało? -Nic.

Zuzanna drżała, brakowało jej tchu i czuła ostry ból w kostce.

- Akurat. Wybiegłaś, jakby ci się ziemia pod stopami paliła. - Nie puszczając jej łokcia, Hawke zaglądał Zuzannie w oczy. - Nic ci się nie stało? - Z jej twarzy wyczytał, że coś jej dolega. - Chodź, usiądziemy.

- Za chwileczkę. Nie chcę jeszcze wracać.

- Nie musisz. Usiądziemy sobie i poczekamy, aż się uspokoisz.

- Jestem spokojna - powiedziała, drżąc na całym ciele.

- Nie jesteś.

Zaprowadził ją do pobliskiej kawiarni. Zuzanna, utykając, opierała się mocno na jego ramieniu. Hawke posadził ją przy stoliku i poszedł zamówić herbatę. Siedząca w pobliżu kobieta w podniszczonym kapeluszu przyglądała jej się z zainteresowaniem, ale po chwili odwróciła wzrok. Zuzanna, czując, że kręci się jej w głowie i że serce wali jak młotem, przymknęła oczy. Kiedy je otworzyła, Hawke właśnie stawiał na stoliku herbatę.

- Pij. Jest słodka.

- Nie lubię cukru - powiedziała Zuzanna i kichnęła.

- Wypij. Cukier cię wzmocni.

- Boję się utyc.

- Nie gadaj głupstw.

Zuzanna upiła łyczek i odstawiła plastikową filiżankę.

- Zobaczyłaś kogoś znajomego? - zapytał Hawke. Kiwnęła głową.

- Tak sądziłam, ale się pomyliłam. To nie był on.

- Kogo się spodziewałaś?
- Nikogo - odparła prawie szeptem.
- Goniłaś nikogo?
- Właściwie tak.

W szarych oczach Hawke'a pojawiła się czujność.

- Zuzanno, powiedz wreszcie, o co chodzi. Uniosła filiżankę. Powoli odzyskiwała siły.
- Przez chwilę myślałam, że to mój ojciec - wyznała i upiła łyk herbaty. - Nie wiem, co mi strzeliło do głowy. To przecież niemożliwe.
- Dlaczego?
- Nie może być tutaj.
- Masz na myśli Anglię czy Wimbledon?
- Jedno i drugie.
- Dlaczego uważasz to za niemożliwe?
- Bo tak.

Zuzanna obejrzała się w kierunku klubu, w którym robili zdjęcia.

- Przepraszam - powiedziała - że wybiegłam bez słowa. Powinniśmy już wracać.
- Nie szkodzi. Nie musisz się spieszyć.
- Wręcz przeciwnie. Zachowałam się karygodnie - odparła i przejechała dłonią po włosach. - Pewnie rozmazałam makijaż i zniszczyłam fryzurę. Strasznie mi przykro.
- Nie ma sprawy. Angie szybko doprowadzi cię do porządku.

Zuzanna wstała.

- Wracajmy. - Ale przy pierwszym kroku znów poczuła ostry ból w kostce. - Cholera! - zakląła.
- Usiądź.
- Nic mi nie jest.
- Siadaj! Pokaż. - Hawke schylił się, żeby obmacać chorą nogę. - Boli?
- Troszeczkę. Skręciłam ją, kiedy się potknęłam. To nic wielkiego.
- Powinniśmy zrobić prześwietlenie. Zuzanna cofnęła stopę.
- Nie trzeba. Kości są całe.
- Musisz dać nodze odpocząć.

- Nic mi nie jest - powiedziała, wstając. - Widzisz, już jest dobrze. Na szczęście nie robimy zdjęć na korcie tenisowym i nie muszę dzisiaj biegać.

- To prawda, ale nie poruszasz się normalnie.

- Mogę chodzić. - Dla potwierdzenia swoich słów Zuzanna zrobiła kilka kroków, choć mocno utykała. - Widzisz! Nie ma z czego robić problemu. Hawke ujął ją pod ramię i zatrzymał.

- Jesteś na najlepszej drodze, żeby jeszcze bardziej pogorszyć sprawę.

- Nic mi się nie stało.

- Ależ jesteś uparta!

- Chyba rzeczywiście jestem.

Zuzanna do końca dnia pracowała, ale wieczorem kostka była tak opuchnięta, że Hawke wezwał do Ritza lekarza, który zgodził się co do tego, że kości są całe, stwierdził jednak, że modelka nie będzie zdolna do pracy co najmniej przez jeden dzień.

- Wstyd mi - powiedziała Zuzanna po wyjściu lekarza.

- Dlaczego?

- Trzeba będzie odwołać jutrzejszą sesję. Stracimy mnóstwo pieniędzy, ludzie nie będą mieli co ze sobą zrobić, ty też będziesz miał jednodniową przerwę w pracy.

Leżała na łóżku przykrytym elegancką narzutą. Zabandażowaną nogę ułożyła wysoko.

- To rzeczywiście straszne - zgodził się z nią Hawke.

- Wszystko przeze mnie.

- Przez twoją kostkę.

- Nie doszłoby do tego, gdybym nie ścigała ducha.

- Przecież twój ojciec żyje.

- Nie dla mnie.

Hawke przysiadł na brzegu łóżka.

- Opowiesz mi o nim?

- O kim?

- O swoim ojcu.

- Nie - odparła Zuzanna. - Ale dziękuję za zainteresowanie.

Hawke wziął ją za rękę.

- Znam cię już trzy lata - powiedział - ale prawie nic o tobie nie wiem.
- Ależ wiesz bardzo dużo.
- Miałem na myśli prawdziwą Zuzannę.
- Znasz mnie. Hawke pokręcił głową.
- Nie. Tylko jakąś część ciebie.
- Ja też nie wiem o tobie wszystkiego.
- Nigdy mnie o nic nie pytałaś.
- Nie chcę się wtrącać w nie swoje sprawy.
- Sugerujesz, że ja też nie powinienem okazywać zbyt daleko posuniętej ciekawości? - spytał Hawke.
- Nie. Nie miałam tego na myśli, ale są sprawy, o których nie chcę rozmawiać.

Hawke kiwnął głową.

- Rozumiem. - Ścisnął jej dłoń, po czym ją puścił i podniósł się z łóżka. - Zostawię cię samą, żebyś mogła trochę odpocząć.
- Musisz już iść? - Zuzanna była rozczarowana.
- Nie muszę. Sądziłem jednak, że pragniesz odrobiny spokoju i ciszy.
- To tylko kostka - przypomniała. - Nie jestem chora.
- Dobrze. Może zamówimy kolację? Jesteś głodna?
- Umieram z głodu. Jesteś pewien, że możesz jeszcze trochę zostać?
- Czemu nie?
- Myślałam, że będziesz chciał zjeść na mieście.
- Gdybym się dokądś wybierał, nie proponowałbym kolacji w pokoju.
- Masz tu tylu przyjaciół - powiedziała Zuzanna. - W Londynie jest wiele doskonałych restauracji.
- Spotkałem się już ze wszystkimi przyjaciółmi i co wieczór jadaliśmy razem - mówił Hawke, szukając broszury z numerem telefonu hotelowej restauracji. - Na co masz ochotę?
- Na stek - odparła. - Nieczęsto mogę sobie pozwolić na krwiste mięso.
- *Chateaubriand* - powiedział Hawke - z sosem *béarnaise* i dużą butelką wina, i *crêpes suzette* na deser.

- Utyję - ostrzegła Zuzanna.
- Jeśli utyjesz, zostawię cię.
- W takim razie poproszę o sałatkę - stwierdziła ponuro.
- Zamów sałatkę, a zostawię cię już dzisiaj!
- Mam nadzieję, że to obżarstwo nie odbije się na mojej figurze. Przez kilka dni będę musiała więcej ćwiczyć.
- Musisz dać odpocząć swojej kostce.
- Zdaje się, że nie mam wyboru.
- Nic już nie mów. Pozwól mi złożyć zamówienie.
- Objedliśmy się i opili jak baki - opowiadała Zuzanna Pete'owi. - Hawke zażyczył sobie, żeby naleśniki podpalono tuż przed podaniem. Pamiętam, że jadłam spoczywając na łóżku, oparta o poduszki. Hawke siedział przy stoliku, który specjalnie wtoczono do pokoju. Cały wieczór przegadaliśmy. W tamtych dniach potrafiliśmy ze sobą swobodnie rozmawiać.
- O czym rozmawialiście?
- O pracy, o planach na jesień, o różnych nowinkach i aktualnych wydarzeniach. Potem przyszedł kelner, zabrał naczynia i przyniósł kawę. Zanim Hawke zdążył napełnić moją filiżankę, zasnęłam. Zuzanna zamilkła. Pete czekał.
- Obudził mnie koszmarny sen. Hawke był jeszcze w pokoju. Zaczął mnie uspokajać. Mówił, że nic się nie stało, że wszystko w porządku... Spytał, czy śnił mi się ojciec. Powiedziałam, że tak. Hawke chciał wiedzieć, skąd mam pewność, że tego popołudnia nie mogłam go widzieć w Wimble-donie. Odparłam, że Mateusz Bodine nie przyjechałby do Anglii, gdyż bardzo by się tutaj wyróżniał, a on należy do ludzi, którzy lubią niknąć w tłumie, bo nikt nie zwraca wtedy uwagi na niego raa to, co robi.
- Powiedziałaś Hawke'owi o swoim ojcu i o Tabicie? - spytał Pete.
- Tak.
- I co? - spytał po chwili milczenia.
- To wszystko zmieniło. Do tej pory byliśmy przyjaciółmi z pracy. Może odrobinę więcej... Odnosiliśmy się do siebie serdecznie i z szacunkiem, ale był to rodzaj więzi, jaka

powstaje czasem między wielkim nauczycielem a jego uczniem. Nie było miejsca na nic bardziej intymnego. Kiedy zwierzyłam mu się z tego fragmentu mojego życia, dołożyłam następne ogniwo do łańcucha. - Zuzanna uśmiechnęła się smutno. - Tego dnia u Ritza dowiedziałam się o Hawke'u więcej niż kiedykolwiek dotąd. Opowiedział mi o dzieciństwie spędzonym w Northamptonshire, o ojcu, hodowcy świń, i matce, która malowała portrety członków rodziny, a także świń hodowlanych, i wystawiała je w ratuszu w pobliskim miasteczku. - Znowu się uśmiechnęła. - Opowiedział mi też o swojej pierwszej miłości, rudowłosej nauczycielce ze szkoły plastycznej, i o pierwszym stosunku seksualnym z konduktorką autobusu w Londynie. Byłeś w Londynie, Pete?

- Dwa razy. To miasto przypadło mi do gustu.

- Mnie też. Dalej wszystko poszło tak, jak się domyślasz. Byłam na lekkim rauszu, miałam za sobą dzień pełen wrażeń i tak dalej. Hawke powiedział, że już powinien wracać do siebie, ale poprosiłam, żeby jeszcze został. Więc został.

Żaden mężczyzna nie mógłby być łagodniejszy i bardziej czuły niż Hawke tej nocy. Kiedy pocałował ją po raz pierwszy, był to pocałunek tak słodki i delikatny, że Zuzanna odruchowo wtuliła się w szczupłe, twarde, silne ciało. Pragnęła tego od pierwszych dni spędzonych razem z nim w Nowym Jorku. Nie było pośpiechu ani gorączkowego zdejmowania ubrań. Każdy krok zdawał się przemyślany, pełen tajemniczego uroku, jakby oboje wiedzieli, że porywał ich potężny prąd morski; jakby to, co się działo, było nieuniknione i żadne z nich nie mogło ani nie chciało tego powstrzymać. Pragnęli bliskości, rosnącego pożądania, wzbierającego żaru i głodu; pragnęli rozpaczliwego połączenia, zjednoczenia ciał.

- Potrzebuję cię, Zuzanno - powiedział Hawke, zanim w nią wszedł. Potem milczał. Nie chcieli rozmawiać. Wystarczyły im szeptane, zdyszane półsłowa, nieskończenie przejrzyście wyrażające to, co czuli i jak bardzo się pragnęli.

- Ja też ciebie potrzebuję - odparła Zuzanna. Oczy miała zamglone, pełne miłości i pożądania.

Dalej wszystko poszło nie tak. Udawali, że to nic wielkiego, i byli dla siebie jeszcze bardziej czuli. Żadne z nich nie wspomniało o obopólnej winie. Takie rzeczy się po prostu zdarzają. Wiele tygodni później, kiedy mogli myśleć o tym bardziej logicznie, doszli do wniosku, że musiało się tak skończyć, skoro czekali na ten moment kilka lat. W decydującej chwili Hawke nie miał wzrodu. Zuzanna przypuszczała, że stało się tak dlatego, że ona była bardzo napięta i sucha; nie rozumiała tylko, dlaczego tak zareagowała. Czuła się przecież wilgotna, pewna, gotowa.

- To nie ma znaczenia - powiedział Hawke, tuląc ją w ramionach.
- Wiem - zgodziła się z nim.
- Jak się czujesz? - spytał szeptem.
- Dobrze - odparła.
- Jesteś pewna?
- Czuję się bardzo dobrze - powiedziała z uśmiechem. -Cudownie.
- Wiesz, że jestem w tobie zakochany? - spytał Hawke.
- Domyślam się.
- Ty też kochasz się we mnie. -Tak.
- Dlatego nam nie wyszło. Za bardzo nam na tym zależało.
- Chyba tak.

Hawke odsunął się i spojrzał jej w oczy.

- Jak myślisz, dlaczego nam nie wyszło? - Zuzanna dostrzegła w jego oczach niepokój. - Chciałaś się ze mną kochać?
- Chciałam.

Uspokoił się i znów ją do siebie przytulił.

- Nigdy w życiu nikogo bardziej nie pragnąłem. Zuzanna zamknęła oczy.
- Ja przed tobą nie pragnęłam nikogo.
- Nie wierzę.
- A jednak to prawda.



- Biedna Zuzanna - powiedział z czułością Hawke. - Że też musiałaś się we mnie zakochać.
  - Szczęśliwa Zuzanna - poprawiła go.
  - Był pierwszy? - spytał Pete.
  - Chcesz wiedzieć, czy był moim pierwszym kochankiem? Tak.
- Śpiący przy drzwiach Steinbeck warknął. Alicja siedziała cicho w swojej klatce i przyglądała się czemuś, przekrzywiając łebek. Pete zeszywniał od pozycji jogi i przeniósł się na kanapę. Zuzanna, pochłonięta wspomnieniami, nadal siedziała na dywanie sztywna jak struna, ze skrzyżowanymi nogami i z przymkniętymi oczami.
- Noga szybko przestała mi dokuczać - ciągnęła. - Dokończyliśmy zdjęcia i wszyscy wrócili do domu, tylko ja zostałam z Hawkiem na krótki odpoczynek. Wynajął samochód i woził mnie po całym Londynie. Jeśli zapragnęłam coś zobaczyć, zatrzymywał samochód. Dostał kilkadziesiąt mandatów za niewłaściwe parkowanie, ale wszystkie wyrzucał, uśmiechając się pogodnie. Wyglądał na szczęśliwego.
  - A ty?
  - Czułam się jak w raju. Do chwili jego zniknięcia.
  - Zniknięcia? Zuzanna kiwnęła głową.
  - Dzień przed naszym planowanym odlotem do Frankfurtu. Hawke powiedział, że przed wyjazdem musi odwiedzić swoich przyjaciół. Nie miałam nic przeciwko temu. Spędziłam ten dzień w sklepach. Kupowałam pamiątki dla rodziny. Kiedy wróciłam do Ritza i nie zastałam żadnej wiadomości od Hawke'a, nie poczułam się tym zaniepokojona. Wykąpałam się, umyłam włosy i zaczęłam się pakować. Później zadzwoniłam do recepcji, by spytać, czy zostawiono dla mnie jakąś informację, ale nic nie było, zamówiłam więc sobie kanapkę do pokoju. Nadal się nie martwiłam. Przez cały czas pobytu w Londynie Hawke spędzał ze mną każdą wolną chwilę. Myślałam, że ma prawo być trochę sam.
  - Kiedy wrócił?
  - Nie wrócił. Następnego ranka jego klucz nadal wisiał w recepcji. Nie zadzwonił.

- Co zrobiłaś? - spytał Pete.

- Jak myślisz? Wpadłam w panikę.

Zuzanna odwołała lot do Frankfurtu i obdzwoniła wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć o losach Hawke'a. Zarówno Andrea Marantz, jak i Angie Lopez przyznały, że nagłe zniknięcie jest do niego całkiem niepodobne, gdyż Hawke jest bardziej odpowiedzialny od większości znanych im twórców. Zadzwoiła na policję, ale powiedziano jej, że nie mają informacji o żadnym wypadku z jego udziałem, nie został też aresztowany, a jako dorosły mężczyzna ma prawo nagle zniknąć, jeśli tylko chce.

- Co zrobisz? - spytała Andrea, kiedy Zuzanna znów do niej zadzwoniła.

- Będę go szukała.

- Jak zamierzasz go szukać? Nawet nie znasz Londynu.

- Znam miejsca, w które mnie zabierał. O innych mi opowiadał albo radził mi je zobaczyć.

- Jakie miejsca? Sklepy? Harrods? - pytała Andrea złośliwie. - Myślisz, że Hawke poszedł na zakupy?

- Nie wiem, dokąd poszedł. - Zuzanna była bliska łez. -Może leży w jakiejś kostnicy, okradziony z dokumentów.

- Nikt go nie zadźgał - powiedziała Andrea łagodniejszym tonem. - Na twoim miejscu czekałabym na niego w hotelu. Ćwicz, czytaj książki, wypożycz film, ale nie trać czasu na ganieianie po ulicach.

Zuzanna odłożyła słuchawkę i natychmiast wyszła z hotelu. Padał deszcz. Ludzie chowali się pod parasolami. Wiedziała, że postępuje nierozsądnie, że nie spotka Hawke'a na Piccadilly, Knightsbridge, Beauchamp Place, Bond Street czy Soho Square, ale nie mogła dłużej wytrzymać w swoim pokoju. Tutaj, wśród obcych, łatwiej jej było pohamować wyobraźnię podsuwającą sceny strasznych przygód, jakie mogły mu się przytrafić. Nie znalazła go, ale po powrocie do Ritza dowiedziała się, że dzwonił do hotelu, uregulował rachunek kartą kredytową i prosił o przekazanie Zuzannie, żeby poleciała do Niemiec bez niego. Dołączy do niej, kiedy tylko będzie mógł.

Najpierw poczuła ulgę, potem złość, a na koniec rozczarowanie. Widocznie ich więź nie była aż tak bliska, jak sądziła, i nagłe przejście od przyjaźni do miłości wystraszyło Hawke'a.

Niech będzie - myślała, pakując swoje rzeczy. - Pojadę do Frankfurtu, jak na dobrą współpracownicę przystało, a kiedy Hawke się tam zjawi, nie dam po sobie poznać, że jego zniknięcie mnie obeszło.

Jeśli spróbuje jej dotknąć, chyba go ugryzie.

Od pierwszego spojrzenia znenawidziła wielkomięską brzydotę Frankfurtu. Hawke już wcześniej zarezerwował pokoje w pięknym hotelu, oddalonym kwadrans drogi od miasta, z oknami wychodzącymi na jezioro położone w piętnastohektarowym parku. Zuzanna przypomniała sobie, że Hawke zawsze zadawał sobie wiele trudu, żeby o nią zadbać i chronić ją przed przykrościami. Jej gniew nieco ucichł. Hawke zjawił się dwa dni później. Na jego widok ustąpiła złość, natomiast ogarnął ją niepokój.

- Wyglądasz okropnie - oznajmiła, kiedy wszedł do jej pokoju.

- Dziękuję.

Twarz miał bladą i zmęczoną.

- Wyglądasz tak, jakbyś nie spał od kilku miesięcy.

- Tylko trzy noce - powiedział i spróbował ją pocałować, ale Zuzanna się odsunęła.

- Jesteś zła - stwierdził, siadając w fotelu.

- Byłam. - Usiadła naprzeciw niego. - Co się stało?

- Nie mogę powiedzieć. - Głos miał zmęczony.

- Dlaczego nie możesz?

- Po prostu nie mogę. Nawet gdybym chciał. Wiem, że się na mnie zawiodłaś.

- Śmiertelnie mnie przeraziłeś.

- Przepraszam.

- Hawke, musisz mi powiedzieć.

- Nie muszę.

Poczuła się, jakby dostała po twarzy. Wstała sztywno.

- Chyba masz rację. Nie musisz mi nic mówić.

- Już ci powiedziałem, że chciałybym...
- Ale nie powiesz - przerwała mu.
- Spojrzał na nią. Był tak zmęczony, że nie miał siły wstać z fotela.
- Tu nie chodzi o mnie.
- Rozumiem.
- Nie, nie rozumiesz.
- Hawke, czy to ma związek z nami? Z tym, co się między nami wydarzyło? Żałujesz tego, bo...
- Nie! - Zebrał w sobie siły, wstał, podszedł do niej i wziął ją w ramiona. Próbowwała go odepchnąć, ale po chwili uległa. - Ani przez moment... To nie ma z nami nic wspólnego... Gdyby chodziło o nas, powiedziałbym ci. Zuzanna odsunęła się.
- Nic więc mi nie powiesz? Hawke westchnął.
- Mówiłem ci już, że tu nie chodzi o mnie. - Zajął jej w oczy i zrozumiał, że jest bardzo rozczarowana. - Zuzanno, ty też masz przeszłość, o której wiem bardzo niewiele. Nigdy nie miałem ci tego za złe.
- Nie miałeś - przyznała, czując się winna.
- Wiesz zapewne, że są sprawy, które dotyczą innych ludzi, mają wpływ na ich życie. I nie możemy się nimi dzielić z nikim, choćbyśmy bardzo tego chcieli.
- Może i tak - przytaknęła Zuzanna. Poczucie winy ciągle w niej rosło. Hawke wyciągnął do niej rękę.
- Pokój?
- Może i tak - powtórzyła.
- Podaj mi rękę. Podała.
- To były kiepskie dni - powiedział cicho Hawke. - Koszmarne.
- Dla ciebie? - spytała. - Czy dla tej drugiej osoby?
- Dla niej - odparł. - Ale i dla mnie nie były lekkie - spojrzał na nią z niepokojem. - Przepraszam, nic więcej nie powiem. Nie mogę.
- Niech będzie - powiedziała. Nie czuła już gniewu. Hawke nie puszczał jej dłoni.

- Jesteś dla mnie kimś wyjątkowym - wyznał.

- Wiem.

Położyli się. Hawke był tak zmęczony, że nie mógł zasnąć. Zuzanna masowała mu ramiona i plecy, głaskała po głowie. Czuła, jak powoli opada z niego napięcie. W końcu położył głowę na jej ramieniu i oboje zasnęli.

Koło czwartej nad ranem Hawke'a obudził koszmarny sen. Zuzanna uspokajała go i przytulała do siebie. Nagle Hawke'a ogarnęło pożądanie. Zaczął pieścić i całować jej piersi. Zuzanna odpowiedziała na to z pasją. Zapomniała

o swoim lęku i o złości. Pragnęła go. Położył się na niej, gotowej i wyczekującej, ale nagle odsunął się, wstał z łóżka i podszedł do okna.

- Co się stało? - spytała zmieszana Zuzanna.

- Nic.

Podeszła do niego i dotknęła go. Początkowo nie zareagował. Potem, z westchnieniem, otoczył ją ramionami i przytulił.

- Przepraszam - szepnął w jej włosy. - Nie mogłem.

- Nie szkodzi. To nie ma znaczenia.

Przypomniała sobie, że Hawke powiedział jej to samo za pierwszym razem w Londynie. Miał rację, ponieważ sam akt seksualny nie miał znaczenia. Ważne było tylko to, że byli razem, tulili się do siebie, wzajemnie rozumieli. Wtedy Zuzanna pojęła, jak bardzo go kocha.

- Kilka tygodni po powrocie z Frankfurtu Hawke oświadczył, że chce wziąć ze mną ślub - powiedziała Zuzanna Pete'owi dwa dni później, podczas następnej sesji terapeutycznej.

- Minęły jednak kolejne dwa lata, zanim się pobraliście.

- Odrzuciłam oświadczenia.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów. Przede wszystkim ze strachu.

- Przed czym?

- Chyba przed tym, że może się nam nie udać.

Było późne popołudnie. Siedzieli w dużym pokoju w mieszkaniu Pete'a. Zuzanna zajęła miejsce na kanapie. Obok niej, pochrapując od czasu do czasu, spał Steinbeck.

- Byłam wtedy wewnętrznie rozdarta - ciągnęła Zuzanna. - Życie, które Hawke przede mną otworzył, było pod każdym względem inne od tego, które znałam dotąd. Bałam się, że nie będę umiała pozostać sobą.

Musiałam też brać pod uwagę dobro Abigail. Przede wszystkim jej dobro.

- Co masz na myśli?

Pete zapalił papierosa. Zuzanna zapewniała go, że dym jej nie przeszkadza. Pod koniec każdej sesji popielniczka była pełna i trzeba było otwierać okno, żeby wpuścić do pokoju więcej świeżego powietrza.

- Abigail jest moją młodszą siostrą - powiedziała. - Jestem za nią odpowiedzialna. I tak pozostawałam zbyt często z dala od domu. Gdybym wyszła za męża, jeszcze trudniej byłoby znaleźć czas na wizyty w Cohasset.

- Hawke nie zgodziłby się, żeby Abigail zamieszkała z wami?

- Chętnie by na to przystał. On bardzo lubi dzieci i wie, jak ważna jest dla mnie Abigail. Ja jednak miałam na względzie przede wszystkim jej dobro. Byłam przekonana, że mieszkanie z Van Dusenami, jedyną rodziną, jaką znała, było dla niej lepsze niż jeżdżenie ze mną i z Hawkiem po całym świecie.

- Mimo to zamieszkałaś z Hawkiem.

- Jesienią. Pobraliśmy się ponad półtora roku później. Dwudziestego drugiego marca osiemdziesiątego piątego roku. - Uśmiechnęła się. - Zrozumiałam, że nie umiałabym żyć bez niego. Próbowalam, ale to było nie do zniesienia dla nas obojga. Connie wyznała, że dla Abigail ta sytuacja również była trudna, ponieważ cały czas chodziłam ponura jak chmura gradowa.

- Jednak ciężko było ci rozstać się z siostrą? -Tak.

Pete czekał.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć? - spytał po chwili.

- Raczej nie.

- Nie szkodzi. Łatwo było mieszkać z Hawkiem?

- Nie było trudno. Umieliśmy dawać sobie niezbędną wolność. Poza tym Hawke był tak zadowolony, kiedy mu się poddałam, że na nic się nie skarżył. To dość niezwykle, je-

śli wziąć pod uwagę, że od dnia opuszczenia rodzinnego domu zawsze mieszkał sam.

- A życie seksualne? Było lepiej?

- Tak - odparła Zuzanna z wahaniem. - Pojawiały się przejściowe trudności, ale seks nigdy nie był dla nas najważniejszy.

- Chcesz o tym rozmawiać?

- Nie ma o czym. Czasem było wspaniale, czasem trochę gorzej, ale nigdy nie zabrakło między nami miłości.

Ból z powodu rozłąki z Abigail stał się jeszcze bardziej dotkliwy, kiedy trzy miesiące po ślubie Hawke wyznał, że chciałby wyjechać na kilka miesięcy do Europy. Już wcześniej często o tym wspominał. Sześć tygodni chciał poświęcić Wielkiej Brytanii, z czego tydzień lub dwa zamierzał spędzić w domu rodzinnym. Potem planował w ciągu kilku tygodni zwiedzić Francję. Na Rzym przeznaczył aż trzy miesiące. To miasto od dziecka budziło jego ciekawość. Był tam kilka razy, ale zawsze przelotnie, w sprawach przede wszystkim zawodowych. Tym razem chciał zwiedzić Rzym spokojnie, powoli chłonąc jego niezwykłość. Pragnął, żeby Zuzanna towarzyszyła mu w podróży.

Rzym w pełni lata był upalny. Hawke'owi bardzo to odpowiadało. Jeszcze w Londynie, na Jermyn Street, kupił sobie biały kapelusz z szerokim rondem i w jego cieniu spacerował po Wiecznym Mieście pijany ze szczęścia, pragnąc jak najdokładniej poznać jego kulturę, starożytne zabytki i niepowtarzalną atmosferę. Wszystko go interesowało. Tymczasem Zuzanna, zlana potem, prawie cały dzień z utęsknieniem czekała nadejścia nocy, kiedy wreszcie mogła się schronić w chłodnym pokoju Hassler-Medici.

- Uwielbiam Manhattan - powiedział Hawke w pierwszym tygodniu pobytu w Rzymie, gdy wędrowali do kościoła San Clemente in Laterano - i nie potrafię sobie wyobrazić, żebym mógł mieszkać gdzie indziej, ale pomyśl tylko, Zuzanno, pomyśl... - Oczy świeciły mu się z radości. - Siedemnastowieczna fasada kryjąca dwunastowieczną bazylikę, pod spodem kościół z czwartego wieku, a pod tym

wszystkim augustiańska świątynia i ulica licząca sobie dwa tysiące lat. To niewiarygodne.

- Rzeczywiście.

Zuzanna zatrzymała się i oparła o fragment siedemnastowiecznego muru, żeby podrapać się w stopę.

- Nie chcesz tego zobaczyć? - spytał zdziwiony.

- Ależ chcę.

- Więc chodźmy.

Hawke był niespożyty. Nie męczyło go chodzenie, wysłuchiwanie opowieści rzymskich przewodników, oglądanie mozaik i obrazów, spacerowanie wśród starożytnych ruin, oglądanie sklepień w świątyniach ani przechodzenie przez wiekowe bramy w zabytkowych murach obronnych. Zuzanna codziennie staczała małe bitwy przekonując męża, że zwykli śmiertelnicy potrzebują na chwilę przysiąść, zjeść choćby skromny obiad i napić się kawy. Musiała jednak przyznać, że na zakończenie dnia zawsze spożywali wyśmienite kolacje w najrozmaitszych restauracjach. W „Piazza di Spagna” przygotowywano ryby na sto różnych sposobów, w „Trastevere” zaserwowano im niezapomniane *spaghetti alla carbonara*, a w starym Rzymie ugoszczono *bistecca alla fiorentina*. Wiezorami Hawke zmieniał się nie do poznania. Nie myślał w ogóle o śnie. Miał ochotę pić wino, tańczyć, rozmawiać i przyglądać się nocnemu życiu miasta.

- Jesteś przemęczona - stwierdził pewnej nocy, widząc, że Zuzanna zasypia w taksówce wiozącej ich do hotelu.

- Ty za to jesteś niezniszczalny. Hawke był zmieszany.

- Nie lubisz Rzymu - powiedział.

- Oczywiście, że lubię - zaprzeczyła. - Bardzo mi się podoba. Cieszę się, że mogę go zwiedzić, chociaż, przyznaję, wolałabym robić to w nieco wolniejszym tempie.

- Przecież poświęciliśmy aż cztery godziny na porządną kolację - zdziwił się Hawke.

- I spędziliśmy pięć godzin w bazylice Świętego Piotra - przypomniała. - Było wspaniale, ale po dwóch godzinach mogliśmy sobie zrobić przerwę na kawę. Wtedy nie byłabym tak bardzo... - przerwała.

-Co?



-Nic.

- Nie lubisz kościołów, prawda? - spytał Hawke.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Zauważyłem, że niespecjalnie za nimi przepadasz.

- Tutejsze kościoły są piękne - powiedziała.

- Nie mówię o tutejszych. Tak samo było w Paryżu i w Anglii. Gdy wybieraliśmy się z moimi rodzicami na niedzielne nabożeństwo, zauważyłem, że wcale nie miałaś na to ochoty.

- Przesadzasz.

Taksówka wzięła ostry zakręt i Zuzanna osunęła się na ramię Hawke'a.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o religii.

- Od kiedy stałeś się religijny? - spytała.

- Nie o to chodzi, ale to dziwne, że jesteśmy małżeństwem, a o tym nigdy nie rozmawiamy.

- Nie było powodu, skoro żadne z nas nie chciało ślubu kościelnego - powiedziała, odsuwając się od niego. - Przecież nie chciałeś. Tak przynajmniej mówiłeś.

- Mnie ślub kościelny nie przeszkadza - odparł Hawke -ale kiedy cię o to spytałem, byłaś zdecydowanie przeciwna.

- Czy warto wywlekać teraz tę sprawę?

- Nie chcę niczego wywlekać - powiedział lekko. - To ty przyjęłaś postawę obronną.

- Może nieświadomie. Powiedziałam tylko, że spędziliśmy pięć godzin w bazylice, a to nie miało nic wspólnego z religią. Nie chciałabym popsuć ci przyjemności. - Nikt nie mógłby zniechęcić mnie do Rzymu - odparł.

Zuzanna mu uwierzyła. - Zamęczyłeś mnie.

- Co? - zdziwił się Hawke.

- Zamęczyłeś mnie Rzymem - powiedziała i natychmiast tego

pożałowała, widząc jego nieszczęśliwą minę. -Hawke, mamy dużo czasu

- próbowała wyjaśniać. - Nie musimy się spieszyć jak turyści na pięciodniowej wycieczce.

- Masz rację - powiedział głuchym głosem.

- Popsułam ci przyjemność.

- Nie. - Hawke pokręcił głową. - Niczego nie popsulaś. To ja byłem samolubny.

- Nieprawda. - Ujęła jego wielką, wrażliwą dłoń i przytuliła do swojego policzka. - Po prostu zakochałeś się w Rzymie.
  - Ale ty nie.
  - Ja też, nie mam jednak tyle sił co ty.
  - To miasto dodaje mi energii. - Hawke odsunął dłoń od jej policzka i ujął ją za rękę, żeby ucałować koniuszki palców. - Może Włosi wrzucają coś do wody... Czuję, że nie wolno mi stracić ani sekundy, że muszę wypić ten kielich do ostatniej kropli.
  - Rozumiem.
  - Naprawdę? - spytał, zaglądając jej w oczy.
  - Chyba tak.
  - Teraz będziemy zwiedzali spokojniej - obiecał.
  - Byle nie za wolno. - Zuzannę ogarnęło poczucie winy. - Tylko troszkę wolniej.
  - Obiecuję. Od jutra będziemy zwiedzali po twojemu.
  - Kocham cię, Hawke - powiedziała Zuzanna.
  - Ja też cię kocham, pani Hawke.
- Cień nadciągnął kilka dni później. Hawke obudził się z bólem gardła i dokuczliwym kaszlem. Pod wieczór dostał gorączki, dreszczy, bolały go mięśnie. Wezwany lekarz rozpoznał grypę i zalecił odpoczynek. Hawke protestował, ale położył się do łóżka. Zuzanna zawiesiła na klamce kartkę z prośbą, by nie przeszkadzać, i starała się poruszać po pokoju jak najciszej, dla zapewnienia mu spokojnego snu. Wiedziała, że skoro tylko Hawke poczuje się lepiej, nie uda się go namówić na pozostanie w hotelu. Około trzeciej nad ranem coś ją obudziło. Przez moment leżała cicho, nasłuchując w ciemnościach. Hawke z trudem łapał oddech. Zuzanna usiadła na łóżku.
- Hawke! Śpisz? Odpowiedział jej cichy jęk.
  - Co się stało? - Zapaliła światło. Z przerażeniem stwierdziła, że mąż jest zlany potem. - Pogorszyło ci się?
  - Okropnie - szepnął z trudem. Zuzanna dotknęła jego czoła.
  - Boże, masz straszną gorączkę.

Wstała i szybko włożyła szlafrok.

- Nie odchodź - wyszeptał.
- Muszę wezwać lekarza.
- Nie zostawiaj mnie.
- Oczywiście, że cię nie zostawię. - Przeszła na drugą stronę łóżka, przyklękła i wzięła go za rękę. - Masz bardzo wysoką gorączkę, kochanie. Pójdę zadzwonić po lekarza i przyniosę ci wody.
- Nie zostawiaj mnie - powtórzył. Zuzanna zaczęła się bać.
- Nigdy - obiecała.
- Musi pójść do szpitala - powiedział lekarz do Zuzanny. Stali w korytarzu.
- Przecież to tylko grypa - zaniepokoiła się.
- Możliwe, że to coś więcej, signora Hawke.
- Nie może go pan leczyć tutaj, w hotelu? - dopytywała się pobladła Zuzanna.

Lekarz pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie, signora. Pani mąż ma trudności z oddychaniem, ale, prawidłowo leczony, szybko odzyska siły.
- Nie będzie chciał iść do szpitala.
- Jest zbyt słaby, żeby się awanturować - orzekł lekarz, zabierając swoją torbę. - Muszę poczynić stosowne przygotowania.
- Czyba może pan przepisać antybiotyki? - spróbowała jeszcze raz.

Lekarz spojrzał na nią z uwagą.

- Boi się pani szpitali, signora?

Zuzanna nie odpowiedziała. Była bardzo blada.

- Wiele osób podziela pani strach, signora Hawke. To normalne. Daję pani słowo, że w tym przypadku nie ma powodu do obaw. To dobry szpital.
- Zuzanna milczała. Ze wszystkich sił starała się zapanować nad ogarniającym ją panicznym strachem. Hawke jest chory - powtarzała sobie. - Lekarz ma rację.
- Chciałbym już pójść do telefonu.
- Zuzanna wzięła głęboki wdech i w końcu podjęła decyzję.
- Oczywiście - odparła.

Szpital znajdował się we wschodniej części miasta, niedaleko uniwersytetu. Przyjęcie Hawke'a odbyło się bez żadnych nieprzyjemnych momentów. Przed świtem Zuzanna dowiedziała się, że mąż choruje na zapalenie płuc. Hawke leżał w chłodnej, białej pościeli, na ścianie nad jego głową wisiał krucyfiks, do lewej ręki miał podłączoną kroplówkę. W każdej chwili mógł skorzystać z maski tlenowej. Co jakiś czas do jego pokoju zaglądały dwie pielęgniarki-zakonnice o łagodnych twarzach.

- Lepiej się czujesz? - spytała cicho Zuzanna.

- Wciąż okropnie - odparł Hawke.

- A ja jestem spokojniejsza, od kiedy znalazłeś się w szpitalu - skłamała, chociaż w pewnym sensie powiedziała prawdę. Wiedziała, że miał tu lepsze warunki niż w hotelu, i dlatego mniej się bała.

- To dobrze - powiedział, sięgając po maskę.

Lekarze wchodzili i wychodzili. Pobrano krew i próbki śliny do badania, zrobiono prześwietlenie, ale erytromycyna zadziałała tak szybko, że zanim nadeszły wyniki badań z laboratorium, stan chorego bardzo się poprawił. Hawke koniecznie chciał się wypisać.

- Nie możesz tak po prostu wstać z łóżka i wyjść - powiedziała Zuzanna następnego dnia. Kiedy weszła do sali, Hawke już na nią czekał, kompletnie ubrany. - Na miłość boską, miałeś zapalenie płuc.

- Czuję się dużo lepiej.

- Może i lepiej, ale wciąż nie jesteś wyleczony. Hawke był blady i miał dreszcze, ale z uporem zaciskał szczęki.

- Pomóż mi nieść torbę.

- Dopiero kiedy lekarze pozwolą ci opuścić szpital - powiedziała Zuzanna. - Oboje wiemy, że jeszcze się na to nie zgodzą.

- Dlatego też nie zamierzam z nimi o tym rozmawiać - odparł Hawke, schylając się po torbę. - Jeśli mi nie pomożesz, sam sobie poradzę.

- Daj spokój. - Wyrwała mu z ręki bagaż. - Zachowujesz się jak dziecko.

- Raczej jak mężczyzna. Wszyscy wiedzą, że mężczyźni są niezdolnymi pacjentami.
- Zaczekajmy, aż lekarze orzekną, że jesteś zdrowy.
- Nic mi nie będzie. Byłem chory, dali mi antybiotyki i czuję się lepiej.
- Wyglądasz okropnie.
- Ponieważ miałem zapalenie płuc. Miałem, rozumiesz? Daj mi torbę.
- Nie!

Zuzanna usiadła na łóżku, postawiła sobie torbę na kolanach i objęła ją mocno rękami. Była świadoma ironicznej humorystyki tej sytuacji. Ona, która z całej siły pragnęła, żeby Hawke jak najszybciej opuścił szpital, klóciła się z nim, żeby tu jeszcze został.

- W takim razie wychodzę bez torby. - Hawke otworzył drzwi.
- Zachowujesz się niewiarygodnie głupio.
- Dla zdrowych nie ma miejsca w szpitalu. - Drzwi były otwarte. - Idziesz ze mną czy nie?
- Nie! - uparła się.
- Trudno.

Pomachał jej ręką i wyszedł.

- Hawke!

Drzwi zamykały się powoli.

- Hawke!

- Myślałam, że będzie chciał zostać w Rzymie - opowiadała Zuzanna Pete'owi - by wracać do zdrowia w hotelu Hasslera albo przenieść się na jakiś czas na wieś, ale wciąż było bardzo gorąco i nagle zaczęło mu to przeszkadzać. Zaproponowałam, żebyśmy wrócili na kilka tygodni do Anglii, Hawke zatęsknił jednak za domem. Miałam wrażenie, że Rzym go rozczarował, a Europa zdradziła go w jakiś tajemniczy sposób. Nie rozumiałam tego. Dopiero później.

- Teraz już rozumiesz.

- O, tak. - Przez chwilę milczała. - Po Rzymie przez pewien czas nic się nie działo. We wrześniu przeziębził się. Pamiętam swoje zdziwienie, gdy pozwolił Saulowi Weinbergowi zastosować antybiotyk, chociaż płuca miał zdrowe. To

było do niego niepodobne. Już wtedy powinnam się była domyślić, że coś jest nie w porządku.

- Nie miałaś żadnych podejrzeń? - spytał Pete.

- Żadnych - pokręciła głową. - Wiesz, jak wtedy było. Nazywano to plagą homoseksualistów. Nie miałam powodu do podejrzeń. Czasem odzywali się do nas ludzie z grupy niosącej pomoc chorym homoseksualistom (Hawke wykonywał prace dla organizacji służących chorym na AIDS), ale wszyscy wiedzieli, że on sam jest normalny i że jest moim mężem. Niczego nie podejrzewałam. Podczas gdy on męczył się w czyścicu, ja żyłam na wyspie Utopii. - Umilkła, po czym ciągnęła dalej: - Aż do pewnego dnia w połowie października... tydzień czy dwa po śmierci biednego Rocka Hudsona. Wszystkie gazety o tym pisały. Hawke stłukł w swoim studiu jakąś szklaną płytkę i mocno się skaleczył. Obficie krwawił. Pobiegłam po gazę i wodę utlenioną. Chciałam umyć i obandażować mu rękę, ale mnie odepchnął. Byłam tym bardzo przejęta, bo nigdy nie był wobec mnie brutalny.

- Mów dalej - zachęcał ją Pete.

- Potem bardzo mnie przepraszał. Wstydział się tego, co zrobił. Doszłam do wniosku, że za bardzo się przejął widokiem własnej krwi, i więcej o tym nie wspominałam. Hawke też nie. Ale tego dnia po raz pierwszy zabrzączał mi jakiś ostrzegawczy dzwonek, który już nigdy całkiem nie umilkł.

- Miałaś kontakt z jego krwią? - spytał spokojnie Pete.

- Nie. Hawke był bardzo ostrożny.

- A w innych sprawach?

- Masz na myśli życie seksualne? - Tak.

- Na początku, w Londynie, Hawke używał prezerwatywy - powiedziała Zuzanna. - Potem też. Do czasu, kiedy dostałam receptę na tabletki antykoncepcyjne. Posprzeczałyśmy się o to. On twierdził, że środki hormonalne mogą się niekorzystnie odbić na moim zdrowiu, ale ja byłam przekonana, że to najlepsze rozwiązanie. Nie chciałam zachodzić w ciążę. W końcu zgodził się ze mną... - mówiła coraz ciszej i w końcu całkiem umilkła. - Która godzina? - spytała po pewnym czasie, widząc, że zrobiło się ciemno.

- Dochodzi piąta - odparł Pete - ale mnie się nie spieszy.
- Na pewno?
- Z nikim więcej nie jestem już umówiony.
- Powinnam wracać do Hawke'a. Dzisiaj jest z nim An-gie, ale musi wcześniej wyjść.
- Może zostaniesz trochę dłużej? - zaproponował Pete. -Jeśli chcesz. Z namysłem pokiwała głową.
- To wciąż nie wszystko. Muszę ci powiedzieć coś jeszcze.
- Zawsze możesz zrobić to jutro.
- Czy na pewno jest jakieś jutro?

Dzień przed Świętem Dziękczynienia 1985 roku Zuzanna wróciła do domu kilka minut po szóstej i zastała męża leżącego na hamaku w pobliżu okna w największym pokoju.

- Przepraszam za spóźnienie. - Zamknęła za sobą wielkie metalowe drzwi wejściowe i schyliła się, żeby go pocałować. - Lulu zmęczyła mnie ćwiczeniami, poszłam więc na masaż (*a propos*, Jean-Paul prosił, żeby cię pozdrowić), potem przypomniałam sobie, że Lucy Battaglia obchodzi w przyszłym tygodniu urodziny, a ja nie mam dla niej prezentu. Kupiłam jej u Henri Bendela śliczny kapelusz i apaszkę. Lucy przepada za kapeluszami. Rano, kiedy ciebie nie było, dzwoniła Connie z zapytaniem, czy jutro będziemy zajęci... - Przerwała w pół zdania.

- Nawet nie zauważyłem, że się spóźniłaś - powiedział Hawke.

Zuzanna spojrzała na niego uważnie. W rękę trzymał karafkę z whisky. Miała wrażenie, że sporo wypił. Hawke rzadko pijał whisky.

- Co się stało? - spytała. Hawke nie podnosił wzroku.

- Miałbym ochotę powiedzieć, że nic, ale to nie pomoże. Twarz miał zwróconą w przeciwną stronę, ku oknu, chociaż odniosła wrażenie, że nie patrzy na nic konkretnego.

- O co chodzi? - spytała łagodnym głosem Zuzanna.

- Zrobiłem sobie test.

Świat zdawał się stać w miejscu. Serce, puls, oddech. Uczucia. Nic nie powiedziała. Powoli, drżącymi rękami

zdejęła swój ulubiony szary kapelusz i odruchowo rozczesała włosy palcami. Chciała jak najdłużej zatrzymać tę chwilę umykającej nadziei i względnej normalności. Wiedziała, że może to zrobić zadając głupie pytania. Jaki test? O czym ty mówisz? Ale słowa Hawke'a nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. Dlatego Zuzanna nic nie powiedziała, tylko spróbowała cofnąć czas siłą woli, w milczeniu; zmusić go do zawrócenia, kręcenia się w przeciwną stronę, jak kasetę wideo. Chciała znów znaleźć się w wielkiej, starej windzie, a potem na Canal Street.

Byle tylko nie usłyszeć słów, które muszą paść.

Piękne, zdecydowane usta Hawke'a były zaciśnięte.

- Mam wirusa - oznajmił.

Nie potrafili rozmawiać o tym we własnym mieszkaniu, wyszli więc na ulicę i ruszyli w głąb Chinatown, ku Mott Street, gdzie ponad sto dwadzieścia lat temu zamieszkali pierwsi chińscy handlarze; potem ku Doyers Street, gdzie przez pierwsze trzydzieści lat dwudziestego wieku wysłuchiwało się niezliczonych plotek o spelunkach, w których podają opium, o białym niewolnictwie i o walkach Tong; dalej ku zbiegającym się z trzech stron ulicom, gdzie w dzisiejszych czasach zacierania się różnic trudno byłoby wyznaczyć wyraźną dawniej granicę i gdzie do współczesnego chińskiego Nowego Jorku, rozrastającego się, asymilujące-go i kształcącego, dniem i nocą napływają przybysze z zewnętrznego świata, by skorzystać ze wspaniałych herbaciarni, restauracji i cukierni.

- Umieram z głodu - oświadczył Hawke. - Od kiedy Saul mi o tym powiedział, nie potrafiłem na niczym skupić myśli. Widocznie teraz mój organizm zaczyna się domagać swoich praw.

- Pewnie tak - powiedziała cicho Zuzanna.

- Chcesz coś zjeść?

- Tak, jeśli ty masz ochotę.

- Tylko pod warunkiem, że tobie też sprawi to przyjemność.

- Dobrze.

- Dokąd pójdziemy? - Spacerując po Chinatown,



Hawke zawsze przejmował coś z charakteru tej dzielnicy. Stawiał sprężyste, swobodne, spokojne kroki. - Może do „Mayflower”? Albo do „Hong Fat”. Tam zawsze jest gwarno. Nie chcę cichego lokalu. Mam wielką ochotę się napić.

- Nie mam nic przeciw temu - odparła Zuzanna.

- Wybieraj. Lubisz „Peking Duck House”, prawda? -Wciąż unikał jej wzroku.

- Może być. Pójdę tam, gdzie ty będziesz się dobrze czuł. W końcu zatrzymali taksówkę, przejechali mostem

brooklińskim na drugi brzeg i poszli do „Crisci”, od dawna jednej z ulubionych restauracji Hawke'a. W spokojnym, staroświeckim wnętrzu on jadł krewetki i popijał chianti, a Zuzanna rozgrzebywała swoje danie, koncentrując się na tym, żeby nie zacząć głośno wyc.

- Nic nie pijesz - zauważył Hawke. - Rozumiem, że nie masz ochoty, wydaje mi się jednak, że w tej sytuacji jak najbardziej wypada się upić.

-Pij.

- Jesteś zła.

Zuzanna otworzyła usta, potem zamknęła je i pokręciła głową.

- Nie dziwię się temu.

- Jesteś bardzo wyrozumiała - odparła złośliwie.

- Jestem zgubiony - powiedział Hawke, odkładając widelec. - Pomóż mi, Zuzanno.

- Och, Hawke - westchnęła czując, że zaraz nieprzerwanym strumieniem popłyną łzy, wzbierające gdzieś w głębi niej. - Mój Boże, musisz ze mną porozmawiać. Inaczej nie potrafię nic dla ciebie zrobić. - Sięgnęła ponad stołem i ujęła jego wielką dłoń. - Porozmawiaj ze mną.

- Chciałabyś wiedzieć, jak to się stało?

- A ty wiesz?

- Tak, wiem.

Czekała, nie puszczając jego dłoni. Hawke westchnął przeciągle i ze smutkiem.

- Czy nie chciałbyś stąd wyjść? - spytała. - Może na ulicy będzie ci łatwiej mówić?

Pokręcił głową.

- Nigdzie nie będzie mi łatwiej. - Rozejrzał się wokoło. - Nikt nas tu nie podsłuchuje.

- Nie o to mi chodziło.

- To też trzeba mieć na uwadze.

- Chyba tak.

Wysunął rękę z jej dłoni, podniósł kieliszek i napił się wina.

- Miałem kochankę - powiedział. - To było krótko po tym, jak przyjechałem do Nowego Jorku. Mieszkaliśmy razem blisko rok. Na początku osiemdziesiątego roku wszystko się skończyło. On był projektantem mody i jednym z najlepszych przyjaciół, jakich miałem. - Zapatrzył się na wino w kieliszku. Ani razu nie podniósł wzroku na Zuzannę. - Poznałem go jeszcze w Londynie. Od początku wiedziałem, że jest homoseksualistą. On godził się z tym, że mnie to nie pociąga.

Dopiero tutaj, na samym początku nowego życia, nasza przyjaźń stała się tak głęboka, intensywna, pełna uczucia, że straciliśmy zdrowy rozsądek.

Zatarły się granice. - Na ustach Hawke'a pojawił się cień uśmiechu. -

Byłem młody, nie miałem uprzedzeń i kochałem go. Nawet wtedy gdy byliśmy jeszcze tylko przyjaciółmi, czasem przytulaliśmy się do siebie. Było to naturalne, delikatne, kojące. Potem nasze uściski stały się bardziej pożądliwe, inne. - Na moment oczy Hawke'a spoczęły na twarzy Zuzanny, ale szybko wróciły do bezpiecznej czerwieni wina. - Byłem zdziwiony swoimi uczuciami, ale nie wstrząśnięty. Pozwoliłem na to. Chciałem tego.

Zuzanna odsunęła włosy z twarzy i wstała. Była blada jak upiór.

- Przepraszam - powiedziała chrapliwym głosem. - Muszę wyjść.

Hawke również wstał.

- Wrócisz?

Dostrzegła w jego oczach błaganie.

- Oczywiście - odparła.

W toalecie nie było nikogo. Zapatrzyła się bezmyślnie na swoje odbicie w lustrze. Żołądek się w niej skręcał. Przez chwilę myślała - tak jak przy stoliku - że zaraz zwymiotuje, ale wkrótce jej to minęło. Powoli przeszła do ubi-

kacji, zamknęła drzwi na klucz, usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Nie mogła jednak płakać. Oczy miała suche. Czuła się pusta i wypalona. Odsunęła dłonie od twarzy i przyglądała się ich drzeniu. Nie chciało się jej nawet myśleć o tym, żeby wstać, wrócić do stolika, usiąść na swoim miejscu i poprosić Hawke'a o dokończenie historii. Nie chciała, żeby mówił. Nie chciała słyszeć nic więcej. Nie chcę wiedzieć - pomyślała. Potem wstała, wyszła z ubikacji, zmoczyła zimną wodą nadgarstki, nałożyła na wargi szminkę, wróciła do stolika, usiadła i spojrzała na męża.

- Już mi lepiej - powiedziała. - Mów dalej.

Jego opowiadanie było proste i jasne. Przestał jeść, ale wciąż pił. Co jakiś czas zmuszał się, żeby spojrzeć jej w oczy, choć wolał wpatrywać się w kieliszek z winem, w ścianę za jej plecami albo w jakiś nieokreślony punkt nad jej głową. Głos miał przytłumiony, monotony. Słuchając płynnego, czułego, żalosego opowiadania o krótkim epizodzie z jego życia, Zuzanna pomyślała, że Hawke powtarza to po raz nie wiadomo który. Widocznie wiedział, że ta chwila musi nadejść, i od dawna przygotowywał sobie słowa, świadomy, że kiedyś będzie musiał wyrecytować to przed żoną.

Do zerwania i ostatecznego rozstania doszło z inicjatywy Hawke'a. Ten drugi mężczyzna odszedł z poczuciem - zdaniem Hawke'a całkiem uzasadnionym - że został zdradzony. W tamtych dniach Hawke najbardziej gryzł się tym, że być może wykorzystał w jakiś sposób swojego kochanka, zrozumiał bowiem, iż od samego początku w głębi serca wiedział, że dla niego jest to tylko przelotna przygoda. Nie eksperyment, ale pouczające doświadczenie, pozwalające mu lepiej zrozumieć własne potrzeby.

- W tamtych czasach nie wiedziałem, co to jest żal czy strach - powiedział z goryczą. - Ale teraz wiem. - Nalał sobie wina z drugiej już butelki. Był coraz bardziej pijany. - Pamiętasz moje zniknięcie w Londynie, dwa lata temu?

- Pamiętam.

Było to pierwsze słowo, jakie Zuzanna wypowiedziała od pół godziny.

- Od kiedy z nim zerwałem, nie rozmawialiśmy ze sobą. Nawet nie wysyłałiśmy sobie bożonarodzeniowych kartek. Obaj wiedzieliśmy, że po tym, co się między nami wydarzyło, nie możemy pozostać przyjaciółmi.

- Ale po Wimbledonie... Po nas... Skontaktowałeś się z nim - powiedziała Zuzanna.

- Nie - pokręcił głową Hawke. - Nic podobnego. To należało do przeszłości. Było tylko wspomnieniem. Cholernie ważnym, ale niczym więcej. - Napił się wina i zaczął je obracać w kieliszku. - Chryste! Nigdy się tego nie wstydzilem. To znaczy nie tego romansu, tylko swojego zachowania i bólu, jaki mu zadałem. Kiedy między mną a tobą wreszcie do czegoś doszło, byłem nieludzko szczęśliwy. Nawet sobie nie wyobrażasz - powiedział i zamilkł. - Ostatniego dnia w Londynie - podjął po krótkiej przerwie - kiedy poszłaś na zakupy, przypadkiem wpadłem na mężczyznę, którego nie widziałem od tamtych dni, i on mi powiedział. Zuzanna siedziała bez ruchu.

- Że twój przyjaciel jest chory? - spytała.

- Powiedział mi, że on jest w Londynie i że umiera. Spytał, czy chciałbym go odwiedzić przed śmiercią. - Oczy Hawke'a były trzeźwe i obce. - Pojechałem do niego. Leżał w prywatnym szpitalu, w izolatce. Był sam. Kiedy zobaczyłem, jak bardzo ucieszył się na mój widok... kiedy poprosił, żebym z nim został, zrozumiałem, że nie mogę go opuścić. - Spojrzał jej prosto w oczy. - Nie mogłem do ciebie zadzwonić. Nie potrafiłbym ci tego wytłumaczyć. Może gdyby to się stało w innym momencie... Wydaje mi się jednak, że mimo wszystko nie potrafiłbym się zdobyć na odwagę.

- Powinieneś mi powiedzieć.

- Wiem. Teraz wiem.

- Wtedy też wiedziałeś, Hawke. Musisz to przyznać, jeśli chcesz być ze mną szczery.

-Tak.

- Byłeś przy nim do końca? - spytała. -Tak.

- Czy to było bardzo okropne?

- Tak, dopóki się nie poddał. Potem było chyba trochę łatwiej.

- Po tym wszystkim przyjechałeś do Frankfurtu. -Tak.
- I nie chciałeś mi powiedzieć, gdzie byłeś - mówiła ściszym głosem, w którym pobrzmiwało niedowierzanie. -Kilka tygodni później poprosiłeś mnie o rękę.
- Tak.
- Jak mogłeś?
- Kochałem cię - odparł. - Nie chciałem cię stracić. Zuzanna poruszyła się niespokojnie i rozejrzała po sali.
- Restauracja była już prawie pusta, tylko przy barze siedziało kilku pijaczków. Nie patrzyła na zegarek. I bez tego wiedziała, że jest późno.
- Chyba powinniśmy już iść - powiedziała.
- Rzeczywiście.
- Hawke zawołał kelnera. Chwilę później dostali rachunek. Zapłacił gotówką, poprosił o wezwanie taksówki i znów rozsiadł się wygodnie.
- Nie powiedziałaś, jak on się nazywał.
- Chcesz wiedzieć?
- A chcesz mi powiedzieć?
- To nikomu nie pomoże - odparł.
- Nikomu - zgodziła się.
- Co czujesz, Zuzanno?
- Nie wiem.
- Pogardzasz mną?
- Nie wiem, co czuję. Jeszcze za wcześnie - powiedziała i wstała z krzesła.
- Chciałabym już wracać do domu.
- Po drodze żadne z nich nie powiedziało ani słowa. Kiedy znaleźli się w mieszkaniu, Zuzanna poszła prosto do części sypialnej, rozebrała się, związała włosy i zmyła makijaż. Hawke został na dole. W ciszy zaparzył kawę i przyniósł na górę dwie filiżanki.
- Dziękuję - powiedziała, stawiając swoją filiżankę na staromodnej toaletce.
- Mogę zostać czy raczej wolisz teraz być sama?
- Potrzebuję chwili samotności - odparła. - Zaraz przyjdę do ciebie. Chyba że chcesz się już położyć.
- Nie - powiedział i zszedł na dół.

Zuzanna popatrzyła w lustro tak samo, jak w restauracyjnej toalecie. Jakaś obca kobieta odpowiadała jej spokojnym spojrzeniem. Żona Hawke'a. Wkrótce wdowa po Hawke'u. Przyłożyła do ust filiżankę i upiła odrobinę kawy, po czym przełknęła ją z wysiłkiem. Oczy miała suche. Zamknęła je. W wyobraźni oglądała różne sceny. Ciało Rocka Hudsona, wynoszone z domu jak śmieć. Policjanci pokazujący maski i rękawice, których będą używali na miejscach wypadków z obawy, że mogą mieć do czynienia z nosicielami AIDS. Homoseksualiści i lesbijki, protestujący przeciwko zamknięciu łaźni publicznych.

Z dołu doleciały ją dźwięki gry Yehudi Menuhina, przeganiając sceny zapamiętane z wiadomości telewizyjnych i urzekając ją swoim nieznośnym, melancholijnym urokiem. Teraz - pomyślała. - Teraz zacznę płakać. Ale po chwili zrozumiała, że nie będzie łez, ponieważ nie pozwoli sobie na tak naturalną, łatwą ulgę.

Zeszła na dół, do męża.

Hawke siedział w najwygodniejszym fotelu, z filiżanką kawy w ręku. Spojrzał na nią, kiedy podeszła, i Zuzanna wyczytała w jego oczach ulgę i obawę. Wyglądał starzej, a zarazem i młodziej niż zwykle. Gdzieś między Brooklynem a Canal Street - zrozumiała to teraz - zamienili się rolami. Stało się to niemal niedostrzegalnie, ale było wstrząsające.

Doświadczony życiowo mentor, wspierający ją ciągłą zachętą, stał się nieopierzonym żółtodziobem na nowym dla niego - nowym dla nich obojga - terytorium: na ziemi AIDS.

Zuzanna uklękła obok niego.

- Nie będę delikatna - powiedziała. - Na to przyjdzie czas później. -

Hawke milczał. - Być może jestem samolubna - ciągnęła. - Pewnie powinnam myśleć teraz przede wszystkim o tobie, ale dwie sprawy nie dają mi spokoju.

Hawke odwrócił ku niej głowę i zmusił się, żeby spojrzeć jej w oczy.

- Mów.

- Trzymałeś to w tajemnicy. To jest najgorsze. - Cały czas była opanowana. - Naraziłeś mnie na niebezpieczeństwo. I nie tylko mnie. Również tych wszystkich, których kocham. Jak mogłeś? - spytała.

- Nie wiem.

- To mi nie wystarczy.

Hawke powoli odwrócił głowę, usiłując uciec przed jej wzrokiem.

- Nie odwracaj spojrzenia. - Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy; była zimna, jak jej dłonie w restauracji. - Popatrz na mnie. Powiedz.

Odwrócił się do niej. Dostrzegł udękę w oczach Zuzanny.

- Ze strachu - powiedział.

- Przed czym? - spytała, chociaż wiedziała, że miał prawo obawiać się wielu rzeczy. - Powiedz. Jeśli chcesz, żebym próbowała cię zrozumieć, musisz mi powiedzieć.

- Nie mogę udawać... - zachrypiął. Drżącymi rękami uniósł filiżankę, napił się kawy i chrząknął. - Nie ma sensu udawać, że nie powiedziałem ci, iż w przeszłości miałem romans z mężczyzną, tylko dlatego, że to wydarzyło się dawno temu i dzisiaj nie ma żadnego znaczenia. - Zamilkł na moment. Zacisnął zęby, siedział prosty jak drut. - Nie powiedziałem ci, bo wiedziałem, że będziesz tym wstrząśnięta, będziesz czuła wstręt.

Gdyby nawet tak się nie stało, samo poznanie tego epizodu mojego życia zmieniłoby twoje uczucia.

Powiedziawszy to napił się kawy, skrzywił się, stwierdziwszy, że jest zimna, i postawił filiżankę na podłodze.

- Mów dalej - prosiła Zuzanna.

- Tak myślałem przed Londynem, zanim zostaliśmy kochankami.

- Co też nie wyszło tak, jak sobie wyobrażaliśmy - powiedziała cicho.

Hawke spojrzał na nią.

- Zastanawiasz się, czy nie wychodziło nam czasem w łóżku dlatego, że byłem biseksualny?

- To ty musisz mi powiedzieć.

- Nie sądzę, żeby to był właściwy powód. Ale nie mogę mieć pewności. Wtedy myślałem, że dzieje się tak dlatego, iż tyle dla mnie znaczysz.

Byłem w tobie bardzo zakochany. Nadal tak myślę. - Zamilkł na chwilę. - Naprawdę wierzyłem, że to wszystko było i minęło. Nie uważałem tego za jakąś aberrację, to był bardzo ważny etap w moim życiu, ale

należał do przeszłości. Został zakończony. - Hawke wziął głęboki, drżący wdech. - Kiedy znów go zobaczyłem, umierającego, i dowiedziałem się, co go zabija, zrozumiałem, że jeśli ci powiem, między nami będzie koniec, a o tym nawet nie chciałem myśleć. Zatałem więc to przed tobą.

- Ale kochałeś się ze mną. - W jej głosie i oczach znów pojawiło się niedowierzenie.

- Wtedy nie znano jeszcze wirusa - powiedział Hawke. - Używaliśmy prezerwatyw. Chciałem wierzyć, że to cię zabezpiecza.

- Ale później zaczęłam przyjmować tabletki antykoncepcyjne.

- Próbowałem cię od tego odwieść.

- Sama nie wiem. - Spojrzała na niego. - Nie wiem.

- Kiedy dowiedziałem się, że istnieje test na obecność wirusa, chciałem się mu poddać. Ale wiele osób uważało, że to nie ma sensu, ponieważ często otrzymywano fałszywe, pozytywne wyniki. Zresztą i tak nic nie można było na to poradzić, nawet gdyby się okazało, że jestem zarażony. Byłem zdrowy, normalny. Wszystko skończyło się w osiemdziesiątym roku... Na Boga, od tego czasu minęły całe lata.

- Więc nie zrobiłeś testu.

- Wmawiałem w siebie, że nie ma takiej potrzeby. Uspokoilem się i prawie o tym zapomniałem. Potem zachorowałem po raz pierwszy, w Rzymie. Kiedy wróciliśmy, oddałem krew do badania. Nie musiałem nawet podawać swojego nazwiska.

- Ico?

- Nie odebrałem wyników. Powiedzieli, że to potrwa około dwóch tygodni. W tym czasie znów zdołałem przekonać samego siebie, że to niepotrzebne. Gdyby moje zapalenie płuc miało coś wspólnego z AIDS, nie doszedłbym do siebie w tak krótkim czasie. Ludzie bez przerwy chorują, a przecież nie wszyscy mają wirusa HIV. Było wiele powodów, dla których nie warto było zawracać sobie głowy wynikami. Ale, szczerze mówiąc, po prostu próbowałem uciekać przed prawdą. Byłem tchórzem. Zuzanna milczała.

- Zdziwiło mnie - powiedziała po chwili - kiedy miesiąc



temu się zraniłeś i nie chciałeś pozwolić, żebym zabandażowała ranę.

- Wiem.

- To znaczy, że jednak myślałeś o tym, że narażasz mnie na niebezpieczeństwo.

- Tak - szepnął.

- Czułeś się źle?

- Wtedy jeszcze nie.

- A teraz? - spytała. - Dlaczego zrobiłeś test?

- Znalazłem krostę - odparł. - Dwa tygodnie temu. Niewielką, czerwoną krostkę na udzie. Nawet tego nie zauważyłaś, ale ja byłem pewien, że to mięsak Kaposiego. - Usta zadrżały mu dziwnie. - Najśmieszniejsze, że była to tylko jedna mała krostka. Powiedziałem o wszystkim Saulowi, a on pobrał mi krew.

Zuzanna wstała. Nogi miała ścierpnięte.

- Dokąd idziesz? - spytał Hawke.

- Donikąd. - Podeszła do okna i wbiła niewidzące spojrzenie w rozciągającą się pod nią noc. - Zaczynam się zastanawiać, gdzie ja byłam przez ten czas. Ty przeżywałeś koszmar, a ja niczego nie zauważyłam.

- Dlaczego miałybyś coś zauważyć? - spytał łagodnie.

- Tego dnia, kiedy się skaleczyłeś, pomyślałam o wirusie, jakbym nagle dostrzegła prawdę, ale wydało mi się to tak nieprawdopodobne, wprost niemożliwe, że odsunęłam od siebie tę myśl. Pewnie dlatego, że tak było łatwiej.

- Trudno cię o to winić.

- Wiem, ale podobno jestem twoją żoną.

- Oczywiście, że jesteś moją żoną. - Hawke wstał, ruszył ku niej, ale raptem się zatrzymał. Zuzanna nadal spoglądała przez okno.

- Powinieneś mi powiedzieć - powtórzyła.

- Tak. Wielki Boże, powinienem. Przez chwilę oboje milczeli.

- Zostawisz mnie? - spytał w końcu. - Nie.

Nie odwróciła się jednak od okna.

- Jeśli zmienisz zdanie, nie będę miał ci tego za złe.

- Nie zmienię zdania.

Podszedł trochę bliżej i w szybie zobaczył jej odbicie, obok własnego. Przypominali parę bardzo poważnych, surrealistycznych duchów. Zuzanna zaczęła płakać.

Pierwszy wynik jej testu na obecność wirusa HIV, który otrzymała dwa tygodnie później, był negatywny. Zuzanna czuła ból w sercu widząc radość Hawke'a. Saul Weinberg powiedział jednak, że - mimo iż wiadomość z pewnością jest dobra - Zuzanna będzie musiała przejść badanie jeszcze raz, za sześć miesięcy, i nawet jeśli wówczas wynik również będzie negatywny, to jeszcze nie da im stuprocentowej pewności.

Pod koniec roku 1986 Hawke znów zachorował. Tym razem było już oczywiste, że to AIDS. Dopiero wówczas Zuzanna przestała się bać o własne zdrowie. Musiała się martwić o Hawke'a. To on miał zapalenie płuc i przyjmował mnóstwo lekarstw. To on miał umrzeć. Zuzanna była zdrowa. Udało się jej. Wynik drugiego testu bardzo ucieszył rodzinę Van Dusenów.

Mimo to gdzieś w głębi jej serca wciąż czaiła się niepewność.

## Rozdział 9

Rok później, tuż przed Bożym Narodzeniem 1987 roku, Pete Strauss pisał w swoim dzienniku pierwszy raz po dwutygodniowej przerwie. Co wieczór usprawiedliwiał się przed sobą, iż ma za wiele na głowie i jest tak zajęty, że nie ma siły prowadzić dziennika na bieżąco. W rzeczywistości jednak zaprzętały go wówczas sprawy, o których nie chciał pisać.

*Hawke'owi nie zostało wiele czasu. Pokonał jednak ciężką chorobę i czuje się doskonale w porównaniu z tym, co było ostatnio. Święta spędzi z Zuzanną w Cohasset. Wygląda żałośnie i wie o tym, ale nieoczekiwanie jest pełen - jak sam mówi - optymizmu nieboszczyka. Wynika to w znacznej części z nagłego uwolnienia od strasznego bólu i z miłości, jaką otaczają go Zuzanna i Van Dusenowie. Najważniejsze jednak wydaje mi się to, że ma teraz inną postawę wobec nadciągającego kresu swego życia. Carpe diem. Wykorzystanie każdego dnia, który wydaje mu się chociaż trochę normalny, pomaga mu bardziej niż lekarstwa i psychologiczne rozważania.*

*Martwię się o Zuzannę. Jej mąż wkrótce umrze; jego cierpienie się skończy. Niestety, najgorsze jest dopiero przed nią. Zuzanna dała mężowi całą siebie. Oddała mu pierwsze miejsce w swoim sercu. Dla niego podjęła się pracy, która jej wcale nie pociąga, i którą porzuciła, kiedy Hawke zachorował i potrzebował opieki. Teraz wszystko jest proste i jasne. Jest zakochaną kobietą. Kiedy zostanie wdową, będzie zagubiona, pusta, bez żadnej wizji przyszłości. Prawie wszyscy, którzy*

*stracili najbliższą osobę, czują się podobnie, ponieważ nadszedł koniec, ale dla nich nic się nie skończyło. Hawke umrze, ale Zuzanna będzie musiała żyć.*

*Martwią mnie jeszcze inne sprawy. To, co do niej czuję. Czuję zbyt wiele. Jestem jej psychoterapeutą, a jako fachowiec w swoim zawodzie wiem, że za dużo o niej myślę. Często się zmuszam do zachowania dystansu, ale przychodzi mi to z trudem. Pojawia się w moich myślach w najmniej odpowiednich momentach, w dzień i w nocy, i nie tylko dlatego, że jest piękna, silna, dzielna... Myślę, że jest tak z powodu bólu, który kryje w sobie głęboko; ciemności, do której czasem robi aluzje.*

*Ona sama przyznaje, że są sprawy, o których jeszcze nic potrafi rozmawiać. Czasem podejrzewam, że Hawke był dla niej chwilową ucieczką; rodzajem schronienia przed ukrytym głęboko cierpieniem, może nawet wymówką. Mam wrażenie, że chciałaby mówić o przeszłości, że bardzo tego potrzebuje. Zuzanna przeżyła osiemnaście lat, zanim poznała Hawke'a, ale bardzo niewiele mi o tym okresie powiedziała. Przed nią jest całe życie. Obawiam się jednak, że jeśli nie znajdzie siły, by spojrzeć wstecz, zajrzeć prawdzie prosto w oczy, przeszłość może ją kępować.*

*Poznała mnie jako duchowego opiekuna Hawke'a. Kiedy on umrze, moje zadanie dobiegnie końca. Tej właśnie myśli unikałem tak długo. Tego boję się najbardziej.*

*Że już jej więcej nie zobaczę.*

W pierwszy piątek lutego Tabita - dwudziestoletnia już studentka Brown University w Rhode Island - odwiedziła Zuzannę w Nowym Jorku, przywożąc ze sobą Abigail. Dziesięcioletnia Abigail Van Dusen miała złote włosy, o ton ciemniejsze niż siostra, i oczy, które Van Dusenom wydawały się dużo ciekawsze od piwnych oczu Mateusza Bodi-ne'a. Abigail była wysoka i szeroka w ramionach jak jej siostra, ale delikatnej budowy. Głos miała niski, łagodny, uroczy i często się uśmiechała. Lubiła muzykę, taniec, książki i zwierzęta. Ocean kochała jeszcze bardziej niż siostra. Kochała też Connie, Bryana, Tabitę, Zuzannę i Hawke'a. Nie pamiętała ani matki, ani ojca i nie odczuwała ich

braku. Wiedziała, że obie z Zuzanną są przybranymi dziećmi i że naprawdę noszą nazwisko Bodine, ale rzadko o tym mówiła i nigdy nie pytała o swoich przodków. Nie z braku ciekawości czy z obojętności, lecz dlatego, że była szczęśliwa. Choroba szwagra była pierwszym większym smutkiem w jej życiu, dlatego błagała Tabitę, żeby zabrała ją ze sobą do Nowego Jorku, żeby i ona mogła spędzić trochę czasu z Zuzanną i Hawkiem.

- Nie - powiedziała siostrze Zuzanna w piątek wieczorem. Abigail chciała odwiedzić Hawke'a w szpitalu. Siedziały wówczas w holu hotelu Westbury, czekając na Tabitę, która poszła do pokoju po rękawiczki.

Zamierzały zjeść kolację na mieście.

- Dlaczego? - spytała Abigail.

- Jest zbyt chory, by przyjmować gości.

Hawke przebywał w szpitalu od ponad miesiąca i był znękaný intubacją, zastrzykami i lekarstwami, po których wymiotował. Włosy znów zaczęły mu wypadać. Wierne przyjaciółki, jak Polly Mellen i Lauren Hutton, dowiedziawszy się pocztą pantoflową, że Hawke gaśnie w oczach, próbowały go odwiedzić, ale on nie chciał, aby go widziano w tak kiepskim stanie, i nie przyjmował gości.

- Ty do niego chodzisz - powiedziała Abigail.

- To co innego, kochanie - odparta Zuzanna.

- Tabbie też go odwiedzi.

- Być może.

- Chcę go zobaczyć - uparła się Abigail.

Miała piękne usta, ładniejsze nawet niż Zuzanna, ale kiedy coś się jej nie podobało, potrafiła je zaciskać tak, że tworzyły wąską szparkę. Dla tych, którzy dobrze ją znali, był to znak ostrzegawczy.

- Wiem, skarbie.

- Chcę go zobaczyć przed śmiercią.

- Abigail, na miłość boską - syknęła Tabita, która właśnie nadeszła i słyszała ostatnie słowa. - Hawke nie umrze. W każdym razie jeszcze nie teraz. Porozmawiamy o tym w bardziej stosownej chwili.

- Zuzanna nie chce się zgodzić, żebym go odwiedziła - poskarżyła się Abigail.

- Dlaczego? - spytała Tabita. - Przecież po to tu przyjechałyśmy.
- Myślałam, że przyjechałyście do mnie - odparła spokojnie Zuzanna.
- Do ciebie też, oczywiście. - Tabita usiadła obok Zuzanny. - Ale Hawke również jest dla nas ważny.
- Dla nas obu - podkreśliła Abigail.
- Zuzanna poczuła, że pozorny spokój powoli ją opuszcza.
- Chyba nie zdajecie sobie sprawy z tego, jak bardzo Hawke jest chory. Ciężko mu rozmawiać z ludźmi...
- Nie jesteśmy ludźmi. Jesteśmy jego rodziną - przerwała Tabita.
- Zuzanna wzięła ją za rękę.
- Wiem. Możemy porozmawiać o tym po obiedzie?
- Ona chce cię przekonać do swoich racji za moimi plecami - powiedziała Abigail.
- Nic podobnego.
- Nawet jeśli ma taki zamiar, to twój wiek ją do tego upoważnia - poparła Zuzannę Tabita.
- Nie jestem dzieckiem. Wiem, czym jest śmierć i AIDS.
- Zamknij się, Abigail - syknęła Tabita, chociaż nikt obcy ich nie słyszał.
- Myślałam, że wolno o tym mówić - zaprotestowała Abigail. - Mama i tata zawsze powtarzają, że nie powinno się zamiatać brudów pod dywan i że to byłoby nieuczciwe wobec ludzi takich jak Hawke.
- To jeszcze nie znaczy, że wolno ci o tym krzyczeć w hotelowym holu.
- Nie krzyczę.
- Rzeczywiście, ona nie krzyczy. Zuzanna wzięła do ręki torebkę i płaszcz.
- Chcę zobaczyć Hawke'a - zbuntowała się Abigail. - Zobaczę się z nim, nawet gdybyście mi tego zabroniły.

Zuzanna wstała. Była cała rozdygotana, wiedziała jednak, że musi się wziąć w garść. Zrobiła kilka głębokich, uspokajających oddechów i poczuła się lepiej. Nachodzącym ją czasem od kilku miesięcy nagłym atakom lęku towarzyszyły wyraźne, fizyczne objawy, takie jak drzenie, które pogłębiły się znacznie w ciągu ostatnich tygodni. To,

co powinno ją uspokajać i dodawać sił - jak, dla przykładu, towarzystwo Tabity i Abigail - z niewiadomych powodów wzmagało te dolegliwości. Tabita i Abigail miały nadzieję, że zatrzymają się u Zuzanny, ale ta w ostatniej chwili zarezerwowała trzy miejsca w hotelu Westbury. Dziewczęta były rozczarowane, ponieważ podobał im się artystyczny nastrój poddasza Hawke'a. Zuzanna powiedziała, że wybrała hotel ze względu na ciasnotę u niej w domu, ale w rzeczywistości - wbrew wszystkiemu, co wiedziała o chorobie męża, o tym, jak się można (a jak nie można) zarazić wirusem - kiedy w grę wchodziło zdrowie jej umiłowanej Abigail, nie potrafiła zdobyć się na odwagę. Mogłoby się przecież w przyszłości okazać, że epidemiolodzy i lekarze nie mają racji i że można jednak zarazić się wirusem HIV używając ręcznika, szklanki czy widelca osoby chorej. Przed przyjazdem siostry zwierzyła się ze swoich obaw Pete'owi. Słyszając to, pierwszy raz stracił cierpliwość. Jak ona, która od dwóch lat walczy z siostrą Himmler, mogła w tak paskudny sposób zdradzić Hawke'a?

- Nie zdradziłam go - zaprotestowała słabym głosem. Było to podczas obiadu, który jedli w gwarnej sali „Il Cantinori” przy Tenth Street.

- Ależ tak. Dobrze o tym wiesz. - Pete rzadko się złościł, przez co jego gniew był tym straszniejszy. - Zdradziłaś Hawke'a i wszystkich wam podobnych.

- Nic na to nie poradzę - powiedziała Zuzanna, bawiąc się makaronem polanym sosem.

Od chwili zerwania kontraktu z „Grace” zamawiała w lokalach wszystko, na co miała ochotę, ale - cóż za złośliwość losu - ostatnio straciła apetyt i była jeszcze szczuplejsza niż przedtem.

- Powinnaś zmienić swoje nastawienie. Jesteś kobietą inteligentną, świadomą faktów i silną.

- Nie czuję się silna.

- Nie mówię przecież, że nie jesteś człowiekiem - powiedział Pete łagodniejszym tonem. - Przesadziłaś w trosce o bezpieczeństwo siostry, ale to jeszcze nie koniec świata. Musisz jednak z tym skończyć. Odwołaj rezerwację.

- Nie mogę.
- Ależ możesz.
- W mieszkaniu nie ma miejsca dla trzech osób.
- Pleciesz bzdury. W sypialni zmieszczą się dwie, trzecia może spać na kanapie.
- Nie chcę dzielić łóżka Hawke'a z nikim innym.
- Nie mówimy o kimś obcym, tylko o twojej siostrze.
- To łóżko Hawke'a. Zresztą to tylko przenośny materac. Niektórzy nie potrafią spać na czymś takim - powiedziała i zarumieniła się. - Niech ci będzie, powiem prawdę. Nie potrafię zapanować nad swoimi uczuciami. Kiedy chodzi o Abigail, bywam nieobliczalna i nadmiernie opiekuńcza. Tak to wygląda.
- A więc nie chodzi ci o Tabitę, tylko o Abigail.
- Tabbie ma dwadzieścia lat. Abigail tylko dziesięć. Pete przyglądał się jej w milczeniu.
- O co chodzi? - spytała Zuzanna.
- Właśnie się zastanawiam.
- Nad czym?
- Spodziewałbym się, że przynajmniej ten jeden raz Hawke będzie ważniejszy od Abigail.
- Hawke nic na tym nie straci, że moja siostra przenocuje w hotelu.
- Ale będzie urażony, jeśli odciągniesz ją od niego, kiedy zechce go przytulić lub, nie daj Boże, pocałować.
- Nie zrobię tego - powiedziała Zuzanna, ale w sercu poczuła nagły chłód.
- Jesteś pewna?
- Jak najbardziej.

W tej samej chwili zdecydowała, że chociaż męża ucieszyłaby wizyta jej siostr, ona nie da Abigail okazji do przytulania i całowania Hawke'a. Wkrótce stało się jasne, że tylko zakucie w łańcuchy może powstrzymać Abigail przed odwiedzinami u szwagra. Kiedy w niedzielę po południu znalazły się wreszcie w pokoju Hawke'a, Zuzanna usiadła tak, żeby uniemożliwić siostrze jakikolwiek kontakt z chorym. Wiedziała, że wszyscy, łącznie z Hawkiem, zdają sobie sprawę z tego, co robi i dlaczego. Nikt też nie pogardzał nią za to bardziej niż ona sa



ma, ale żadna siła nie zmusiłaby jej do umożliwienia Abigail kontaktu z umierającym.

- Jak mogłaś? - powiedziała Tabita, kiedy czekały na windę.

- Go? - spytała Zuzanna. Czowała ból w gardle. Piuwe oczy Tabity spojrzały na nią spokojnie.

- Biedny Hawke - powiedziała.

Abigail nic nie mówiła. Żegnając siostrę na Penn Station, Zuzanna wyczytała w jej oczach i zaciśniętych mocno ustach głęboki wyrzut i zrozumiała, że sprawa nie zostanie szybko zapomniana; jeśli w ogóle to nastąpi. Ale gdyby nawet mogła przeżyć tę wizytę w szpitalu na nowo, postąpiłaby tak samo.

Tydzień później Hawke był, zdaniem lekarzy, w stanie pozwalającym na powrót do domu. Z tej okazji Zuzanna postanowiła przygotować uroczystą kolację. Zakupy zrobiła w Chinatown. Na gwarnym targu przy Canal Street kupiła świeże ryby, w Lye Yan jarzyny, a w Canton Noodle przy Mott Street wszystko, czego potrzebowała do przygotowania *won ton*. Hawke, któremu od tygodni nic nie smakowało i z trudem przełykał pokarmy, tym razem jadł z widoczną przyjemnością, popijając sake.

- Czuję się jak w raju - powiedział słabym głosem. - Dawno już gotowanie nie sprawiło mi tyle przyjemności.

- Musisz o siebie dbać.

- Wiem.

- Martwię się o ciebie.

- Niepotrzebnie.

Po kolacji pomogła mu wejść po krętych schodach. Z bólem myślała o tym, że Hawke prawdopodobnie ostatni raz prześpi noc w swojej sypialni. Nogi miał straszliwie chude, mięśnie słabe. W końcu udało im się dotrzeć na górę. Warto było zadać sobie tyle trudu. Hawke wyglądał na szczęśliwego, kiedy położył się we własnym łóżku. Zuzanna mocno się do niego przytuliła. Tutaj nie przeszkadzały im kroplówki ani żadna inna aparatura medyczna.

- Wybaczysz mi? - spytał po chwili Hawke.

- Co mam ci wybaczyć?

- To - powiedział. - Że to mam i że naraziłem cię na niebezpieczeństwo.

Że na to umieram.

- Hawke, nie mam ci nic do wybaczenia - szepnęła. Serce jej pękało z bólu.
- Nie kłam, Zuzanno.
- Nie kłamię. Może kiedyś, na samym początku, miewałam takie myśli. Ale nie teraz.
- Nigdy ze mną o tym nie rozmawiasz - zauważył.
- Nie.
- Ja też boję się poruszać ten temat.
- Wiem. - Zuzanna zapragnęła zgasić nocne lampki, żeby móc ukryć w ciemności zaczerwienioną twarz. - Pete mi o tym mówił.
- To niezwykle człowiek - powiedział Hawke.
- Tak. Całe szczęście, że go mamy do pomocy.
- Mam wrażenie, że się w tobie zakochał.
- Nie - zaprzeczyła Zuzanna.
- I tak by nic po sobie nie pokazał, nawet gdyby był zakochany. Jeszcze nie teraz.
- Hawke, przestań.

Pocałowała chude ramię, niegdyś tak silne. Hawke był dumny ze swojej siły. Nieraz przyłapywała go na oglądaniu mięśni w łazienkowym lustrze i chociaż wówczas sobie z niego żartowała, to jej również podobała się jego siła, której nigdy nie wykorzystał przeciwko żonie. Jego twarz, ze złamanym nosem boksera i zdecydowanym podbródkiem, teraz była tak wychudzona, że nawet stara szrama zniknęła w cieniu zapadniętych policzków. Nie mogła przyglądać mu się dłużej, świadoma, że jej spojrzenie go boli, ponieważ on również wie, jak źle wygląda, jak bardzo się zmienił. Dlatego czekała, aż zaśnie, i dopiero wtedy wpatrywała się w jego twarz, pijąc swój kielich goryczy. Umierający Hawke był nadal żywym Hawkiem. Poza tym kiedy spał, nie musiała patrzeć w jego przerażone, zaszczute oczy.

Dzisiaj jednak nie miał ochoty na sen.

- Chciałabyś porozmawiać? - spytał.
- Oczywiście, że tak. O czym?

- O tobie. O mnie. O umieraniu. Zuzanna przymknęła oczy.
  - Możesz mówić o wszystkim, o czym chcesz.
  - Zawsze to robisz - powiedział spokojnie, ale z wyrzutem. - Nie chcesz zrozumieć, że mnie potrzebne są takie rozmowy.
  - Rozumiem to - szepnęła - ale ty musisz zacząć pierwszy.
- Hawke czekał. Oddech miał cięższy niż podczas kolacji.
- Boję się - powiedział w końcu.
  - Wiem.
  - Nie mów tak. Nie wiesz.
  - W takim razie opowiedz mi o tym. Uśmiechnął się bez cienia wesołości.
  - Z jednej strony, teraz już niewiele rzeczy muszę się bać. Spotkało mnie najgorsze. Nie zginę w wypadku samolotowym, nie utonę, nie spłonę żywcem. Złapałem już najgorszą chorobę i nic gorszego mnie nie czeka. Widziałem, jak moja żona robi wszystko, żeby jej siostra nie pocałowała mnie w policzek.
- Zuzanna chciała wstać i uciec, ale zmusiła się do pozostania w łóżku.
- Nie mam o to żalu - ciągnął Hawke. - Moim zdaniem, miałaś rację.
  - Nie. Nie miałam racji. Hawke wzruszył ramionami.
  - Nie rozstrzygniemy teraz tego sporu.
  - Sprawiałam ci przykrość - powiedziała Zuzanna.
  - Drobną. Pierwszy raz, od kiedy się znamy. To chyba nieźle?
  - O jeden raz za dużo.
  - Wspominam o tym tylko dlatego, bo wiem, że do dzisiaj się tym gryziesz. Teraz możesz o tym zapomnieć.
  - Nigdy - powiedziała.
  - Kazałem ci zapomnieć. To moje ostatnie życzenie.
  - Dobrze.
- Poruszył się niespokojnie.
- Jak długo się znamy?
  - W maju minie osiem lat.

- Płaczesz? - spytał.

- Tak.

- Ja też.

Spojrzała na niego. Rzeczywiście płakał. Nigdy wcześniej nie widziała go płaczącego. Jego łzy płynęły swobodnie, wzbudzając w niej rosnącą litość. Miała jednak wrażenie, że przynoszą mu ulgę.

-Dziwnie się między nami układało, nie uważasz? -spytał.

- Dlaczego dziwnie? Grzbietem dłoni otarła łzy.

- Na początku byliśmy jak ojciec i córka. Uczyłem cię świata - mówił urywanymi zdaniami. Na wypowiedzenie dłuższej frazy nie starczało mu oddechu. - Potem wszystko stanęło na głowie. Teraz jesteśmy jak matka i syn. Ty udzielasz mi wszelkiej pomocy.

- Ty też mi pomogłeś, Hawke.

- Tak, wiem. - Do lewego kącika jego ust podpłynęła pojedyncza łza i Hawke ją zliżał. - Nie mieliśmy czasu, żeby być normalnym małżeństwem.

- Chyba nie rozumiem, o czym mówisz.

- Na przykład o Connie i Bryanie.

- Tak - mruknęła Zuzanna. - Oni stanowią zgrany zespół.

- My też byliśmy zgranym zespołem - odparł Hawke. -Mimo że niektóre sprawy przed sobą ukrywaliśmy.

- Sprawy?

- Tajemnice.

Zuzanna milczała. Serce jej waliło jak młotem, wszystkie mięśnie miała napięte.

- Jeśli chcesz, możesz mi teraz o wszystkim powiedzieć. Obiecuję, że cię nie zdradzę. Gdybym nawet chciał zmienić zdanie, pewnie i tak nie wystarczy mi na to czasu.

- Zamknij się, Hawke.

- Mówię poważnie, kochanie. - Poglaskał ją po włosach. - Jeśli nie chcesz, nie musisz. Nigdy nie przeszkadzało mi to, że masz przede mną tajemnice. Gdyby nie ta plaga, ja też nie powiedziałbym ci o mężczyźnie, który mnie tym zaraził. Nie mówiłem ci, jak się nazywał?

- Nie obchodzi mnie jego nazwisko - rzuciła Zuzanna z gniewem.

- Nie dziwię ci się. Zresztą, czym jest nazwisko?

Zapadła chwila milczenia. Przyglądali się sobie, wspominając, jak przed laty, kiedy zaczynali wspólne życie, uzgodnili, że nie będą się dopytywali o przeszłość partnera. Diagnoza medyczna wydarła Hawke'owi jego tajemnicę, ale sekret Zuzanny nadal pozostawał w ukryciu.

- Widzę - odezwał się w końcu Hawke - że nie okraszisz ostatnich chwil mojego życia szczerym wyznaniem u wezglowia konającego.

Nagle Zuzanna zapragnęła otworzyć się przed nim i zrzucić z siebie ogromny ciężar, ale szybko wrócił dawny lęk i znów nie była skora do zwierzeń.

- Nie - powiedziała, cicho wzdychając.

- Nie szkodzi.

- Przykro mi.

- Bez powodu. - Hawke był bardzo łagodny. - Chciałem ci pomóc.

- Wiem.

- Dasz sobie radę? - spytał.

- W swoim czasie - odparła.

Na następne przedpołudnie Zuzanna umówiła się z Andream Marantz i z redaktorem z Random House, zainteresowanym szybkim wydaniem albumu ze zdjęciami Hawke'a; dochód z przedsięwzięcia miał zasilić kasę AmFAR\*. Podczas jej nieobecności Hawkiem miała się zająć Angie Lopez. Około dziesiątej Angie zadzwoniła i powiedziała, że spóźni się pół godziny. Zuzanna wykręciła numer telefonu agencji Marantz.

- Do kogo dzwonicz?

Hawke leżał na wersalce. Obok niego stał kubek z herbatą cytrynową. Kiedy podnosił kubek, chwycił go obiema, drżącymi dłońmi.

- Do Andrei.

- Po co?

\*American Foundation for AIDS Research - Amerykańska Fundacja do Badań nad AIDS.

- Muszę przełożyć nasze spotkanie.
  - Nie - zaprotestował Hawke. Przycisnęła słuchawkę do ucha.
  - Zuzanno, odłóż słuchawkę - powiedział ostrym głosem. Zaskoczona tym, Zuzanna rozłączyła się.
  - Co się stało?
  - Nie chcę, żebyś odwoływała spotkanie.
  - Nie odwołuję go, tylko przekładam.
  - Jedynie dlatego, że Angie spóźni się pół godziny?
  - Dlatego że wolę zostać tutaj, z tobą - powiedziała Zuzanna.
  - Boisz się zostawić mnie bez opieki.
  - Oczywiście, że nie.
  - Posłuchaj! Świadomość, że ktoś nie chce cię zostawić samego nawet na pół godziny, w obawie, że popsujesz mu cały plan dnia umierając właśnie w tym czasie, nie należy do przyjemności.
  - To, co mówisz, jest straszne. - Zuzanna odstawiła telefon na stolik. - Zaledwie wczoraj wyszedłeś ze szpitala. Nie ma chyba nic dziwnego w tym, że nie chcę cię zostawiać samego. Może będziesz czegoś potrzebował...
  - Niczego mi nie potrzeba, a gdyby nawet, poradzę sobie - powiedział z goryczą. - Nie zapominaj, że to mój dom. Wiem, gdzie czego szukać.
  - Oczywiście.
  - Nie próbuj mnie zbyć.
  - Nie próbuję.
  - Udowodnij to.
- Podeszła do wersalki, schyliła się i pocałowała go w usta.
- To miłe, ale nie o to mi chodziło.
  - A o co?
  - Chcę, żebyś poszła na to spotkanie. Potrzebuję wygody i poczucia bezpieczeństwa, ale i ta książka jest dla mnie ważna. Przyjemnie jest wydać album, choćby i po śmierci, że już nie wspomnę o dochodach z praw autorskich, które powiększą mój majątek, ile go tam jeszcze zostanie po zapłaceniu rachunków za szpital.
  - Dochody z praw autorskich zostaną przeznaczone na cele charytatywne - przypomniała Zuzanna.

- Wolałbym, żebyś to ty z nich korzystała.
- Sam wybrałaś AmFAR.
- Chyba masz rację. Znowu okazałem się próżny. -Hawke podał jej kubek z herbatą. - Wstaw go do zlewu, zanim wyjdiesz.
- Na pewno mogę wyjść?
- Będę grzeczny - obiecał. - Zdrzemnę się przed przyjściem Angie.
- Jesteś zmęczony? - spytała zaniepokojona.
- Zawsze jestem zmęczony. Wyświadcz mi tę przysługę i idź sobie.
- Już mnie nie ma.

Wróciła ze spotkania dwie godziny później. Kiedy wysiadła z taksówki przy Canal Street, nic nie wskazywało na to, że stało się coś złego. Weszła do bloku, wsiadła do wielkiej, starej windy, wjechała na górę i otworzyła drzwi do mieszkania.

Angie Lopez czekała na nią z dziwnym wyrazem twarzy.

- Co się stało? Gdzie jest Hawke? - Zuzanna chciała minąć Angie, ale ta zatarasowała jej przejście. - Gdzie on jest?
- Nie ma go w domu.
- Boże, co się stało? Angie, powiedz wreszcie! - Patrząc w twarz Angie, dostrzegła na niej lęk. Serce Zuzanny przeniknął ostry ból. - Powiedz!
- Musiałam wezwać Saula Weinberga. - Angie nadal tarasowała przejście, nie puszczając Zuzanny dalej. - Zabrał Hawke'a do szpitala. Wyjechali przed kilkoma minutami.
- Kiedy wychodziłam, czułem się całkiem dobrze. - Zuzanna znów chciała ominąć Angie, ale ta przesunęła się, broniąc dostępu do dalszych części mieszkania. - Angie, co się dzieje?
- Zanim to zobaczysz, muszę ci powiedzieć...
- Co zobaczę? - zdenerwowała się Zuzanna. Odepchnęła Angie i weszła dalej. - Na miłość boską, co mam zobaczyć?
- Jego pracownię - powiedziała słabym głosem Angie.

-Co?

Zuzanna weszła do pokoju, skręciła w prawo i stanęła jak wryta.

- Widocznie wpadł w szal - odezwała się za jej plecami Angie.

- Hawke to zrobił? - szepnęła zdumiona Zuzanna.

- Właśnie kończył, kiedy się tu zjawiłam.

- Nie mogę uwierzyć, że to on.

Zuzanna weszła do ukochanego, nieskazitelnego królestwa Hawke'a, gdzie wszystko miało swoje miejsce i gdzie było miejsce na wszystko.

Tutaj nauczył ją tego, co wiedział o pozowaniu, robieniu zdjęć i o tym, w jaki sposób fotografie ubrań nabierają życia, siły i świeżości. Tutaj inspiracja pracowała ręka w rękę z precyzją, fantazja z ciężką pracą, a sława i uroda z wysiłkiem. Tutaj lśniące oczy Hawke'a, jego palce i umysł uczyły aparat fotograficzny opowiadać zarówno prawdę, jak i kłamstwa.

Wszystko to było teraz jedną ruiną. Sprzęt został strzaskany, lampy potłuczone, zasłony porwane, a powiększenia, pozdzierane ze ścian, zaśmiecały podłogę. Ulubione krzesło Hawke'a leżało przewrócone, ze złamaną nogą.

- Nie wierzę własnym oczom - szepnęła Zuzanna.

- Ja też nie mogłam uwierzyć - powiedziała Angie, płacząc. - Kiedy tu przyszłam, właśnie skończył. Leżał na podłodze, wyczerpany. Dłonie miał powalane czerwonym atramentem. Myślałam, że to krew, że podciął sobie żyły, ale to był tylko atrament. - Spojrzała na Zuzannę, zobaczyła, że młoda kobieta cała drży, i otuliła ją ramieniem. - Usiądź sobie.

- Nie.

Zuzanna odtrąciła przyjazne ramię i zrobiła kilka kroków w głąb pracowni. W kącie, jak jakiś śmieć, leżało jej stare, czarno-białe zdjęcie, na którym wyglądała tak ślicznie jak na żadnym innym. Zostało przecięte nożem.

- Nie! - powtórzyła.

Angie wyszła, ale po chwili wróciła, niosąc należący do Hawke'a aparat fotograficzny, pentaxa.

- Kiedy go znalazłam, trzymał to w ręku. Mam wrażenie, że robił zdjęcia swojemu ostatniemu dziełu, ale nie jestem



pewna. Gadał od rzeczy. - Podała aparat, który Zuzanna odruchowo chwyciła. - Przykro mi.

- Tak.

Zuzanna przyłożyła pentaxa do brzucha i mocno przycisnęła. Chciała poczuć ból.

-Pewnie zechcesz teraz do niego pojechać? - spytała Angie.

Zuzanna milczała.

- Jesteś mu potrzebna. Zuzanna zamknęła oczy.

- Oczywiście - powiedziała.

Po tym wypadku Hawke nie chciał z nikim rozmawiać. Zniszczenie pracowni odebrało mu mowę, wstrząsnęło nim do głębi, wtrąciło w depresję i pozbawiło resztek sił. Kilka dni po przyjęciu do szpitala wszystko zważyło się na niego jednocześnie. Liczba jego chorób rosła w zatrważającym tempie. Miał powiększoną wątrobę, potem śledzionę, wreszcie zaczęły szwankować nerki. Pojawiły się wewnętrzne krwawienia, pluć krwią. Nawet pielęgniarki bardziej odporne od Himmler zakładały teraz rękawiczki i fartuchy ochronne. Podawano mu dożylnie całą masę antybiotyków i bezskutecznie namawiano na podpisanie dokumentu upoważniającego do wykonania zabiegów, które lekarze uważali za konieczne, by przedłużyć mu życie. Prosili nawet Zuzannę, żeby podpisała się zamiast niego. Odmówiła twierdząc, że Hawke jest w pełni władz umysłowych. Wtedy znów zwrócili się do niego, podtykali mu pod nos formularze i tak długo namawiali, aż drżącymi rękami złożył na dokumencie podpis, tylko trochę przypominający dawny, z energicznym zawijaszem. Bezradna Zuzanna, złościąc się w duchu, patrzyła, jak przetaczają mu krew. Mimo wszystko po kilku godzinach Hawke stracił przytomność i trwał w tym stanie, obojętny na wszystko, co z nim robiono - w imię medycyny - przez następne osiem dni.

Ostatniego dnia lutego, po czwartej po południu, w czasie gdy Zuzanna wyszła napić się kawy, a przy łóżku siedział

Pete Strauss, Hawke odzyskał przytomność tylko po to, żeby powiedzieć coś, co - jak twierdził Pete - ciążyło mu tak bardzo, że jego podświadomość nie dawała mu spokoju. Hawke mówił niewyraźnie, ale zrozumiale i natarczywie.

- Powiedz Zuzannie, że nie chciałem niszczyć jej zdjęć -prawa ręka Hawke'a drgnęła. - Wszystkie inne tak, ale nie jej. Powiedz jej o tym.
- Zuzanna za chwilę wróci - powiedział Pete, czując w gardle gorzkie łzy.
- Powiedz jej! - Hawke zaciskał i rozluźniał pięść. Pete przytrzymał ją w swojej dłoni. - Powiedz jej. - Ręka chorego znieruchomiała. - Dbaj o nią. - Oczy Hawke'a patrzyły przez chwilę całkiem trzeźwo.
- Dobrze - obiecał Pete.
- Kryje w sobie wiele bólu - mówił Hawke. - Ukrywa to nawet przed sobą.
- Da sobie radę.

Pete puścił dłoń chorego.

- Jeśli jej pomożesz... - powiedział Hawke i znów stracił przytomność. Jego serce stanęło po raz pierwszy pięć godzin później, ale lekarze, wbrew woli Zuzanny, robili, co mogli, żeby przywrócić go do życia, jakby był pięcioletnim dzieckiem, które ma przed sobą długą przyszłość.
- Poszukaj Saula Weinberga - poprosiła Pete'a. Hawke leżał podłączony do aparatów podtrzymujących funkcje życiowe. - Poproś, żeby z nimi porozmawiał... żeby mu pozwolili odejść, kiedy to się powtórzy. - Po jej policzkach płynęły łzy. Tak mocno ścisnęła dłoń Pete'a, że zostawiała na skórze ślady swoich paznokci. - Czy oni nie widzą, co mu robią? Nie rozumieją, że ma dość?

Serce Hawke'a zatrzymało się po jedenastej w nocy. Przez piętnaście minut usiłowali zmusić je do pracy. Potem zostawili go w spokoju. Zuzanna nie chciała rozmawiać z mężem o pogrzebie, podobnie jak o wielu innych sprawach związanych z jego chorobą. Dlatego Hawke przekazał to Pete'owi.

- *Życzył* sobie, by jego ciało zostało poddane kremacji -powiedział Pete nazajutrz po śmierci Hawke'a. - Było mu obojętne, czy dostanie pomnik, zwykły kamień nagrobny czy też nie zostanie po nim żaden widoczny ślad. Oświadczył tylko, że nie chce tego, co sam nazwał wielkim *requiem*, kiedy to ludzie publicznie zabierają głos, wychwalając zmarłego jako wielkiego, uzdolnionego człowieka. Pytałem, czy ma jakieś życzenie co do miejsca, w którym jego popioły mają zostać rozrzucone, ale stwierdził, że to również jest mu obojętne. Może w jego ojczyźnie... Dodał jednak, że nie potrafi sobie wyobrazić Zuzanny rozrzucającej jego prochy w Anglii. - Pete uśmiechnął się lekko. - Powiedział, że taka wyprawa nie ma sensu, kiedy jego już nie będzie, i wspominał jeszcze, żeby uwiecznić tę chwilę na filmie.

Hawke poinformował swoich rodziców o chorobie w liście bożonarodzeniowym, wysłanym z domu Van Dusenów. Błagał, żeby nie przyjeżdżali, żeby mógł ich wspominać takimi, jakimi zawsze byli, a nie widzieć ich przerażonych i zmartwionych, stojących u wezłowania łóżka umierającego syna. Napisał, że wie, iż prosi o wiele, ale wybiera to, co będzie lepsze dla niego. Łatwiej poradzi sobie z tym wszystkim, jeśli nie będzie musiał martwić się o nich.

Kiedy Zuzanna, wspierana duchowo przez Bryana, Connie, Tabitę i Abigail, przyleciała z prochami Hawke'a do Anglii, jego rodzice - którym przeżyty wstrząs, smutek i zaskoczenie tym, czego dowiedzieli się o synu, dodały lat -powitali ją z miłością i wdzięcznością, jak rodziną córkę. W zimny marcowy poranek pochowali jego szczątki na rodzinnej parceli na miejscowym cmentarzu. Padał deszcz, drzewami targał lodowaty wschodni wiatr. Podczas krótkiej ceremonii pogrzebowej para srok wrzeszczała chrapliwie wśród nagich gałęzi starego, dziwacznie powykręcane go dębu. Zuzanna nie słuchała słów księdza. Wbiła spojrzenie w mokrą od deszczu trawę, rosnącą wokół wystających nad ziemię korzeni drzewa, i myślała o wczesnych fotografiach Hawke'a, które zrobił zaraz po przybyciu do Nowego Jorku, spokojnie i bez planu przemierzając ulice i parki miasta, podpatrując jego życie. Kiedy ceremonia dobiegła końca, wzięła do ręki pentaxa Hawke'a (ten sam aparat, za które-

go pomocą uwiecznił on na filmie zniszczoną przez siebie -w odruchu buntu i protestu - pracownię) i zaczęła fotografować jego grób, sroki na starym dębie i twarze obojga rodziców. Po czym przyklękła i złożyła aparat w zimnej, wilgotnej ziemi, obok prochów męża.

Miesiąc później Zuzanna wyprowadziła się z mieszkania Hawke'a. Wiedziała, że bez niego, bez nadziei na to, że on wróci, ogrzeje je i rozświetli swoją obecnością, miejsce to jest tylko pustą muszlą; nie mogło jej pocieszyć.

- Wracasz do Cohasset... - burknął Pete Strauss podczas sesji, która miała być ostatnią. - Myślisz, że długo tam wytrzymasz?

- Oczywiście - powiedziała Zuzanna. - Mam tam rodzinę.

- Twoja rodzina była tam w ciągu ostatnich czterech czy pięciu lat, ty jednak mieszkałaś na Manhattanie. Twoje miejsce jest tutaj. Nie wyobrażam sobie ciebie w małym miasteczku.

- Mam wrażenie, że tego potrzebuję.

- Może przez jakiś czas. Zatrzymaj się tam miesiąc, odpocznij...

- A później?

- Wracaj.

- Po co?

- Do pracy - powiedział Pete.

- Mam być modelką? - Zuzanna pokręciła głową. - Andrea twierdzi wprawdzie, że o mnie pytają, ale ona równie dobrze jak ja wie, że to już koniec. Nigdy nie kryłam, że będę to robiła z Hawkiem albo wcale.

- Zdobyłaś duże doświadczenie. Mogłabyś teraz to wykorzystać.

- Nigdy nie chciałam być modelką.

- Nie musisz być modelką. To, przez co przeszłaś, mogłoby podnieść na duchu wiele osób.

-Miałabym zbierać pieniądze? Powiedziałam w Am-FAR, że jeśli będą potrzebowali mojej pomocy, jestem do ich dyspozycji.

- To dobrze, ale ja miałem na myśli coś, w co byłabyś bardziej zaangażowana.

Zuzanna szeroko otworzyła oczy.

- Sądysz, że powinnam pracować z chorymi na AIDS? -Była przerażona.
- Nie potrafiłabym.
- Moim zdaniem, byłabyś świetna. -Nie.
- Oczywiście, jeszcze nie teraz.
- Nigdy - powiedziała. - Sam wiesz, że nawet Hawke'owi nie potrafiłam pomóc. Potrzebował ode mnie tak wiele, a ja sprawiałam mu jeden zawód za drugim. Nie umiałam sobie z tym poradzić.
- Dlatego też byłabyś teraz bardziej wrażliwa na potrzeby chorych.
- Mylisz się, Pete. Zupełnie się do tego nie nadaję. Nie jestem taka jak ty.
- Możliwe.
- Nawet na pewno. - Zuzanna nie miała co do tego żadnych wątpliwości.
- Będzie mi ciebie brakowało - powiedział po chwili.
- Mnie też będzie ciebie brakowało - powtórzyła za nim Zuzanna, patrząc w jego zielone oczy. - Bardzo mi pomogłeś.
- Cieszę się. Czy to znaczy, że zakończyliśmy nasze sesje?
- Chyba tak - odparła. - A co ty o tym sądzisz?
- Ocena nie należy do mnie. Oficjalnie nigdy nie byłaś moją pacjentką.
- Nie? Miałam wrażenie, że na tym się skończyło.
- Powiedziałbym raczej, że się zaprzyjaźniliśmy.
- Bez ciebie nie poradziłabym sobie z tym wszystkim.
- Ależ tak. Jesteś twarda.
- To nieprawda.
- Jeszcze zobaczymy - powiedział Pete.

## CZĘŚC DRUGA

## Rozdział 10

List od szantażysty przyszedł na jej nowojorski adres ostatniego dnia 1991 roku. Roilo się w nim od błędów, kartka była niedbale złożona i wsunięta do zwykłej koperty z najtańszego papieru, ze znaczkiem ostemplowanym w Bostonie. List nosił datę dwudziestego piątego grudnia i, jak większość tego typu listów, nie był podpisany. Zuzanna wiedziała jednak, że nadawca nie ma wątpliwości co do tego, iż zostanie przez nią rozpoznany.

*Jesteś taka dobra. Wszyscy widzą w tobie świątobliwą pieprzoną Zuzannę od pieprzonych chorych, ale ja mógłbym im o tobie powiedzieć rzeczy, od których zakręciłoby im się w ich cholernych głowach. A co z Abigail? Co z kochaną siostrzyczką?*

Chciał pieniędzy. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów w gotówce. Nie podał, kiedy i jak ma mu zapłacić. Spodziewała się, że wkrótce ją o tym poinformuje. Zastanawiała się, czy powinna się z nim spotkać. Jeżeli będzie musiała, jakoś zdobędzie żądane pieniądze. Nie mogła jednak znieść myśli o spotkaniu z nim.

Czytając te słowa pierwszy raz, zwymiotowała. Ledwo zdążyła dobiec do łazienki. Całe szczęście, że była w domu sama. Nie była głupsza od innych i wiedziała, że powinna zanieść list na policję albo przynajmniej pokazać go komuś: Bryanowi albo Pete'owi. Pete byłby tym mniej zdziwiony niż Bryan. Jeśli jednak choć jedna osoba dowie się prawdy, wcześniej czy później wszystko wyjdzie na jaw

i chociaż szantażysta nie dostanie pięćdziesięciu tysięcy dolarów, to i tak wyjdzie z tego jako zwycięzca.

Mylił się tylko co do jednego. Pragnienie chronienia Abigail to nie jedyny powód, dla którego Zuzanna mogła ulec jego żądaniu. Równie mocno chciała bronić siebie, swojego spokoju, sił i zdrowia psychicznego. W ciągu czterech lat, jakie upłynęły od śmierci Hawke'a, starała się uporać ze sobą i swoją przeszłością, zarówno samodzielnie, jak i podczas sesji psychoterapeutycznych z Pete'em Straussem. Było to bolesne, często przerażające doświadczenie. Podchodziła do tego z obawą, wiedziała jednak, że to jedyny sposób, by osiągnąć cel, jaki - po pierwszych kilku miesiącach żalu i tęsknoty za zmarłym Hawkiem - sobie postawiła. Nigdy dotąd nie miała jasno wytyczonego celu; nigdy nie potrafiła dokładnie określić, czego pragnie. Teraz miała taki cel i wytrwale zmagala się z najróżniejszymi przeciwnościami, żeby go osiągnąć.

Nie pozwoli, żeby taki człowiek wszystko zniszczył.

Pete'a Straussa odwiedziła trzy lata wcześniej, podczas jednego z nielicznych pobytów w Nowym Jorku. Była druga niedziela listopada, dziewięć miesięcy po śmierci Hawke'a. Udała się na Eighth Street z torebką pączków. Nie zadzwoniła, żeby uprzedzić o swojej wizycie. Postanowiła spróbować szczęścia. Wracając do domu po porannym biegu, Pete zastał przed drzwiami miłą niespodziankę.

- Chcę otworzyć dom dla chorych na AIDS - powiedziała mu na samym początku. Nagrodą dla niej był wyraz zaskoczenia na jego twarzy.

Pierwszy raz udało się jej czymś Pete'a zaskoczyć.

Usiedli w dużym pokoju, zajadali pączki i pili kawę. Wszystko zdawało się być jak dawniej, jakby Zuzanna nigdy nie opuściła Nowego Jorku.

Alicja dziobała w swojej klatce ziarna i przysłuchiwała się rozmowie;

Steinbeck, który powitał Zuzannę z wielką radością, teraz drzemał przy kominku; na ścianie wisiało nowe dzieło Straussa, namalowane jaskrawymi, akryłowymi farbami, przedstawiające letnią wystawę na

University Place. Zuzanna próbowała wytłumaczyć Pete'owi, jak to sobie wyobrażała: miejsce schronienia - tak



powiedziała - miły, spokojny dom na wsi, gdzie chorzy i ich bliscy będą mogli spędzić trochę czasu, by odzyskać równowagę w trudnym okresie między postawieniem rozpoznania a pierwszymi atakami choroby i żalu do świata, który odwróci się do nich plecami. Pete, z niezwykłą u niego surowością, wypytywał o kierujące nią motywy i ostrzegał przed ogromnymi trudnościami, jakie z pewnością napotka próbując zrealizować taki projekt. Ale Zuzanna była na to przygotowana i potrafiła rozwiązać wszystkie wątpliwości.

- Jak cię znam - powiedziała po ponadgodzinnej rozmowie - pewno już się domyśliłeś, iż przyszedłam tutaj nie tylko po to, by rozmawiać o moich planach.

- A po co jeszcze? - spytał Pete. Zuzanna wzięła głęboki wdech.

- Chciałabym kontynuować terapię. Pete milczał.

- Mogło się wydawać, że spotykałam się z tobą tylko ze względu na Hawke'a - ciągnęła z namysłem. - Ale chyba od początku wiedziałam, iż robię to dla samej siebie. Nie chciałam się jednak do tego przyznawać i dlatego po jego śmierci przestałam do ciebie przychodzić. A może po prostu straciłam chęć do życia?

- Dlaczego teraz zmieniłaś zdanie?

- Mogłabym powiedzieć, że zrozumiałam, iż muszę najpierw rozwiązać swoje problemy, zanim będę mogła nieść pomoc innym.

- Ale to nieprawda. Zuzanna zaczerwieniła się.

- Nie. - Spojrzała mu prosto w oczy. Nie było to łatwe, ale postanowiła być z nim szczerą. - Nie daję sobie rady. Żałoba stanowiła dobrą wymówkę, doskonały kamuflaż, ale nie mogę się przez całe życie ukrywać za welonem wdowieństwa. Nagromadziło się we mnie tyle zastarzałych, paskudnych, ukrytych przeżyć. I wciąż nie dają mi spokoju. Ostatnio zaczęłam wspominać, jak dobrze mi robiły rozmowy z tobą... Może za bardzo się do nich przyzwyczaiłam... Jestem przekonana, że powinnam znów zacząć, chociaż nie mam pewności, czy będę w stanie... temu sprostać. Tak czy inaczej, chcę spróbować.

Pete uśmiechnął się.

- Dobrze - powiedział.
- Nie masz nic przeciwko temu?
- A dlaczego miałbym mieć?

Zuzanna poczuła ulgę, ale i lekki lęk. Wstała. Steinbeck podniósł łeb i zaczął machać ogonem.

- Kiedy możemy zacząć?
- Muszę zajrzeć do kalendarza. - Pete wyszedł do przedpokoju. - Zdaje się, że mógłbym znaleźć trochę wolnego czasu jutro wieczorem.
- Cudownie.
- Nie mieszkasz w Cohasset? - spytał zaskoczony Pete.
- Mam mieszkanie przy Beekman Place - powiedziała.
- Jak to?
- Chciałam być blisko... ze względu na nasze sesje. Pete uśmiechnął się.
- Widzę, że jesteś zdecydowana.
- Muszę spróbować. Dużo czasu upłynęło, zanim przyznałam sama przed sobą, że jest mi to potrzebne, ale w końcu podjęłam decyzję. Spróbuję.
- Świetnie wyglądasz - powiedział, kiedy stanęli przed drzwiami. - Zmieniłaś uczesanie.

Nosiła teraz krótką fryzurkę, odsłaniającą jej piękny kark i falującą uroczo przy każdym ruchu.

- Ty też dobrze wyglądasz - odparła. - Podoba mi się twoja broda.
- Naprawdę? - spytał Pete, głaszcząc zarost. - Trudno mi się było zdecydować.
- Mam powiedzieć prawdę? Lubiłam kształt twojej brody i podbródka.
- Jutro się ogolę. Zuzanna zaśmiała się.
- Nie będzie ci łatwo - zastanawiał się Pete. - Nasze sesje, ogrom pracy związanej z realizacją twoich zamiarów... To będzie trudniejsze, niż przypuszczasz.
- Wiem.
- Na pewno jesteś na to przygotowana?
- Obawiam się, że nie mam wyboru - odparła Zuzanna.

Zacząła nazajutrz, o piątej po południu, skokiem w ciemność. Wiedziała, że to jedyna droga. Od lat nie odczuwała takiego napięcia. Z trudem łapała oddech.

- Zostałam zgwałcona - powiedziała - kiedy miałam trzynaście lat.

Pete widział, że po tych słowach zawahała się. Nie miała ochoty mówić nic więcej.

- Kontynuuj - zachęcił ją.

- Pierwszy raz zobaczyłam go mniej więcej rok wcześniej. Pracował w jednym z miejsc, w których przyszło mi mieszkać. W klasztorze.

- Tam, gdzie pracowali twoi rodzice?

- Tak - przyznała z wahaniem. - Nigdy z nim nie rozmawiałam. Nie było takiej potrzeby. Poza tym ostrzegano nas przed rozmowami z obcymi; szczególnie z mężczyznami. Wymienialiśmy tylko codzienne uprzejmości, takie jak: dzień dobry.

Pete nic nie mówił. Nie poganiał jej.

- Mam wrażenie, że w pokoju jest duszno - odezwała się Zuzanna.

- Nie zauważyłem tego, ale mogę otworzyć okno, jeśli chcesz.

- Nie trzeba. Uśmiechnął się do niej.

- Zgaszę papierosa. - Zaciągnął się ostatni raz i zdusił niedopałek, po czym opróżnił popielniczkę do kosza.

- Nie przeszkadza mi to, że palisz. Nigdy mi nie przeszkadzało.

- Nie ma sprawy. Mów dalej.

Zuzanna zamknęła oczy. Przywoływanie we wspomnieniach tamtych dni, pograżanie się w mroku, było bardzo męczące. O wiele łatwiej było udawać, że nic takiego nie miało miejsca; zamknąć przeszłość na cztery spusty; nie pozwolić sobie na myślenie o tym, co było.

- Wiem, że jest ci ciężko - powiedział Pete. Zuzanna otworzyła oczy.

- Niektóre z dziewcząt podniecała jego obecność. Był ogrodnikiem i przystojnym mężczyzną. Podczas pracy nigdy nie zdejmował koszuli, ponieważ zakonnicom by się to

nie spodobało, ale dziewczyny mówiły, że pod pachami jest mokry od potu. Chichotały, rozmawiając o jego silnych ramionach. Wiesz, jak to jest.

- A ty? Też chichotałaś?

- Czasem, razem z innymi. Wydaje mi się jednak, że nie myślałam o nim tyle co niektóre koleżanki. Był pierwszym prawdziwym mężczyzną, jakiego widziałam z bliska. Nic dziwnego, że mnie ciekawił.

- A twój ojciec? Nie potrafiłaś myśleć o nim jak o prawdziwym mężczyźnie?

- Nie - odparła szybko. - Nie potrafiłam.

- Mów dalej.

- Jedna z dziewcząt próbowała z nim flirtować. Twierdziła nawet, że mu się podoba, choć nigdy nie zauważyłam, by się nią interesował.

- Ty też z nim flirtowałaś?

- Nigdy - odparła zdecydowanym głosem. - Był stary. Miał około trzydziestki. Wtedy jeszcze nie myślałam o chłopcach. Nie tak, jak inne dziewczyny. Oczywiście, podkochiwałam się w piosenkarzach rockowych i w aktorach - uśmiechnęła się. - Szalałam za Jonem Voigtem. Jego zdjęcia chowałam w szufladzie pod bielizną. Nie wolno nam było oklejać ścian plakatami.

Siedzieli w gabinecie Pete'a. Nie było tu Alicji, Steinbecka ani możliwości zajęcia pozycji jogi dla ułatwienia sobie zadania. Zuzanna miała świadomość, że chwila jest poważna. Nadszedł czas rozprawienia się z pewnymi sprawami, by dalej móc dążyć do osiągnięcia postawionego sobie celu.

- Niecałe dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem - ciągnęła - polecono mi pomóc przy ubieraniu wielkiej choinki w głównym holu. Było nas przy tym kilka, pracę nadzorowały zakonnice, ale w pewnej chwili zostałam całkiem sama. Wszystko było już gotowe, trzeba było tylko zawiesić aniołka na czubku drzewka. Wspięłam się na drabinę i przyczepiłam go. Nagle ktoś powiedział, żebym uważała. To był on. zaproponował, że mi pomoże, ale ja odparłam, że nie ma takiej potrzeby. Mimo to stanął przy drabinie, by ją przytrzymać. Zaczęłam schodzić. - Zuzanna wzięła głęboki wdech, usiłując przypomnieć sobie jogistyczne zasady oddychania, ale jej serce biło szybko, a dłonie miała lepkie od

potu. - Poczułam coś między nogami. Na początku nie wiedziałam... Naprawdę nie wiedziałam, co to jest, ale kiedy spojrzałam w dół, zobaczyłam, że on włożył rękę między moje uda. Nic innego nie robił, tylko ją tam wsunął. Zamarłam. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Po chwili zabrał rękę. Kiedy wreszcie zesłam na dół i stanęłam na kamiennej posadzce, on trzymał drabinę i uśmiechał się do mnie. Potem zjawiała się siostra Michalina i podziękowała mu za pomoc.

- Powiedziałaś o tym siostrze Michalinie? - spytał Pete. - Albo rodzicom?

- Nie. - Zuzanna poczuła łaskoczące krople potu na górnej wardze. - Nie wiedziałabym, co powiedzieć. Zresztą sama tego nie rozumiałam.

Myślałam, że może to był przypadek albo wszystko sobie wymyśliłam.

Wiem, że to brzmi głupio. Byłam niewiarygodnie naiwna, ale...

- Miałaś zaledwie trzynaście lat - przypomniał Pete.

- Wtedy nawet dwanaście.

- Byłaś dzieckiem. Dzieci mają prawo do niewiedzy w sprawach dotyczących seksu. Nie nazwałbym tego głupotą ani naiwnością.

- Może i nie.

- Czułaś się winna z powodu tego, co się wówczas stało? Myślałaś, że to twoja wina?

- Nic nie czułam - odparła Zuzanna. - Wymazałam to pamięci. Nauczyłam się tego dużo wcześniej: zapominania o tym, o czym nie chciałam pamiętać.

- A jednak nie całkiem sobie z tym poradziłaś.

- Nie. Wszystko to żyje we mnie do dzisiaj.

Minęło Boże Narodzenie 1974 roku, potem Nowy Rok. Śniegi stopniały, nadeszła wiosna, a po niej pełne kwiatów lato. Do połowy lipca incydent z drabiną został całkiem zapomniany. W czerwcu Zuzanna obchodziła trzynaste urodziny.

Pozostałe dziewczęta pojechały na wakacje do rodzinnych domów, ale dla Zuzanny klasztor był domem. Cisza

i samotność nie przeszkadzały jej. Czytała książki, wykonywała drobne prace, pomagała siostram. Było gorąco. Za wysokimi murami pojawili się obcy, turyści. Zwykle przejeżdżali samochodami obok zabudowań klasztornych; jedni szybko, inni powoli; niektórzy na rowerach. Tylko nieliczni szli pieszo.

Niedaleko klasztoru była plaża. Zuzanna chodziła tam tak często, jak to było możliwe, zazwyczaj po południu. Związywała sandały, zawieszała je sobie na szyi i chłodziła stopy brodząc na płyciźnie. Pozwalała wiatrowi rozwiewać długie włosy. Ocean uspokajał ją. Wyobrażała sobie, że jego odwieczny głos recytuje poezje, łagodne fale wyśpiewują piosenki i opowiadają bajki, a wiatr snuje historie

O innych ziemiach, innych krajach, o wielkich okrętach

I statkach rybackich, o żeglarzach i przemytnikach, i o swojej własnej, tajemniczej i niepojętej wielkości. Zuzanna odczuwała lekki strach przed morzem, a jednocześnie na jego brzegu czuła się jak u siebie w domu.

Czasem próbowała sobie wyobrazić, jak by to było, gdyby się w nim utopiła, gdyby wessało ją bezpowietrzne, zimne, nieskończone wnętrze; czuła wtedy na plecach lodowaty dotyk i mrowienie na karku. Ale te chwile szybko mijały. Zazwyczaj była jak najdalsza od ponurych myśli. Tylko potęga i wielkość oceanu tak niezwykle ją nastrajały.

-Lubisz ocean? - usłyszała jakiś głos tuż przy swym uchu.

Odwróciła się, przestraszona. Sądziła, że na plaży jest tylko ona i mewy. Miał na sobie dzinsy z obciętymi nogawkami i biały, poplamiony przez trawę podkoszulek. Stopy miał bose. Ciemne, kręcone włosy rozwiewał wiatr. Spoglądał na nią życzliwie.

- Lubię plażę - odparła.

- Ja też.

Zrobiła krok w prawo. Przesunął się w ślad za nią.

- Mogę dotrzymać ci towarzystwa? - spytał.

- Nie. - Poczwała szybsze bicie serca. - Zaraz wracam.

- To dobrze - powiedział, niczym nie zrażony. - Może przejdziemy się kawałek w tamtą stronę? - Wskazał głową na cypel. - Jeżeli się rozmyślisz, zawrócimy.

- Dobrze - zgodziła się Zuzanna.

Ruszyli przed siebie. Był wysokim, szerokim w ramionach mężczyzną. Kilka razy zwolnił, żeby mogła dotrzymać mu kroku.

- W dzieciństwie ani razu nie byłem nad morzem - powiedział. -

Mieszkaliśmy na farmie, chodziłem do szkoły w małym miasteczku, ojciec nie pochwalał oglądania telewizji, a ja nie miałem czasu na czytanie książek. Ocean widywałem tylko na filmach, ale to zdarzało się bardzo rzadko.

- Ja zawsze mieszkałam blisko plaży - powiedziała, współczując mu.

- Takiej swobody jak tutaj nigdzie nie doświadczyłem. Poderwał się wiatr i sypnął jej włosami w twarz. Odgarnęła włosy i potarła oko.

- Coś ci wpadło? - spytał. - Może zobaczę? Pokręciła głową.

- Nie, dziękuję.

- Oko potrafi bardzo boleć. Co to było? Piasek?

- Nic takiego - odparła i przyspieszyła kroku.

- To musi być śmiertelnie nudne - stwierdził. -Co?

- Takie samotne lato, bez przyjaciółek.

- Wcale nie. Nie przeszkadza mi to - odparła. - Jest mi dobrze.

- Dziewczyna w twoim wieku potrzebuje towarzystwa -powiedział, zerkając na nią. - Ile masz lat? Czternaście?

- Trzynaście - sprostowała.

- Wyglądasz na starszą.

- Tak? - Była zadowolona. Zwolniła kroku.

- Patrząc na ciebie, sam czuję się młodszy. Lubię pracować w szkołach. To odmładza.

- Lubi pan pracę ogrodnika? - spytała z zainteresowaniem.

-Tak.

- To musi być cudowne.

- Dlaczego?

- Patrząc, jak rosną kwiaty i owoce. Pańska kapusta jest bardzo smaczna.

- Dziękuję - powiedział. - Młodzież zwykle nie lubi kapusty.  
- Ja też nie lubię. - Zarumieniła się. - Ale pańska jest smaczna.  
- Jesteś bardzo uprzejma. - Uśmiechnął się do niej. Twarz miał mocno opaloną od częstego przebywania na słońcu, a zęby białe i zdrowe. - Nic dziwnego, skoro mieszkasz z zakonnkami.  
- One są bardzo miłe - zgodziła się Zuzanna.  
- Może to taka sama prawda, jak z moją kapustą? - Uśmiechnął się, a oczy miał jak wąskie szparki. - Ciągłe modlitwy. Dużo ciężkiej pracy.  
- Nie jest aż tak źle - powiedziała.  
- Jesteś religijna?  
- Nie - odparła. - Raczej nie.  
- Jak w takim razie znosisz te codzienne modlitwy?  
- Zwykle oddaję się w tym czasie marzeniom - wyjaśniła i zarumieniła się.  
- To dobrze. Mówią, że zdrowo jest mieć bujną fantazję.  
- Naprawdę?  
- Ja też dużo rzeczy sobie wyobrażam.  
- Jakich rzeczy? - spytała Zuzanna.  
- Chciałabyś wiedzieć? Zuzanna znów przyspieszyła kroku.  
Przeszli jeszcze kilkadziesiąt metrów, gdy nagle ogrodnik poślizgnął się na mokrym kamieniu i upadł. Zuzanna stanęła.  
- Nic się panu nie stało?  
- Chyba nie. - Przysiadł na piasku i masował lewe udo. Spróbował wstać, skrzywił się i szybko przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę. - Cholera! - zaklął. - Tylko tego brakowało.  
- Co się stało?  
Zuzanna stała kilka kroków od niego.  
- Zdaje się, że naderwałem ścięgno - westchnął ciężko. - Teraz naprawdę trzeba wracać. - Ostrożnie wstał, delikatnie postawił nogę na ziemi i krzyknął z bólu. - Cholera! Przepraszam - dodał po chwili, widząc niezadowolenie na jej twarzy.



- Nie szkodzi.

- Będę potrzebował pomocy.

Zuzanna rozejrzała się po plaży. Byli sami. Spojrzała na ogrodnika.

- Może pójde kogoś zawołać?

-Nie. Nie trzeba mnie nieść. Wystarczy, że się na kimś oprę. Jesteś silna, prawda?

- Nie wiem.

Zuzanna była zakłopotana i niepewna. Czuła, że coś jest me w porządku, że powinna uciekać, zostawić go z drugiej jednak strony pamiętała o obowiązku okazywania bliźniemu dobroci, niesienia pomocy i o tym podobnych naukach. Co pomyślą siostry, jeśli zostawi na plaży rannego człowieka?

- Spróbujmy - powiedział. Nie ruszyła się z miejsca.

- Możesz mi pomóc? - spytał spokojnie. Wyczuła w jego głosie wyrzut. - Jeśli będzie ci zbyt ciężko, zatrzymamy się. Zuzanna rozejrzała się. Nigdzie nie było widać żywego ducha.

- Dobrze - zgodziła się.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział i czekał, aż się do niego zbliży. -

Chodź tutaj - ponaglił ją. - Stojąc z daleka nic mi nie pomożesz.

Podeszła do niego. Objął ją lewą ręką i położył na jej ramieniu silną dłoń. Miała na sobie letnią sukienkę bez rękawków. Jego dłoń zakryła całe ramię. Nagle przypomniała sobie o minionym Bożym Narodzeniu i o dłoni między swoimi udami.

- Obejmij mnie w pasie - nalegał. - Mocno, żebym mógł równo rozłożyć ciężar ciała. - Objęła go. - Grzeczna dziewczynka - pochwalił.

Wracali powoli. Zuzanna czuła zapach jego potu, piachu i trawy. Chciała jak najszybciej znaleźć się w klasztorze. Zaciskała zęby, starając się udźwignąć jego ciężar. Nie spodziewała się, że to będzie tak trudne. Wiedziała, że bardzo go boli. Na nierównym piasku stanął czasem mocniej na lewej nodze i wtedy jęczał z bólu.

- Ostrożnie - powiedział, ciężko dysząc.

Od drogi dzieliło ich zaledwie kilka wydmi. Godzinę wcześniej Zuzanna przebiegła po nich jak kozica. Teraz każda zdawała się tak trudna do zdobycia, jak stroma skała.

- Musimy pójść naokoło - powiedziała, zatrzymując się.

- To za daleko - odparł, ocierając twarz z potu. - Wspinaczka będzie bardziej bolesna, ale szybciej dojdziemy do celu.

- Nie wiem. - Ale ja wiem.

Spróbowała się od niego trochę odsunąć, zdjąć rękę z jego biodra, ale przytrzymał ją. Jego wielka dłoń cały czas spoczywała na jej ramieniu.

- Lepiej sprowadzę pomoc - zaproponowała. - Przed nami jeszcze spory kawał drogi.

Zdjął rękę z jej ramienia.

- Chcesz mnie zostawić? - spytał uprzejmie, ale z wyrzutem.

- Nie o to chodzi. .

- Szkoda - powiedział. - Noga bardzo boli i chciałbym odpocząć w cieniu.

- Dobrze. Chodźmy.

Znow ją objął.

Przeszli dwie wydmy. Stopy zapadały się w piasek, ogrodnik potykał się. Kilka razy krzyknął z bólu. Był coraz cięższy.

- Muszę się zatrzymać - wysapał. Puścił Zuzannę i zwałił się na piasek.

Dziewczynka stała, ciężko dysząc. Spojrzała w dół i zauważyła na swojej sukience ciemne plamy potu. Serce waliło jej jak młotem, lewe ramię bolało.

- Usiądź - powiedział. Wyglądał na bardzo zmęczonego. - Odpoczniemy chwilę.

- Nic mi nie jest.

- Jezu! Siadaj, bo mi jeszcze zemdlejesz.

Usiadła. Powiał lekki wiatr, poruszając skąpą trawą, jej włosami i sukienką. Szybko wygładziła ubranie i podwinęła nogi pod siebie. Miała ochotę położyć się na ciepłym piachu. Nad ich głowami przeleciała para mew. Zuzanna pomyślała,

że między wydmami nie widać i nie słysząc oceanu i że oni sami są również niewidoczni dla ludzkich oczu.

Ich oddechy powoli uspokajały się. Znów powiał wiatr, chłodząc spocone twarze i ciała. Potem powietrze stanęło bez ruchu. Było bardzo gorąco.

Szybkim, niespodziewanym ruchem ogrodnik zdjął podkoszulek.

Zauważył, że Zuzanna zdziwiła się i przestraszyła.

- Potrzebuję bandaża - uśmiechnął się.

Nic nie mówiła. Przyglądała mu się, gdy rozrywał zębami boczny szew.

Zęby miał białe, mocne. Zuzanna zadrżała. Ogródnik oderwał kawał materiału.

- Masz - powiedział. Był zmęczony, ale zadowolony z siebie. Podał jej przygotowany bandaż. - Zaczynj wiązać, a ja podreż resztę koszulki na paski.

- Nie potrafię - odparła Zuzanna.

- Trzeba owinać nogę.

- Boję się, że będzie pana bolało.

- I tak mnie boli.

- Lepiej niech pan sam to zrobi.

Oderwał drugi pasek materiału i położył się na piasku.

- Nie mogę. - Głęboko westchnął. - Ty musisz to zrobić.

Zuzanna nie ruszała się z miejsca. Obok niej leżało chore udo, wielkie jak pień drzewa i lśniące od potu, spływającego między gęstymi włosami i skapującego na piach. Z obrzydzeniem myślała o tym, że miałyby go dotknąć. - Proszę - powiedział.

- Wolałabym nie.

- Proszę - powtórzył błagalnym głosem. - Mam wrażenie, że to coś gorszego niż naderwane ścięgno. Jeśli nie obandażujesz mi nogi, może mi się pogorszyć, a wtedy stracę pracę.

- Siostry pana nie wyrzucą - zapewniła go Zuzanna.

- Wyrzucą, jeśli będą musiały. Ogródnik niezdolny do uprawiania ogrodu jest jak kura, która się nie niesie. Zuzanna poruszyła się niespokojnie.

- Obandażuj nogę - niespodziewanie w jego głosie pojawiła się natarczywość. - Nie bądź taka dzika. - Rzucił w nią paskiem materiału, położył się na piasku i zamknął oczy. - Jezu, ale boli.

Ociągając się, Zuzanna wzięła bandaż do ręki.

- Z takiej odległości tego nie zrobisz - powiedział, nie otwierając oczu. Zbliżyła się do niego na klęczkach. Udo mężczyzny wydało jej się olbrzymie. Poczowała nudności. „Uciekaj” - szeptał jej jakiś wewnętrzny głos. Wydmy były wysokie. „Jeśli zaczniesz uciekać, złapie cię za nogę” - zaprotestował drugi głos.

- Na co czekasz? Na Florence Nightingale? Zuzanna wstała. Ogrodnik otworzył oczy.

- Dokąd idziesz?

- Po pomoc - wyjaśniła. Ścisnęło ją w gardle.

- Nie - powiedział. - Obandażujesz mi nogę.

- Będę biegła. Zaraz tu ktoś przyjdzie. Wyciągnął rękę i złapał ją za lewą kostkę. „Ostrzegalem” - szepnął głos.,

- Klękaj! - polecił ogrodnik. Zuzanna zachwiała się.

- Siadaj!

Przestraszona, kucnęła obok niego. Patrzył jej w twarz. Znow się uśmiechał.

- Nic ci nie zrobię. Chcę tylko, żebyś zajęła się moją nogą. Przestań marudzić i zabieraj się do pracy.

Wciąż trzymał ją za kostkę.

- Może mnie pan puścić? - spytała.

- Nie, nie mogę. Obandażujesz mi wreszcie nogę czy nie?

- Tak - szepnęła.

- Grzeczna dziewczynka.

Wzięła kawałek materiału i zaczęła owijać udo, kilka centymetrów nad kolanem.

- Za nisko - powiedział.

Zuzanna poruszyła się niespokojnie. Skórę miał lepką. Pod dotknięciem jej palców mięśnie napinały się, jakby chciał popisać się swoją siłą. Spojrzała mu w twarz, zobaczyła na niej uśmiech i po raz pierwszy zwątpiła w to, czy rzeczywiście noga go boli.

- Dalej! - popędzał, ściskając jej kostkę. - Przełoż bandaż... Tak, dobrze.

Wyżej! - Uniósł nogę, żeby ułatwić jej zadanie. Trzykrotnie owinęła udo.

- Obwiąż jeszcze kilka razy, ale wyżej.

Zuzanna zrobiła, co jej kazał. Poczwała się lepiej, gdy owłosiona, spocona noga zniknęła pod bandażem.

- Mocniej! - polecił.

Zacisnęła bandaż mocniej. Przestało ją obchodzić, czy go to boli, czy nie. Chciała tylko jak najszybciej z tym skończyć.

- Dobrze? - spytała cichutko. Nadal się go bała.

- Jeszcze jeden raz i będzie dobrze - powiedział. Kiedy wsunęła palce pod jego udo, opuścił je nagle, przyciskając jej dłoń do piasku.

- Proszę - powiedziała, przerażona. - Proszę.

- Całusa - zażądał.

- Co? - szepnęła.

- Całusa od pielęgniarce. Pocałuj.

Jej oczy zrobiły się wielkie ze zdumienia i ze strachu.

- Pocałuj! - rozkazał. - Pocałuj moją nogę, na zdrowie.

- Proszę - powtórzyła. - Niech mnie pan puści.

- Nie chcesz, żebym był zdrowy? Chcesz, żebym stracił pracę?

„Nie całuj go, tylko go kopnij” - odezwał się znowu głos. Ale drugi głos zaoponował: „Jeśli go kopniesz, zrobi ci krzywdę”.

- Pocałuj moją cholerną nogę! - powiedział. Zuzanna pochyliła głowę nad jego udem, cmoknęła nie dotykając skóry i wyprostowała się.

- Nieładnie - skarcił ją.

Popatrzyła na niego. Leżał rozciągnięty na piasku, ale nadal trzymał ją za kostkę i przyciskał udem jej dłoń do ziemi. Przestraszyła się, uświadomiwszy sobie, jak jest wielki. Przeraził ją też błysk w jego oczach.

- Pocałuj jak należy.

Zuzanna zaczęła płakać. Łzy bezgłośnie spływały po jej policzkach.

- Pocałuj jak należy, bekso.

Pochyliła się i musnęła wargami brudny bandaż.

- Wyżej - powiedział.

Chciała się wyprostować, ale on złapał ją wolną ręką za kark i zmusił, żeby pochyliła głowę nad jego udem.

- Zrób to! - polecił.

Przycisnęła jej twarz do miejsca nad bandażem, blisko szortów. Wplótł dłoń w jej włosy, przyciskając ją do siebie. Czuła, że się porusza, przesuwa. Nie wiedziała, co robił, ale gdy odsunął jej głowę nieco w bok, spostrzegła, że rozpiął spodenki. Nigdy jeszcze nie widziała nagiego mężczyzny. To, co zobaczyła, przeraziło ją tak, że chciała krzyknąć.

- Próbowałam krzyknąć - opowiadała Pete'owi kilkanaście lat później. - Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam. On mi to uniemożliwił.

Zamilkła, zbyt zmęczona, żeby mówić dalej.

- Przepraszam - wyszeptała. - Wiem, że chcesz, bym ci powiedziała o wszystkim, ale nie mogę. Nie o tym. Żyje to we mnie do dzisiaj, głęboko ukryte. Być może powinnam to z siebie wyrzucić... Jestem przekonana, że pewnie nieraz wysłuchiwałeś podobnych historii.

- Czy mogę ci zadać kilka pytań? Zuzanna kiwnęła głową.

- Zmusił cię do stosunku oralnego? -Tak.

- A potem cię zgwałcił? -Tak.

- Bił cię?

- Nie. Wolałabym, żeby tak było. Wtedy ludzie by coś zauważyli...

- Nie powiedziałaś nikomu? -Nie.

- Nawet siostrze? -Nie.

- Ani rodzicom?

- Nikomu.

- Dlaczego? - spytał.

- Ponieważ on mnie nastraszył - szepnęła.

- Co ci powiedział?

-Powiedział... - Zuzanna głęboko zaczerpnęła powietrza. - Kiedy już skończył sapać, jęczeć i pomrukiwać, i wsunął go w szorty, nagle skurczonego...

Pete cierpliwie czekał.

- Uklęknął nade mną. - Zuzanna zamknęła oczy. Płaka-

la, jakby to stało się dzisiaj. - Powiedział, że popełniłam największy grzech na świecie... że tylko morderstwo jest gorsze. I jeśli komuś o tym powiem, siostry mnie wyrzuca. Ale nie to było najgorsze. Zagroził, że jeśli ktoś się o tym dowie, on mnie zabije.

- Uwierzyłaś mu? - spytał Pete, kiedy zrozumiał, że to koniec, że Zuzanna nic więcej nie powie.

- Tak, uwierzyłam.

Oczy nadal miała zamknięte.

- Nie chodzi mi o to, że groził ci śmiercią. Miałaś wtedy trzynaście lat. Trzynastoletnie dziecko bez trudu mogło w to uwierzyć. Pytałem, czy mu uwierzyłaś, kiedy powiedział, że popełniłaś wielki grzech.

- Tak. W to też uwierzyłam.

- Kiedyś powiedziałaś, że nie wierzysz w Boga. Zuzanna otworzyła oczy.

- Ale wierzę w grzech - oznajmiła.

- Co się z nim stało? - spytał po pewnym czasie Pete, mimo że spodziewał się zaraz następnego pacjenta.

-Nic.

- Wrócił do pracy?

- Tak. Do ogrodu, jakby nic się nie stało.

- Próbował się jeszcze do ciebie zbliżyć?

- Nie. Nie w ten sposób. Po pewnym czasie wyjechał.

- Nikt nie dowiedział się o tym, co zrobił?

- Tylko ja wiedziałam.

## *Rozdział 11*

W styczniu 1989 roku ukazał się album Hawke'a, a w nim jego ulubione zdjęcie przedstawiające Zuzannę, bosą i opaloną, w spodenkach od Ralphi Lauren i w niebieskim bawełnianym sweterku, karmiącą na farmie w Connecticut różowiotkie, lśniące prosiaki. Aby zwiększyć sprzedaż, Zuzanna podróżowała po całym kraju, przemawiając na rozmaitych obiadach i kolacjach, rozmawiając z dziennikarzami, występując w telewizji i w radiu -wszędzie, gdzie chcieli jej słuchać. Kiedy kampania reklamowa dobiegła końca, album sprzedawał się doskonale, za to Zuzanna była wykończona.

Wróciła do domu, do Cohasset, po wytchnienie i pociechę i znalazła je tam, jak zwykle. Dom Van Dusenów był jej kryjówką, świątynią; w nim zaznawała bezpieczeństwa i spokoju. Chciałaby zapewnić podobne warunki chorym na AIDS. Chociaż w ich przypadku poczucie bezpieczeństwa musi być fałszywe, skoro zostało im tylko czekać -z całkowitą pewnością, że najgorsze przed nimi.

- Muszę się jeszcze wiele nauczyć - powiedziała Connie i Bryanowi pewnego lutowego wieczoru. Abigail siedziała w swoim pokoju i wkuwała algebrę. - Załedwie rok po śmierci Hawke'a wiedza dotycząca tej choroby jest znacznie bogatsza. Czasem żałuję, że za jego życia nie wiedziałam o różnych sprawach. Pocieszam się jednak tym, że informacje o komórkach T i komórkach B nie zmieniłyby jego samopoczucia ani nie odwróciły nieuchronności jego śmierci.



Rozmawiali w pokoju telewizyjnym, pijąc gorącą czekoladę, zaprawioną koniakiem. Connie siedziała na kanapie z nogami uniesionymi do góry, przykryta kocem. Bryan obok niej, w fotelu. Baskin, którego pysk ostatnio bardzo posiwiiał, leżał na dywanie, obok Zuzanny. Zuzanna lubiła siedzieć w tym pokoju na podłodze. Uważała go za najbardziej przytulny i gościnny w całym domu, a także za jeden z najładniejszych na całym świecie. Bryan i Zuzanna ubrani byli w wyblakłe dzinsy i granatowe swetry. Widać było, że całą trójkę łączy serdeczne więzy. Patrząc na przybranych rodziców, Zuzanna uświadomiła sobie, że wkroczyli już w wiek średni. Bryan wciąż był przystojny, chociaż rysy mu się wyostrzyły i ważył nieco więcej niż dziesięć lat temu, za to Connie wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Zuzanna wiedziała, że Connie nadal trudno jest pogodzić się z kalectwem; marzyła czasem o safari w Afryce albo o nartach w Szwajcarii, mimo to na co dzień sprawiała wrażenie szczęśliwej.

- Naprawdę musisz się tego wszystkiego uczyć? - spytał Zuzannę Bryan. Martwił się o nią, ponieważ często bywała przygnębiona. - Po co ci wiedza medyczna? Rozumiem, że chcesz przejść szkolenie, by móc pomagać chorym, ale nie zamierzasz chyba zostać pielęgniarką?

- Oczywiście, że nie - odparła Zuzanna. - Ale wielu pacjentów chce wiedzieć jak najwięcej o wirusie i o tym, co dzieje się w ich ciele. Tylko w ten sposób mogą poczuć, że nie wszystko wymknęło się spod ich kontroli. Chcę rozumieć, co mówią do nich lekarze. I wybrać najlepsze leczenie.

- Im więcej będziesz wiedziała - powiedziała Connie - tym lepiej będziesz mogła im pomagać.

- O to mi chodzi. Jednym z ciężarów, jaki musieliśmy dźwigać z Hawkiem, była niewiedza o tym, co się z nim działo.

- Gdzie chcesz szukać domu? - spytał Bryan.

- Gdzieś na północnym wschodzie. Może w stanie Nowy Jork. Potrzebny jest nam wielki dom z dużą działką. Musi być piękny... - Zuzanna uśmiechnęła się z przekorą - a od najbliższych sąsiadów powinna nas dzielić spora przestrzeń.

- Jak to: nas? - zaciekała się Connie.
- Pete będzie ze mną pracował. W zeszłym tygodniu podjął ostateczną decyzję.
- Wspaniale - ucieszyła się Connie. - Każdy będzie żył po swojemu, jak w hotelu? Czy też raczej stworzycie wspólnotę? Chodzi mi o to, że ludzie chorzy na AIDS mogą mieć ze sobą wiele wspólnego nie tylko w tej jednej kwestii.
- Chcielibyśmy połączyć jedno z drugim - odparła Zuzanna. - Chcemy zapewnić naszym gościom zupełną swobodę, jak w hotelu. Mogą się lenić całymi dniami, pozwalając, aby ich obsługiwano, albo zająć się czymś. Jeżeli zechcą, będą mogli wziąć udział w terapii grupowej albo skorzystać z indywidualnych porad. Zatrudnimy też personel medyczny. Najbardziej zależy nam na tym, żeby goście nie byli niczym skrupowani.
- Mam jeszcze jedno pytanie - powiedziała Connie. - I to ważne. Co będzie z Abigail?
- Nie rozumiem.
- Kiedy Hawke umierał, nie pozwalałaś Abigail zbliżyć się do niego. Bałaś się o nią. Byłam w stanie to zrozumieć.
- Ale nie ona - powiedziała Zuzanna.
- Na początku nie. Po pewnym czasie doszła jednak do wniosku, iż zachowywałaś się tak głupio tylko dlatego, że ją kochasz. Twoja siostrzyczka jest bardzo roztropna.
- Wiem. Ale o co tak naprawdę pytałaś, Connie?
- O to, czy nadal zamierzasz trzymać się od Abigail z daleka. Zaczekaj, nic nie mów - mówiła z posepną miną. - Cały czas to robisz, Zuzanno. W bardziej subtelny sposób, dzięki czemu trudniej dostrzec, ale ja widzę, jak wykręcasz twarz, gdy Abigail całuje cię na przywitanie, jak się boisz, żeby przypadkiem nie musnęła twoich warg. Nie pozwalasz jej pić ze swojej szklanki ani używać swoich ręczników. Rozumiem twój lęk. Mimo wszystko mogłoby się jeszcze okazać, że jesteś zarażona wirusem. Sama wiesz, że postępujesz nieracjonalnie, ale w końcu Abigail jest najbliższą ci na świecie osobą...
- Nic na to nie poradzę - przerwała jej Zuzanna. - Wiem, że to głupie, ale nie umiem się inaczej zachować.
- Może i tak. Uważam jednak, że powinnaś wreszcie

uporać się z tym problemem. Podjęłaś decyzję. Większość czasu będziesz spędzała wśród nosicieli wirusa HIV. Chcę wiedzieć, czy to przemyślałaś.

- Rozmawiałam o tym z Pete'em. -Ico?

- Przyznaję, że w tej sprawie nie postępuję właściwie. Nie wiem, czy się zmienię. Na pewno nie w ciągu jednego dnia.

- Dobrze - powiedziała Connie.

- Jak to: dobrze? - zdziwiła się Zuzanna. - Chyba nie takiej odpowiedzi oczekiwałaś?

- Ale byłaś szczerą.

Zuzanna rozejrzała się po pokoju. Zdjęcia i inne rodzinne pamiątki, wypełniające półki przy wyłożonych boazerią ścianach, przypominały każdemu, kto by w to wątpił, że stanowią szczęśliwą i zżyłą rodzinę. Zuzanna od kilku lat na długie tygodnie opuszczała dom. Wystarczyło jednak, że przestąpiła próg tego pokoju, by poczuła się bezpieczna.

- Jeśli uda mi się zrealizować mój plan, znów będę musiała was opuścić - powiedziała. - Tym razem nie będą nas dzieliły tysiące kilometrów, ale praca, której się chcę podjąć, będzie ode mnie wymagała poświęcenia.

- Na pewno wszystko się uda - odparła Connie z przekonaniem.

- Mam nadzieję. Często się zastanawiałam, czy robię dobrze, czy źle, podejmując się tego zadania. Najważniejsze jest jednak dla mnie dobro Abigail.

- Prawdopodobnie nie ucieszy się z tego, że znów ją zostawiasz - zauważył Bryan.

- Nigdy jej nie zostawię. Zawsze będzie bliska mojemu sercu. Ale obawiam się, że jeśli uda się urzeczywistnić moje zamierzenia, nie będę mogła poświęcać jej wiele czasu. Ostatnio uświadomiłam sobie, że jestem dla niej tylko starszą siostrą, która przed kilku laty opuściła dom. Abigail przyzwyczała się do mojej nieobecności. Wy i Tabbie jesteście jej bliżsi niż ja.

- Rzeczywiście, przywiązała się do nas - potwierdziła Connie - ale to nie znaczy, że nie potrzebuje ciebie.

- Emocjonalnie na pewno tak. Ja też jej potrzebuję. Mi-

mo to, kiedy ma jakieś kłopoty, jakieś trudności w szkole, kiedy czuje się chora, biegnie z tym do was. W takich chwilach nawet o mnie nie myśli, ponieważ od dawna mieszkam poza domem. - Zuzanna wzruszyła ramionami. - Trudno mi się z tym pogodzić, z drugiej jednak strony właśnie dzięki temu mogłam podjąć decyzję i spróbować zrealizować to, czego bardzo pragnę, do czego czuję się zobowiązana.

Wszyscy zamilkli. Bryan zebrał puste filiżanki i wyniósł je do kuchni. Kiedy wrócił, włączył telewizję, ale bez dźwięku. Czekał na wiadomości o dziesiątej. Zuzanna wstała, przeciągnęła się, wzięła do ręki „Boston Globe”, usiadła w fotelu i zaczęła przeglądać gazetę. Connie, przyzwyczajona do przeczekiwania krótkich chwil napięcia, siedziała spokojnie, przyglądając się im bacznie.

- Zrobię jeszcze jeden test - powiedziała Zuzanna, przerywając milczenie minutę przed dziesiątą. - W przyszłym tygodniu.

- Dlaczego? - spytała Connie.

- Bez powodu. Ostatnio przeziębiam się i znów zaczęłam sobie wyobrażać różne rzeczy. Jeśli już zaczynam się tym martwić, muszę dostać do ręki namacalny dowód, że wszystko jest w porządku. Inaczej nie umiem odzyskać spokoju.

- Saul Weinberg zapewniał cię, że jesteś zdrowa - przypomniał Bryan. - Minęły ponad trzy lata od czasu, kiedy miałaś możliwość się zarazić.

- Wiem - przyznała Zuzanna.

Bryan miał ochotę krzyknąć, ale się pohamował.

- Skoro już musisz zrobić kolejny test, to może dasz sobie słowo, że będzie ostatni? Wszyscy z góry wiemy, że wynik będzie negatywny. Nie ma powodu wracać do tej sprawy przez całe życie.

- Nie wiem, czy mogę to obiecać.

- Ponieważ boisz się o Abigail? - spytała Connie.

- Tak - przyznała Zuzanna.

- Zwariujesz od tego wszystkiego - wtrącił Bryan.

- A co na to mówi Pete? - spytała Connie.

- To samo, co wy. Próbuje mi pomóc.

- Kiedy znajdziesz odpowiedni dom, będziesz zbyt zajęta, żeby mieć czas na takie zmartwienia - stwierdziła Connie.

- Jeśli znajdziemy dom - poprawiła ją Zuzanna. - Jeśli zgromadzimy pieniądze. Jeśli otrzymamy zezwolenia i inne potrzebne dokumenty.

- Poradzicie sobie z tym - powiedział Bryan.

- Sądzę, że w końcu tak - zgodziła się z nim Zuzanna.

Wyniki testu, zgodnie z oczekiwaniami, były negatywne. W kwietniu Zuzanna znalazła dom. Była to podupadła już, ale nadal piękna dziewiętnastowieczna posesja, położona półtora kilometra za miastem Bearsville, na zachód od Woodstock, w Greene County w stanie Nowy Jork.

- Jaki jest stan techniczny domu? - spytał Pete, gdy do niego zadzwoniła.

- Wymaga remontu - powiedziała.

- Dużego?

- Gruntownego, ale to doskonałe miejsce. Dom jest solidny i piękny. Ma uroczy ogród, otoczony sosnowym laskiem. W pobliżu jest niewielkie jezioro. Ludzie mogliby w nim pływać, gdyby przyszła im na to ochota. Wokół są góry Catskill, można więc tu jeździć na nartach albo łowić ryby w strumieniu - zamilkła, zdyszana.

- Sąsiedzi?

- Nie widziałam sąsiadów. To idealne miejsce.

- Ile ma pokoi?

- Osiem sypialni na dwóch piętrach, ale są tak wielkie, że każdą z nich spokojnie będzie można podzielić na dwie. Na parterze jest pięć pokoi gościnnych i cudowna staroświecka kuchnia.

- Ile za niego chcą?

- To już zostało uzgodnione.

- A więc ile?

- Dwieście tysięcy - powiedziała z dumą.

- Za wielki dom na olbrzymiej działce? - Pete'owi trudno było w to uwierzyć. - To może oznaczać tylko jedno: budynek wymaga bardzo gruntownego remontu.

- Oczywiście, że tak, ale nie przekroczymy ustalonej kwoty.

- Nie ustalaliśmy żadnej kwoty.

- Mówiliśmy o dwustu pięćdziesięciu tysiącach.

- To były tylko słowa. Poza tym podejrzewam, że wszystko będzie w sumie kosztowało dużo więcej niż dwieście pięćdziesiąt tysięcy. Pewnie trzeba wymienić instalację elektryczną?

-Tak.

- W jakim stanie jest kanalizacja?

- Z wyglądu wszystko jest bardzo stare - przyznała Zuzanna - ale to nic dziwnego, skoro w domu od lat nikt nie mieszka.

- Od ilu lat?

- Agentka nie wiedziała dokładnie.

- Od ilu lat? - powtórzył Pete.

- Od piętnastu.

- W takim razie trzeba będzie osuszyć mury i wytepić termity.

- Jestem pewna, że w domu nie ma termitów.

- W każdym razie drewniane elementy muszą być zbutwiałe.

- Możliwe.

- Nadal uważasz, że to doskonały dom? - spytał Pete.

- Jak najbardziej - powiedziała.

Przy pomocy Michaela Friemana, znajomego prawnika Pete'a, udało im się stargować pięćdziesiąt tysięcy z żądanej ceny i uzyskać niezbędne zezwolenia na renowację domu oraz wyposażenie go we współczesne wygody. Zarówno Frieman, który przed rokiem stracił przyjaciela chorego na AIDS, jak i Betty Thomas Clark, milionerka należąca do towarzyskiej śmietanki i aktywna działaczka na rzecz praw dla homoseksualistów, włączyli się do realizacji planów. Latem Zuzanna była pełna optymizmu.

- Jeszcze zobaczysz! - powiedziała jej Betty Thomas Clark podczas obiadu w „Rocco” w Bostonie. Betty była drobną,

pięćdziesięciokilkuletnią kobietą z kasztanowymi kręconymi włosami i piękną twarzą, nie pasującą do reputacji osoby bojowej i nieugiętej.

Równie dobrze czuła się w eleganckiej, gwarnej restauracji „Rocco” jak w ekskluzywnej sali jadalnej w Ritzu-Carltonie.

- Co zobaczę?

- Co cię czeka, kiedy ludzie się dowiedzą, jak zamierzamy wykorzystać ten dom.

- Wszyscy już wiedzą - wyjaśniła Zuzanna. - Uprzedziłam agentkę na samym początku. Powiedziałam, że nie chcę trzymać tej sprawy w tajemnicy, żeby później, kiedy zaczniemy prace, nie pojawiły się nieoczekiwane trudności.

- A agentka zapewniała, że wszystko będzie w porządku? -Tak.

- Okłamała cię - stwierdziła Clark, zajądając faszerowaną kałamarnicę. Zuzanna ostrożnie dziobała swojego łososia. - W najlepszym razie ukryła przed miejscowymi część prawdy. - Widząc przestach na twarzy Zuzanny, Betty wyjaśniła: - Przykro mi, kochanie, ale jej zależało na tym, żeby sprzedać dom, na który trudno znaleźć kupca. Zjawiłaś się w jej biurze jak odpowiedź na modlitwy pośrednika w handlu nieruchomościami.

- Jak sądzisz, jakie możemy mieć kłopoty? - spytała zatrwożona Zuzanna. Clark wzruszyła ramionami.

- Mnóstwo barier biurokratycznych do pokonania i trochę poważniejszych przeszkód, stawianych przez władze lokalne i stanowe. Oboje z Michaelem Friemanem będziecie musieli spędzić wiele czasu w Albany, pociągając za różne sznurki, naciskając guziczki i bawiąc się w dyplomację. Możliwe, że wyładujecie w końcu w Waszyngtonie.

- Dlaczego ja? - zaniepokoiła się Zuzanna. - Nie mam w takich sprawach doświadczenia.

- W jakich? Chcesz powiedzieć, że nie znasz się na dyplomacji? No to będziesz musiała się jej nauczyć, jak każdy, kto jest oddany jakiejś sprawie. Nie jesteś prawnikiem, ale będziesz miała do pomocy Friemana - uśmiechnęła się Clark. - Przykro to mówić, ale w Albany, a nawet w Waszyngtonie, znajdziesz wielu mężczyzn, którym trudniej będzie odmówić tobie niż Pete'owi. - Widząc zażenowanie Zuzanny, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. - Używaj tego, co masz, jak to mówią. Na miłość boską, przecież od wielu lat z tego żyjesz.

Zuzanna używała tego, co ma, i sprawiało jej to przyjemność. Miło było robić coś wartościowego, pracować i odkrywać w sobie możliwości i talenty nie mające nic wspólnego z piękną twarzą i zgrabnym ciałem. Od września aż do maja 1990 roku całe dni spędzała w domu, nadzorując prace remontowe. W Albany przemawiała do rozmaitych komitetów i rozmawiała podczas licznych obiadów z wpływowymi ludźmi. Wpadała też do Cohasset, by odwiedzić rodzinę. Na Manhattanie bywała po to, by spotykać się z Pe-te'em Straussem.

Pete nigdy nie wspomniał słowem o uwielbieniu, jakim darzył Zuzannę, ani o tym, że czuje się w jej towarzystwie skrepowany. Kilka razy wyraził natomiast wątpliwość, czy jest właściwe, by Zuzanna nadal przychodziła do niego na sesje psychoterapeutyczne, skoro obydwójce pracują nad realizacją wspólnego planu. Zuzanna jednak za każdym razem odpowiadała, że nie poradziłaby sobie ze zmianą psychiatry.

- Albo ty, albo nikt - powiedziała.

- Możliwe, że z bardziej obiektywnym terapeutą byłoby ci łatwiej. Nie dość, że pracujemy razem nad zorganizowaniem domu, to jeszcze znamy się tyle czasu... Zaprzyjaźniliśmy się...

- Właśnie dlatego mam do ciebie zaufanie.

- Czujesz się bezpieczna, ale ja odoszczędzę czasem wrażenie, że cię wykorzystuję - oczywiście nie z premedytacją i nie w tym potocznym sensie - to jeden z powodów, dla których psychiatrzy nie doradzają swoim przyjacielom. - Bezradnie wzruszył ramionami. - Nie chciałbym cię wykorzystywać, Zuzanno, ani zawodowo, ani w żaden inny sposób.

- Sądzę, że nie byłbyś do tego zdolny - zaprzeczyła. Pete uśmiechnął się niepewnie.

- Mimo wszystko musisz mi obiecać, że gdybyś kiedyś zaczęła mieć co do tego wątpliwości, będziesz pamiętać, że nie sprawisz mi zawodu, jeśli zechcesz przerwać terapię.

- Dlaczego miałabym ją przerywać? - zdziwiła się Zuzanna. - Przecież jeszcze nie skończyliśmy.

- Tego się nigdy nie kończy. Jesteś wolnym człowiekiem. W tej dziedzinie nie istnieją żelazne reguły. W każdej



chwili możesz skończyć terapię albo przenieść się do któregoś z moich kolegów po fachu.

- Już ci powiedziałam, że nie zamierzam nic zmieniać. Chyba że ty nie chcesz ze mną pracować.

- Nie o to chodzi.

- Myślisz, że powinnam dać sobie spokój? Już jestem gotowa?

Pete uśmiechnął się.

- Ta decyzja nie należy do mnie. Zuzanna pokręciła głową.

- Wiesz, że jest mi ciężko. Mam wrażenie, że z każdym krokiem grzęznę w tym coraz głębiej.

- Wiedziałaś, że będzie trudno.

- Mimo to czasem miałabym ochotę zostawić terapię i zatrzaskać drzwi za tym, co było.

- Wiele byś straciła - powiedział Pete.

- Wiem - zgodziła się Zuzanna.

Prace remontowe zbliżały się ku końcowi. W czerwcu Zuzanna zajęła się pierwszą osobą chorą na AIDS. Była to młoda Kubanka mieszkająca w zniszczonym mieszkaniu w Upper West Side. Zaraziła się wirusem HIV poprzez wykonanie skażoną igłą tatuażu (będącego urodzinowym prezentem od jej chłopca). Maria Alonso była stanu wolnego; nie miała matki, a jej ojciec, mieszkający w Jackson Heights, wierzył, że AIDS jest plagą zsyłaną na grzeszników. Chłopak ją zostawił. Przeszła już zapalenie płuc i toksoplazmozę, i była w kiepskim stanie. Straciła połowę niegdyś pięknych czarnych włosów, skórę miała przedwcześnie postarzałą; czuła się samotna, nikomu nie potrzebna. Miała zaledwie dziewiętnaście lat.

Na początku, kiedy Pete przedstawił jej Zuzannę, Maria była bardzo podejrzliwa. Irytowało ją, że młoda kobieta jest sławna, piękna i zdrowa. Nazywała Zuzannę szczęściarą i stale powtarzała, że nie życzy sobie, by się nad nią litowano. Zuzanna starała się nie narzucać ze swoją obecnością, zapewniała jednak, że jest gotowa służyć pomocą o każdej porze dnia i nocy i że zrobi wszystko, czego Maria będzie potrzebowała. Była gotowa pójść z dziewczyną na

zakupy, posprzątać jej pokój albo przegadać z nią całą noc, gdyby Marii dokuczyła samotność.

Przez pierwsze dwa miesiące rzadko się widywały, choć Maria wiele razy dzwoniła do mieszkania Zuzanny przy Beekman Place, nierzadko o trzeciej czy czwartej nad ranem. Rozmowy były krótkie, często zdawkowe, ale Zuzanna rozumiała, że wynikają one z potrzeby bliskości drugiego człowieka w najczarniejszych momentach życia.

- Umrę, zanim skończę dwadzieścia jeden lat - powiedziała Maria pewnej nocy.

- Możliwe - zgodziła się z nią Zuzanna.

- Chyba powinnaś mnie pocieszyć, powiedzieć, że mogę jeszcze przeżyć wiele lat?

- Możliwe, że będziesz żyła jeszcze wiele lat - przyznała Zuzanna. -

Niestety, nie ma co do tego pewności.

- Nie chcę umierać - oświadczyła Maria.

- Wiem.

- Nic nie wiesz.

- Niewiele - odparła Zuzanna.

- Więc dlaczego tak mówisz? - spytała Maria i odłożyła słuchawkę.

Powoli zbliżały się do siebie. W chwili nieco lepszego samopoczucia Maria zaprowadziła Zuzannę do kilku kubańskich restauracji. Kiedyś Zuzanna powiedziała, że chciałyby się nauczyć gotować *ajiacó*, zawiesiła zupę na wołowym ogonie i wieprzowinie z warzywami. Maria bez ceremonii stwierdziła, że Zuzannie łatwiej będzie się uczyć we własnej kuchni, większej i piękniejszej od maleńkiej kuchenki w mieszkaniu Kubanki. Krojąc warzywa, Maria skaleczyła się. Myślała, że Zuzanna zareaguje na to przerażeniem, ale była modelką pomogła chorej umyć i zdezynfekować ranę, po czym podała Marii inny nóż.

- Nie boisz się? - spytała Maria.

- Nic mi się nie stanie - odparła Zuzanna. - Trzeba tylko zachować ostrożność.

Mówiąc to, pomyślała o Abigail i poczuła się niezręcznie, świadoma swojej hipokryzji.

- Co się stało? - spytała Maria.

- Nic.
  - Chodzi o mnie?
  - Nie - powiedziała Zuzanna, pochylając się nad zlewem.
  - Przed chwilą mówiłaś, że powinnyśmy być ze sobą szczerze - przypomniała Maria.
  - Ale nie żądałam, żebyś mi mówiła o sobie wszystko.
  - Niech ci będzie. - Maria odwróciła się do niej plecami.
  - Naprawdę chcesz wiedzieć? - spytała Zuzanna, żałując nagłej obcości między nimi.
  - Jeśli zechcesz mi powiedzieć...
  - Kiedy chodzi o Abigail, nie potrafię zachować zdrowego rozsądku.
  - Moim zdaniem, to normalne. Nienormalne jest raczej wszystko inne, co robisz.
  - Dlaczego?
- Oczy Marii były okrągłe ze zdumienia.
- Twój mąż nie żyje. Miałaś wyjątkowe szczęście, że nie zaraziłaś się wirusem HIV, i trudno zrozumieć, dlaczego obracasz się wśród takich ludzi jak ja. Jesteś postrzelona.
- Zuzanna uśmiechnęła się.
- Nie sądzę.
  - Więc dlaczego to robisz?
  - Trochę z poczucia winy. - Zuzanna postanowiła być szczerą. - Ponieważ niewiele zrobiłam dla swojego męża. Nie odstępowałam wprawdzie od jego boku, ale nie zawsze potrafiłam mu dać to, czego potrzebował. Ze strachu nie pozwalałam mu mówić o sprawach, którymi chciał się ze mną podzielić. - Zuzanna wzruszyła ramionami. - Teraz mogę korzystać z tego, czego się wówczas nauczyłam. Staram się przychodzić z pomocą, kiedy to możliwe. Nie ma w tym żadnego bohaterstwa.
  - Nie nazwałam cię bohaterką. Powiedziałam tylko, że jesteś postrzelona. Wkrótce stało się jasne, że Maria Alonso nie dożyje swoich dwudziestych urodzin. O dwudziestych pierwszych nie było co marzyć. Często przebywała w szpitalu. Była chora, samotna, przerażona. Coraz częściej potrzebowała obecno-

ści Zuzanny. Zmarła w styczniu 1991 roku. Jej śmierć była jeszcze trudniejsza do zaakceptowania niż śmierć Hawke'a. Hawke - powiedziała Zuzanna Pete'owi - przez większą część życia miał to, czego pragnął, a kiedy nadszedł koniec, był na to dość dobrze przygotowany. Tymczasem Maria, mimo wysiłków Zuzanny i kubańskiego księdza katolickiego, którego znalazł Pete, nie była gotowa na śmierć.

- Jak się czujesz? - spytał Zuzannę Pete kilka dni po śmierci dziewczyny.

- Okropnie.

- Masz wątpliwości, czy warto ciągnąć tę pracę?

- Dla mnie to nie jest praca.

- Jest ci ciężko, nieprawda?

- Tak.

- Zaprzyjaźniasz się z taką osobą - wyjaśniał jej Pete - jej cierpienie staje się twoim... tęsknisz za nią, kiedy odchodzi, i zostajesz sama, z okruciami jej życia w pamięci. Czasem zostają tylko wspomnienia, innym znów razem coś bardziej materialnego - uśmiechnął się. - Jak Alicja i Steinbeck.

- Maria nic po sobie nie zostawiła. Była całkiem samotna.

- Miała ciebie.

- Ja nie byłam dla niej nikim ważnym - powiedziała Zuzanna.

- Wiedziała, że może na ciebie liczyć dniem i nocą. To dość dużo.

- Ostatniego dnia poprosiła, żebym ją przytuliła - przypomniała sobie Zuzanna. - Miała pękniętą wargę, sączyła się z niej krew. Odwracała twarz, żeby mnie nie dotknąć.

- Tak jak ty odwracasz się od Abigail.

- Podobnie.

Dwa tygodnie po śmierci Marii Alonso Zuzanna postanowiła zrobić sobie jeszcze jeden test na obecność wirusa HIV. Zdecydowała jednak, że robi to po raz ostatni i nigdy więcej tego nie powtórzy. Po otrzymaniu od Saula Weinberga wyników - jak należało się spodziewać, były negatywne - Zuzanna zatęskniła za Hawkiem. Poszła więc na Canal

Street, pod dom, w którym znajdowało się niegdyś jego mieszkanie. Potem wybrała się na spacer po uliczkach Soho, które tak często przemierzali razem, i odwiedziła ich ulubione miejsca. Wreszcie, godzinę przed zmierzchem, pojechała taksówką na cmentarz w Jackson Heights, gdzie spoczęła Maria. Na grobie leżał bukiet świeżych kwiatów. Zuzanna pomyślała, że ojciec, który na pogrzebie sprawiał wrażenie załamane, pewnie znów odwiedził cmentarz. Bardzo chciała wierzyć, że Maria o tym wie.

Wreszcie wolna - pomyślała Zuzanna, nie wiedząc, czy chodzi jej o Marię, czy o siebie samą.

Rozejrzała się po zatłoczonym cmentarzu. Dzień był ponury i chłodny. Zaczynało zmierzchać. Przypomniała sobie, z jaką radością kilka godzin wcześniej Saul Weinberg pokazał jej wyniki testu, i pomyślała, że to jeden z najpiękniejszych zimowych wieczorów, jakie w życiu widziała. Wreszcie wolna.

Nagle z całej siły zatęskniła za prawdą. Szybkim krokiem wyszła z cmentarza. Odnalazła budkę telefoniczną. Koniecznie chciała się spotkać z Pete'em.

## *Rozdział 12*

Pamiętasz , kiedyś ci opowiadałam, że zostałam zgwałcona? Jasne, że pamiętasz.

- Pamiętam.

- Spytałeś, co stało się z tym mężczyzną. Powiedziałam, że wrócił do pracy jakby nigdy nic, a po pewnym czasie wyjechał. Gdy dopytywałeś się, czy próbował się jeszcze do mnie zbliżyć, odparłam, że nie w ten sposób, czy coś podobnego.

- Rzeczywiście, tak właśnie mówiłaś.

- To nieprawda.

Poprawiła się na kanapie, szukając wygodniejszej pozycji. Miała ochotę się położyć, ale nigdy dotąd tego nie robiła i nie przypuszczała, żeby to mogło ułatwić czekające ją, niełatwe zadanie. Pete jak zwykle siedział w fotelu, niezbyt blisko, ale i nie za daleko. Kiedy zadzwoniła z Jackson Heights, bez wahania zgodził się ją przyjąć. Zuzanna podejrzewała, że z jej powodu musiał odwołać jakieś popołudniowe spotkanie, ale nie miała pewności. Pete nigdy nie marudził i nie dawał jej odczuć, że żąda od niego zbyt wiele ani że jego czas jest bardzo cenny. Z tego, co wiedziała, wszystkich tak traktował. Był naprawdę niezwykłym człowiekiem.

- Mów dalej - poprosił.

Potrafił łagodnie zachęcać do wysiłku: „Nie przerywaj”, „Opowiedz o tym”, „Mów dalej”, „Nie bój się”.

- On nie wyjechał - zaczęła. - Został w klasztorze. Wiedział, że nic mu nie grozi, bo nigdy nikomu nie powiem o tym, co zrobił. Był pewny, że uwierzyłam w to, co powie-

dział wtedy, kiedy mnie zgwałcił. Że to ja zgrzeszyłam, a nie on. I że jeśli komuś o tym powiem, on mnie zabije.

Znów zamilkła. Pete nic nie mówił. Czekał. Zuzanna czuła, że gdyby to było konieczne, Pete będzie czekał całą wieczność. Nauczyła się tego - i wielu innych rzeczy - od niego. Korzystała z tej umiejętności w rzadkich momentach, kiedy Maria Alonso chciała się przed nią otworzyć, ale potrzebowała dużo czasu, żeby zacząć mówić.

- Przed gwałtem miesiączkowałam tylko dwa razy, z dwumiesięczną przerwą. Nie wiedziałam więc, że jestem w ciąży. Aż do listopada. Wtedy dowiedziałam się prawdy. Od niego. On wiedział. Podobno mnie obserwował i zauważył charakterystyczne zmiany. Miałam urodzić dziecko. Powiedział mi o tym w ogrodzie, gdzie nikt nie mógł nas usłyszeć. Już wcześniej sama zauważyłam, że przybrałam na wadze i jestem blada, ale nie wiedziałam dlaczego. Miałam zaledwie trzynaście lat.

Znów zamilkła. Pete czekał. Spojrzała w jego opanowaną, uprzejmą, nieporuszoną twarz i szybko odwróciła wzrok.

- Powiedział, że nie mam wyboru i muszę opuścić klasztor. Odparłam, że nie mam dokąd pójść, a on zgodził się ze mną i dodał, że stałam się złą, pełna grzechu i żaden porządny człowiek nie zechce mnie przyjąć pod swój dach. Obiecał, że jeśli nic nikomu nie powiem, zaopiekuje się mną.

- A twoi rodzice? Zuzanna pokręciła głową.

- Powiedział, że jeśli zakonnice się dowiedzą, wyrzucą nas wszystkich i w ten sposób zrujnują im życie. Twierdził, że nigdy mi nie wybaczą. Że nikt mi nie wybaczy i nikt się mną nie zajmie.

- Tylko on - przypomniał Pete.

- Tak. Powtórzył, że muszę opuścić klasztor i że za tydzień mam być gotowa. On o wszystko zadbał. Jeśli dotrzymam swojej obietnicy, nie muszę się bać. Dodał też, że wie, iż nie spodobało mi się to, co zrobił (powiedział: co zrobiliśmy), żałuje tego i nigdy więcej się do mnie nie zbliży.

- Uwierzyłaś mu?

- Tak. Potrafił być przekonujący. Był obdarzony swoistym wdziękiem. Poza tym myślałam, że nie mam wyboru.

Pete milczał. Dopiero po chwili spytał:

- Gdzie znajdował się ten klasztor? Nigdy nie mówiłaś.

- Nie? Niedaleko Brewster, na przylądku Cod. - Spojrzała na niego i zauważyła, że kiwa głową. - Dlaczego pytasz?

- Kiedy byłaś u mnie pierwszy raz, odniosłem wrażenie, że to było gdzieś w Vermont. Ale potem, kiedy opowiedziałaś mi o gwałcie i opisałaś plażę, zacząłem się domyślać, że nie może chodzić o okolice jeziora Champlain.

- Nie - szepnęła Zuzanna. - To była plaża koło Brewster, z jasnym piaskiem i pięknymi widokami. Chadzałam tam czasem z jedną z sióstr, która lubiła rysować pejzaże. W pogodny dzień widać było stamtąd cały przylądek.

- Zwiedzałem ten przylądek w dzieciństwie - uśmiechnął się Pete. - Ojciec zabrał mnie tam kiedyś latem. Teraz łatwiej mi będzie wyobrazić sobie to wszystko.

Przyszedł po nią w zimną, deszczową, listopadową noc. Wziął jej torbę i włożył do bagażnika swojego starego che-vroleta. Ostrożnie, po cichu zamykał klapę. Zaczekał, aż Zuzanna wsiądzie do samochodu.

- Na co czekasz? Na świętego Mikołaja? - szepnął. Ociągała się, bo bała się zostać z nim sam na sam.

- Mam cię wsadzić? - spytał.

Weszła do samochodu. Z przodu było tylko jedno, długie siedzenie.

Kiedy ogrodnik zajął miejsce za kierownicą, Zuzanna z przerażeniem stwierdziła, że znaleźli się nagle bardzo blisko siebie. Uruchomił silnik i ruszyli w drogę.

- Zapomniał pan włączyć światła - szepnęła.

- Nie zapomniałem. Teraz możesz mówić normalnie. Nikt nas nie usłyszy. Spojrzał we wsteczne lusterko i - wyraźnie uspokojony - zapalił światła mijania. Zuzanna siedziała bez ruchu, z rękami splecionymi na kolanach. Zaczął padać deszcz. On uruchomił wycieraczki. Tam i z powrotem, tam i z powrotem; prawa wycieraczka skrzypiała, przesuwając się po mokrej szybie.

- Masz - odezwał się, sięgając po coś lewą ręką. Rzucił jej ścierkę. -

Wytrzyj szyby.

Wytarła je ze swojej strony.



- Bardzo mi pomogłaś - stwierdził z ironią. - Może oczyścisz też moją, żebyśmy widział, dokąd jedziemy?

- Przepraszam.

Pochyliła się ku niemu i wytarła szybę przed nim.

- Dziękuję - powiedział.

- Nie ma za co. - Cały czas trzymała w ręku wilgotną ścierkę. Przesunęła językiem po spierzchniętych ustach. -Dokąd jedziemy?

- Zobaczysz - odparł.

Zuzanna zamilkła. Wjechali na drogę numer 6, zwaną autostradą Mid Cape, i skierowali się na wschód, co znaczyło, że nie jadą bardzo daleko i nie opuszczą przyładka, chyba że statkiem. Zuzanna zadrżała.

- Jest ci zimno? -Nie.

- Na pewno? Mogę włączyć ogrzewanie.

- Nie, nie trzeba.

- Boisz się?

- Troszeczkę.

- Uspokój się - zerknął na nią z zainteresowaniem. -Już ci powiedziałem, że jeśli będziesz grzeczna, nic ci nie zrobię.

- Będę grzeczna - obiecała.

Wyciągnął rękę i dotknął jej brzucha. Zuzanna podskoczyła z przerażenia. On zaśmiał się i cofnął dłoń.

- Chciałem pogłaskać dziecko - powiedział. Zuzannie zrobiło się niedobrze.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Dobrze - odparła.

- Często wymiotowałaś?

- Czasami.

- Taki jest owoc grzechu - wyjaśnił.

Autostrada wiodła na północ. Minęli Fort Hill, Eastham, Nauset i Wellfleet. Stary Chevrolet mknął po mokrej, czarnej jezdni. Deszcz był coraz mocniejszy. Woda spływała po szybach i pryskała spod kół.

Wycieraczki zgrzytały: tam i z powrotem, tam i z powrotem - niczym jakiś stary, nie naoliwiony metronom. Zuzanna zasłuchała się bez reszty

w szmer wycieraczek i szum motoru. Poddała się temu obezwładniającemu nastrojowi, przestając na chwilę myśleć o siedzącym obok niej mężczyźnie; o tym, że zabiera ją gdzieś daleko od wszystkiego, co znała; że są tylko we dwoje i że Zuzanna się go boi.

- Byłaś kiedyś w P-Town? - spytał ją gdzieś między Wellfleet a Truro.

- Proszę? - Poruszyła się, czując, że powieki zaczynają jej ciążyć coraz bardziej.

- Provincetown. Pytałem, czy już byłaś w tym mieście. Nazywają je P-Town.

-Nie.

- Nic dziwnego. - Pokiwał głową. - Siostry nie zabrałyby cię w takie miejsce.

- Dlaczego? - spytała.

- Ponieważ tam jest jak w Sodomie i Gomorze. Uczyli cię o Sodomie i Gomorze, prawda? O mieście, które Bóg zniszczył, dlatego że mieszkali w nim sami zbrodniecy? -Zerknął na nią ukradkiem. - To było takie ówczesne P-Town, a w nim pełno homoseksualistów i lesbijek.

Zuzanna milczała. Nie rozumiała, o czym mówił, ale ton jego głosu - kumpłowski, poufny - przeraził ją. Tak samo odezwał się do niej tamtego lipcowego dnia. Zaraz potem przestał być miły i złapał ją za kostkę, a później...

- Co ci jest? - spytał. Pokręciła głową. -Nic.

- Dziwnie oddychasz. Szybko i płytko. Nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Nic mi nie jest.

Starła się zapanować nad sobą i oddychać cicho i głęboko.

- Najbardziej na świecie nienawidzę homoseksualistów - powiedział.

Zuzanna nie odzywała, się.

- A ty? Spotkałaś kiedyś takiego?

- Nie wiem - odparła.

- Chyba wiesz, o czym mówię? - Uśmiechnął się, ale nie oderwał wzroku od mokrej jezdni. - Nie, nie wiesz. Jesteś

niewinną dziewczynką. Albo raczej byłaś. Teraz już nie jesteś - powiedział, szydząc z niej. - Teraz ty też jesteś grzesznicą. Pasowałabyś do P-Town.

- Tam właśnie jedziemy? - wyszeptała. -Nie.

Próbowała przypomnieć sobie mapę przylądka Cod, wiszącą w klasie na tablicy informacyjnej. Między Truro i Provincetown a koniuszkiem przylądka nie było chyba żadnych miast. Pamiętała tylko miasteczka, wioski i niewielkie osady, z kilkoma domami i kościółkiem. Może rzeczywiście wsiądą na statek? Na myśl o tym zadrżała.

- Zimno ci - stwierdził.

- Nie - zaprzeczyła.

- Jeśli poczujesz chłód, możesz się do mnie przytulić - zaproponował. Zuzannie zebrało się na wymioty.

- Nie, dziękuję - odparła prędko. - Teraz jest mi dobrze.

- W takim razie przestań drżeć - powiedział; głos miał uprzejmy.

- Nie drzę - zapewniła go.

- To dobrze. Pamiętaj, co mi obiecałaś, i bądź grzeczna.

- Dobrze.

Siedziała nieruchomo, spoglądając przez zmywane strugami deszczu okno na drogę, spowitą w ciemną noc. Chciała się pomodlić, ale nie wierzyła, żeby to mogło jej w czymś pomóc. Regularnie odmawiała z siostrami codzienne modlitwy i dobrze byłoby teraz doznać pociechy w rozmowie z Bogiem, prosić, żeby pomógł jej wydostać się z tarapatów. Wiedziała jednak, że Boga nie ma. Zresztą, gdyby nawet istniał, nie rozmawiałby z kimś takim jak ona. Nie słuchał jej, zanim zgrzeszyła; teraz tym bardziej nie miała na co liczyć.

On znów odezwał się do niej:

- Wiesz, jak nazywają drogę numer 6?

- Autostradą Mid Cape - odpowiedziała. Starła się słuchać z uwagą, żeby go nie rozzłościć.

- Wielka Armia Autostradowej Republiki, tak się naprawdę nazywa - powiedział dziwnym głosem. - Kiedyś byłem w wojsku... Ale w takim prawdziwym, nie autostradowym. Zwolnili mnie, ponieważ miałem kłopoty z wątrobą.

Przez pewien czas poważnie chorowałem. W wojsku wcale nie było tak wspaniale, jak twierdzą niektórzy.

Tuż za North Truro zjechali z autostrady. Było tak ciemno, że mimo włączonych długich świateł kierowca musiał ze skupieniem wypatrywać drogi. Zuzanna, która znów zrobiła się senna, nagle poczuła, że jej serce bije szybciej, a dłonie ma wilgotne. Zrozumiała bowiem, że są już blisko celu.

W ostatniej chwili zauważył zakręt, mocno szarpnął kierownicą i ostro zahamował. Opony zaczęły piszczeć. Wpadli w poślizg, ale szybko odzyskał panowanie nad samochodem. Skręcili w boczną, gruntową drogę, przejechali jeszcze ze sto metrów i zatrzymali się. Wyłączył silnik.

- No - powiedział. - Teraz przesiadka. Zuzanna zastygła w bezruchu.

- Wsiadamy!

- Gdzie jesteśmy? - spytała szeptem.

- Można powiedzieć, że nigdzie. Zuzanna przełknęła ślinę.

- Zmieniamy samochód? -Nie.

Statek! Bała się statku w ciemną, mokrą noc. Bała się podróży po hebanowych, ryczących, nieprzeniknionych wodach - z tym mężczyzną czy bez niego, wszystko jedno.

- Wsiądziemy na statek? - szepnęła.

- Za nic! - odparł, uśmiechając się. - Nie znoszę statków. Zuzanna poczuła się nieco spokojniejsza.

- Przesiadamy się na nogi.

- Przepraszam?

- Dalej pójdziemy pieszo.

Wysiedli z samochodu. On otworzył bagażnik, wyjął torbę Zuzanny i podał jej. Sam wziął latarkę i chlebak, potem zamknął samochód. Tym razem głośno zatrzasnął bagażnik. Z mrocznej, absolutnej ciszy, z podmuchu wiatru i dziwnego przeczucia samotności Zuzanna wnioskowała, że są dość daleko od głównej drogi i że on nie martwi się już, iż ktoś mógłby ich usłyszeć. Strach, który nieco przygasł, kiedy się dowiedziała, że nie wsiądą na statek, znów powrócił.

Nie zamieniwszy z nią ani słowa więcej, ruszył w ciemną noc. Zuzanna, bardziej bojąc się ciemności niż jego, poszła za nim. Ogrodnik co jakiś czas zapalał latarkę i w jej świetle badał drogę w odległości kilkunastu najbliższych metrów. Potem znów gasił światło.

- Nie możemy oświetlać drogi przez cały czas? - ośmieliła się spytać Zuzanna.

- Nie chcę wyczerpać baterii - powiedział. - Światło może się jeszcze okazać potrzebne.

Dopóki szli drogą, Zuzanna potrafiła jakoś panować nad swoim strachem. „Jesteśmy na drodze - mówił jej wewnętrzny głos. - W każdej chwili możemy spotkać jakiś samochód, ludzi... On nie zrobi ci nic złego tu, gdzie ktoś mógłby was zobaczyć. Chociaż na plaży w Brewster, w tamto lipcowe popołudnie, też ktoś mógł was zobaczyć. Mimo to zrobił to, co chciał. Droga może prowadzić do jakiegoś miasteczka lub wsi, do jakiegoś domu. Może znajdzie się ktoś, kto się tobą zajmie. Może nie będziesz zdana tylko na niego. Przecież obiecał, że się tobą zaopiekuje. Co on właściwie powiedział? Że się tobą zajmie czy że będzie się tobą opiekował?” Zuzanna starała się powstrzymać nagły dreszcz.

Musiała nieźle wyciągać nogi, żeby dotrzymać mu kroku. Miała ochotę chwycić się poły jego marynarki czy rękawa. Gdyby to był ktoś inny, zrobiłaby to. Pragnęła poczuć, że ma przy sobie drugiego człowieka, że nie jest sama. Nie umiałaby jednak dotknąć tego mężczyzny, któremu humor zmieniał się w mgnieniu oka; który w obecności zakonnicy przemykał się cicho jak kot, ale potrafił zgwałcić dziewczynkę i grozić jej śmiercią.

Najpierw poczuła jakiś nowy zapach w powietrzu, dopiero później usłyszała odwieczny, z niczym nieporównywalny odgłos oceanu. Zeszli z bitej drogi na wąską ścieżkę, w końcu zaś na miękką, przesypującą się pod stopami plażę.

- Jesteśmy na dobrej drodze. - W jego głosie słyhać było podniecenie. - Teraz musimy zapalić tę cholerną latarkę, żeby któreś z nas nie skreśliło sobie nogi. - W słabym świetle, aż do granicy z ciemnością, było widać tylko jasny piasek. - Byłoby nam łatwiej, gdyby zaświecił księżyc. Módl się, żebyśmy doszli, zanim wyczerpią się baterie.

Droga była trudna. Po pewnym czasie Zuzanna spytała, czy mogliby się na chwilę zatrzymać. Chciała zdjąć buty i skarpety. On też się rozbuł. Deszcz przestał padać, ale piach był zimny i mokry. Szli gęsiego, wciąż w nie kończącej się pustce. Zuzanna, mając nadzieję, że koniec podróży okaże się lepszy od niej samej (choć znacznie bardziej prawdopodobne było, że będzie jeszcze gorszy), wywoływała w myślach obraz śladów, które za sobą zostawiają: drobne stopki kroczące za wielkimi. Stanowiły one dowód ich wędrówki przez pustkowie przyładka Cod. „Tylko że nikt nie będzie szukał dowodów - wytknął jej z bezlitosną logiką wewnętrzny głos. - Zresztą wasze ślady zostaną zatarte przed świtem, zmyte, zdmuchnięte. Znikną tak, jak ty zniknęłaś z klasztoru”.

Stopy zapadały się w piasek poniżej kostek. Podnoszenie nóg przy każdym kroku wymagało wielkiego wysiłku. Przejście kilku metrów zajmowało całą wieczność. Po pewnym czasie znaleźli się na wydmach, których stromizna jeszcze bardziej utrudniała marsz. On również, mimo swojej siły, wyraźnie odczuwał zmęczenie. Zuzanna słyszała jego posa-pywanie i ciężki oddech. Zaciśnęła mocno powieki, próbując odtworzyć wiszącą w klasie mapę przyładka. Powoli zaczynała rozumieć, gdzie jest. Usiłowała sobie przypomnieć nazwy plaż, ale pamiętała tylko jedną, intrygującą i dziwną: Plaża u Bram Łąki. Plaże koło Brewster miały bardziej odpowiednie nazwy - Breakwater Beach, Paines Creek Beach, Robbins Hill Beach - pozwalające się domyślać ich położenia. „Nie wiesz, gdzie jesteś, i w tym cały kłopot. Nie wiesz, dokąd idziesz, i on wcale nie chce, żebyś wiedziała”.

Od chwili gdy wysiedli z samochodu, minęła może godzina, a może cała wieczność. Tak się czuła. On pewnie też, ale na jego uczuciach wcale jej nie zależało. Prawie się nie odzywał. Od czasu do czasu przeklinał, gdy poślizgnął się na zdradliwych piaskach; czasem ponaglał Zuzannę. Raz, kiedy dziewczynka potknęła się i upadła, spytał, czy nic się jej nie stało. Wiedziała, że martwi się tylko o to, by nie musiał jej nieść. Poczowała na ramieniu jego dłoń i natychmiast poderwała się na równe nogi, odsunęła się od niego i lekko się chwiejąc, ruszyła przed siebie. Instynktownie wyczuwa-

jąc kierunek, przez pewien czas prowadziła. On szedł za nią, oświetlając drogę słabnącym światłem latarki. Potem latarka zgasła.

- Cholera! - zaklął, przystając.

Otaczała ich ciemność. Byli jak ślepi. Zuzannę ogarnęła panika, tłukąc się w jej sercu, piersiach, w gardle, jakby miała skrzydła nietoperza.

Dziewczynka miała ochotę krzyknąć, biec, rzucić się na piach, zacisnąć oczy i leżąc czekać na nadejście dnia.

- Spokojnie - powiedział.

„Spokojnie - napominał ją wewnętrzny głos. - Żeby ci nie zrobił krzywdy, żeby cię nie zostawił, żeby się tobą zaopiekował, tak jak obiecał”.

- Nic mi nie jest - zapewniła drżącym głosem.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił ją dobrotliwie. -Zaczekamy chwilę, aż oczy przyzwyczają się do ciemności. Chmury się przeredzają, księżyc zaczyna wyglądać, widzisz? Wiatr je zaraz rozwieje.

Czekali. Okazało się, że miał rację. Powoli zaczęła dostrzegać coś wokół. Stali wśród wydm, przypominających maleńkie góry. Rzadka trawa powiewała na wietrze jak włosy jakiegoś szaleńca. Wiatr szarpał również jej włosy. W oczach miała piasek, ostry i drażniący. Twarz ją szczypała, ale ten niewielki ból był jak dobrze znany przyjaciel; przynosił jej ukojenie.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Możemy iść dalej.

- Daleko jeszcze?

Były to jej pierwsze słowa po długim okresie milczenia.

- Mam nadzieję, że już nie. Nagle zobaczyli ocean.

Był dość daleko, ale chmury przeredziły się na tyle, że wyraźnie widzieli miejsce, gdzie plaża styka się z wodą. Dużo, dużo dalej ocean spotykał się z niebem. Patrząc na morze, Zuzanna poczuła dziwną radość i coś przypominającego nadzieję. W tej samej chwili uświadomiła sobie źródło tego uczucia: wreszcie coś widziała. W swoim czasie noc odejdzie, a w świetle dnia nic nie będzie tak przerażające jak w mroku nocy.

- Tędy! - wskazał drogę.

Skreśli na północny zachód. Od miejsca przeznaczenia dzieliło ich jeszcze wiele wydm. Jedne były duże, inne małe; jedne strome jak miniaturowe Alpy, inne, bardziej płaskie, z daleka przypominały martwe wieloryby. Szli i szli. Zuzanna miała wrażenie, że wędruje na jakichś obcych, drętowych nogach. Starła się nie zwracać uwagi na ból w biodrach i w kostkach. Widząc, że mężczyzna przyspieszył i nagle nabrał nowych sił, domyśliła się, że są już blisko celu, i przestała zastanawiać się, dokąd ją prowadzi. Wreszcie będzie się mogła zatrzymać. Nic więcej jej na razie nie obchodziło. Niedługo pozwoli jej stanąć, odstawić torbę, usiąść albo położyć się - chwilowo to było dla niej najważniejsze. „Nawet gdyby chciał znów ci to zrobić? - spytał głos. - To albo coś jeszcze gorszego?”

I po to prowadził mnie aż tutaj? - odpowiedziała głosowi Zuzanna. W końcu doszli na miejsce.

Ukryte było w miękkim podbrzuszu pustkowia otaczającego Atlantyck, wtulone między dwie góry rozwiewanego przez wiatr piachu, ogołoczone z roślinności, z wyjątkiem rzadkiej trawy na ich wierzchołkach. Stąd nie było widać oceanu.

Celem wędrowki okazała się stara chata obita papą. W słabym świetle księżyca Zuzanna zauważyła, że nie ma w niej okien, że komin się rozpada, a drzwi pokrywa rdza. Dach opadał dość stromo. Na jego brzegach gonty były popękane, niektóre nawet całkiem odpadły. Gdzieś coś stuknęło. Może wiatr uderzył jakimś kawałkiem drewna?

- To tutaj - powiedział.

Zuzanna spojrzała na niego, czekając na jakieś wyjaśnienie. Nie wiedziała, czy spodziewa się po niej rozczarowania, czy radości. Niczego po sobie nie okazała. Nie wiedziała, co mogłaby powiedzieć. Była zbyt zmęczona i marzyła tylko o tym, by wędrowka wreszcie się skończyła.

- I co ty na to? - spytał, stawiając chlebak na ziemi.

- Możemy wejść do środka?

Zachrypła z zimna i wilgoci, a także od wiatru i piasku, które chłostały jej twarz podczas długiej wędrowki.



- Podoba ci się? Chcę wiedzieć, czy ci się podoba. Zmęczona, wzruszyła ramionami.

- Oczywiście.

- To dobrze - powiedział, podnosząc chlebak. - Bo to będzie twój dom. Niedowierzenie przemogło niemal nagromadzone w ciągu ostatnich godzin zmęczenie, przygniatające ją do ziemi jak zbyt ciężki bagaż. Sądziła, że on żartuje. To przecież nie był dom, tylko jakiś obity papą szałas.

- Wejdz do środka! - polecił.

Podeszła do starych, niepewnie trzymających się na zawiasach, poskrzypujących drzwi i otworzyła je. W środku było ciemno.

Kiedy zrobiła krok do przodu, drzwi za jej plecami zaskrzypiały. Znowu przejął ją nagły strach, który przygłuszył zmęczenie. On znów mi to robi - pomyślała. Słyszając go za sobą, czując zapach jego ciała, odsunęła się jak najdalej.

Zapalił zapałkę.

- Jest tutaj piecyk naftowy - powiedział - i kuchenka na dwie fajerki.

Pochylił się, żeby zapalić w piecyku w drugim końcu chaty. W bladym świetle ognia Zuzanna rozejrzała się wokół. Był tam stary i dziurawy, ale czysty materac, na którym leżał złożony koc. Stały też dwa duże kartonowe pudła. Zebrała się na odwagę i zajrzała do nich. W środku było sześć butelek wody, kartony, puszki i słoiki.

- Rozejrzyj się - zachęcił ją.

Cztery kartony krakersów, po tuzinie puszek z zupą fasolową i grzybową, pudełko herbaty, puszka kawy rozpuszczalnej, dwa kartony mleka o przedłużonej trwałości, trzy rolki papieru toaletowego, kostka mydła i buteleczka witamin.

- To powinno ci wystarczyć do czasu, kiedy przywiozę coś więcej - oświadczył. - Zajrzyj do drugiego pudła.

Zajrzała bez słowa. Stare pisma ilustrowane, papierowy ręcznik, „Przeminęło z wiatrem” ze zdjęciem Vivien Leigh i Clarke'a Gable na zniszczonej okładce.

- Znalazłem to w klasztornej śmietniku - wyjaśnił. - Powinno ci tego wystarczyć na jakiś czas.

Wzięła książkę do ręki. Na samym dnie leżała Biblia w czarnej oprawie. Ciekawe, czy to jej egzemplarz, czy też ukradziony któregoś z zakonnic?  
- Mówiłaś, że nie jesteś religijna - powiedział - pomyślałem jednak, że to może ci się tu przydać.

Chciała coś powiedzieć, ale zaschło jej w gardle. Chrząknęła.

- Jak długo będziemy tu mieszkali? - spytała.

- Ty. Ja nie będę tu mieszkał. Kiwnęła głową.

- Jak długo?

- Dopóki ci nie powiem, że się wyprowadzasz.

- Tu nie ma nawet lampy. Nie ma się gdzie umyć...

- Jest wiadro i miska - pokazał ręką. - Nie będziesz używać żadnego światła, bo ktoś mógłby cię zauważyć. Z tego samego powodu niechętnie zostawiam grzejnik i kuchenkę, ale nie mogę pozwolić, żebyś się rozchorowała. Musisz przecież coś jeść. Zresztą tutaj nie ma okien, a piecyk daje tak niewiele światła, że nic nie powinno się wydarzyć, nawet gdyby ktoś podszedł całkiem blisko. Ale w nocy i tak nikt tu nie przyjdzie.

Patrzył jej prosto w oczy, ciekawy, czy bardzo jest przerażona.

- Już od pewnego czasu mam tę chatę na oku - mówił dalej. - Latem korzysta z niej mnóstwo ludzi. Zimą nikt tu nie przychodzi, z wyjątkiem pewnego dziwaka, strażnika z parku narodowego, ale on bywa tu tylko za dnia, a tobie w ciągu dnia nie będzie wolno wychodzić na plażę.

- Będę musiała wychodzić - powiedziała cicho.

- Nie będziesz wychodziła! - powtórzył.

Nie wierzyła własnym uszom. Zamierzał ją tu zostawić, całkiem samą w wilgotnej, drewnianej chacie.

- Nie wytrzymam - odparła.

- Musisz.

Pokręciła głową. Oczy miała okrągłe z niedowierzania.

- Tutaj nic nie ma. To nie jest dom. Nawet nie można tego nazwać pokojem. Nie ma nawet... - zamilkła, nie zamierzając dokończyć zdania.

- Przecież jest wiadro. W nocy będziesz mogła wyjść,

wynieść jego zawartość, wypłukać je i zakopać to, co trzeba zakopać. - Pokiwał głową, jakby podsunęła mu dobrą myśl. - Chociaż rzeczywiście następnym razem muszę przynieść trochę lizolu.

- Następnym razem? - szepnęła.

- Przyjadę, kiedy tylko będę mógł - powiedział, przyglądając się jej z uwagą. - Czego się spodziewałaś, mała? Eleganckiego hotelu? Będzie ci tu dobrze. Masz jedzenie, wodę, łóżko, lekturę, a nawet witaminy. Na Boga, na co właściwie liczyłaś?

Zuzanna skuliła się, słysząc w jego głosie złość.

- Zaszłaś w ciążę i urodzisz bękarta. Jesteś grzesznicą. Zapomniałaś o tym? Lepiej sobie przypomnij.

- Pamiętam - szepnęła.

- Obiecałem, że się tobą zajmę. Rozejrzyj się tylko. - Wykonał szeroki gest ręką. - O wszystkim pomyślałem. Masz dach nad głową. Nikt cię tu nie znajdzie, żeby cię ukarać i odebrać dziecko. - Przysunął się do niej tak blisko, że prawie ocierał się o nią. - Myślisz, że gdybyś tam została, pozwoliliby ci wychować twoje dziecko? Nie! Wyrzuciliby cię, ale najpierw zabraliby maleństwo.

- Nie - szepnęła Zuzanna. - Nie mogliby...

- Zapewniam cię, że tak właśnie by postąpili.

Słowa mężczyzny huczały jej w głowie. Czowała się chora, zrobiło się jej słabo. Zapragnęła, żeby już wyszedł i zostawił ją samą w tym okropnym miejscu.

Położył dłoń na jej ramieniu. Z trudem powstrzymała się, żeby nie krzyknąć.

- Cicho! - ostrzegł ją. Zuzanna szybko pokiwała głową. - Odezwij się chociaż słówkiem, a zabiję cię. Nikt się nigdy nie dowie, nikt cię tu nie znajdzie. Umrzesz razem ze swoim dzieckiem. Więc lepiej się uspokój. Zuzanna znów kiwnęła głową.

- Zgoda? - spytał. - Tak.

Nadal trzymał dłoń na jej ramieniu.

- Musisz mi coś obiecać.

- Dobrze.

- Weź do ręki Biblię.

Podeszła do pudła i wyjęła księgę w czarnej oprawie, zadowolona, że wreszcie uwolniła się z jego uścisku.

-Przynieś ją tutaj. - Wziął od niej Biblię. - Połóż na niej prawą dłoń. Teraz musisz mi złożyć świętą przysięgę. Nawet jeśli jesteś niewierząca, kiedy przysięgniesz na Biblię, Pan będzie to słyszał. Jeśli złamiesz przysięgę, diabeł przyjdzie po ciebie i cię zabierze. Jesteś gotowa?

-Tak.

- Musisz przysiąc, że nigdy nie wyjdiesz stąd za dnia, a nocą tylko wtedy, kiedy będziesz naprawdę musiała. Powtórz to. Mógłbym cię tu zamknąć, mam w chlebaku kłódkę. Wtedy wcale nie będziesz mogła wychodzić.

- Nie będę wychodziła - powiedziała.

- Powiedz: przysięgam, że nigdy nie wyjdę stąd za dnia, a nocą tylko wtedy, kiedy będzie to konieczne.

Zuzanna powtórzyła jego słowa.

- Tak zaprzysięgają ludzi w sądzie. Tych, którzy nie dotrzymują przysięgi, zamyka się w więzieniu. Rozumiesz?

-Tak.

- Połóż dłoń na Biblii. To jeszcze nie wszystko. Zuzanna czuła, że zaraz zwymiotuje, ale bała się go tak

bardzo, iż zacisnęła zęby i starała się powstrzymać drżenie nóg.

- Teraz przysięgnij, że gdybyś nawet kogoś zobaczyła (choć nikogo nie zobaczysz, jeśli dotrzymasz poprzedniego przyrzeczenia), gdyby ktoś się tu przypadkiem pojawił, nie powiesz nikomu ani o tym, że tu mieszkasz, ani o mnie, ani o dziecku. Przysięgaj!

Złożyła przysięgę. W słabym migocącym świetle ognia płonącego w piecyku widziała dziwny blask w jego oczach.

- Jeśli złamiesz przyrzeczenie, grozić ci będzie nie tylko diabeł i więzienie, ale jeszcze ja. Przysięgam na Biblię, że cię zabiję.

Pokazał jej, jak zapalić kuchenkę, przestrzegł przed niebezpieczeństwem pożaru, gdyby kuchenka albo grzejnik przewróciły się, wyjął z chlebaka otwieracz do konserw i metalową łyżkę. Na koniec wręczył jej wielkie czerwone jabłko, mówiąc, że to specjalny prezent i żeby je zjadła do-

piero wtedy, kiedy będzie miała na nie naprawdę wielką ochotę. Nie może jednak czekać za długo, bo owoc mógłby się zepsuć. Potem spytał, czy chciałaby, żeby następnym razem przyniósł jej coś szczególnego.

-Nie wiem - powiedziała. Pragnęła, żeby już sobie poszedł, a jednocześnie bała się zostać sama.

-Przemów teraz albo na zawsze zachowaj milczenie -zażartował.

- Nie mogę zebrać myśli... Kiedy pan przyjedzie?

- Już ci powiedziałem: kiedy będę mógł.

- A jeśli zachoruję? Jeśli coś mi się stanie?

- Jeśli będziesz robiła to, co ci kazałem, wszystko będzie dobrze - uśmiechnął się. - Nie rozchorujesz się. Jesteś silna.

Zuzanna nie czuła swojej siły. Ledwie trzymała się na nogach.

- Masz ostatnią okazję - powiedział.

Zuzanna patrzyła na jabłko, które nadal trzymała w ręku. Była w ciąży. Owoc wyglądał bardzo apetycznie.

- Mogłabym dostać więcej jabłek? - spytała. Pokiwał głową powoli, jakby rozważał jej prośbę.

- Jeśli będziesz grzeczna, to tak.

- Będę grzeczna - obiecała szeptem.

Zamknął chlebak. Zuzanna była ciekawa, co jeszcze może w nim mieć.

„Może pistolet - zgadywał wewnętrzny głos. - Albo nóż, albo sznur, żeby cię związać, i łopatkę, żeby cię pogrzebać”.

- Prześpij się - poradził. - Wyglądasz na zmęczoną. Zuzanna nic nie odpowiedziała.

Podszedł do drzwi i nacisnął klamkę. Drzwi się zacięły. Musiał je pchnąć z całej siły.

- Nie zapomnij o przysiędze - powiedział, zanim wyszedł.

- Nie masz pojęcia, ile dźwięków słyhać nocą w tak odludnym miejscu - opowiadała Pete'owi Zuzanna. - Dopóki był ze mną, myślałam, że w pobliżu nie ma nic żywego, ale ledwie wyszedł, uświadomiłam sobie, że to, co brałam za ciszę, pełne jest dziwnych dźwięków, głosów ptasich i jakichś innych, wycia wiatru wśród traw na wierzchołkach wydm, klekotania desek w ścianach, zgrzytu obluzowanych gon-

tów, uderzeń oderwanej papy... Do świtu siedziałam na środku materaca, okryta kocem, tuląc ramionami podciągnięte pod brodę kolana, zwrócona twarzą do drzwi, zaciskając z całej siły powieki, żeby nie dostrzegać ciemności.

- Udało ci się zasnąć? - spytał zdławionym głosem Pete. Zuzanna pokręciła głową.

- Sądziłam, że jestem śpiąca. Naprawdę byłam wyczerpana, ale kiedy zostałam sama, bałam się tak bardzo, że nie mogłam zasnąć. Siedziałam cała napięta, nie pozwalając sobie nawet na chwilę nieświadomości. Potem nadszedł świt. Nigdy nie zapomnę tego pierwszego poranka. Pamiętam, jak podeszłam do drzwi i otworzyłam je. Chciałam odetchnąć świeżym powietrzem i zobaczyć pierwsze promienie słońca. Potem przypomniałam sobie o przysiędze i chociaż dobrze wiedziałam, że jego już tu nie ma, że mnie nie zobaczy, a Bóg, nawet gdyby przypadkiem mnie ujrzał, z pewnością nie podzieli się swoją wiedzą z takim człowiekiem, to jednak bałam się okazać nieposłuszeństwo. - Zuzanna uśmiechnęła się smutno, współczując dziewczynce, którą wówczas była.

- Potem był wschód słońca. W dwóch ścianach chaty niektóre deski były popękane i przez nie obserwowałam świat. Z jednej strony widać było tylko piasek, ale z drugiej, wykręcając głowę, mogłam dostrzec przez szparę kawałek nieba.

- Co odczuwałaś, gdy zaczęło świtać?

- Niebo było pochmurne, ale mnie wydawało się piękne. Cieszyłam się, że przeżyłam noc. Jechałam samochodem i odbyłam długą wędrówkę z diabłem wcielonym, potem byłam z nim w dzikiej głuszy, na koniec zostałam sama, ale nadal żyłam.

Postanowili wyjść na spacer. Zuzanna mówiła przez blisko dwie godziny. Pete wiedział, że powinien już zakończyć sesję i umówić się z nią na następny raz, ale Zuzanna - chociaż zmęczona - miała jeszcze wiele do powiedzenia i nie chciała tego odkładać na później.

Poszli do „The Coach House” na Waverly Place, usiedli na ławkach obitych czerwoną skórą i zamówili pikantny stek, gotowane ziemniaki i butelkę beaujolais. Potrzebowa-

li pokrzepienia, jakie potrafi dać smaczne, pożywne jedzenie i przytulne, ładne wnętrze. Przez jakiś czas rozmawiali

O planach związanych z domem dla chorych na AIDS. Michael Frieman był przeświadczony, że wkrótce dostaną ostateczną zgodę. Zuzanna postanowiła zamieszkać na miejscu, w apartamencie na najwyższym piętrze. Pete namawiał ją, żeby jeszcze raz to rozważyła, ale Zuzanna była przekonana, że musi to zrobić, skoro postanowiła całkowicie poświęcić się tej sprawie.

- Chcę mówić dalej - powiedziała nagle, między stakiem a szarlotką.

- Na pewno? - spytał Pete.

- Jeśli nie powiem ci tego dzisiaj, możliwe, że już nigdy nie zdobędę się na odwagę.

- Chcesz, żebyśmy wrócili do mnie? Pokręciła głową.

- Tutaj bardzo mi się podoba. Nikt nas nie usłyszy. Nie musimy się spieszyć. Możemy spokojnie wrócić do przeszłości. - Zamilkła. - Och, Pete! - dodała po chwili. - Jestem strasznie samolubna. Ty pewnie masz już dosyć.

- Nie - zaprzeczył. - Mów dalej.

- Na pewno?

- Wiesz, że nigdy cię nie okłamywałem.

- Wiem - uśmiechnęła się Zuzanna.

- Minęły dwa tygodnie, zanim wrócił - ciągnęła dalej. - Pewnie chciałbyś wiedzieć, jak sobie w tym czasie radziłam, nie wiem jednak, czy po tylu latach potrafię to wszystko odtworzyć. Bardzo się bałam. Strach nadchodził falami. Ogarniała mnie panika, po której następowała chwila uspokojenia.

- Ale jakoś dałaś sobie jednak radę - powiedział Pete.

- Nie miałam wyboru. Teraz, patrząc wstecz, wiem, że mogłam postąpić inaczej. Mogłam wyjść z chaty skoro świt

i udać się przed siebie w poszukiwaniu pomocy. Na nieszczęście wierzyłam we wszystko, co mi powiedział. Byłam przekonana, że jeśli wyjdę na plażę, on się o tym dowie, a jeśli powiem komuś prawdę, przyjedzie po mnie i znów mnie zabierze.

- Dwa tygodnie to niewyobrażalnie długo - odezwał się Pete. - Przez cały ten czas nie wychodziłaś na dwór? Miałaś odwagę wychodzić w nocy? To musiało być okropne.

- Szczególnie za pierwszym razem - potwierdziła Zuzanna. - Akurat ten moment pamiętam bardzo wyraźnie. Długo próbowałam otworzyć ciężkie drzwi. Bałam się, że mi się nie uda, że znalazłam się w pułapce bez wyjścia. Potem, kiedy drzwi nagle puściły, podskoczyłam z przerażenia. Owiąło mnie zimne, czarne jak smoła powietrze. Ściany chaty były cienkie, mimo to na zewnątrz odgłos oceanu był dużo potężniejszy niż w środku. Odetchnęłam głęboko kilka razy i zatrzasnęłam drzwi. Minęło dużo czasu, zanim odważyłam się wyjść. Pierwszy raz zdobyłam się na to wiele dni po jego pierwszej wizycie.

- Powiedział, dlaczego nie było go tak długo? Zuzanna pokręciła głową.

- Nie zamierzał się z niczego tłumaczyć. Postępując ze mną w ten sposób, miał nade mną tym większą władzę. Pozwalał mi snuć najróżniejsze przypuszczenia, żyć nadzieją i jednocześnie mnie straszył. Podejrzewam, że tak właśnie tresują w cyrku dzikie zwierzęta: na przemian to częstując je smakołykami, to używając wobec nich przemocy.

Podano szarlotkę. Przez jakiś czas raczyli się nią w milczeniu, aż w końcu Zuzanna odłożyła widelczyk.

- Kiedy przyszedł, wiedziałam już, że rzeczywiście jestem w ciąży. Brzuch zaczął mi rosnać. Piersi mam raczej małe, ale wtedy były całkiem drobniutkie... W trakcie pobytu w chacie zaczęły jednak pęcznieć. O dzieciach nie wiedziałam nic, z wyjątkiem tego, że to, co on mi zrobił, daje początek nowemu życiu. Nigdy nie widziałam porodu -normalna trzynastoletnia dziewczyna zazwyczaj oglądała w najróżniejszych filmach sceny narodzin i śmierci, ale ja bardzo rzadko oglądałam telewizję. Brak mi było podstawowej wiedzy, a on to wykorzystywał. Podano kawę.

- Sądzę, że trochę się zdziwił, kiedy zobaczył, że nadal jestem w chacie. Miałam wrażenie, że go to ucieszyło. Teraz przypuszczam, że ucieszyłyby się równie mocno, gdybym uciekła, ponieważ nie musiałyby się już mną zajmować. Cho-



cięż byłby wtedy zmuszony opuścić klasztor, na wypadek, gdybym zechciała wyjawiać prawdę. Nie mógł przecież mieć pewności co do tego, jak postąpię.

Zuzanna zamieszała kawę. Za czasów Hawke'a nie pozwoliłaby sobie ani na ziemniaki, ani na kawę, ani na cukier, ale te dni już minęły.

- Tak jak obiecał, przyniósł ze sobą lizol, torbę jabłek, kilka pomarańczy i scyzoryk, żebym miała je czym obrać. Przyniósł też puszki z zupami i z fasolą. - Zuzanna pokręciła głową. - Do dzisiaj robi mi się niedobrze od zapachu gotowanej fasoli albo zupy grzybowej. Ta wizyta była dość udana. Był w dobrym humorze. Słońce wyszło zza chmur, zaproponował mi więc krótki spacer, dobrze wiedział, że na plaży nikogo nie spotkamy. Przed wyjściem zebrałam się na odwagę i spytałam, czy następnym razem mógłby mi przynieść coś innego do jedzenia. Odparł, że nie jestem w hotelu, ale miałam wrażenie, że nie był na mnie zły. Tym razem bałam się go znacznie mniej niż ostatnio.

Kiedy wracali do Pete'a, zaczął siąpić deszcz. Po drodze Zuzanna milczała. Czowała, że jej historia nie pasuje do nowojorskich ulic, a na zwykłą, zdawkową rozmowę nie potrafiła się zdobyć. Wspomnienia dokuczały jej jak nabrzmiały wrzód. Chciała się nimi wreszcie podzielić. Nie wrócili do gabinetu Pete'a. Usiedli w salonie. Steinbeck zajął swoje stałe miejsce na kanapie, obok Zuzanny. Alicja drzemała w klatce. Pete zaproponował kawę i przyniósł koniak. Zanim zaczęli, wyjął jeszcze nową paczkę marlboro i dopiero potem usiadł.

- Od tego czasu przychodził regularnie, dwa razy w miesiącu - podjęła przerwany wątek Zuzanna. - Powoli przyzwyczajał się do nowej roli pana, opiekuna i przyszłego ojca. Dzisiaj myślę, że dostarczałam mu takiej przyjemności, jaką odczuwają właściciele psów. Lubił patrzeć, jak mój brzuch rośnie, podczas gdy reszta ciała pozostaje młoda i szczuplutka. Z czasem zaczął mi przynosić rzeczy, o których na początku nawet by nie pomyślał. Dał mi szampon, a pewnej nocy przytaskał ze sobą ogromny pojemnik z wodą. "Musiał się nieźle napracować, żeby go przenieść taki

kawał po piasku. Powiedział, że wystarczy mi wody do picia i do mycia. Pewnie pachniałam niezbyt przyjemnie.

- Widzę, że rzeczywiście się tobą zajął - zdziwił się Pete.

- Tak. Widział, jak się męczę w swoich starych ubraniach. Miałam tylko dwie spódnice i nosiłam je rozpięte. Pewnego razu ofiarował mi niebieską sukienkę ciążową. Mówił, że czyta sporo na temat wychowywania dzieci, i przyniósł mi nawet książkę z ćwiczeniami dla ciężarnych. Regularnie dostarczał mi świeże mleko, a kiedyś (to naprawdę dziwne) dostałam od niego balsam do ciała. Kazał mi nacierać nim brzuch, żebym później nie miała rozstępów.

- Naprawdę kazał ci to robić?

- Tak. Nawet nie próbował mnie dotknąć. Do dzisiaj nie rozumiem, dlaczego przejął się rozstępami. Byłoby to zrozumiałe, gdyby zamierzał się ze mną kochać albo zrobić ze mnie po porodzie swoją kochankę, ale okazało się później, że nawet o tym nie myślał.

- Może był zafascynowany twoim stanem? - zastanawiał się Pete. - Może byłaś spełnieniem jakichś jego marzeń? Dziecko noszące w sobie dziecko. Jego potomka.

- Sądzę, że najbardziej podobało mu się to - powiedziała zamyślona Zuzanna - że z każdą wizytą byłam coraz bardziej wdzięczna. Nadal się go bałam, ale im dłużej był dla mnie miły, im więcej czasu mijało, od kiedy mnie skrzywdził, tym bardziej ten strach topniał. Zaczęłam się obawiać innych rzeczy, głównie porodu. Potrzebowałam go. Stał się moim obrońcą i dobroczyńcą.

- Stosował wobec ciebie brutalną przemoc - sprzeciwił się Pete i nerwowo zdusił papierosa.

- Wiem - zgodziła się z nim Zuzanna. - Ale dotrzymał słowa.

Opiekował się mną i moim dzieckiem.

Zbliżał się czas rozwiązania. Przez cztery miesiące Zuzanna z nikim nie rozmawiała i nie widziała nikogo, oprócz niego. Przeżyła trzy zimowe nawałnice, podczas których oglądała błyskawice najrozmaitszych kształtów i wsłuchiwała się w ryk wiatru, drżąc z obawy, że jej chata może się zawalić. Widziała, jak mgła otula pokrytą śniegiem plażę, i nauczyła się na pamięć głosu latarni morskiej na cyplu

Race, od której jęku chciało się jej głośno wyć. Widziała też, jak wydmy potrafią się zmienić w ciągu jednej nocy. Mimo to nie zamarzyła na śmierć, nie poroniła i nie oszalała.

Nie myślała o tym, że jest jeszcze dzieckiem. Wydawało się jej to faktem bez znaczenia. Zauważyła jednak, że dojrzeła fizycznie i psychicznie. Poznała swoją siłę i wiedziała, że nie jest słaba. Przyzwyczała się do chaty, do samotności i do towarzystwa żywiołów. Po pewnym czasie nie bała się już wychodzić na dwór ciemną nocą. Nauczyła się cenić mrok, dający jej schronienie. Przeczytała „Przeminęło z wiatrem” i wszystkie magazyny, i zaczęła je czytać jeszcze raz od początku. Biblii nie ruszała. Przystudiowała też książkę o ciąży i ćwiczeniach fizycznych dla przyszłych matek. Późnym wieczorem wychodziła na pobliskie wydmy i spacerowała po nich tak długo, aż pot spływał jej po plecach. Do domu wracała zdyszana, ale silniejsza, w lepszej kondycji fizycznej. Wiele myślała o przeszłości, o swojej rodzinie i o klasztorze, ale najczęściej o przyszłości i nie narodzonym dziecku. Wiedziała, że do zakonnicy nie ma już powrotu. Dopuściła się złego czynu - o czym on jej nieustannie przypominał - i jest ze swoim dzieckiem sama jak palec.

Dziecko poruszało się, kopało, czasem zmieniało pozycję. Wówczas Zuzanna czuła, że ma w nim przyjaciela; jakby maleństwo zawsze było w jej wnętrzu i tam czekało na chwilę poczęcia i dzień swoich narodzin. Bała się bólu, śmierci, życia, ale nie czuła się samotna. Kochała swoje dziecko i wiedziała, że ono ją kocha.

Bardzo ją to cieszyło.

Dni robiły się coraz dłuższe, ale wielka plaża nadal była zimna i pusta. Zuzanna czasem wychodziła z domu przed zmierzchem. Gasnące światło dnia przenikało ją i podnosiło na duchu, jakby było gorącym słońcem. Wspinała się na wydmy i szła na brzeg morza, otulając dłońmi wielki brzuch i przemawiając do dziecka. Często z nim rozmawiała i czuła, że ono jej odpowiada. Z każdym dniem kochała je coraz bardziej. Bolały ją plecy, nogi miała opuchnięte w kostkach. Kilka razy, wstając z materaca, dostała zawro-

tów głowy i nieomal zemdląca, mimo to cieszyła się. Była pełna optymizmu. Po każdym ataku strachu szybko wracały jej siły i chęć do życia. On przyniósł jej jeszcze jedną książkę: o tym, co dzieje się w jej ciele i w ciele dziecka. Zuzanna przeczytała ją jednym tchem i stale do niej wracała. Tylko jednego rozdziału nie chciała czytać. O porodzie. Dużo się tam mówiło o lekarzach, szpitalach, położnych i ostatnich badaniach przed rozwiązaniem, a przecież ona i jej dziecko nie mieli z tym wszystkim nic wspólnego. Czasem, kiedy zaczynała o tym myśleć, ogarniał ją zimny strach, ale zdarzało się to rzadko. Nie wiedzieć czemu, była przekonana, że kiedy nadejdzie dzień rozwiązania, wszystko pójdzie dobrze. Zanim to nastąpi, on przyjdzie - przekonywała siebie i dziecko. - Zajmie się nami tak, jak zajmuje się od początku naszego pobytu, w tej chacie.

Czasem pytała go, jak będzie z porodem. Nie wprost, oczywiście, tylko ostrożnie, gdyż bała się go zdenerwować. Chociaż musiała przyznać, że ostatnio coraz rzadziej wpadał w złość.

- Jak to będzie? - spytała. - Co?

- Kiedy się zacznie.

- To się zacznie - odparł.

- Będziesz tutaj? - chciała wiedzieć.

- Jeśli będę mógł, to będę.

Niczego jej nie obiecywał, ale przecież zawsze do niej wracał i przynosił nie tylko to, o co prosiła, ale nawet coś więcej.

- On przyjdzie - obiecywała dziecku. - Nie bój się.

Pewnego razu w marcu, dwa dni po jego odwiedzinach, wyszła na dwór późnym popołudniem, zaintrygowana dziwnym hałasem. Spojrzała w górę i zobaczyła klucz dzikich gęsi, lecących na północ. Ich skrzydła, ozłoczone promieniami słońca, uderzały silnie, powoli, rytmicznie, a dzikie, upiorne nawoływanie zdawało się odmieniać zimowy krajobraz. Zuzanna stała długo, z twarzą uniesioną ku niebu, przypatrując się temu widowisku i chciwie łowiąc każdy dźwięk. Potem, kiedy gęsi już zniknęły, usiadła, ciężka

i niezgrabna, na zimnym piasku, zamknęła oczy i przywoływała w pamięci ten cudowny, nieskazitelny widok. Po jej policzkach spływały łzy.

Tej nocy nieco dłużej niż zwykle pozostała na dworze. Nikogo nie spotkała. Słyszała jednak, jak łódź rybacka wypływa na połów, a po pewnym czasie na granatowym horyzoncie pojawił się cień dużego statku. Mewy pokrzykiwały jak zwykle. Atlantyk szumiał rytmicznie, spokojnie. Spacerowała trochę, nie oddalając się zbyt od chaty w obawie, że mógłby ją dostrzec jakiś patrol, chociaż tutaj patrole się nie pojawiały. Kilka razy słyszała w ciągu dnia jakieś głosy i siedziała wówczas cichutko, jak jej nakazał. Chciała dotrzymać słowa, ponieważ on dotrzymywał obietnicy danej jej i jej dziecku.

Już miała zawrócić do chaty, kiedy spostrzegła kamieniste wgłębienie, w którym po ostatnim deszczu zostało trochę wody. Za jej plecami, między dwiema wielkimi chmurami wzeszedł księżyc. Patrząc w lustro wody, Zuzanna zobaczyła swoje odbicie. Od miesiący nie miała się w czym przejrzeć. Przyglądała się sobie, zafascynowana. Platynowe włosy były długie, rysy twarzy rozmazane, jakby patrzyła przez gazę; jakby widziała ducha. Poruszana wiatrem woda nie dawała wiernego odbicia, światło księżyca również było zwodnicze. Miała wrażenie, że patrzy na kogoś obcego, wysokiego, z długimi nogami i rękami, i z wielkim brzuchem. Pragnąc zobaczyć swoją twarz, spojrzeć sobie w oczy, przyklękła. Teraz widziała kogoś podobnego do niej. Na grana-towosrebrzystym tle poznawała swój długi, prosty nos i szerokie usta. Twarz była znajoma, a jednocześnie całkiem do niej niepodobna.

- Jestem inna - powiedziała do dziecka. - Popatrz, zmieniłam się.

W kwietniu, w dziewiątym miesiącu jej ciąży, nadeszła wiosna. Ocean jednak nadal był lodowaty, chociaż słońce świeciło często i rozgrzewało ziemię. Na wydmach pojawiła się świeża zieleń. Jakieś nie znane jej ptaki, z pierścieniem piór innego koloru na szyi, oraz głuptaki siadały na piasku, żeby się czymś pożywić w drodze na północ. Lecą na lego-

wiska - domyśliła się Zuzanna, przypominając sobie, co dawno, dawno temu, przed rokiem, powiedziała jej jedna z zakonnicek o pewnej plaży w pobliżu Brewster. Noce były teraz jaśniejsze. Zuzanna siadywała przed chatą i wpatrując się w miliony gwiazd i planet cieszyła się ich blaskiem, wzmacniała czystym, słonym powietrzem. Zaczęła liczyć dni, czekając na niego, żeby móc wreszcie urodzić dziecko. Z każdym dniem jej niepokój rósł. Nie było go już trzy tygodnie. Tęskniła za nim. Zaczęło się od tępego bólu w najciemniejszej, najgłębszej godzinie nocy. Obudziła się. Przez chwilę leżała bez ruchu, czekając, aż ból ustąpi. Dostyc często miewała podobne skurcze (czytała o nich w książce), ale dotąd zawsze obejmowały tylko dół brzucha i szybko mijały. Tym razem czuła ból w krzyżu i na próżno czekała, aż zniknie. Po pewnym czasie krąg bólu zaczął się rozszerzać, promieniować do brzucha i nóg, aż wreszcie stał się trudny do zniesienia. Zapominając o konieczności zachowania ciszy, krzyknęła na cały głos. Po pewnym czasie ból ustał. Zuzanna leżała bez ruchu, z otwartymi oczami, wpatrując się w ciemność. Bała się, że ktoś mógł ją usłyszeć. Jednocześnie równie mocno bała się, że nikt jej nie usłyszy. Przypomniała się jej Melania z „Przeminęło z wiatrem” i jej długi, śmiertelnie trudny poród. Zaczęła żałować, że przeczytała tę książkę, ponieważ fikcja była zbyt bliska rzeczywistości. Przypomniała sobie przerażenie Prissy, odwagę Scarlett O'Hary i zagrożenie życia rodzącej. Melania, mimo szalejącej wokół wojny, miała kogoś do pomocy. Zuzanna nie miała na kogo liczyć. Pierwszy raz przyszło jej do głowy, że może umrzeć w lichej chacie, samotna, nie mając u boku nikogo; nawet jego. Odeszły jej wody i zmoczyły materac. Płacząc z zażenowania i ze wstydu, Zuzanna zaczęła wycierać posłanie papierem toaletowym. Dopiero gdy poczuła dziwny, nieznany zapach, zrozumiała, że nie zsiusiała się, jak na początku sądziła. Trochę ją to pocieszyło. Jeżeli on przyjdzie, nie będzie się na nią tak bardzo gniewał, skoro nie zrobiła w majtki. Ledwie się położyła, dziwny płyn znów zaczął

z niej wyciekać. Zuzanna szlochała, przestraszona; nie przeczytała rozdziału o porodzie, a teraz było zbyt ciemno. Zaczęła się bać, że jej dziecko utonęło albo że przez nieuwagę przedziurawiła sobie brzuch. Nie czuła ruchów maleństwa, co potwierdzało jej obawy. Może ono już nie żyje, a może umiera i potrzebuje pomocy?

Znów poczuła ból, tym razem jeszcze mocniejszy. Ucieszyło ją to, bo oznaczało, że dziecko żyje, że jest w drodze i wkrótce będzie je mogła wziąć w ramiona. Ból nasilał się, piłował ją, rozdzierał. Dziecka nie było widać, a on nie przychodził, żeby im pomóc. Zuzanna znów zaczęła się bać. Nieoczekiwanie przypomniała sobie, jak złowroźną przepowiednię, Melanię i jej nie kończący się poród. W książce położnica do bólu ścisnęła dłonie Scarlett i ta przymocowała do nóg łóżka powiązane w węzły ręczniki, żeby Melania, kiedy chwycą ją bóle, miała się czego trzymać. Zuzanna zwlokła się z materaca, ale nie miała ręczników ani pościeli, a koc był zbyt gruby i nie miała siły go zawiązać. Przysunęła pojemnik z wodą, zmoczyła papierowy ręcznik, wytarła nim twarz i całe ciało, po czym, spragniona, napiła się. Minutę później wymiotowała, chwilę płakała, znów się umyła i położyła się na łóżku, zmęczona. Zdażyła w ostatniej chwili, przed kolejnym skurczem.

Ból schwycił ją, pochłaniając, kłując, szarpiąc wnętrzności. Znów zaczęła myśleć o śmierci. Poczuła, że dłużej tego nie zniesie, że zaraz oszaleje. Jeśli umrę, a dziecko przeżyje - myślała, życząc mu jak najlepiej - czy on je znajdzie? Czy się nim zaopiekuje? Mówił o dziecku, ale nigdy jak o swoim, tylko jako o owocu jej grzechu. Mimo to nieraz kładł dłoń na jej wielkim brzuchu, żeby poczuć kopanie, i wówczas Zuzanna widziała w jego oczach błysk czegoś nowego, innego, jakby był jej współnikiem, jakby coś z nią dzielił, ale to było tylko ulotne wrażenie...

Czas mijał, a on nie przychodził. Wzeszło słońce. Przez szpary w ścianach wdarły się do chaty pierwsze promienie światła. Zuzanna uniosła książkę ku jednej z jasnych smug, żeby przeczytać rozdział, którego dotąd unikała, a który mówił o porodzie w nagłych sytuacjach. Pisali tam o oddy-

chaniu, o dokładnym umyciu dróg rodnych, o czystych ręcznikach, o tym, żeby zabezpieczyć główkę dziecka, kiedy się pojawi. Wszystko to było nieprzydatne bez kogoś do pomocy. Jak on mógł zrobić jej i dziecku coś takiego? Jak mógł ją zostawić, żeby rodziła sama w tej obskurnej, brudnej chacie? Światło przybladło. Zuzanna cisnęła książką o ścianę tak mocno, że pękła okładka. Zaczął wiać wiatr. Zuzanna wyobrażała sobie wędrujące wydmy, unoszony wiatrem piasek i szarpaną podmuchami trawę. Deszcz bębnił o dach. Bóle przychodziły i odchodziły. Potem zrobiło się ciemno.

„Bądź dzielna - odezwał się wewnętrzny głos. - Uspokój się, oddychaj. Pomóż dziecku, bo ono tego potrzebuje”. Zuzanna rzucała się na materacu, przygryzała koc, żeby nie krzyczeć, jęczała. Była zlaną potem, załatwiła się pod siebie i ohydnie śmierdziała. Mimo cierpienia bała się tego, co on powie, kiedy wreszcie przyjdzie. „Jeśli przyjdzie” - usłyszała znowu głos.

- Musi przyjść - szepnęła Zuzanna.

Ostatni skurcz był niezwykle silny. Uciszył głos przemawiający w jej wnętrzu i zdawał się bezlitośnie rozrywać ją na pół. Zuzanna krzyknęła na całe gardło, nie starając się dłużej zachowywać ciszy, zobojętniała na wszystkie zakazy i nakazy, odarta z wszelkiej myśli, obojętna na wszystko, co nie było bólem. Nagle zobaczyła jasne, ostre światło, które nie znikło, nawet gdy zacisnęła powieki. Przez moment zastanawiała się, czy może już umiera, i nawet życzyła sobie śmierci. Po chwili jednak zaczęła z całej siły przec. Wiedziała, że musi, że rodzi się jej dziecko. Przyjęła dziwną pozycję, jakby częściowo siedziała, a częściowo kuciała. W dłoniach ścisnęła oblużowaną deskę zwisającą ze ściany. Miała wrażenie, że zaraz urodzi pół świata, a nie jedno maleńkie dziecko. Nagle pojawiła się główka. Zuzanna zgięła się wpół, krzycząc z bólu i z rozpacz, ujęła zakrwawioną główkę i lekko ją ciągnąc ku sobie, uwolniła maleńkie ramiona. W taki sposób na zimnym, ale przyjaznym świetle pojawiło się jej maleństwo.

To była córka, umiłowana. Zuzanna położyła dziecko na swoim brzuchu i przytuliła je. Było śliskie od krwi, zarazem



słabe i silne, ciepłe i żywe. Potem usłyszała pierwszy krzyk, początkowo cichy i niezadowolony, potem coraz silniejszy i głośniejszy. Zuzanna śmiała się i płakała ze swoją córką. Resztką sił wytarła papierowym ręcznikiem maleńkie usteczka, tym, co pozostało na rolce, owinęła całe ciało i przykryła siebie i dziecko brudnym kocem. Nagle znów poczuła, że musi przeć, urodziła łożysko. Wreszcie miała przy sobie córeczkę i obie były żywe. Zuzanna płakała z radości, z ulgi i zmęczenia. Potem usnęła.

On przyszedł przed świtem. W milczeniu przeciął scyzorykiem pepowinę, zagrzał wodę na kuchence, wziął dziecko, umył je i wytarł. Potem bardzo delikatnie i ostrożnie umył Zuzannę. Przez ten czas nie odezwali się do siebie ani słowem. Zuzanna, nie całkiem obudzona, spod półprzy-mkniętych powiek przyglądała mu się, gdy zajmował się dzieckiem, i pozwalała na to. Zachowywał się jak ojciec. Nie było w nim nic groźnego, nic ciemnego. Zrozumiała, że chociaż wszystko dokładnie zaplanował, tej chwili nie potrafił przewidzieć.

Zależy mu na mnie - pomyślała - chociaż sam się tego nie spodziewał. Pewnie przypuszczał, że Zuzanna umrze albo że umrą obie. Zamierzał pochować je tutaj, pod skąpą trawą, zapomniane i przez nikogo nie opłakiwane. Ale one żyły. Matka i córka. Dziecko i noworodek. Dwa stworzenia należące do niego.

Mimo że słaba i zmęczona, Zuzanna zauważyła, że dziecko zmieniło relacje między nimi. Nie rozumiała tego, ale już od dawna przestała cokolwiek rozumieć. Po prostu żyła, trwała, radziła sobie, jak mogła. Czowała jednak - chociaż nie potrafiłaby nazwać tego słowami - że dziecko dało jej coś, czego dotąd nie miała. Poczucie siły. Tego dnia, w tamtej chwili, wyczytała to z jego twarzy. Czuł przywiązanie do drobinki, którą trzymał w ramionach, pragnął jej, a przecież to było jej maleństwo; potrzebowało matki, jej miłości, jej obecności. Zrodziła się między nimi jakaś więź. Stworzyli swego rodzaju rodzinę.

- Został wtedy dłużej niż zwykle - opowiadała Zuzanna Pete'owi. - Ostatnio rzadko przychodził za dnia. Zwykle zjawiał się nocą i odchodził przed świtem. Odgrzał zupę, nakarmił mnie, uczesał mi włosy i podtrzymał ogień w piecyku. Niewiele mówił, ale obserwując go widziałam, że się nad czymś poważnie zastanawia. Wiedziałam, że snuje plany. Miałam wrażenie, że sam jest zdziwiony swoimi myślami.

- Jakie to były plany? - spytał Pete.

- Tego dnia nic mi nie powiedział. Był zbyt zajęty myślą o tym, że urodziłam mu dziecko. Przystawił małą do mojej piersi. Przez chwilę nic się nie działo, ale potem pojawiło się trochę mleka. Dostyc jak dla niej, ale wówczas o tym nie wiedziałam i przestraszyłam się, że dziecko umrze z głodu. On mnie uspokajał. Wtedy myślałam, że jest na mnie zły, ale dzisiaj podejrzewam, że czytał coś na ten temat i wiedział, że to normalne.

- To było normalne? - spytał Pete.

- Tak. Nie wiem, jakim cudem obie przeżyłyśmy. Byłam bardzo młoda i wydawało mi się to naturalne. Cieszyłam się, że już po wszystkim. Wyszedł w nocy. Obiecał, że wróci za dzień lub dwa i przyniesie różne rzeczy, których dziecko może potrzebować. Nigdy dotąd nie składał takich obietnic. Uwierzyłam mu.

- Zostawił cię samą?

- Tak.

- Boże! - jęknął Pete.

- Ale najpierw nadaliśmy dziecku imię. Ja je wybrałam. Imię dla dziewczynki miałam już gotowe. Nie pamiętam, czy wybrałam też imię dla chłopca. - Zuzanna spojrzała Pe-te'owi prosto w oczy. - Domyśliłeś się już? - spytała.

- Chyba tak.

Zuzanna miała łzy w oczach.

- Moja młodsza siostra - powiedziała. - Abigail.

### *Rozdział 13*

Potem Zuzanna przestała rozmawiać o przeszłości. Odwołała trzy kolejne spotkania i zmieniała temat, ilekroć Pete - czasem delikatnie, innym znów razem bardziej natarczywie - próbował ją nakłonić do dalszych zwierzeń. Całkowicie poświęciła się pracy. Rzadziej niż dotąd widywała się z rodziną; nawet z Abigail. Prawda, której ujawnienie było równie bolesne jak poród, okazała się zbyt ciężka, żeby z nią żyć. Po pewnym czasie zadawniona rana znów się zamknęła i zablizniła. Zuzanna była zdecydowana

o wszystkim zapomnieć.

Hawke House - tak brzmiała oficjalna nazwa domu dla chorych na AIDS - został otwarty. Zuzanna zajęła apartament na najwyższym piętrze, ale nadal utrzymywała mieszkanie przy Beekman Place. Po dwóch tygodniach funkcjonowania ośrodka doszła do wniosku, że do oczekiwanego sukcesu przedsięwzięcia najbardziej przyczyni się Joe Zacharias, zatrudniony na etacie kierownika. Z wykształcenia pielęgniarz, kręgarz i gorący wyznawca medycyny holistycznej, od dłuższego czasu pragnął odegrać ważną rolę w walce z AIDS, ale nie to czyniło go doskonałym pracownikiem Hawke House. Joe był tutejszy. Urodził się, wychował

i skończył szkołę w Phoenicia, kilka kilometrów od Bearsville. Jego matka była religijna i należała do przykościelnej grupy kobiet. Jane Zacharias nie miała nic przeciwko temu, żeby jej syn pracował w „takim miejscu”, i chociaż nie wszyscy podzielali jej poglądy, nie wypadało im zbyt gwałtownie przeciwstawiać się działalności ośrodka.

Zaczął się od trójki gości. Jeden przyjechał sam, drugi z partnerką i z matką, trzeci - kobieta - z mężem i synem. Każdy z nich uciekał od swoich problemów. Skusiła ich nie tylko nadzieja chwilowej ucieczki od codziennych problemów. Chcieli znaleźć sposób na dalsze życie, nawet gdyby miało ono trwać bardzo krótko. Podobało im się, że Hawke House nie jest sanatorium ani hotelem. Cieszyło ich, że mogą się tu czuć bezpiecznie i nikt im niczego nie narzuca. Najwspanialsze było to - twierdziła zgodnie cała trójka - że zostawiano im całkowitą wolność wyboru. Gdyby podczas pobytu w domu rozchorowali się, otoczono by ich opieką lekarską. Gdyby chcieli zapomnieć o AIDS i udawać, że ta choroba ich nie dotyczy, nikt w Hawke House by ich z tego powodu nie zawstydział. Gdyby jednak zapragnęli wyrzucić z siebie wszystko: strach, óbawy, gniew i inne uczucia, mogli o tym porozmawiać z wybraną osobą lub na spotkaniach z innymi gośćmi bądź z kilkoma specjalistami.

Udało się. Dom był taki, jaki Zuzanna sobie wymarzyła, stanowił oazę i schronienie. Ludzie przychodzili i odchodzili. Niektórzy wracali. Polecali dom innym. Jedni określali go jako miejsce pokrzepienia, inni remisji choroby, dla jeszcze innych był po prostu miejscem odpoczynku. Ktoś nawet powiedział, że poczuł się tu jak wyratowany z pożaru.

- To najlepsze porównanie, jakie słyszałem - powiedział Pete podczas kolacji z Zuzanną i Betty Thomas Clark. Siedzieli w głównej jadalni. Był to wysoki pokój, którego sufit zdobiły dwa stare żyrandole. Ściany były wyłożone dębowymi panelami, a stoły przykrywały obrusy z bladoróżowego lnu. - To jest jak wojna. Jeśli ludzie zaczną tu przyjeżdżać, żeby wylizać swoje rany, to nasza praca okaże się pożyteczna.

- Co ty na to, Betty? - spytała Zuzanna nieugiętą, piękną kobietę, która przyjechała tu na weekend, by sprawdzić, jak działa ośrodek.

- Jak dotąd idzie całkiem nieźle - uśmiechnęła się Clark. - Wiedziałam, że ci się uda, Zuzanno. Nie byłaś pewna, czy wystarczy ci sił do walki, ale jakoś sobie z tym wszystkim poradziłaś.

- Radzi sobie bardzo dobrze - zgodził się z nią Pete.
- Nie zrobiłam tego sama - przypomniała Zuzanna.
- Ale to był twój pomysł - powiedziała Clark.
- Bez ciebie, Pete'a, Michaela i Joego Zachariasa nie dałabym sobie rady.
- Daj spokój, Zuzanno. Co to ma znaczyć? W dzisiejszych czasach chwalenie się nie jest w złym guście. Zrobiłaś coś dobrego i ważnego. Powinnaś o tym pamiętać, kiedy zaczną się trudności.
- O, nie! To nie dla mnie! Nie zamierzam brać się za nic nowego - zaprotestowała Zuzanna.
- Nawet mi to przez myśl nie przeszło. Ten dom przysporzy ci wystarczająco wielu problemów.
- Miałam nadzieję, że najgorsze już za nami.
- Chyba sama w to nie wierzysz? - Clark uśmiechnęła się złośliwie.
- Zuzanna jest optymistką - wtrącił Pete.
- A ty nie? - spytała urażona.
- Wszyscy jesteśmy optymistami - uspokoiła ją Clark. - Tylko optymiści i idealiści mogli dopiąć swego i otworzyć Hawke House. Powinniście jednak wiedzieć, że na tym wasza praca się nie kończy. Dom jest piękny i urządziliście go bardzo wygodnie, ale stare budynki zawsze sprawiają kłopoty. Osobiście jednak nie sądzę, żeby dach i instalacje hydrauliczne wymagały większego poświęcenia niż rozmaite inne obowiązki.
- Zgadza się z tobą - poparł ją Pete. Zuzanna patrzyła to na niego, to na Clark.
- Dlaczego? - spytała.
- Histeria - wyjaśniła Clark.
- Chyba już przez to przebrnęliśmy.
- Nie - zaprzeczyła Clark. - Jeśli się nie mylę, najgorsze jest przed wami.
- Też tak uważam - zgodził się z nią Pete.
- Sąsiedzi są bardzo sympatyczni - zaprotestowała Zuzanna. - Na początku, kiedy się dowiedzieli o naszych zamiarach, byli zaniepokojeni, ale już się do nas przyzwyczaili. Joe i jego matka bardzo nam pomogli.
- Ludzie są tylko ludźmi - powiedziała Clark. - Niektó-

rzy są dobrzy, nieliczni są źli, a większość jest po prostu normalna. Wszyscy się boją, szczególnie gdy w grę wchodzi bezpieczeństwo najbliższych.

- Już przez to przebrnęliśmy - przypomniała Zuzanna. - Wszyscy wiedzą, że nic im z naszej strony nie grozi.

- To tylko teoria. Trudno przewidzieć, jak się to sprawdzi w praktyce.

- Może i jestem optymistką - uparła się Zuzanna - ale wy z pewnością jesteście nastawieni zbyt pesymistycznie. Trzeba wierzyć w ludzi.

- Ależ ja w nich wierzę - uśmiechnęła się Clark. - Mimo to zatrudniam kilku prawników.

W ciągu następnych sześciu miesięcy doszło do trzech wydarzeń, potwierdzających słusność obaw Betty Thomas Clark. W maju dwunastoletnia uczennica z Wittenburga widziała gościa Hawke House i jego kochankę, którzy wybrali się na piknik do lasu na pograniczu posiadłości, czule się całujących. Powiedziała o tym swojemu ojcu, a ten zgłosił się na policję, wysuwając oskarżenie o niemoralne zachowanie w miejscu publicznym.

- Przecież oni się tylko całowali - powiedział wzburzony Joe Zacharias do jednego z policjantów, z którym znał się jeszcze ze szkoły w Phoenicia.

- Czy byli nadzy? - spytał drugi oficer.

- Ależ skąd!

- Ojciec jest przekonany, że tak.

- Albo jego córka ma bujną wyobraźnię, albo ojciec kłamie.

- Uspokój się, Zacharias. - Koledze ze szkoły zależało na uspokojeniu nastrojów. - Otrzymaliśmy zgłoszenie i musimy na nie zareagować.

- No więc zareagowaliście i wszystko zostało wyjaśnione.

- Nadal uważam, że powinniśmy porozmawiać z mężczyzną, na którego złożono doniesienie - powiedział drugi oficer, chociaż Zuzanna i Joe ustalili wcześniej, że ich goście nie będą przesłuchiwać.

- Nie! - zaprotestował Joe.

- To nasz obowiązek.

- Już to słyszałem. Moim obowiązkiem jest dbać o to, żeby nasi goście mieli spokój. Za to nam płacą. Gdybym podejrzewał, że ten człowiek i jego córka mówią prawdę, byłbym zdania, że należy przeciwdziałać podobnym incydentom.

- Jesteś pewien, że nie byli obnażeni? - spytał kolega z Phoenicia.

-Tak.

- Niech będzie.

- Mimo wszystko uważam, że powinniśmy go przesłuchać - upierał się ten drugi.

- Na twoim miejscu przesłuchałbym raczej ojca dziewczynki - zdenerwował się Joe. - Spytaj, co właściwie widziała i jak wyglądał ten mężczyzna.

- Daj spokój, Zacharias.

- Wiem, że tego nie zrobicie, możecie jednak go uprzedzić, że jeśli będzie się upierał przy swoim, jego córka zostanie bardzo dokładnie przesłuchana.

Sprawa umarła śmiercią naturalną. Ale dwa miesiące później grupa gości Hawke House spędziła popołudnie poza domem i kąpała się w jeziorze, kilka kilometrów od Bearsville. Wieczorem ośrodek znów odwiedzili ci sami policjanci. Tym razem chcieli rozmawiać z Zuzanną. Byli speszeni.

- O co chodzi? - spytała Zuzanna. - Czy ktoś ich widział kąpiących się nago? Jeśli tak, muszę wszystkiemu zaprzeczyć i...

- Nie... - powiedział ten z Phoenicia. - Nie o to chodzi.

- A więc o co? Proszę usiąść. Napijcie się, panowie, kawy?

Biuro Zuzanny było przytulne, choć skromne. Na suficie widniały dębowe belki, a na lakierowanej podłodze leżał dywan w ciepłym, czerwonym kolorze. Wszędzie, gdzie się dało, Zuzanna porozstawiała zdjęcia członków swojej rodziny zrobione przez Hawke'a albo przez Connie.

- Dziękujemy, nie - powiedział ten drugi.

- Musi pani wiedzieć - odezwał się kolega Joego, wyraźnie zawstydzony - że my nie mamy z tym nic wspólnego.

Proszono nas tylko o przekazanie pewnych uwag... To nawet nie jest oficjalna skarga. W każdym razie, jeszcze nie.

- O co chodzi?

- Oni korzystali z publicznego kąpieliska.

- Wiem. To chyba zgodne z prawem?

- Oczywiście.

- W takim razie nie rozumiem, w czym tkwi problem -powiedziała Zuzanna, chociaż z obrzydzeniem uświadomiła sobie, że już wie, co za chwilę usłyszy.

- Chodzi o skażenie wody.

Była tak zdenerwowana, że napięła wszystkie mięśnie. Starła się jednak tego po sobie nie pokazać.

- Mógłby mi pan to dokładniej wyjaśnić?

- Nie sądzę, żeby to było konieczne.

- Nie rozumiem, co pan ma na myśli. Oficer zaczerwienił się.

- Miejscowi mówią, że martwią się, czy w wodzie nie ma teraz AIDS. Zuzanna wzięła głęboki wdech, żeby się uspokoić.

- Może im pan powiedzieć, że nie.

- Na pewno?

- Jak najbardziej.

- Ci, którzy pływali w jeziorze, nie są chorzy?

- O tym nie chciałabym rozmawiać.

- Byłbym wdzięczny, gdyby zmieniła pani zdanie.

- Moi goście nie byliby mi wdzięczni - powiedziała Zuzanna. - Zresztą to nie ma nic do rzeczy.

- Ludzie martwią się o swoje dzieci.

- Rozumiem to i proponuję, żeby im pan wyjaśnił, że nie ma żadnego zagrożenia.

- A ryby?

- Ryby?

- Ludzie boją się, że ryby mogły się zarazić AIDS.

- Niepotrzebnie. Poza tym wirus nazywa się HIV, a nie AIDS.

- Wszystko jedno. Ludzie nie chcą jeść zarażonych ryb.

- Ryby są całkiem zdrowe - wyjaśniła Zuzanna.

- Jest pani pewna? - spytał oficer. Zuzanna potrząsnęła głową.



- Muszę przyznać, że pierwszy raz słyszę takie pytanie.
- Sądzi pani, że woda mogła zostać zakażona? - spytał ten drugi.
- Gdyby nosiciel wirusa zaczął krwawić w wodzie - wyjaśniła Zuzanna - teoretycznie jest możliwe, że przepływający pstrąg zarazi się wirusem.
- To ma być żart? - spytał policjant.
- Nie widzę w tym nic śmiesznego - odparła Zuzanna.
- Ja również nie - powiedział policjant z Phoencia.

Uznano, że woda nie została skażona, ale władze stanowe zaczęły się zastanawiać, czy kierownictwo Hawke House robi wszystko, co można, by dbać o zdrowie i bezpieczeństwo publiczne. Niektórzy sąsiedzi znacznie ochłodli w swojej życzliwości.

Najwięcej zmartwienia przysporzył Zuzannie wypadek z psem. Stało się to w pałdzierniku. Gościom wolno było przywozić ze sobą ukochane zwierzęta, których towarzystwo pomagało im zapomnieć o licznych troskach. Ograniczenia związane z obecnością zwierząt starano się sprowadzać do minimum, dopóki pewnego dnia nie uciekł sznaucer o imieniu Billy, pies autorki książek dla dzieci. Znalaziono go kilka kilometrów od granicy posiadłości, kopulującego z rodowodowym owczarkiem collie. Trzy dni później, za naleganiem upartego właściciela, sukę uśpiono. Mężczyzna żądał także uśpienia Billy'ego.

Pisarka czując, że ma poparcie Zuzanny, odmówiła. Wkrótce w lokalnej gazecie „Greene County Examiner” wydrukowano list. Właściciel pisał, że suka collie drogo kosztowała i była ulubienicą jego syna. Chłopiec bardzo przeżył śmierć zwierzęcia - pisał autor listu - ale najważniejsze jest przecież bezpieczeństwo dziecka. Wniosek, jaki właściciel suki wyciągnął z tego przykrego incydentu, był następujący: Hawke House musi wykazać dużo więcej dbałości o bezpieczeństwo publiczne.

Tymczasem jednak potencjalnie niebezpieczne zwierzę pozostaje na wolności, co można uznać za symboliczne spełnienie obaw żywionych przez okolicznych mieszkańców wobec obiektu kierowanego przez byłą modelkę, którym zresztą

- jeśli w ogóle ma istnieć - powinny zarządzać władze stanowe.

Zuzanna postanowiła wyjaśnić tę sprawę. „Greene County Examiner” przyznał Hawke House prawo do obrony. Kilka dni później ukazała się odpowiedź Zuzanny, wraz ze zdjęciami pisarki, jej psa i pani Hawke pracującej przy biurku. Do redakcji i do Hawke House zaczęły napływać listy. Osiemdziesiąt procent korespondentów wyrażało swoje poparcie dla ośrodka. Sprawa nabrała rozgłosu. Dziennikarze z „Boston Globe” i z „New York Timesa” wyrazili chęć przeprowadzenia z Zuzanną wywiadu.

- Czy powinnam się zgodzić? - pytała przez telefon Pe-te'a. - Nie mam przecież żadnych kwalifikacji.

- Masz wszystko, czego potrzeba - uspokoił ją Pete.

- Mogę rozmawiać o Hawke House, ale nie o głębszych problemach.

- Mów tylko o tym, co wiesz, i o niczym więcej - poradził Pete. - Zaufaj swojemu instynktowi. Dotąd wiernie ci służył.

Zainteresowanie, z jakim spotkały się artykuły w „Boston Globe” i „New York Timesie”, a w szczególności dwie strony w „People”, miało zarówno pozytywne, jak i negatywne skutki. Hawke House uznano za szacowną firmę, nie nastawioną na wypracowywanie zysków, kierowaną przez oddanych sprawie ludzi dobrej woli. Wielu widziało w ośrodku zwiastuna właściwego sposobu rozwiązywania problemu AIDS. Dzieła autorki książek dla dzieci zdjęto z księgarskich półek i ustawiono na stolikach z bestsellerami. Nikt już nie nastawał na życie sznaucera. Z drugiej jednak strony, zagrożona została anonimowość domu i jego gości. Ludzi, pragnących spokojnie zarejestrować się w Hawke House, witali uzbrojeni w aparaty fotograficzne reporterzy czyhający u wielkich, elektrycznie uruchamianych bram, które Zuzanna zamontowała za radą Joego Zachariasa. Skończyło się względnie niefrasobliwe życie. Ci, którym zależało na zachowaniu anonimowości, nie mogli już spędzić dnia w lesie ani wybrać się na całodniową wycieczkę. Przez pewien czas do domu przybywało mniej gości, potem znów zaczęli napływać, ale Zuzanna i Pete zrozumieli, że nastąpił koniec beztróskich dni.

Dwa tygodnie przed Bożym Narodzeniem, po powrocie Zuzanny z trzydniowego pobytu w mieście, Joe powiedział jej, że kilka godzin wcześniej do Hawke House nieoczekiwanie przyjechała Abigail.

- Gdzie teraz jest?

- Jakiś czas temu widziałem ją na pierwszym piętrze. Pomagała sprzątacze.

Zuzanna stanęła jak wryta.

- Co robiła?

- Sprzątała pokój po jednym z gości - wyjaśnił Joe. Zuzanna pobiegła na górę, znalazła Abigail i nawet się z nią nie przywitawszy, zabrała ją do swojego biura.

- O co chodzi? - spytała oszołomiona Abigail. Miała już piętnaście lat, była wysoka i delikatnej budowy, śliczna i wesoła.

- O nic. - Zuzanna rozpakowywała swoje torby. - Co tu robisz?

- Myślałam, że się ucieszysz na mój widok. -Przepraszam, kochanie... -

Zuzanna odstawiła torbę

i podeszła do Abigail. - Bardzo się cieszę, ale nie miałam pojęcia, że się do mnie wybierasz.

- Ten pomysł wpadł mi do głowy całkiem niespodziewanie - wyjaśniła Abigail. - Connie chciała, żebym zadzwoniła i uprzedziła cię o swoim przyjeździe, ale ja wolałam zrobić niespodziankę.

Zuzanna odsunęła ją od siebie.

- Niech ci się przyjrzę. - Ogarnęła spojrzeniem ogromne piwne oczy, urocze, wrażliwe usta i złote włosy, opadające na ramiona. - Jesteś najpiękniejszą siostrą na świecie -stwierdziła i na moment przycisnęła ją do piersi. - Na długo przyjechałaś?

- Na dwa dni.

- Naprawdę?

- Nie cieszysz się? - zdziwiła się Abigail.

-Bardzo się cieszę, ale jestem zmęczona. Dopiero co przyjechałam z miasta. Musimy jak najlepiej wykorzystać te dwa dni. Weź prysznic, a ja w tym czasie odpocznę. Potem wymyślimy coś miłego.

- Nie muszę brać prysznic.

- Musisz.
- Nie. Kapałam się przed wyjazdem z domu.
- Możesz to zrobić jeszcze raz. Abigail spojrzała na Zuzannę ze złością.
- Nie wierzę ci.
- Jak to?
- Dobrze wiesz, co mam na myśli.
- Nie wiem.

Zuzanna zaczęła przekładać na biurku jakieś papiery, unikając pełnego wyrzutu spojrzenia Abigail.

- Chodzi ci o to, że sprzątałam łazienkę.
- Słucham? - spytała Zuzanna, nie podnosząc wzroku.
- Słyszałaś, co powiedziałam. Chcesz, żebym się wykapała, bo dotykałam ręczników, mydła i innych rzeczy używanych przez chorego na AIDS.
- To chyba dobrze, że jestem ostrożna?
- O innych też tak dbasz? - spytała Abigail. - Pokojówki kąpią się po sprzątnięciu każdego pokoju?
- Przesadzasz.

Zuzanna odwróciła się od biurka i zobaczyła, że Abigail jest bardzo zdenerwowana.

- Jestem innego zdania. Od kiedy Hawke House zaczął funkcjonować, robiłaś wszystko, co mogłaś, żebym tu nie przyjeżdżała.
- Nieprawda - zaprzeczyła Zuzanna.
- Ależ tak! Nie wolno mi było nawet pomyśleć o wizycie tutaj.

Powiedziałam o tym Connie i Bryanowi, ale oni mnie uspokoili i zapewnili, że to nieprawda. Tymczasem ledwo zdążyłam się tu pokazać, ty każesz mi brać prysznic. Aż się dziwię, że nie wylałaś mi na głowę butelki lizolu. Zuzanna zrobiła się purpurowa na twarzy.

- Jesteś śmieszna.
- To nie ja jestem śmieszna.

Zuzanna zdjęła płaszcz i powiesiła go w dębowej szafie.

- Nie musisz się kąpać - powiedziała z wymuszoną swobodą. - Przecież to nic ważnego. Robisz z igły widły.
- A ty tego nie robisz? - Abigail nie zamierzała się poddawać. Zbyt długo czekała na tę rozmowę. - Jeśli nie wejdę pod prysznic, nie będziesz miała apetytu podczas kolacji,

a w nocy będziesz się kręciła bezsennie na łóżku martwiąc się tym, co by było, gdybym miała na dłoni jakieś drobne skaleczenie, przez które do mojego organizmu mógłby się dostać wirus.

- Pleciesz głupstwa. - Teraz Zuzanna również była zła. -Równie dobrze jak ja wiesz, jak jest naprawdę.

- Równie dobrze jak ty. O to właśnie chodzi. - Abigail uspokoiła się nieco.

- Udzielałaś wywiadów gazetom o zasięgu krajowym. Tłumaczyłaś ludziom, jak bezpodstawne są ich obawy. Byłam z ciebie dumna. Ale kiedy chodzi o mnie, stosujesz zupełnie inne zasady. Zauważyłam to już podczas choroby Hawke'a. Każdy mógł go pocałować i przytulić, tylko nie ja.

- Znowu zaczynasz - westchnęła Zuzanna.

- Tak. Wtedy miałam tylko dziesięć lat i nic nie mogłam na to poradzić, ale dzisiaj nie jestem już dzieckiem. Wiem, że boisz się o mnie, bo bardzo mnie kochasz. Po śmierci Hawke'a długo trzymałaś się ode mnie z daleka. Na wszelki wypadek, żebym się od ciebie nie zaraziła.

- Dzisiaj już wiadomo, że jestem zdrowa - powiedziała Zuzanna.

- Dzięki Bogu! Kiedy przyjeżdżasz do domu, zachowujesz się prawie normalnie i pozwalasz mi się do siebie zbliżać jak dawniej, kiedy byłam mała.

Zuzanna ciężko usiadła na kanapie. Poczuła się bardzo zmęczona.

- Przepraszam. Wiem, że wszystko, co mówisz, jest prawdą.

- Nie umiesz sobie z tym poradzić? - spytała Abigail, siadając obok Zuzanny.

-Nie.

- Powinnaś coś z tym zrobić. - Piętnastolatka mówiła teraz łagodniejszym głosem, ale nadal była zdecydowana trwać przy swoim. - Pomyśl, jak czuje się Tabbie. Ona też jest naszą siostrą, ale o nią się tak nie trzęsiesz.

- Tabbie ma dwadzieścia pięć lat - przypomniała Zuzanna.

- I co z tego?

- Moim zdaniem, to bardzo ważne.

- Abigail pokręciła głową. - Poddaję się - powiedziała, wstając z kanapy.
- Dokąd idziesz? - spytała zaniepokojona Zuzanna.
  - Wziąć prysznic.
  - Nie musisz.
  - Wiem, że nie muszę, ale jeśli tego nie zrobię, doprowadzę cię do szaleństwa. Przecież nie o to mi chodzi. To naprawdę poważny problem.
  - Wiem. ,
  - Uważam, że powinnaś porozmawiać o tym z Pete'em.
  - Już z nim rozmawiałam.
  - Spróbuj jeszcze raz.
  - Spróbuję.

Dwa dni później, tuż przed wyjazdem z Hawke House, Abigail miała okazję sama poruszyć ten temat w rozmowie z Pete'em, który wpadł do ośrodka na kilka godzin. Pete słuchał jej spokojnie i cierpliwie, a kiedy skończyła, odpowiedział dość ogólnikowo i niezobowiązująco.

- Nie powinienem z tobą o tym rozmawiać.

Szli ścieżką wzdłuż pustego ogrodu warzywnego, ciepło ubrani i otuleni szalikami. Wiał zimny, grudniowy wiatr.

- Dlaczego?
- Po pierwsze, to nieetyczne.
- A po drugie? - chciała wiedzieć Abigail.
- Nic. Użyłem tylko takiej figury retorycznej. Chodziło mi o to, że to byłoby nieetyczne i niełojalne.
- Ponieważ pracujecie razem w Hawke House? -Tak.
- I dlatego, że jesteś psychiatrą Zuzanny?

Z zielonych oczu Pete'a nic nie można było wyczytać. -Rzeczywiście w przeszłości udzielałem jej porad -przyznał i przyspieszył kroku.

- A miłość? - spytała Abigail, bez trudu za mm nadążając.
- Proszę?
- A co z faktem, że się w Zuzannie kochasz?

Pete zamrugnął oczami, odwrócił twarz w drugą stronę, ale nic nie powiedział.

- Wiedziałam - ucieszyła się Abigail. - Już dawno temu mówiłam Connie, że jesteście w sobie zakochani, ale ona upierała się, że mam bujną wyobraźnię.
- A nie masz?
- Nie zaprzeczyłeś. Gdybym nie miała racji, wyśmiałybyś mnie.
- Nie mam w zwyczaju wyśmiewać się z ludzi.
- Wiem o tym, ale wiem też, że mnie rozumiesz. Wszyscy cię kochamy. Gdyby nie Hawke, pewnie byście się pobrali z Zuzanną już kilka lat temu.
- Gdyby nie Hawke, nigdy byśmy się nie poznali - przypomniał jej Pete.
- To prawda. - Abigail nagle spoważniała. - Biedny Hawke. Pete milczał. Przez chwilę stali bez słowa nad starannie przekopanymi, pustymi grządkami, pokrytymi grudniowym szronem. Przy każdym oddechu z ich ust wydobywały się obłoczki pary. Zastanawiali się.
- Wiem, że Zuzanna nie żywi do mnie tego typu uczuć - powiedział w końcu Pete.
- Myślę, że żywi.
- Mylisz się.
- Być może. - Abigail wzruszyła ramionami. - Jestem jednak przekonana, że to ja mam rację.
- Musisz mi obiecać, że nic jej o tym nie powiesz - zażądał Pete. - Nie piśniesz ani słówkiem.
- Nigdy! W każdym razie nie teraz. Dopiero kiedy będzie ku temu powód.
- Co masz na myśli?
- Czasem ktoś musi Zuzannie pokazać to, co dla innych jest oczywiste jak słońce.
- Nie chcę, żebyś to robiła.
- Niech ci będzie - zgodziła się Abigail. Pete zrobił groźną minę.
- Albo dochowasz tajemnicy, albo... - Pogroził jej żartobliwie. - Jeśli coś powiesz, możesz zniszczyć moją nikłą szansę.
- Tego bym nie chciała.
- To dobrze.

- Naprawdę. Chciałabym, żebyś został moim szwagrem.
- Chciałabyś? - ucieszył się Pete.
- Jasne. Pomyśl tylko, o ile łatwiejsze byłoby moje życie. Byle załamanie nerwowe i...
- Nie wiedziałem, że masz zamiar się załamać.
- Nie mam takiego zamiaru, ale jeśli Zuzanna nie przestanie mnie zmuszać do kąpieli za każdym razem, ilekroć dotknę czegoś w Hawke House, mogę tego nie wytrzymać.

Wieczorem, po powrocie do swojego mieszkania na Eighth Street, Pete napisał w dzienniku:

*To wyjątkowo udane dziecko. Jest już prawie dorosła, ale nadal pozostaje młodszą siostrzyczką Zuzanny. Poznałem w swoim życiu wiele pogmatwanych życiorysów, ale ten jest tak pełen cierpienia - w przeszłości i w chwili obecnej - że czasem trudno to wytrzymać. Ileż jeszcze je czeka - Zuzannę i Abigail - kiedy dziewczyna dowie się prawdy! Abigail życie wydaje się proste, jasne, nieskomplikowane. Jej zdaniem, skoro ja kocham Zuzannę, a ona odwzajemnia moje uczucie, powinniśmy być razem. Tak po prostu.*

*Gdyby jednak wiedziała...*

Z czasem było mu coraz trudniej. Minęło cztery i pół roku od ich pierwszego spotkania w szpitalnej poczekalni. Na początku Zuzanna była dla niego tylko żoną Hawke<sup>^</sup>, potem wdową po Hawke'u. Teraz stali się przyjaciółmi i współpracownikami. Był też jej psychoterapeutą, o czym przypomniała mu Abigail. Gdyby Zuzanna myślała o nim jak o mężczyźnie, Pete wiedziałby o tym. Wyczytałby to w jej oczach; w tych oczach, które budziły w nim tyle wzruszeń i uczyniły z niego zakochanego młodzieńca. Tak, wiedziałby. Czy jednak na pewno? Nie potrafi przecież odgadnąć, jakie jeszcze tajemnice kryje jej przeszłość. *Rozmawiałem dzisiaj z Abigail o etyce zawodowej. Zachowałem się jak osioł. Nadal mam się za dość porządnego psy-*



*choterapeutę. Pomagam moim pacjentom szukać prawdy ale sam nie  
jestem mężczyzną, nie potrafię stanąć oko w oko z moją prawdą.  
Wmawiam w siebie, że nie mogę zostawić Zuzanny, ponieważ mnie  
potrzebuje. Ona mnie potrzebuje!  
Kogo ja właściwie chcę oszukać?*

## CZĘŚC TRZECIA

## *Rozdział 14*

Najbardziej przeraził ją fakt, że anonimowy list z pogrózkami, z datą dwudziestego piątego grudnia, został wysłany na adres jej mieszkania przy Beekman Place. Wszyscy wiedzieli, że Zuzanna przebywa stale w Hawke House. Fakt, że on znał jej adres w mieście, był dodatkową pogrózką: wie, gdzie ona mieszka, co robi i gdzie spędza czas.

W pierwszym odruchu chciała natychmiast pobiec do banku przy Third Avenue i pobrać z konta żądane pięćdziesiąt tysięcy dolarów. „Daj mi te pieniądze, pozbądź się go i skończ z tym” - szeptał jej wewnętrzny głos. Już stała przy drzwiach, kiedy odzyskała zdrowy rozsądek. Po pierwsze, nie ma na koncie pięćdziesięciu tysięcy. Hawke House pochłonęło dużą część jej oszczędności. Wiedziała, że za jakiś czas będzie w stanie zgromadzić całą żądaną kwotę, choć nie będzie to łatwe. Zresztą i tak nie dostała od niego szczegółowych instrukcji. Musiała czekać.

„On lubi, żebyś na niego czekała - odezwał się znów tajemniczy głos. - Zawsze to lubił”.

Po namyśle postanowiła zadzwonić do Pete'a. Był to ostatni dzień roku. Pete miał spotkania do obiadu, potem musiał odwiedzić dwa szpitale, ale powiedział, że później, o trzeciej, będzie wolny.

- Stało się coś... - oznajmiła mu pięć po trzeciej, kiedy usiedli w jego gabinecie. - Właściwie nie mam wyboru. Powinnam już wtedy wyznać ci wszystko. Teraz zostałam do tego zmuszona. Nie mogę dłużej ukrywać prawdy. Muszę się z nią zmierzyć i znaleźć jakieś wyjście.

- Co się stało?
  - Później. - Potrząsnęła głową. - Powiem ci później.
  - Dobrze. - Pete zapalił marlboro i rozsiadł się w fotelu. Na jej pełnej napięcia twarzy dostrzegł cień uśmiechu. -O co chodzi? - spytał.
  - Cały ty - wyjaśniła. - Podoba mi się, jak zapalasz papierosa, sadowisz się wygodnie i czekasz, nigdy nie tracąc cierpliwości.
  - Tylko tyle mogę zrobić.
  - Chyba masz rację - przyznała Zuzanna i zrobiła krotką przerwę. Po chwili podjęła rozmowę: - Wtedy, kiedy ci powiedziałam o Abigail, domyśliłeś się pewnie, kim był ten mężczyzna.
- Pete pokręcił głową.
- Nie chcę się bawić w zgadywanie.
  - Niech będzie - poddała się Zuzanna. - To był Mateusz Bodine. To on mnie zgwałcił. On więził mnie w chacie wśród wydm. On jest ojcem Abigail.
  - I twoim.
  - Nie. Nie jest moim ojcem. Wszystko, co ci mówiłam o moich rodzicach mieszkających w klasztorze koło Brew-ster, było kłamstwem.
  - Co się stało z twoimi rodzicami?
  - Ojca nie pamiętam. Zmarł, kiedy miałam dwa lata.
  - A matka?
  - Też nie żyje. Ale to zupełnie inna historia. Pete wziął głęboki wdech.
  - Sądziłem, że zdecydowałaś się powiedzieć mi wszystko. Mówiłaś, że chcesz zmierzyć się z prawdą.
  - Tak - przyznała Zuzanna. - Ale nie z tym. Jeszcze nie teraz.
- Pete w milczeniu pokiwał głową.
- Mateusz Bodine zaczął pracować u siostr tuż po moich dwunastych urodzinach. Był przede wszystkim ogrodnikiem, jak już mówiłam, ale też kierowcą i osobą dbającą o ładny wygląd całej posiadłości. Wydaje mi się, że był dobrym pracownikiem. Pracowity, cichy, silny i bardzo uprzejmy wobec zakonnic. Ufały mu.

Przez pierwsze trzy tygodnie życia Abigail Bodine przychodził do chaty dwa, czasem trzy razy w tygodniu. Zuzanna miała mało pokarmu, przynosił więc specjalne mleko dla noworodka, a także jednorazowe pieluchy. Za każdym razem dopytywał się o samopoczucie Zuzanny. Domyślała się, że się o nią niepokoi, ponieważ przez kilka dni po porodzie mocno krwawiła. Potem krwawienie ustało i zaczęła odzyskiwać siły. Bodine znów zachowywał się jak dawniej, ale dziewczyna była wzruszona tym, że się nią tak troskliwie zaopiekował. Obiecał, że zajmie się nią i dzieckiem, i dotrzymał słowa. Niczego więcej od niego nie oczekiwała.

- Mam pewne plany - oświadczył, kiedy Abigail miała osiemnaście tygodni. - Co do niej, co do ciebie, co do nas wszystkich. Zbliża się wiosna, dni są coraz dłuższe. Wkrótce na plaży zaroi się od ludzi.

- Gdzie się podziejemy? - spytała Zuzanna, tuląc dziecko.

- Jeszcze nie wiem, ale szukam czegoś. Będziemy musieli mówić ludziom, że jestem waszym ojcem - powiedział, drapiąc się po głowie. - I że wasza matka zmarła podczas porodu.

- Ja jestem jej matką - odparła Zuzanna, nie rozumiejąc, o co mu chodzi.

- Wiem, ale nikt oprócz nas nigdy się o tym nie dowie, rozumiesz? - W jego głosie słychać było echo dawnych pogrózek. - Nie przerywaj mi, słyszysz? - Poczekał, aż kiwnie głową na zgodę. - Wszystkim bez wyjątku będziemy mówili, że wasza matka zmarła w Vermont i że stamtąd pochodzimy. Nie z Brewster, ale właśnie z Vermont.

- Vermont - wyszeptała.

- Jestem wdowcem z dwiema córkami. Szukam pracy i dachu nad głową. Umiem ciężko pracować, mogę przedstawić doskonałe referencje. Poza tym zajmuję się tobą i małą...

- Abigail - powiedziała Zuzanna.

- Zajmuję się tobą i Abigail - powtórzył. Miał coraz lepszy humor. - Każdy porządny człowiek zgodzi się nam pomóc. Może uda mi się znaleźć pracę w którymś z tych wielkich domów koło Bostonu i zamieszkać tam z dziećmi.

Abigail poruszyła się, nie otwierając oczu, i wydeła maleńkie, różowe usteczka, ale zaraz się uspokoiła. Patrząc na córkę, Zuzanna czuła ogarniającą ją miłość.

- Jak ci się to podoba? - spytał Bodine.

- Nie wiem.

- Musi ci się podobać. Nie masz wyboru - stwierdził rzeczowo. - Nie zapomnij, że masz na nazwisko Bodine. Jesteś moją córką, a ona jest twoją siostrą. Rozumiesz?

Zuzanna oderwała spojrzenie od dziecka i popatrzyła mu prosto w oczy.

- Pytałem, czy rozumiesz - powtórzył. - Nie zapominaj o tym, co dla was zrobiłem. Pamiętaj, że jesteś grzesznicą. Pamiętaj, co może cię spotkać, jeśli powiesz komuś prawdę.

- Pamiętam - szepnęła.

- Od tej chwili ma być tak, jak powiedziałem, rozumiesz?

Zuzanna kiwnęła głową:

- Rozumiem.

- W zasadzie już wiesz, co było potem. Zamieszkałyśmy u Van Dusenów jako Zuzanna i Abigail Bodine, córki Mateusza Bodine'a. Odgrywałam swoją rolę najlepiej, jak potrafiłam. Raz czy dwa o mało się nie wsypałam, ale jakoś mi to uszło na sucho. Bodine pracował u Bryana i Connie z takim samym oddaniem, jak przedtem u zakonnic. Potrafił być bardzo układny.

- Ale w końcu napadł na Tabitę - przypomniał Pete. Zuzanna kiwnęła głową.

- Mam wrażenie, że Bodine lubi dwunastoletnie dziewczynki. Miałam dwanaście lat, kiedy dotknął mnie po raz pierwszy. - Umilkła, po czym dodała: - Nie zapytasz mnie, dlaczego nie powiedziałam nikomu o tym, co mi się wydarzyło? Dlaczego milczałam?

- Nadal się go bałaś.

- Tak. Ogromnie. Kiedy uciekł, wiedziałam, że nie wróci, ponieważ dobierając się do Tabity zamknął sobie drogę powrotu. Ale w głębi serca nie byłam pewna. Miałam kłopoty z zasypianiem. Bałam się, że w nocy włamię się do domu albo zakradnie się do mojego pokoju przez okno. Obawiałam się też, jak zareagują Van Dusenowie, jeśli się dowiedzą prawdy.

- Czego się spodziewałaś?

- Ze nas wyrzucą. Nie tak po prostu, na ulicę. Wiedziałam jednak, że gdyby się wydało, co on mi zrobił, wszczęto by oficjalne dochodzenie, sprawą zajęłaby się policja, a mnie i Abigail umieszczono by w jakimś sierocińcu. Może nawet by nas rozdzielono. On uciekł po ponadrocznym pobycie w Cohasset. W tym czasie zdążyłam się już przyzwyczaić do roli siostry Abigail. Van Dusenowie tworzyli cudowną rodzinę. Chcąc u nich zostać i być traktowana jak jedna z nich, zdecydowałam się podtrzymywać dawną wersję wydarzeń.

- Z czasem - domyślił się Pete - coraz trudniej było się przyznać do tego, jak było naprawdę.

- Nie potrafiłabym. Szczerze mówiąc, zdecydowałam się milczeć zaraz po jego ucieczce. Potem nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby wyznać prawdę. Kłamałam nie tylko przed światem, ale nawet przed samą sobą. Dzisiaj jestem tego świadoma. Zresztą chyba zawsze o tym wiedziałam. Ujawnienie prawdy byłoby zbyt bolesne. Łatwiej było pogrzebać przeszłość w niepamięci.

Przez chwilę oboje milczeli.

- Powiedziałaś, że kłamałaś przed samą sobą - odezwał się Pete. - Udało ci się zapomnieć o tym, co przeżyłaś?

- Prawie. Kiedy człowiek ma przeszłość, która ciąży mu jak zbędny balast, zadziwiająco łatwo mu zapomnieć. Oczywiście, zawsze ma się świadomość, że się udaje, ale na co dzień jest to bardzo wygodne. Jestem oszustką, Pete. Tak należałoby mnie nazwać.

- Hawke nigdy się o tym nie dowiedział?

- Nie. Wiedział, że nie nazywam się Bodine. Odkrył to jeszcze przed ślubem, gdy zobaczył mój paszport. Ale domyślił się, że nie chcę o tym rozmawiać, i nie nalegał. Później, po ślubie, dowiedziałam się, jak Hawke miał na imię i że nienawidził swojego imienia. Zawarliśmy wówczas umowę. On obiecał nie pytać o moje nazwisko pod warunkiem, że ja nie ujawnię jego imienia - uśmiechnęła się ze smutkiem. - Dzięki temu on pozostał tylko Hawkiem,

a o tym, kim ja jestem, nie dowiedzieli się ani mój mąż, ani przybrani rodzice, ani nawet moje rodzone dziecko. Zapadła nieprzyjemna, krępująca cisza.

- Kim więc jesteś? - spytał wreszcie Pete.

- Właśnie: kim ja właściwie jestem? Pete czekał, przyglądając się jej z uwagą.

- A co z twoją matką? - spytał.

- Kilka dni przed tym, zanim zabrał mnie z chaty, Bodi-ne powiedział, że moja matka umarła. Na raka.

- Powiedział prawdę? -Tak.

- Nie chcesz o niej rozmawiać? -Nie.

- Dlaczego?

- Jeszcze nie nadszedł czas.

Pete wyjął z paczki ostatniego papierosa i zapalił.

- W takim razie powiedz mi, co się stało. Skąd ta nagła wizyta?

- Powiem ci.

Zuzanna wyjęła z torebki kopertę i podała ją Pete'owi. Wysunął ze środka złożoną kartkę, rozwinął ją i przeczytał. Jego twarz pozostała nieruchoma, ale w oczach zapalił się gniew.

- Bodine - powiedział.

- Tak, Bodine.

- Co zamierzasz zrobić?

- Najpierw byłam gotowa zapłacić. Zrobiłabym wszystko, żeby tylko Abigail nie dowiedziała się prawdy. Inni ludzie i moja reputacja „świętobliwej Zuzanny”, jak pisze, nie mają dla mnie żadnego znaczenia. Liczy się tylko Abigail.

- Powiedziałaś: najpierw. A teraz?

- Teraz już wiem, że to bezcelowe. Niczego w ten sposób nie rozwiążę - odparła Zuzanna i mocno zacisnęła usta. Czowała pieczenie w oczach. - On mnie szantażuje - dodała po chwili. - Wiadomo, że szantażyści nigdy nie milkną. Zawsze jest im mało.

- To prawda - zgodził się Pete.

Zuzanna wstała z kanapy i podeszła do okna.



- Co mi radzisz? Mam pójść na policję? - Pokręciła głową. - Nie zrobię tego. Nie jestem wystarczająco silna.
  - Według mnie jesteś.
  - Nie. - Znów pokręciła głową. - Muszę zdobyć się na odwagę i zrobić to, co powinnam. W zasadzie nie mam wyboru.
  - Zamierzasz powiedzieć Abigail? - domyślił się Pete. Zuzannę ogarnęła głucha rozpacz.
  - Z Bożą pomocą.
  - Kiedy?
  - Prosto od ciebie jadę do domu. Chcę spędzić z rodziną Nowy Rok. Tabbie ma kilkudniowe ferie i już jest w domu. Zjemy uroczystą kolację. Bryan mówi, że Connie jest przemęczona po ostatniej sesji zdjęciowej. Dzisiaj nic im nie powiem. Dopiero jutro. W pierwszym dniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku.
  - Zacziesz swoje życie od nowa.
  - Można tak powiedzieć.
- Nazajutrz, w dzień noworoczny, po dziesiątej rano Zuzanna znalazła Abigail na plaży White Moon. Było bardzo zimno. Wiał silny wiatr. Blade, wodniste słońce usiłowało się przedrzeć przez sunące na zachód chmury, ale Zuzanna przeczuwała, że w ciągu godziny zacznie padać deszcz albo śnieg.
- Abigail siedziała nad brzegiem morza, na kamieniu, wpatrzona w wodę. Ubrana była w ciepły sweter, džinsy i botki, ale głowę miała odkrytą.
- Przeziębisz się.
- Abigail uniosła głowę i uśmiechnęła się ze słodkim zadowoleniem.
- Czuję się świetnie.
  - Zawsze lubiłaś tu przychodzić - powiedziała Zuzanna.
  - To najlepsze miejsce na początek nowego roku -stwierdziła Abigail poklepując kamień, na którym siedziała. - Chcesz usiąść?
- Zuzanna wołała stać. Patrzyła z góry na uniesioną twarz Abigail, szczęśliwej i nieświadomej tego, co ma nadejść.
- Chcę ci coś powiedzieć - zaczęła ze ściśniętym gardłem.

- Co? - spytała Abigail, wyczuwając napięcie siostry. -Usiądź i powiedz, co się stało.

Zuzanna przyklęła na wilgotnym piasku, przysiadając lekko na łydkach.

- Nie na ziemi. Zamarzniesz na śmierć.

Zuzanna przemilczała tę uwagę; nie ruszyła się z miejsca. Abigail

spojrzała na nią uważnie i raptem w jej oczach pojawił się niepokój.

Zuzanna spostrzegła to i zrozumiała, że Abigail boi się usłyszeć, iż jej siostra jest chora. To jej przypomniało, jak bardzo Abigail ją kocha.

Mimo że kilka słów mogło uspokoić zrodzony nagle strach, Zuzanna milczała, przejęta tym dowodem miłości. Wiedziała, że wkrótce wszystko się zmieni.

- Nie jestem chora - powiedziała w końcu. - Mówię to na wszelki wypadek, żebyś się o mnie nie bała.

Widać było, że Abigail natychmiast się uspokoiła. Zuzanna cieszyła się jeszcze tą ostatnią chwilą spokoju. Potem zaczęła mówić.

Kiedy skończyła, Abigail milczała. Siedziała nieruchomo, tylko jej włosy powiewały na wietrze. Twarz miała bladą jak płótno. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć. Zastygła w bezruchu, patrząc Zuzannie prosto w oczy. Potem podniosła się i bez słowa ruszyła ku domowi.

- Abigail! - Zuzanna wciąż klęczała na piasku i patrzyła, jak jej córka odchodzi, stawiając sztywne kroki. - Abigail, zaczekaj!

Abigail nie zatrzymała się. Zuzanna próbowała wstać, ale nogi miała zupełnie zdrętwiałe od niewygodnej pozycji.

- Abigail! - krzyknęła, wiatr jednak porwał jej słowa nad ocean tak, że nie mogła mieć pewności, czy córka ją usłyszała. - Abigail! - zawołała jeszcze raz, najgłośniej jak potrafiła.

Abigail zaczęła biec.

Zuzanna została na brzegu morza. Bardzo chciała pobiec za córką, ale wiedziała, że Abigail woli być sama i że potrzebna jest jej ta samotność. Kiedy będzie gotowa, wróci. Jeśli kiedyś w ogóle będzie gotowa.

Abigail wróciła niecałą godzinę później. Siedząca na kamieniu Zuzanna już z daleka spostrzegła, że córka jest zagniewana, i poczuła lęk. Po chwili Abigail stanęła przed matką, z dziwnie poszarzałą twarzą.

- Czy oni wiedzą? - spytała.

- Nie. Jeszcze nie. Uważałam, że ty powinnaś dowiedzieć się pierwsza.

- Ponieważ dostałaś list. Inaczej nigdy byś mi nie powiedziała.

- Sama nie wiem.

Zuzanna nadal siedziała, bojąc się, że jeśli spróbuje wstać, nogi odmówią jej posłuszeństwa.

- Gdyby on nie zaczął cię szantażować, nadal byś kłamała.

- Możliwe.

Zuzanna postanowiła być zupełnie szczerą, mimo że było to bolesne. Za późno! - pomyślała. Ale nie widziała innego sposobu na wyjście z mroku.

- W głębi serca - powiedziała - zdawałam sobie sprawę z tego, że kiedyś będę musiała wyznać ci prawdę. Nie chcę jednak kłamać i zapewniać cię, że z góry zaplanowałam, kiedy to nastąpi.

- Może kiedy skończę osiemnaście lat? - spytała z pogardą Abigail. - Albo dwadzieścia jeden? A może po moim ślubie? Co to dla ciebie za różnica! Założę się, że nawet Hawke'owi nie powiedziałaś.

- Nie - przyznała Zuzanna. - Nie powiedziałam. Abigail patrzyła na nią z góry. Rozwiane włosy tworzyły wokół jej twarzy dziwną aureolę.

- Jaka ty właściwie jesteś? Jak mogłaś wyjść za niego, jednocześnie ukrywając to wszystko? To takie... - zamilkła, szukając właściwego słowa

- takie nieuczciwe wobec Hawke'a.

- Sądzę, że gdyby się o tym dowiedział, nie nazwałby mojego postępowania nieuczciwym.

- Niestety, nie dowiedział się, a teraz nie żyje i już nigdy nie pozna prawdy.

Zuzanna spojrzała na córkę. Abigail nigdy nie zadawała bólu z premedytacją. Bywała uciążliwa, wymagająca, cza-

sem grubiańska, ale nie lubiła ranić innych. Jak wszyscy Van Dusenowie. „Ale ona jest z Bodine'ow - szczydził wewnętrzny głos. - Teraz dochodzą do głosu cechy dziedziczne”. Nie! - przerwała ten wewnętrzny monolog Zuzanna. Reakcja Abigail nie ma nic wspólnego z genami Mateusza Bodine'a. Dziewczyna po prostu nie umie sobie poradzić z nagle zdobytą wiedzą; czuje, że ją zdradzono.

- Usiądź - zaproponowała Zuzanna i przesunęła się, robiąc miejsce na kamieniu. - Chociaż może lepiej będzie wrócić do domu. Jest bardzo zimno.

- Przykro mi, że musisz marznąć.

Abigail przyklękła na piasku, tak samo jak Zuzanna godzinę temu. Zuzanna przymknęła oczy. Znalazły się bardzo blisko siebie, ale dystans emocjonalny między nimi był olbrzymi i bardziej bolesny od najgorszych bólów porodowych.

- Kocham cię, Abigail - szepnęła. - Kocham cię, od kiedy pojawiłaś się na tym świecie. Właściwie pokochałam cię znacznie wcześniej, kiedy tylko zaczęłaś poruszać się w moim brzuchu.

- Kochasz mnie tak bardzo, że oddałaś mnie innej matce.

- A co innego mogłam zrobić? Miałam czternaście lat i byłam całkowicie zależna od Bodine'a. Kiedy poznałam Connie, przekonałam się, że jest niezwykłą, pełną czułości osobą, i zrozumiałam, że spadłyśmy na cztery łapy. Można by pomyśleć, że działałam z wielkim wyrachowaniem.

- Rzeczywiście - zgodziła się Abigail.

- Może to i prawda, chociaż kiedy wspominam tamte dni, nie wydaje mi się, że byłam wówczas zdolna do wyrachowania. Byłam zdruzgotana. - Zuzannę zmroziła niewzruszona obojętność córki, mimo to postanowiła mówić dalej. - Spróbuj to sobie wyobrazić. Nie to, co było przedtem, bo o tym nie powinnaś nawet myśleć, ale to, jak samotna się czułam, kiedy trzymał mnie w niewoli...

- Przecież nie byłaś zamknięta.

- Ale czułam się uwięziona. Bodine powiedział, że jeśli wyjdę na plażę za dnia, on się o tym dowie. Przysiągł, że jeśli wyjawię komuś prawdę, zabije mnie. Wierzyłam w te słowa.

- Na to jesteś za mądra.
- Wtedy nie byłam taka mądra. Nie chciałam umierać. Chciałam, żeby moje dziecko żyło.

Abigail pokręciła głową.

- Dzisiaj to już nie ma znaczenia. Wszystko to przeszło do historii. -

Abigail wstała i ruszyła w kierunku morza, ale odwróciła się, kiedy Zuzanna podniosła się z miejsca, żeby pójść za nią. - Możliwe, że wtedy nie mogłaś nic na to poradzić - powiedziała, przekrzykując ryk wiatru i fal - ale powinnaś powiedzieć prawdę mamie i tacie. Powinnaś... -urwała nagle. W jej ciemnych oczach lśniły łzy. - Jak ja mam się teraz do nich zwracać? Spodziewasz się, że będę do ciebie mówiła: mamó? - spytała z ironią i ze złością odsunęła z twarzy włosy szarpane przez wiatr.

- Oczywiście, że nie - odparła Zuzanna. - Twoją matką jest Connie. Była doskonałą matką dla nas obu. Chciałabym pozostać twoją starszą siostrą.

- Siostrą, która przez całe życie mnie okłamywała! Abigail odwróciła się i szybkim, długim krokiem zaczęła

odchodzić. Zuzanna ruszyła za nią. Abigail nie zwolniła kroku, ale też nie uciekła, jak przed godziną. Zuzanna zsunęła z głowy kaptur, żeby lepiej widzieć. Wiatr, miotając pierwszymi kroplami deszczu, smagał ją po twarzy.

- Muszę przyznać, że rzeczywiście cię okłamywałam.

- Taka matka! Nie wspominając o ojcu, gwałcicielu.

- Twoim ojcem jest Bryan.

- Tylko przybranym.

- W sensie biologicznym... - mówiąc to, Zuzanna zobaczyła oczyma wyobraźni postać Mateusza Bodine'a. - Nie bardzo wierzę w biologię.

- Opowiadasz głupstwa.

- Możliwe, ale kiedy porównuję cię z nim, trudno mi uwierzyć w dziedziczenie genów. Masz moje włosy i mój nos. Po nim masz kolor oczu, twoje spojrzenie jest jednak zupełnie inne, piękne i ciepłe. On też miał piwne oczy, ale pełne chłodu. Jesteś dużo mądrzejsza ode mnie i bardziej bezpośrednia. Nie pozwoliłabyś, żeby tobie przydarzyło się coś takiego, a gdyby nawet, nie dusiłabyś tego w sobie.

-Nie.

Szły pod wiatr. Nad brzegiem morza stał jakiś nie znany Zuzannie, brązowo-biały ptaszek i zerkając na wodę machał skrzydełkami, ale nie odlatywał.

- Twój rodzony ojciec jest zwierzęciem - ciągnęła Zuzanna. - Ty jesteś uprzejma, serdeczna, inteligentna i łagodna. Niektóre z tych cech zawdzięczasz Connie, Bryanowi i Tabbie, ale większość z nich nosisz w sobie od początku. Jesteś sobą, Abigail.

W oczach Abigail zapalił się płomień okrucieństwa.

- Jaka ja byłam dumna z tego, że jestem siostrą Zuzanny Van Dusen! Zuzannę ogarnął jeszcze większy smutek i lęk. Z rozwianymi włosami, szeroka w ramionach i wysoka, Abigail wyglądała jak furia.

- Aż do dzisiaj - ciągnęła Abigail - byłam dumna z mojej siostry. Nawet wtedy kiedy umierał Hawke, a także później, kiedy nie pozwalałaś mi się do siebie zbliżyć z obawy, że mnie zarazisz.

- Mam nadzieję, że teraz mnie lepiej rozumiesz. Wiedziałam, że głupio postępuję, ale niewiele było w życiu spraw, przed którymi mogłam cię ochronić...

- Postanowiłaś więc zacząć od tego, żeby mnie nie zarazić AIDS?

- Zaczęłam od tego, żeby dać ci Connie i Bryana za rodziców.

- Wcześniej mówiłaś, że nie miałaś wyboru.

- Na początku rzeczywiście nie miałam. Później mogłam wybierać i zdecydowałam się na to, co wydawało mi się najmądrzejsze. Kierował mną strach, ale gdyby nie ta rodzina, w której on nas umieścił, mogłabym podjąć inne decyzje.

- Mam ci za to podziękować?

- Nie dziękuj, tylko postaraj się zrozumieć.

- Nie potrafię.

Zdrętwiałe z zimna i przemoczone, wróciły do domu. Abigail szła kilka kroków przed Zuzanną, jakby pragnęła w ten sposób podkreślić, że rozmowa została skończona, że nie zostało nic więcej do powiedzenia, że nie życzy sobie

już żadnych rewelacji. Kiedy weszły do domu, Abigail poszła prosto do swojego pokoju i zamknęła za sobą drzwi.

Pozostali członkowie rodziny siedzieli w kuchni. Tabita i Bryan przygotowywali obiad, a Connie siedziała na swoim wózku przy dużym dębowym stole i rozwiązywała krzyżówkę w gazecie. Przed nią stała filiżanka kawy.

Zuzanna powiedziała im o wszystkim. Po raz trzeci w ciągu dwudziestu czterech godzin powtórzyła tę samą historię. Tym razem poszło jej łatwiej. Słowa same wydobywały się z jej ust. Wiedziała jednak, że jeśli podniesie wzrok i spojrzy im w oczy, nie będzie w stanie dobrać do końca. Kiedy skończyła wyznanie, poczuła, że nie zniesie żadnych pytań. Powiedziała, że przede wszystkim trzeba się zająć Abigail; tak jak zawsze się nią zajmowali.

Pod koniec tego długiego dnia do pokoju Zuzanny przysłała Connie.

- Jak ona się czuje? - spytała Zuzanna.

- Jest spokojna. A ty? Zuzanna pokręciła głową.

- Bardzo cię przepraszam.

- Za co? - Connie wjechała do pokoju i zamknęła za sobą drzwi. - To ja przepraszam. Najbardziej za to, że nie mogę teraz zrobić tego, co bym chciała. Mam ochotę wyskoczyć z tego cholernego wózka i przytulić cię do serca - powiedziała z oczyma pełnymi łez.

- Abigail jest u siebie? - spytała Zuzanna.

- Tak. Da sobie z tym radę.

- Na pewno?

- Na pewno.

- Świat usunął się jej spod nóg.

- Jej świat pozostał nietknięty. Wszyscy ci, których Abigail kocha i którzy ją kochają, są przy niej. Wcześniej czy później zrozumie to. - Connie przez chwilę przyglądała się siedzącej w fotelu pięknej kobiecie, którą przez wiele lat kochała jak własną córkę. - Ciężko pogodzić się z tym, przez co musiałaś przejść.

- To było tak dawno!

- Przez te wszystkie lata wiele z tego powodu wycierpiałaś. - Connie była poruszona. - Abigail przeżyła szok, ale ma za sobą piętnaście lat szczęśliwego życia. Ty musiałaś oddać swoje dziecko i przyglądać się, jak dzień po dniu ci ją wykradam. \_ .

- Kochałaś ją. Opiekowałaś się nią lepiej niż ja. Byłam za młoda, by móc dać jej to, czego potrzebowała.

Connie spojrzała na Zuzannę tak, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

-Zawsze wiedziałam, że jesteś niezwykła. Kiedy tu przyjechałaś, byłaś taka cicha i dojrzała. Domyślaliśmy się z Bryanem, że być może w przeszłości miałaś jakieś ciężkie przejścia, ale żadnemu z nas nawet przez chwilę nie powstało w głowie coś podobnego!

- Nic dziwnego. Skąd mielibyście wiedzieć?

- Nie wybaczę sobie tego tak łatwo. Powinłam się domyślić. Twoje uczucie do Abigail było tak widoczne... Przypuszczałam, że spowodowała to utrata obojga rodziców.

- Miałaś prawo tak myśleć.

- Tak? - Connie potrząsnęła głową. - Miałam wtedy ponad trzydzieści lat i dziesięcioletnią córkę. Dziwne, że nie zauważyłam żadnych oznak tego, przez co przeszłaś.

- Kiedy tu przyjechałam, czułam się już dobrze. Byłam silna, zdrowa i bardzo szczęśliwa.

- To cud.

- Nie wierzę w cuda - odparła Zuzanna.

- Kiedy Bodine napadł na Tabbie, a potem uciekł, zostawiając tu ciebie i Abigail, zastanawialiśmy się z Bryanem, czy przypadkiem nie dobierał się również do ciebie, ale szybko porzuciliśmy to przypuszczenie. Trochę dlatego, że wydawałaś się tu szczęśliwa, a trochę dlatego, że ta mysli była zbyt nieprzyjemna. Rozmawialiśmy o twojej matce. Zastanawialiśmy się, jakie miała życie u boku Bodine^ i jak to wpłynęło na ciebie. Miała ciężkie życie? - spytała Connie.

- Nie wiem - odparła Zuzanna.

- Nigdy nie chciałaś rozmawiać o swojej matce.

- Niewiele mogę o niej powiedzieć - stwierdziła Zuzanna, odwracając głowę.



Później przyszedł Bryan. Przyniósł jej talerz rosołu, przytulił ją i patrzył, jak podnosi łyżkę do ust, je i jak powoli nabiera kolorów.

- Zadzwoń na policję - powiedział w końcu.
  - Nie - przeraziła się Zuzanna.
  - Żartujesz! Dlaczego?
  - Ze względu na Abigail.
  - Chyba nie zamierzasz mu płacić?
  - Nie - odparła.
  - Dzięki Bogu.
  - W pierwszym momencie, kiedy dostałam list, chciałam zapłacić - wyznała. - Czy to naprawdę było zaledwie wczoraj rano? Mam wrażenie, że od tamtej chwili minęły długie tygodnie.
  - Zuzanno - odezwał się Bryan, usiłując zapanować nad gniewem - musimy natychmiast zawiadomić policję. Nie wiadomo, na co on może się poważyć, jeśli nie dostanie pieniędzy.
  - A cóż on może? - spytała rzeczowo Zuzanna, odstawiając na tacę pusty talerz. - Potrzebuje pieniędzy i tylko na tym mu zależy. Minęło już trzynaście lat. Nie interesuję go ani ja, ani Abigail.
  - Groził, że ujawni prawdę.
  - Teraz, kiedy Abigail o wszystkim wie, prawda nie może mnie zranić.
  - Zapominasz o jednym. Mateusz Bodine jest nie tylko szantażystą. On gwałci i porywa dzieci. Od ponad dwunastu lat przebywa na wolności i można sądzić, że w tym czasie powtórzył swój wyczyn. Mógł skrzywdzić niejedną dziewczynkę.
- Zuzannie zrobiło się niedobrze. Przed oczami stanęła jej blada, ściągnięta twarz córki.
- Zapominasz o Abigail. Wyobraź sobie, jakim koszmarem jest dla niej to, czego się dowiedziała. A ty chcesz jeszcze nasłać policję na Bodine'a... jej ojca. Chcesz go postawić przed sądem...
  - To mu się słusznie należy.
  - Wówczas cały świat pozna w najdrobniejszych szczegółach prawdę o tym, jak jej ojciec zgwałcił jej matkę, wów-

czas trzynastoletnią dziewczynkę, i o tym, że Abigail urodziła się w opuszczonej szopie...

- Abigail da sobie radę - odparł Bryan. - Będziemy ją wspierali...
- obrońca Bodine'a - ciągnęła Zuzanna - będzie przekonywał, że Bodine mnie nie więził, ponieważ drzwi chaty nie były zamknięte. Przeciwnie, dbał o mnie, jak potrafił. To samo powiedziała Abigail. Że mogłam uciec.
- Umilkła na chwilę. - Mogłam też wyznać prawdę rodzinie, która przyjęła mnie i dziecko pod swój dach. Powiedzą, że kłamię, i nikt ich nie przekona, że było inaczej. Zresztą nie chodzi o mnie, ale o Abigail...
- Przestań! - Bryan był zdenerwowany, zaniepokojony.
- Nie mogę. Musisz wiedzieć, co by się działo.
- Nie wierzę w to. A gdyby nawet tak się stało, nie opuścimy cię. - Bryan ukląkł obok fotela i ujął jej ze-sztynniałe, lodowate dłonie. - Przede wszystkim pragnę powstrzymać Bodine'a, żeby już nie mógł cię więcej krzywdzić.

Zuzanna siedziała bez ruchu, wyczerpana.

- Kochanie? - zaniepokoił się Bryan. - Pozwól mi zawiadomić policję.
- Nie! Abigail by tego nie zniosła.
- Przecież ja chcę to zrobić również dla jej dobra. Zuzanna pokręciła głową.
- Nie!

Na koniec przyszła Tabita. Była pełna miłości i przebaczenia, jak zawsze.

- Dlaczego mnie nie znienawidziłaś? - spytała Zuzanna.
- A dlaczego miałabym cię znienawidzić? - zdziwiła się Tabita.
- Z powodu tego, co ci zrobił.
- Nie jesteś odpowiedzialna za wybryki tego zbrodźcy.
- Gdybym powiedziała prawdę, nic takiego by się nie zdarzyło.
- Gdybyś na samym początku powiedziała prawdę, na pewno nie zamieszkalibyście z nami i do końca życia byłabym jedynaczką. Zresztą on nie wyrządził mi przecież żad-

nej krzywdy. Zdążyłam uciec. Miałam rodziców, u których mogłam szukać pomocy. Miałam ciebie. Potrafiłaś mnie pocieszyć.

Zuzanna milczała.

- Obiecuj mi jedno - powiedziała Tabita.

- Jeśli tylko będę mogła...

- Obiecuj, że nie zapłacisz temu draniowi.

- Nie zapłacę.

- Pozwolisz tacie wezwać policję?

- Nie. Już mu to powiedziałam. Na pewno nie teraz.

Przez chwilę milczały, każda pogrążona w swoich myślach. Zuzanna siedziała w fotelu, a Tabita, z podwiniętymi nogami, na łóżku.

- Jak Pete to przyjął? - spytała w końcu Tabita.

- Był zaskoczony. Wprawdzie przyjął to ze spokojem, jak na zawodowca przystało, ale ja wiem, że był bardzo poruszony.

- Przecież łączy was coś głębszego niż tylko profesjonalne związki.

- Nie - zaprzeczyła Zuzanna. - Jesteśmy partnerami z Hawke House i dobrymi przyjaciółmi.

- Abigail twierdzi, że Pete jest w tobie zakochany.

- Naprawdę? - zdziwiła się Zuzanna. Tabita uśmiechnęła się.

- Powiedziała mi o tym po ostatniej wizycie u ciebie. Rozmawiała na ten temat z Pete'em.

- Abigail?

- Twierdzi, że Pete nie zaprzeczył. Powiedział tylko, że nie wierzy, abyś żywiła do niego mocniejsze uczucie, i zobowiązał Abigail do zachowania całej sprawy w tajemnicy. Abigail wyznała mu, że chciałyby mieć go za szwagra.

- Boże! - przeraziła się Zuzanna.

- To nie byłoby takie złe. Pete Strauss to dobry człowiek. Co ty na to, Zuzanno?

- Dobrze wiesz, co o nim myślę.

- Nie wiem.

- Ależ tak!

- Bla, bla. Wszyscy wiedzą, że uważasz go za miłego, do-

brego człowieka i znakomitego specjalistę, ja jednak pytam, czy go kochasz. - Widząc rozterkę malującą się na twarzy Zuzanny, Tabita zrezygnowała z drażenia tego tematu. - Widzę, że to nie jest właściwa chwila.

- Rzeczywiście.

- Pewnie jesteś bardzo zmęczona?

- Raczej tak - przyznała Zuzanna. - Postaram się usnąć. Chyba że Abigail chciałaby ze mną rozmawiać - dodała z nadzieją.

- Nie sądzę. Jeszcze nie jest gotowa.

- Rozumiem. - Zuzanna czuła, że się zaraz rozplacze.

- Daj jej już dzisiaj spokój - poradziła Tabita. - Ona też powinna teraz odpocząć. Jutro czeka was kolejny trudny dzień.

- Tak. - Nagle Zuzanna zapragnęła zostać sama, zamknąć oczy i na chwilę o wszystkim zapomnieć. Tabita wstała.

- Connie kazała zapytać, czy ci czegoś potrzeba.

- Nie, dziękuję - odparła Zuzanna.

- Może termofor z ciepłą wodą?

- Nie ma potrzeby.

- Jeśli zmienisz zdanie, zawołaj mnie.

- Dobrze.

- Gdybyś nie mogła zasnąć, będę w swoim pokoju.

- Chciałabym się teraz przespać.

Tabita odwróciła się jeszcze, z ręką na klamce, żeby powiedzieć:

- Abigail cię kocha. Jesteś w jej oczach bohaterką.

- Byłam - sprostowała Zuzanna.

Zobaczyła Abigail nazajutrz o siódmej rano. Siedziała na huśtawce na ganku. Nogi podciągnęła do góry, kolana objęła ramionami. Było zimno. Huśtawka, poruszana wiatrem, skrzypiała.

- Mogę się przysiąc? - spytała Zuzanna. Abigail wzruszyła ramionami.

- To nie mój dom. - Kiedy Zuzanna usiadła, odsunęła się od niej. -

Myślałam, że już cię nie ma.

- Wolałabyś, żebym wyjechała?

- Tego nie powiedziałam.

Wszystko było takie znajome! Ganek, krata przy drzwiach wejściowych, dająca podparcie pnącej róży, płot z ułożonych poziomo bali i drewniana rampa dla Connie. To właśnie rzuciło się w oczy Zuzannie wiele lat temu, kiedy przywiózł je tu Bodine. Od tego czasu dom kilkakrotnie przemaalowywano. Zimą nie kwitła róża, ale poza tym wszystko zostało tak, jak było.

- Przepraszam - szepnęła, bojąc się, że się rozplącze. W nocy nie pozwoliła sobie na łzy, czując, że nie ma prawa sprawiać sobie ulgi. - Nie wiem, co jeszcze mogłabym ci powiedzieć... co mogłabym zrobić, żeby między nami się ułożyło.

- Nic już nie będzie tak jak dawniej - stwierdziła Abigail.

- Tak, wszystko się zmieniło. Ale może jeszcze będzie dobrze.

Abigail milczała. Zuzanna spojrzała na nią. Wyglądała na silną, ale była jeszcze taka młoda; dojrzała, ale w znacznym stopniu bezbronna.

- Myślałam... - nie mogła znaleźć właściwego słowa. -Szczerze wierzyłam, że postępuję słusznie, nie mówiąc o tym ani tobie, ani rodzinie.

- Wiem.

- Wiesz?

- Tak. - Abigail miała chrypkę. - To jednak nie znaczy, że przyznaję ci rację.

- Naturalnie.

- Możesz mi coś powiedzieć?

- Co takiego?

Abigail rzuciła Zuzannie krótkie spojrzenie, ale szybko odwróciła wzrok, jakby się bała, że patrząc matce w oczy nie zdobędzie się na odwagę.

- Siedziałam tu dość długo, rozmyślając - powiedziała. -Prawie całą noc nie spałam. Zastanawiałam się...

- Ja też.

- Ty miałas piętnaście lat na przemyślenia - przerwała Abigail, spoglądając na nią z wyrzutem. - Ja miałam tylko jedną noc.

Zuzanna zaczerwieniła się.

- Przepraszam.

Abigail znów odwróciła głowę.

- Chcę wiedzieć - zaczęła i głęboko zaczerpnęła powietrza - dlaczego mnie zostawiłaś, skoro tak bardzo mnie kochałaś?

- Nie zostawiłam cię.

- Ależ tak. Ledwie na horyzoncie pojawił się Hawke i powiedział ci, że jesteś piękna, popędziłaś za nim jak pies zerwany z uwięzi.

- Sądziłam, że lubiłaś Hawke'a - odpowiedziała Zuzanna po chwili zastanowienia.

Abigail uniosła głowę.

- Przepadałam za nim.

- W takim razie nie rozumiem, co masz na myśli. Uważasz, że nie powinnam wychodzić za niego za męża?

Abigail potrząsnęła przecząco głową, a wiatr rozwiały jej włosy.

- Nie o to chodzi. Wyprowadziłaś się z domu nie po to, żeby wyjść za męża. Pobraliście się wiele lat później. Poświęciłaś mi, córce, którą podobno tak bardzo kochasz, zaledwie cztery lata.

- Nie zostawiłam cię, Abigail. Postąpiłam tak, jak postąpiłaby w takiej sytuacji każda siostra.

- Ale ty nie jesteś moją siostrą.

Zuzanna milczała. Wiatr przyniósł skądś jaskrawożółty kawałek papieru i unosił go przez moment; miało się wrażenie, że to jakiś papierowy kanarek. Potem porwał go gdzieś w kierunku drogi.

- To bolało. Niełatwo było zostawić dom i siebie.

- Może i bolało, ale chyba nie za bardzo, skoro jednak wyjechałaś.

- Mylisz się.

Abigail wzruszyła ramionami.

- Może. - Huśtawka jęknęła. Wiatr sypnął jej włosami w oczy. Odsunęła je niecierpliwie. - Co zrobisz z tym listem? - spytała nagle.

- Sama nie wiem.

- Zapłacisz mu?

- Raczej nie. Bryan chce zawiadomić policję.

-Tak?

- Gdyby go złapali i postawili przed sądem, przeżylibyśmy wiele ciężkich chwil.

- Chyba tak - przyznała Abigail. - Szczególnie ty.

- My wszyscy. Dlatego uważam, że masz prawo głosu w tej sprawie.

- Czy to liczenie się z moimi uczuciami nie jest trochę spóźnione?

Zuzanna położyła dłoń na krawędzi drewnianego siedziska i z całej siły wbiła w nie paznokcie, niegdyś doskonale wypielegnowane, dzisiaj nierówne, jak u pracującego fizycznie mężczyzny.

- Zawsze liczyłam się z twoimi uczuciami. Możesz w to nie wierzyć, ale przede wszystkim chodziło mi o twoje dobro.

- Nie wierzę.

- Masz do tego prawo. Mimo wszystko uważam, że powinnaś się zastanowić, czy chciałabyś, by sprawa trafiła na policję. Nie musisz ze mną o tym rozmawiać. Masz przecież innych: Connie, Tabbie... Proces sądowy będzie dla nas ciężkim przeżyciem... szczególnie dla ciebie. Mnie jest wszystko jedno. Sądzę, że chciałabym, żeby go ukarali za to, co mi zrobił.

- Widzę, że go nienawidzisz - powiedziała zamyślona Abigail.

- Raczej tak.

- Przez niego w wieku czternastu lat urodziłaś dziecko. Zuzanna spojrzała córce w oczy.

- Jeśli sugerujesz, że żałuję, iż cię urodziłam, to źle trafiłaś, Abigail. Jesteś najpiękniejszym podarunkiem, jaki od niego dostałam. Nawet wtedy, podczas długich miesięcy samotności i obaw, byłam mu za to wdzięczna. Pewnie dlatego nie potrafię go tak naprawdę nienawidzić. Zgwałcił mnie i straszył, ale to on dał mi ciebie.

Abigail długo milczała.

- Nie chcę o tym więcej mówić - stwierdziła w końcu.

- Musimy ze sobą rozmawiać.

- Już porozmawialiśmy.

- Wiele jeszcze zostało do powiedzenia - przekonywała ją Zuzanna.

- Nie teraz. Proszę cię.
- Postaraj się mnie zrozumieć - powiedziała Zuzanna z rozpaczą. - Nie zapominaj, że wówczas sądziłam, iż muszę tak postępować.

Abigail milczała.

- Proszę.
- Prosisz o bardzo wiele - odparła Abigail.
- Wiem.



## *Rozdział 15*

Rodzina postanowiła, że tymczasem nie złoży doniesienia na policji. Minęły dwa pierwsze tygodnie stycznia. Rozmowy z Abigail były drętwe i bezowocne. Smutna i sfrustrowana, Zuzanna wróciła do Hawke House.

- Wyjechała - powiedziała Abigail do Tabity w kuchni, tuż po wyjeździe Zuzanny. - Jak zwykle.

- Nie miała wyboru.

Początkowo Tabita zamierzała spędzić w rodzinnym domu zaledwie tydzień, ale po tym jak Zuzanna wyznała swoją przeszłość, została dłużej w nadziei, że będzie mogła jakoś pomóc.

- Źle mnie zrozumiałaś - oświadczyła Abigail, bawiąc się włosami. - Cieszę się, że wyjechała. Przytłaczała mnie już jej nieustanna obecność i cierpliwe czekanie, aż jej przebaczę.

- Wiesz co? Powoli zaczynam mieć ciebie dość. Kiedy wreszcie przestaniesz zachowywać się jak skończony samolub i zaczniesz, dla odmiany, myśleć o innych?

- Na przykład o Zuzannie? - Abigail odsunęła się. Nogi krzesła zazgrzytały, przesuwając się po kafelkach.

- Na przykład. - Tabita nasypała do kubeczka kawy rozpuszczalnej i czekała, aż woda w czajniku zacznie wrzeć. -Wszyscy ci to powtarzamy. Wiesz, przez co Zuzanna musiała przejść, żeby cię urodzić i zapewnić ci dobre warunki. Wiesz, że Bodine naraził ją na niebezpieczeństwo...

- Mogła umrzeć - stwierdziła spokojnie Abigail. - Ja też mogłam umrzeć. Czy ty nie widzisz, że przyjeżdżając tu

z nim, Zuzanna ciebie również naraziła na wielkie przykrości?

- Miała zaledwie czternaście lat i była śmiertelnie przerażona.

- Była o rok młodsza ode mnie. Ile trzeba czasu, żeby ochłonąć z emocji i zacząć trzeźwo myśleć?

Zaciskając zęby, Tabita zalała kawę wodą, odstawiła czajnik i usiadła przy stole.

- Masz się za bardzo dojrzałą osobę, ale według mnie postępujesz niepoważnie. Nie podejrzewałam, że jesteś pozbawiona współczucia.

- Mam to pewnie po ojcu - odparła Abigail, rumieniąc się.

- Możliwe, chociaż w to wątpię. Nigdy dotąd nie zauważyłam, żebyś miała serce z kamienia.

Tabita osłodziła kawę, upiła kilka łyków, odstawiła kubeczek i spojrzała na przybraną siostrę. Wiedziała, że pod maską uporu toczy się ciężka walka.

- Jesteś innego zdania niż Zuzanna i mama? Uważasz, że powinniśmy zawiadomić policję? - spytała Abigail.

- Chciałabym go zobaczyć za kratkami.

- Tata też?

- Tak, ale to nie jego sprawa i nie moja.

- On skrzywdził również ciebie.

-Próbował. Chyba rozumiesz, że Zuzanna i mama przede wszystkim chcą chronić ciebie?

- Ponieważ on jest moim ojcem - stwierdziła z ironią Abigail.

- Nie wierzysz, że chodzi im o ciebie? Abigail popatrzyła Tabbie prosto w oczy.

- Gdyby Zuzanna tak mówiła, pewnie bym jej nie uwierzyła, ale mama nigdy mnie nie okłamała.

Tabita wolno pokręciła głową. - Nie, ty nic nie rozumiesz.

- Chyba rzeczywiście nie.

- Nie rozumiesz, jakie masz szczęście.

- Że mam dwie mamy?

- No, nie! - Tabita poderwała się z miejsca. - Mam dość!

- Dopij kawę.

- Do diabła z kawą.
- Przepraszam - powiedziała Abigail. Tabita wstała i odstawiła kubeczek do zlewu.
- Naprawdę przepraszam - powtórzyła Abigail. - Nie lubię się z tobą kłócić.
- To nie kłótnia. Po prostu trudno mi teraz okazać ci życzliwość. Piętnastolatka siedziała wciąż przy stole. Bezsilnie zaciskała pięści i walczyła z napływającymi do oczu łzami.
- Nie rozumiesz, jak ja się czuję? - spytała z żalem i gniewem jednocześnie. - Moje uczucia nie mają już żadnego znaczenia?
- Oczywiście, że mają. - Tabita była zirytowana. - Niestety, niezbyt pasują do rzeczywistości. Nie widzisz tego? Zuzanna zawsze, od samego początku pragnęła, żebyś była zdrowa i szczęśliwa. I udało się jej to osiągnąć.
- Okłamując mamę, tatę i ciebie.
- Tak, okłamując... Później okłamywała też ciebie, ale przez to chciała osiągnąć coś ważnego, nie rozumiesz? Najpierw musiała walczyć o przetrwanie, potem o to, żebyś miała jak najszcześniejsze życie.
- Ona też nie miała ciężko - szepnęła Abigail. Czowała, że przegrywa, ale z uporu, ostatkiem sił trwała przy swoim.
- Masz jej to za złe? Chyba zasłużyła sobie na odrobinę spokoju? Chociaż, na Boga, nie cieszyła się nim długo.
- Nawet Hawke'owi nie powiedziała prawdy.
- Myślisz, że było jej z tym łatwo?
- Pewnie nie.

Tabita usiadła przy stole.

- Dobrze, że przynajmniej to rozumiesz.

W piątek rano, dwa dni po powrocie Zuzanny do Hawke House, w jej biurze zadzwonił telefon. Była przyzwyczajona do jego delikatnego brzęczenia, tym razem jednak przestraszyło ją ono tak bardzo, że przewróciła buteleczkę z atramentem, którym właśnie napełniała wieczne pióro.

- Słucham! - odezwała się, nieco roztargniona, próbując jednorazową chusteczką osuszyć rozlewającą się po biurku niebieską kałużę. Atrament skapywał na czerwony dywan.

- To ja.

Minęło ponad trzynaście lat, kiedy ostatni raz słyszała ten dobrze znany głos. Nogi zaczęły jej drżeć. Usiadła na krześle, zapominając o rozlanym atramencie. Poplamiona chusteczka wypadła jej z ręki.

- Cześć, święta Zuzanno - powitał ją przyjaźnie. - Jak leci?

- Czego chcesz? - spytała słabym, chrapliwym głosem.

- Wiem, że dostałaś mój list - powiedział. - Wiem, że zaraz potem pojechałaś do swojego psychoterapeuty, a od niego do domu, do starej kochanej Connie i Bryana. Jak im leci? Jak się ma mała Tabbie? Jest już pewnie dorosłą kobietą.

- Czego chcesz? - powtórzyła.

-Daj spokój. Nie powiedziałaś mi, jak się ma rodzina. Zresztą mało mnie oni obchodzą. W tym domu interesuje mnie tylko jedna osoba.

Zuzanna patrzyła w milczeniu, jak atrament powoli wsiąka w gruby dywan. Była tak sztywna, jakby połknęła kij od szczotki.

- Jak się czuje nasza córka? - spytał. - Co słyszać u Abigail?

Zuzanna napięła wszystkie mięśnie i mocno ścisnęła słuchawkę.

- Nie - powiedziała.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Nie! Nie dostaniesz pieniędzy.

- Jeśli to miał być żart, to ci się nie udał.

- Ja nie żartuję. - Zuzanna powoli odzyskiwała siły.

- Chyba nie zrozumiałaś tego, co napisałem w liście.

- Zrozumiałam wszystko. Jeśli nie dam ci pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ujawnisz moją przeszłość. To szantaż.

- Po co używasz takich niemiłych słów?

- A ty jak byś to nazwał?

- Dzieleniem się z ojcem twojego dziecka. To normalne - powiedział. W jego głosie było słyszać uśmiech. Zuzanna przypomniała sobie, że zawsze, kiedy zamierzał coś okrutnego, uśmiechał się. - Przecież nasze dziecko jest dla ciebie ważne.

- Najważniejsze na świecie.

- Kto ci je dał?

- Abigail nie jest rzeczą. - Zuzanna znów zaczęła tracić pewność siebie. - Nikt mi jej nie dał.

- Chcesz powiedzieć, że ona nie jest moją córką? - spytał groźnym głosem.

- W sensie czysto biologicznym tak, jest twoją córką.

- Sugerujesz, że nie przyszedłem ci z pomocą, kiedy mnie potrzebowałaś? Zuzanna zaśmiała się gorzko.

- Takie słowa mogły robić na mnie wrażenie piętnaście lat temu, ale dzisiaj jestem mądrzejsza. Nie dostaniesz pieniędzy.

- Pięćdziesiąt tysięcy to fraszka dla kobiety tak zamożnej, jak Zuzanna Van Dusen, była modelka, najśliczniejsza wśród tych chudzielców.

- Nie dostaniesz ode mnie złamanego centa! Jeśli jeszcze raz spróbujesz mnie niepokoić, zawiadomię policję.

- Mylisz się sądząc, że zmięknę...

- Raczej nie - przerwała mu Zuzanna. - Teraz nic mi nie możesz zrobić. Abigail wie o wszystkim. Wyznałam jej gorzką prawdę. Gdybyś więc nawet chciał sprzedać swoją wersję minionych wydarzeń (z pewnością jest bardziej soczysta od mojej) i opublikować to w jakimś szmatławcu, wcale by mnie to nie obeszło.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Zuzanna pomyślała, że Bodine odłożył słuchawkę, ale usłyszała jego oddech i zrozumiała, że ze złości nie może wydobyć z siebie ani słowa.

- Pożałujesz tego! - powiedział wreszcie. - Mogę cię zranić na wiele sposobów.

- Nigdy nie będę tego żałowała - odparła, czując, że zwycięża. - Jesteś gwałcicielem małych dziewczynek. Porywaczem. Szantażystą. Porządni ludzie nie rozmawiają z takimi jak ty. Idź do diabła!

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na swoje drżące dłonie. Były pobrudzone atramentem. Wszędzie: na telefonie, na kartkach rozłożonych na biurku, na dywanie i na jej spódnicy widać było niebieskie plamy, ale to nie miało żadnego

znaczenia. Nie przejęłaby się, gdyby nawet poplamiała swoją ulubioną jedwabną bluzkę od Diora.

Przypomniały się jej słowa, które przysły jej do głowy prawie rok temu, kiedy odwiedziła grób biednej Marii Alonso na cmentarzu w Jackson Heights: „Wolna, wreszcie wolna”. Uwolniła się od Mateusza Bodine'a. Czowała się wspaniale.

Pełna radości, zadzwoniła do Nowego Jorku do Pete'a, żeby opowiedzieć mu o wszystkim. Pete prosił, aby mu dokładnie powtórzyła słowa Bodine'a. Bał się, że radosne uniesienie może Zuzannę szybko opuścić, dlatego postanowił odwiedzić Hawke House w najbliższą niedzielę. Przybył ze Steinbeckiem tuż przed drugim śniadaniem, przywożąc ze sobą bagietki i serek śmietankowy. W kuchni przyrządzili omlety z krabami i zasiedli do stołu w salonie Zuzanny.

- Nie podobają mi się jego pogrożki - powiedział Pete, smarując serem drugą bagietkę. Omlet zjadł wcześniej, do spółki ze Steinbeckiem. - Chyba należałoby zawiadomić policję.

- Nie ma potrzeby - odparła Zuzanna, popijając sok pomarańczowy.

- Nie zgadzam się z tobą. Podobnie jak Bryan.

- Bryan prosił cię o pomoc?

- Niepotrzebnie się złościysz.

- Nie złość się.

Dzień wcześniej zadzwoniła do niej Tabita z wiadomością, że Abigail - jej zdaniem - powoli dochodzi do siebie. Ma zbyt pogodną naturę, żeby się potrafiła długo smucić.

- Bryan martwi się o ciebie.

- Wiem.

- Ja też się martwię.

- Niepotrzebnie - upierała się Zuzanna.

- Powinnaś mieć się na baczności. Nawet jeśli nie chcesz postawić tego sukinsyna przed sądem, nie powinnaś lekceważyć gróźb miotanych przez kogoś tego pokroju. On cię śledzi, grozi ci... Kto wie, czego jeszcze może spróbować?

- A co mógłby mi zrobić? - spytała Zuzanna, nieporuszona. - On kłamie. Chodzi mu tylko o pieniądze. Był wście-

kły, kiedy się przekonał, że nie dostanie ani grosza i nie jest w stanie mi nic zrobić. Dobrze wie, jakie miał szczęście, że nie zgłosiłam sprawy na policję. Byłby szalony, gdyby chciał próbować jakichś nowych sztuczek. Nie chce przecież gnić w więzieniu.

Pete wysączył ostatnie krople kawy z filiżanki.

- Zaparzyć ci jeszcze? - spytała Zuzanna. Pete pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. - Skrzywił się i zapalił papierosa. - Staram się ograniczyć picie kawy.

- Byłoby lepiej, gdybyś ograniczył palenie.

- Z pewnością. - Był w dziwnym nastroju. Zaciągnął się głęboko. - Zapominasz, że ten człowiek potrafi być niebezpieczny.

- Wiem, na co go stać. On dybie na kilkunastoletnie dziewczynki.

- A Abigail? - spytał z wahaniem Pete. Zuzanna pokręciła głową.

- Ma już piętnaście lat. Jest mądra i dojrzała. Bodine woli dzieci.

Dwunasto-, trzynastoletnie - powiedziała Zuzanna, rumieniąc się. - Lubi uwodzić, dawać fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Uderza, kiedy już zdobędzie zaufanie ofiary. Nie będzie tego próbował w domu, gdzie jego sztuczki są znane.

- Nie martwi cię to - spytał Pete - że jakieś dwunastoletnie dziecko może się znaleźć w niebezpieczeństwie? Należałoby go zamknąć.

- Oczywiście, że mnie to martwi - odparła. - Ale Abigail jest dla mnie najważniejsza. Przemyślałam to, Pete. Może nie mam racji, czuję jednak, że właśnie teraz powinnam jej pomóc. Musi odzyskać równowagę, pogodzić się ze swoją przeszłością i ze mną.

Pete wzruszył ramionami.

- A zatem nie zawiadomisz policji? -Nie.

Włożyli puchowe kurtki i wyszli na spacer do lasu. Steinbeck węszył za czymś, aż w końcu znalazł odpowiedni patyk. Zuzanna odebrała mu go i rzuciła, ale pies nie przy-

niósł go z powrotem, tylko biegał radośnie, trzymając patyk w pysku. Zuzanna zrezygnowała z dalszej zabawy.

- Możemy porozmawiać o poważnych sprawach? - spytał Pete.

- Jeśli nie ma to nic wspólnego z policją, to tak.

Było zimno i mokro. Pod ich stopami skrzypiał wilgotny mech i suche paprocie. Gdzieś tam prześwitywało blade słońce. Powietrze było rześkie, chociaż pachniało stęchlizną.

- Po naszej ostatniej rozmowie kilka spraw nie daje mi spokoju - powiedział Pete. - Czytałem trochę o macierzyństwie nastolatek. Jestem zdziwiony, że twój organizm tak dobrze zniósł to obciążenie.

- Wiem - zgodziła się z nim Zuzanna. - Ja też o tym czytałam.

- Zdajesz więc sobie sprawę z tego, jak łatwo było o nieszczęście.

- Tak. - Zuzanna kopnęła jakąś gałąź i Steinbeck pogonił za nią jak młody szczeniak. - Znam to wszystko na pamięć: toksemia, anemia, infekcje przewodu moczowego - recytowała. - Mógł mnie zarazić rzeżączką, syfilisem i Bóg jeden raczy wiedzieć, czym jeszcze - wyliczała dalej beznamiętnie. - Moja macica nie była dobrze rozwinięta, mogła więc powstać przetoka, z której powodu cierpiałabym do końca życia. - Nieoczekiwanie zatrzymała się. - Ale żadne z tych nieszczęść mnie nie dotknęło. Nie mam nawet rozstępów na skórze.

- Abigail mogła nie przeżyć porodu - powiedział Pete.

- To prawda.

- Ty też mogłaś umrzeć.

- Ale żyję.

Ruszyli powoli przed siebie. W zimnym powietrzu przy każdym oddechu unosiły się obłoczki pary. Steinbeck, wyczuwając zmianę nastroju, przestał dokazywać i szedł spokojnie przy nodze pana. Zuzanna spojrzała w górę, na drzewa i niebo, widoczne między ogołoconymi z liści gałęziami. Pomyślała, że chociaż lubi spacerować po lesie i przyzwyczała się do Hawke House, to jednak często czuje się tu samotna. Kiedy przyjeżdżał Pete Strauss, w ośrodku robiło się przytulniej i bezpieczniej. W jego obecności była spokoj-



niejsza. U boku Hawke'a czuła się szczęśliwa, ale jej miłość do męża była zabarwiona dziwnym podnieceniem czy nawet odrobiną lęku. Nie bała się Hawke'a - nigdy nie dał jej powodu do żadnych obaw - ale teraz rozumiała, że nawet na początku ich małżeńskiego życia, zanim zaczął chorować, bała się, iż go straci.

- Chciałabym cię o coś zapytać - powiedziała nagle.

- Pytaj.

- Tabita twierdzi, że zdaniem Abigail jesteś we mnie zakochany. - Rzuciła mu ukradkowe spojrzenie i zauważyła na jego twarzy wyraz zaskoczenia.

- Zastanawiam się, czy w takim razie nie powinnam przestać korzystać z twoich fachowych porad.

- Możliwe - odparł Pete, nie patrząc na nią.

- Czy to znaczy, że Abigail ma rację?

Pete zwolnił kroku, schylił się po patyk i przez chwilę drażnił nim Steinbecka, zanim go rzucił, zyskując w ten sposób chwilę na zastanowienie.

- A jak byś się czuła - spytał - gdyby tak było?

- Nie możesz po prostu odpowiedzieć na moje pytanie?

- Dopóki jestem twoim psychoterapeutą, wolałbym nie odpowiadać.

Zuzanna uśmiechnęła się.

- Jesteś ostrożny.

- Obydwoje jesteśmy ostrożni.

- Wiem.

Pete zatrzymał się i położył dłoń na ramieniu Zuzanny, po czym szybko ją cofnął. Przyglądał się jej chłodno, spokojnie, ale z nadzieją, której w ciągu pięciu lat ich znajomości jeszcze nigdy nie odważył się żywić.

- Myślisz, że możemy zakończyć nasze sesje?

Serce waliło mu jak młotem. Próbował się jakoś uspokoić, ale bez skutku.

- Chcesz wiedzieć, czy nadal potrzebuję pomocy?

- O to właśnie pytałem.

- Sądzę, że potrzebuję.

- Mógłbym polecić ci kogoś innego - powiedział po chwili.

- Mógłbyś?

- Gdybyś tylko chciała... Chcesz?

Zauważył na jej twarzy cień uśmiechu, ale wiedział, że Zuzanna nie szydzi sobie z niego ani się z niego nie śmieje.

- Chyba... -Tak?

- Proszę o trochę czasu do namysłu.

- Oczywiście - powiedział.

- Przecież nie musimy się spieszyć. Pete czuł, że rozpiera go niecierpliwość.

- Nie, nie musimy - przytaknął. I poszli dalej.

## *Rozdział 16*

Mateusz Bodine nie był szczęśliwy. Miał dopiero czterdzieści osiem lat. Przez całe życie bardzo dbał o swoje ciało. Był dumny ze swojej siły, muskularnej postury, ze swoich ramion, bioder i mocnego brzucha. Potrafił dogodzić każdej kobiecie. Ale ostatnio zmógł go artretyzm. Ta pieprzona choroba spowolniała jego ruchy, powodowała obrzęki stawów i przedwcześnie zrobiła z niego starca. Ta dziwka mu za to zapłaci. Nigdy jej o nic nie prosił. Nie żądał pieniędzy ani prawa do spotkań z córką. Miała w życiu wszystko, o czym marzą kobiety: szczęśliwą rodzinę, dom, dziecko, sukces w pracy, sławę i bogactwo. Wszystko to dostała dzięki niemu. On jej to dał. Doglądał jej w czasie ciąży, znalazł duży dom i ludzi, którzy uczynili z niej Zuzannę Van Dusen. Nawet swojego zбочzonego męża poznała dzięki niemu. Ten pedał, znajomy Connie Van Dusen, pomógł Zuzannie zaistnieć w wielkim świecie. Gdyby nie zabrał jej wtedy z klasztoru, skończyłaby kurs stenografii i została sekretarką, pomocą domową, kucharką, sprzedawczynią albo kimś podobnym. Byłaby nikim, zerem. Nie miałyby też jedynej osoby, na której naprawdę jej zależy: Abigail. Swojej córki. Ich córki. Dotąd o nic nie prosił. Zostawił je w pięknym, przytulnym domu, chociaż mógł je ze sobą zabrać, kiedy ta smarkula Van Dusenów zmusiła go do ucieczki. Do dzisiaj nie

dawało mu to spokoju. Wiedział, że zrobił błąd wybierając sobie rozpuszczoną, bogatą dziewczuchę, której ojciec był w pobliżu. Dostał wtedy nauczkę. Od tego czasu brał dziewczynki uboższe, łatwiejsze, głupsze. Niektóre udawały, że tego nie lubią, ale inne z zapałem wymachiwały nóżkami, odsłaniając nietknięte, maleńkie cipki, i pozwalały się uczyć tego, co Bodine tak dobrze umiał.

Zuzanna też udawała, że Bodine się jej nie podobał. Ale on nie był durniem. Zauważył, że naprawdę się go boi, i to go od niej odstręczyło. Niestety, zaszła w ciążę. Jakie to dziwne, że po wielu latach swawolnego życia Bodine miał tylko jedno dziecko. Abigail.

Od pewnego czasu obserwował nie tylko jej matkę, ale i ją. Z urody była bardzo podobna do Zuzanny, ale po nim miała piwne oczy, co sprawiło mu wielką przyjemność. Zawsze w pobliżu Abigail kręciła się Tabita; ta sama rozpuszczona smarkula o pewnych sobie ruchach, potrząsająca grzywą gęstych włosów. Nie była w jego guście.

Mała była krwią z jego krwi. Zgodnie z jego zasadami tego jednego człowiek nie powinien robić, bez względu na to, jak nagłaça mogła być jego potrzeba. Abigail była jego dzieckiem. Żałował, że spędził z nią tak niewiele czasu, ale sam wszystko popsuł. Nie próbował winić o to Zuzanny, ponieważ był człowiekiem sprawiedliwym.

Chciał tylko pieniędzy. Potrzebował gotówki. Całe życie tyrał jak dziki osioł. Nigdy nie kaprysił, miał się każdego zajęcia. Zwykle pracował fizycznie, często bardzo ciężko, czasem wykonywał prace poniżające, ale nigdy się nad sobą nie litował. Radził sobie. Zuzanna, gdyby nie to, że jej odpuścił, też musiałyby sobie poradzić. Zwykli ludzie na ogół dają sobie jakąś radę; w zależności od tego, czy są silni, czy słabi. On był silny, ale ostatnio jego ciało - jedyne, na czym zawsze mógł polegać - zaczęło go zdradzać.

Na Boga, przecież prosił ją tylko o pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a nie o jakieś pieprzone miliony! Wszyscy wiedzą, że znane modelki zarabiają krocie. Czytał o Zuzannie i o jej zarobkach. Co prawda, w prasie pisali, że zarabiałaby jeszcze więcej, gdyby pracowała również z innymi foto-

grafami, ale napisali też o umowie dotyczącej reklamy serii kosmetyków, za którą Zuzanna dostała kupę forsy. Kiedy na własne oczy zobaczył cyfry, oczy wyszły mu z orbit. Nawet jeśli większość z tych pieniędzy włożyła w Hawke House, to i tak śpi na gotówce.

Ubliżała mu. Na myśl o tym ogarnęła go wściekłość. Gwałciciel. Porywacz. Szantażysta. Nie raczyła nawet wspomnieć o tym, co dla niej zrobił. O długich miesiącach, kiedy utrzymywał ją i Abigail, kiedy widział radość w jej oczach, ilekroć wchodził do chaty i przynosił to, czego potrzebowała.

Teraz nic mi nie możesz zrobić - powiedziała. Taka dumna i pewna swego! Okazała mu czarną niewdzięczność. Nie bała się go. On jej jeszcze pokaże, kto tu jest panem. Wprawdzie stawy mu puchną i bolą, a lekarze ostrzegają, że będzie jeszcze gorzej, nadal jednak miał więcej siły niż przeciętny facet. Poza tym miał plan.

Przyglądał się z ukrycia. Zuzanna myśli, że jest bezpieczna, ale on ma czas, żeby przyjrzeć się życiu ich wszystkich i czekać na stosowną chwilę.

Wiedział, że taka chwila w końcu nadejdzie.

## *Rozdział 17*

Tydzień później do Zuzanny zadzwoniła Connie.

- Abigail dochodzi do siebie. Tabbie bardzo jej w tym pomogła.

Serce Zuzanny zabiło szybciej.

- Myślisz, że mogę przyjechać?

- Chyba jeszcze nie teraz, ale już niedługo.

- Nie chcę czekać w nieskończoność - zaniepokoiła się Zuzanna.

- Nie będziesz czekała aż tak długo. Abigail potrzebuje trochę czasu na przemyślenia.

- Gdybym przyjechała, mogłabym wszystko zepsuć, tak? - Zuzanna poczuła się urażona.

- Nie o to chodzi - uspokajała ją Connie. - Boję się jednak, że jeśli zjawisz się za wcześnie, zamiast pomóc, możesz zaszkodzić. Spróbuj spojrzeć na to z jej punktu widzenia. Otrzymała mnóstwo nowych informacji o sobie samej, o przeszłości i o łączących was więzach. Woli się z tobą nie widzieć, dopóki nie poczuje, że jest gotowa do dalszej rozmowy.

- Jak myślisz, kiedy to nastąpi?

- Chyba już wkrótce. Na pewno sama da ci znać.

- Nie sądzisz, że może się czuć skrępowana? - spytała Zuzanna. - Kiedy widziałyśmy się ostatni raz, nie była do mnie przychylnie nastawiona.

- Abigail nie jest harda. Zdziwiłabym się, gdyby duma powstrzymała ją przed zrobieniem pierwszego kroku.

-Co mam robić? Bezczynność doprowadza mnie do szaleństwa.

- Okaż jeszcze odrobinę cierpliwości.
- Łatwo powiedzieć!
- Akurat ja wiem, ile kosztuje cierpliwość - odparła Connie, nieco urażona.

Zuzanna skrzywiła się słysząc, że jej przybrana matka robi aluzję do własnych ograniczeń. Rzadko o tym wspominała.

- Przepraszam. Jestem samolubna.
- Jesteś tylko człowiekiem. Jesteś matką.

Trzy dni później, w ostatni wtorek stycznia, zadzwoniła Abigail. Był kwadrans po siódmej. Zuzanna wychodziła właśnie na poranne ćwiczenia z gośćmi Hawke House.

- Możemy się spotkać? - spytała Abigail bez żadnego wstępu.
- Oczywiście. - Zuzanna była zaskoczona. Upuściła na podłogę ręcznik i bluzę. - Chcesz, żebym przyjechała?

- Nie - odparła szybko Abigail. - Wolałabym, żeby to nie było w domu. Spotkajmy się gdzie indziej. Może w Woodstock?

- Będziesz musiała odbyć dość daleką podróż.
- Nie szkodzi. Przyjadę autobusem.

Zuzanna chciała zaprotestować i zaproponować, że po nią przyjedzie, ale w porę ugryzła się w język. Abigail musi poradzić sobie z niedawno zdobytą wiedzą i ma prawo robić to po swojemu.

- Kiedy? - spytała Zuzanna.
- Może jutro?
- A szkoła?

- Zrobię sobie dzień wolny - powiedziała Abigail, nie pytając o pozwolenie. - Nie możesz jutro?

- Ależ mogę. Jeśli zostaniesz na noc, mogłybyśmy pójść na kolację do „Christy”.

- Wolałabym wspólny obiad. W jakimś mniej wytwornym lokalu. Na przykład w „Corner Cupboard”.

- Dobrze - zgodziła się Zuzanna. - Zadzwonisz jeszcze czy umówimy się już teraz? Jutro nie mam żadnych spotkań.

- Mogę być około wpół do drugiej, to zależy od autobusu.
- Niech będzie wpół do drugiej - odparła Zuzanna. -Dziękuję.

- Nie ma za co - powiedziała Abigail i odłożyła słuchawkę.  
Gdyby Zuzanna była wierząca, padłaby teraz na kolana i odmówiła modlitwę dziękczynną.

Nazajutrz, o wpół do pierwszej, Zuzanna zadzwoniła do Pete'a.

- Jak mam się zachować?

- Nie muszę ci tego mówić.

- Gdybyś nie musiał, nie dzwoniłabym do ciebie.

- Sama doskonale wiesz, co robić.

- Chciałabym, żeby to była prawda. - Zuzanna była pełna obaw. - Wczoraj przez telefon rozmawiała ze mną tak, jakbym była kimś obcym.

- Mówiłaś, że nie było źle.

- Bo była spokojna, ale jakaś taka... dorosła. Czułam się jak dziecko.

Jakby to ona była moją starszą siostrą.

- Abigail chciała ci pokazać, jak ma wyglądać wasza relacja.

- To dobrze. Tylko dlaczego odnoszę wrażenie, że wydała na mnie wyrok i chce mi go teraz ogłosić?

- Nie sądzę, żeby tak było.

- Nie wiem, jak powinnam ją traktować - denerwowała się Zuzanna.

- Normalnie, jak Abigail - poradził Pete. - Przede wszystkim bądź z nią szczerą. Tego potrzebuje najbardziej. Nawet jeśli będzie to bardzo bolesne, tylko prawda pomoże wam przejść przez najtrudniejsze chwile.

- Życz mi szczęścia - powiedziała. Czują ściskanie w żołądku.

- Połamania nóg.

- Chciałabym, żebyś był teraz przy mnie.

- Następnym razem - obiecał Pete.

Zuzanna zadzwoniła do domu. Telefon odebrała Connie.

- Abigail wyszła jakiś czas temu. Miała dobrą minę.

- Zadowolona czy raczej zimna jak lód?

- Po prostu była w dobrej formie. Opanuj się, kochanie.

- Nie mogę.



-Rozumiem. Spróbuj się zachowywać naturalnie. Nie zapominaj, że ona też się boi.

- Ale to ona rozdaje karty - przypomniała Zuzanna.

- Wątpię, czy ona tak na to patrzy. Wiem, jak bardzo ci na niej zależy, ale nie zapominaj, że Abigail przeżyła dwa razy mniej lat niż ty i nie ma twojego doświadczenia. Będziesz musiała jej pomóc.

- Ty jej pomagasz.

- Abigail potrzebuje również ciebie.

- Chciałabym w to wierzyć - powiedziała Zuzanna.

Autobus spóźnił się dwadzieścia minut. W tym czasie niespokojny umysł Zuzanny zdążył jej podsunąć kilkanaście różnych wersji tragicznego wypadku z udziałem autobusu, a także obraz Abigail rezygnującej w ostatnim momencie z podróży albo wysiadającej na ostatnim przystanku przed Woodstock.

W jednej szczęśliwej chwili, kiedy Abigail weszła do „Corner Cupboard” i stanęła, szukając wzrokiem Zuzanny, ta mogła się wreszcie nacieszyć widokiem pięknej, szczupłej dziewczyny w spodniach narciarskich, trochę za obszernym swetrze i butach martensach. Twarz miała bladą, policzki zaczerwienione, oczy zmrużone. Nadal nie widziała Zuzanny. Kiedy ją w końcu zauważyła i podeszła do stolika, Zuzanna wstała. Nie wiedziała, czy może ją przytulić, czy tylko pocałować w policzek.

- Cześć! - Abigail pozwoliła się objąć na moment ramieniem, ale szybko usiadła. - Przepraszam za spóźnienie.

- Gdzie byłaś?

Grymas na twarzy Abigail nieco uspokoił skołataną nerwy Zuzanny.

-Daj spokój. Zawsze wpadałaś w panikę, nawet jeśli spóźniłam się tylko o minutę.

- Masz rację - przyznała Zuzanna. - Bałam się, że leżysz gdzieś w szpitalu.

- Wyjechaliśmy o czasie, ale był duży ruch...

- Nieważne. Nigdzie się nie spieszę. Mamy dużo czasu. Abigail zmieszała się.

- Chciałam wrócić przed nocą...
- Przestań. Wiem, że nie zostaniesz tu na noc. Cieszę się, że cię widzę. Wolno mi tak mówić?
- Ja też się cieszę.
- W takim razie wszystko w porządku.
- Niezupełnie.
- Jeszcze nie - zgodziła się Zuzanna - ale dopóki będziemy ze sobą rozmawiały... - zaczęła i zamilkła niepewna, czy powinna mówić dalej.
- Tego właśnie pragnę - zgodziła się z nią Abigail. - Rozmowy.
- Zjemy coś?

- Pewnie. Mam ochotę na hot doga z dodatkami.

Zuzanna zamówiła dwa hot dogi z frytkami i colą. Jedząc powoli, rozmawiały o życiu w Hawke House, o przygotowywanej wystawie zdjęć Connie, o zamiłowaniu Bryana do gry w golfa i o nowym chłopaku Tabity, dentyście, który bardzo nie podobał się Abigail.

- A ty? - spytała Zuzanna. - Masz na oku jakiegoś chłopaka?

- Nikogo specjalnego.

W tym momencie Zuzanna boleśnie odczuła pojawienie się czegoś, czego dotąd w ich wzajemnych stosunkach nie było. Aż do Nowego Roku.

Wcześniej Abigail swobodnie rozmawiała ze starszą siostrą o chłopcach. Dopiero teraz zaczęła zachowywać się ostrożniej, co było naturalne w rozmowie z poznaną niedawno własną matką.

Zamówiły deser, ale nie miały apetytu. Jadły z namysłem, pogrążone w zadumie. Ludzie wchodzili i wychodzili, witali się ze znajomymi, śmiali się, żartowali, rozmawiali albo coś czytali. Tylko Zuzanna i Abigail siedziały sztywno, a lody w pucharkach rozpuszczały się powoli. Nie wypowiedziane obawy, pytania i pragnienia zaprzętały ich myśli.

Pierwsza odezwała się Abigail.

- Chciałabym, żebyśmy zaczęły wszystko od nowa, ale nie wiem, czy się na to zgodzisz.

- Dlaczego miałabym się nie zgodzić? - spytała Zuzanna. Poczowała ulgę. Wreszcie zaczęły rozmawiać.

- Ponieważ chcę wiedzieć o tobie wszystko. Nie mam jednak pewności, czy zechcesz mi o wszystkim powiedzieć.

- Są pewne sprawy - odezwała się Zuzanna po chwili zastanowienia - o których od lat usilnie staram się nie myśleć. Możemy jednak spróbować. Abigail skinęła głową.

- Pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Musisz obiecać, że będziesz ze mną szczerą. Jeśli nie będziesz mi chciała czegoś ujawnić... przecież możesz jeszcze nie być na to gotowa... wtedy powiedz wprost, niczego nie zmyślaj.

- Zgoda - obiecała Zuzanna, czując, że się rumieni. Własna córka prosi mnie, żebym nie karmiła jej zmyślonymi faktami - pomyślała z zażenowaniem.

Abigail przyglądała się jej uważnie.

- Pierwsze pytanie.

- Czekam.

- Jak się naprawdę nazywasz? Jakie nosiłaś nazwisko, zanim zostałam panną Bodine?

- Nazywam się King.

- King? -Tak.

- King - powtórzyła raz jeszcze Abigail. - Ładnie.

- Chyba tak. Przestałam go używać, ponieważ Bodine tego żądał. Dzisiaj wymówiłam je po raz pierwszy od dnia opuszczenia chaty. Hawke wiedział tylko, że zmieniałam nazwisko, nic więcej. Zrozumiał, że nie chcę o tym rozmawiać, i nie nalegał.

Kelnerka naleła Zuzannie kawy. Abigail poprosiła o wodę. Chwilę siedziały w milczeniu.

- Mama twierdzi, że odesłałaś Bodine'a z kwitkiem - powiedziała nieoczekiwanie Abigail. - Nie zapłacisz mu?

- Mówiłam ci, że nie zamierzam mu płacić.

- Co on na to?

- Był zdenerwowany.

- Powtórz jego słowa - nalegała zniecierpliwiona Abigail. - Obiecałaś, że będziesz ze mną szczerą. Nie jestem dzieckiem. Mam prawo wiedzieć, czym ci groził.

- Rzucił kilka nieprzyjemnych, wstrętnych pogrózek. Ale to nie ma znaczenia.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Chodziło mu tylko o pieniądze. Groził, że ujawni całą prawdę o mojej przeszłości, ale powiedziałam mu, że wiesz o wszystkim, a oprócz ciebie nikt inny się nie liczy. Wtedy zrozumiał, że nic nie wskóra.

- Czy rzeczywiście już się go nie boisz? - spytała Abigail z podziwem.

- Nie - odparła Zuzanna. - Raczej nie.

Poczuła wielką ulgę. Podobnie jak wtedy, gdy powiedziała Bodine'owi, że może iść do diabła; z tą różnicą, że tym razem jej serce przepelniło nieoczekiwane wzruszenie, którego źródłem - myślała Zuzanna - jest fakt, że może rozmawiać o tym ze swoją córką.

- Czuję się wolna - dodała. - Naprawdę wolna. Dawno temu, kiedy zniknął, też wydawało mi się, że odzyskałam wolność. I później, gdy przeżyliśmy bez niego pierwszy rok w Cohasset. Ale to nie była prawdziwa wolność. On nadal mógł wyrządzić mi krzywdę, chociaż starałam się o tym nie myśleć.

- Naprawdę wierzysz, że wszystko się już skończyło? - spytała Abigail.

-Tak.

Abigail uśmiechnęła się pogodnie. Zuzannie zawsze podobał się jej uśmiech.

- Cieszę się.

- Ja też.

- Musiałaś dźwigać ten ciężar przez wiele lat. Dobrze, że wreszcie go zrzuciłaś.

- Dziękuję - powiedziała Zuzanna. Czując jednak, że słowa nie wystarczają, położyła na stoliku prawą rękę w nadziei, że córka ją uściśnie, i obiecała sobie, że nie okaże rozczarowania, jeśli Abigail tego nie uczyni. „Nie nalegaj - przypominał wewnętrzny głos. - Jeśli będziesz żądała zbyt wiele, stracisz córkę”.

Abigail wahała się tylko przez moment. Położyła rękę na dłoni Zuzanny i ścisnęła ją lekko.

- Dziękuję - szepnęła Zuzanna. Była uradowana. Odżył

w niej optymizm, choć jednocześnie uświadomiła sobie, że pragnie czegoś więcej. Chciałaby przytulić Abigail, pozwolić się przytulić, poczuć bliskość swojego dziecka.

Jestem zachłanna - skarciła się w myślach, przypominając sobie, że jeszcze godzinę temu bała się marzyć choćby

O dotknięciu dłoni Abigail. - To mi musi wystarczyć. Musi.

Ale nie wystarczało.

Abigail też chciała więcej, niż Zuzanna była jej w stanie ofiarować. Kiedy wyszły z kawiarni, pojechały obejrzeć rezerwat Ashokan. Zuzanna jechała powoli, żeby móc nacieszyć oczy pięknymi widokami. Rzadko się odzywała w obawie, że mogłaby utrudnić rozpoczęcie rozmowy, kiedy córka się na to zdecyduje. Abigail rzeczywiście miała jeszcze wiele pytań dotyczących jej małżeństwa z Hawkiem; tego, jak Zuzannie udało się uchronić przed mężem i przed rodziną swoją tajemnicę; miesięcy życia w krytej papą chacie, ciąży... Nie spytała jednak, w jakich okolicznościach matka została zgwałcona. Zuzanna podejrzewała, że nie chce wiedzieć zbyt wiele o bolesnych i strasznych okolicznościach, w jakich została poczęta. Czasem Abigail wracała do spraw, które dobrze знаła. Zuzanna wyczuła, że córka ją sprawdza, ale nie przeszkadzało jej to. Jedno wielkie kłamstwo postawiło pod znakiem zapytania wszystko, co Zuzanna kiedykolwiek mówiła. Rozumiejąc to, starała się odpowiadać na wszystkie pytania szczerze i precyzyjnie.

Dopóki Abigail nie zaczęła pytać o życie Zuzanny przed pojawieniem się w nim Bodine'a.

- Niewiele o tym mówiłaś - zauważyła.

- Ponieważ niewiele z tych lat pamiętam - powiedziała Zuzanna, nie odrywając wzroku od jezdni i zaciskając dłonie na kierownicy.

- Ale coś musisz przecież pamiętać.

- Obawiam się, że niewiele. To nie znaczy, że cierpię na zanik pamięci.

Ale ty chciałabyś wiedzieć, jaka wtedy byłam... Czy byłam inna niż teraz?

Musiałam być inna, choć nie potrafię tego opisać. To, co zrobił mi

Bodine, i twoje narodziny tak bardzo zmieniły moje życie, że wszystko,

co by-

ło przedtem, przestało mieć znaczenie. Nie warto o tym pamiętać.

- O wszystkim warto pamiętać - upierała się Abigail. - Chcę wiedzieć, kim jesteś. Muszę wiedzieć, kim ja jestem. W porównaniu z twoim życie wielu ludzi wydaje się bardzo zwyczajne, ale to nie znaczy, że jest nieważne. Chcę wiedzieć, co robiłaś, kiedy byłaś mała? Gdzie mieszkałaś? Jacy byli twoi rodzice... moi dziadkowie?

- Ojca wcale nie pamiętam. Zmarł, kiedy byłam bardzo mała.

- Masz jakieś jego zdjęcia albo swojej matki?

- Tylko jedno - odparła Zuzanna, z całej siły zaciskając dłoń na kierownicy. - Ich zdjęcie ślubne, ale ono nie powie ci wiele. - Ukrywała je całymi latami, od kiedy Bodine kazał jej zapomnieć, kim jest, ale teraz zobaczyła je wyraźnie oczyma wyobraźni. - Zrobiono je z dużej odległości, ich twarze są ledwo widoczne. Obydwoje są bardzo sztywni i oficjalni.

- Pokażesz mi je?

- Oczywiście.

- Ale dlaczego masz tylko jedno zdjęcie? - spytała Abigail z niedowierzaniem. W domu Van Dusenów było mnóstwo fotografii członków rodziny i jej przyjaciół.

- To wszystko, co mi zostało - powiedziała Zuzanna. Nagle usłużna wyobraźnia podsunęła jej widok rodzinnego domu, który jednak szybko znikł. - Nie pamiętam, czy były jeszcze jakieś inne.

- Dziwne.

- Trochę - przyznała Zuzanna. - Ale nic na to nie poradzę.

W lusterku wstecznym dostrzegła niebieski sportowy samochód.

Kierowca denerwował się, że jadą zbyt wolno. Zuzanna nacisnęła na pedał gazu, żeby szybciej wyjechać na prosty odcinek drogi, gdzie łatwo będzie ją wyprzedzić.

- Postaraj się to zrozumieć, Abigail - powiedziała po chwili. - Kiedy się urodziłaś, wszystko się zmieniło. Naprawdę mam wrażenie, że przedtem nie istniałam, że to, co działo się wcześniej, nie ma najmniejszego znaczenia.

Abigail poruszyła się niespokojnie.

- To ty czegoś nie rozumiesz - odparła, zirytowana faktem, że Zuzanna nagle przestaje dotrzymywać warunków umowy. - Chcę poznać swoje korzenie.

- Rozumiem to - zaprzeczyła Zuzanna. Sportowy samochód wyprzedził je i zniknął za najbliższym zakrętem. -Chciałabym tylko, żebyś pojęła... żebyś się pogodziła z tym, iż ze względu na mój życiorys twoje korzenie nie sięgają tak daleko jak u innych ludzi.

- Ale to przecież nieprawda.

- Nie w dosłownym sensie, oczywiście. Uważam jednak, że wystarczy ci to, co wiesz o rodzinie, którą zawsze uważałaś za swoją: o Van Dusenach. Jesteś taka jak oni. To oni cię kształtowali, wspierali, byli przy tobie.

- Gadasz bzdury - skarciła Zuzannę Abigail. - Coś przede mną ukrywasz.

- Niczego nie ukrywam.

- Dobrze, dajmy spokój twojemu ojcu. Może rzeczywiście umarł, kiedy byłaś bardzo mała...

- Tak było.

- Ale twoja matka żyła, tak? -Tak.

- Dlaczego więc jej nie pamiętasz? Bo to przecież usiłujesz mi wmówić. Zuzanna prawie nie zwracała uwagi na drogę. Myślała o tym, jak wybrnąć z sytuacji.

- Nie mówiłam, że jej nie pamiętam. Powiedziałam tylko, że to, co było, zanim się urodziłaś, przestało być ważne.

- Nawet twoja matka? -Tak.

- Mam w to uwierzyć? Przecież sama mi mówiłaś, jak wiele znaczy dla ciebie macierzyństwo.

- Wiem, że to wydaje się dziwne...

- Bzdury! - zezłościła się Abigail.

- Proszę cię...

Abigail odwróciła głowę tak, żeby nie patrzeć na Zuzannę.

- Nadal mnie okłamujesz - stwierdziła ze zdziwieniem. - Po tym wszystkim nadal nie chcesz powiedzieć całej prawdy.

- Jestem bardzo zmęczona - tłumaczyła się Zuzanna.  
- Jasne - Abigail była sarkastyczna. - Masz za sobą męczącą rozmowę.  
- Rzeczywiście czuję się wyczerpana.  
- Wiesz co? -Tak?  
- Obawiam się, że już nigdy nie uwierzę w nic, co mi powiesz.  
Zuzanna zamknęła oczy, ale szybko je otworzyła, ponieważ samochód zakołysał się gwałtownie. Musiała zapanować nad swoimi emocjami.  
- Przepraszam. Słusznie się gniewasz. Masz rację, nie mówię ci wszystkiego. - Przygryzła dolną wargę, żeby powstrzymać jej drżenie. - Spróbuj uwierzyć, że nie tylko przed tobą ukrywam pewne sprawy. Sama od lat starałam się wyrzucić je z pamięci.  
- Dlaczego? - spytała Abigail, dając Zuzannie jeszcze jedną szansę. - Czyżby już wtedy było źle? Nawet przed Bodine'em?  
- Oczywiście, że nie.  
- Myślę, że nie mówisz prawdy.  
Zuzannę ścisnęło w krtani i w piersiach. Z trudem łapała oddech.  
- Przepraszam - powtórzyła. - Chyba nie jestem gotowa do rozmowy na ten temat.  
- Kiedy więc zamierzasz być gotowa? Zuzanna pokręciła głową.  
- Tego się nie planuje.  
- Niech ci będzie.  
Zuzanna zerknęła na Abigail niepewnie.  
- Naprawdę się na to godzisz, czy może teraz nienawidzisz mnie jeszcze bardziej niż dotąd?  
- To nie ja udaję - odparła chłodno Abigail. - Muszę się pogodzić z tym, że, jak mówisz, jeszcze nie jesteś gotowa.  
- Dziękuję.  
- Nie ma za co.  
Od tej chwili zachowywały się tak, jakby się prawie nie znały. Zuzanna wiedziała, że sprawiła Abigail zawód, rozczarowała ją, ale wszystko ma swoje granice. Zawsze będą



jakieś granice. Od dawna była tego świadoma. Zrozumiała to, kiedy zaczęła opowiadać o sobie Pete'owi Straussowi. Z nim również nigdy nie chciała rozmawiać o matce. Zerknęła na córkę.

„Stracisz ją” - ostrzegał wewnętrzny głos.

Przejeżdżały przez piękną okolicę, ale żadna z nich nie podziwiała krajobrazu. Abigail czuła się w samochodzie jak mysz w pułapce. Miała wrażenie, że z każdą chwilą robi się coraz mniejsza, jak Alicja w krainie czarów. Czuła się całkiem obca siedzącej obok kobiecie, siostrze-matce, której do początku tego roku bezgranicznie ufała i którą kochała. Zuzanna pomyślała, że powinna już jechać z powrotem, skoro Abigail postanowiła wrócić do Cohasset autobusem przed zapadnięciem zmierzchu.

„Z czegoś trzeba będzie zrezygnować” - powiedział wewnętrzny głos.

Są sprawy, o których nie chcę rozmawiać - polemizowała z nim Zuzanna.  
- Nie potrafię o tym mówić.

„Musisz, inaczej ją stracisz” - odparł głos.

Zuzanna zjechała na parking, żeby zawrócić, i doszła do tego samego wniosku, co zawsze, kiedy było jej naprawdę ciężko.

Jutro z samego rana, choćby nie wiedzieć co się działo, wsiądzie do samochodu i pojedzie do Nowego Jorku porozmawiać z Pete'em. Jeśli będzie miał jakieś umówione spotkania, zaczeka na niego. Jeśli nie będzie chciał z nią rozmawiać ze względu na to, co sobie ostatnio powiedzieli, albo jeśli znecierpliwiło go czekanie, aż Zuzanna będzie gotowa, namówi go, żeby zmienił zdanie. Tym razem - niezależnie od tego, jak wielki sprawi jej to ból, niezależnie od oporu, jaki będzie stawiała jej podświadomość - opowie mu wszystko. Od samego początku.

## *Rozdział 18*

Gdyby Zuzanna mogła, tak jak zamierzała, zobaczyć się z Pete'em następnego dnia, wypadki w Cohasset pewnie potoczyłyby się inaczej. Niestety, kiedy wróciła z Woodstock, w Hawke House wrzało. Zaraz po obiedzie Joe Zacharias przypadkiem zauważył, jak jeden z gości szpera w cudzym pokoju. Joe ustalił, że podszywał się on tylko pod chorego na AIDS, a w rzeczywistości jest dziennikarzem brukowej gazety. Powstało zamieszanie, uniemożliwiające Zuzannie wyjazd do Nowego Jorku. I to był wielki błąd.

Abigail pierwszy list dostała w czwartek rano. Wyjęła go ze skrzynki wraz z pozostałą korespondencją adresowaną do różnych członków rodziny oraz kartką pocztową od swojej przyjaciółki Amy, podróżującej z rodzicami po Europie. Był w zwykłej kopercie, z niestarannie wypisanym adresem, wysłany z Bostonu. Gdyby otworzyła list w kuchni, w obecności Connie albo Bryana, po przeczytaniu pierwszego zdania wyraz jej twarzy prawdopodobnie by ją zdradził. Kiedy doczytała list do końca, cieszyła się, że jest sama w swoim pokoju.

*Kochana Abigail!*

*Wyobrażam sobie, jak bardzo jesteś' zdziwiona tym nieoczekiwanym listem, proszę jednak, żebyś go nie podarła przed przeczytaniem ani nie pokazywała rodzinie. Najpierw przeczytaj i zastanów się nad nim. Wiem, że to odważna prośba, aleja, ojciec, proszę, żebyś dała mi szansę.*

*Twoja matka twierdzi, że powiedziała Ci prawdę. O sobie i o mnie; o tym, kim naprawdę jest Twój tata, i co, jej zdaniem, zrobił. Jestem pewien, że zastanawiałaś się nad tym, co usłyszałaś. I pewnie czujesz się tym wszystkim oszołomiona, dlatego piszę do Ciebie, żeby spróbować wyjaśnić pewną sprawę.*

*Zostawiłem Ciebie i Twoją mamę, bo chciałem dla was jak najlepiej. Tylko dlatego. Popełniłem w życiu kilka poważnych błędów, dzisiaj jestem tego świadomy. Możesz mi wierzyć, że za wszystko słono zapłaciłem. Jedno tylko było dla mnie jasne już wtedy: gdybym was zabrał ze sobą, straciłybyście szansę na szczęśliwe życie. Dlatego cię zostawiłem, Abigail. To jedyny powód. Chciałbym, żebyś w to uwierzyła.*

*Dzisiaj jestem samotny, starzeję się, podupadam na zdrowiu i chyba stąd ta potrzeba powiedzenia o wszystkim mojej dziewczynce... bo tak o Tobie zawsze myślę: moja dziewczynka. W każdym razie chcę, żebyś wiedziała, że bardzo za Tobą tęsknię. Zawsze tęskniłem.*

*Podejrzewam, że Twoja mama i inni opowiadają różne złe rzeczy o mnie i o tym, co robiłem. Mama mogła Ci powiedzieć, że prosiłem ją o pieniądze, bo rzeczywiście tak było, ale tylko dlatego, że jestem chory. Rozumiem, że nie chce mi dać ani grosza, i wybaczam jej to, chociaż wiem, że ona ma bardzo dużo, a ja nie mam nic.*

*Kiedy człowiek nie ma nic, zaczyna myśleć o sprawach najważniejszych. Dlatego piszę teraz do Ciebie, prosząc, byś mi wybaczyła, że Cię zostawiłem. Kiedy odchodziłem, byłaś śliczna. Teraz jesteś piękna. Jak mama.*

*Bardzo mi pomożesz, jeśli dochowasz tajemnicy. Pragnę tylko spokoju i ciężkiej pracy, na ile pozwoli mi zdrowie. Zrozumiem jednak, jeśli nie uda Ci się utrzymać języka za zębami. Nie martw się. Jeśli po mnie przyjdą, jakoś dam sobie radę. Zawsze sobie radziłem.*

*Jak sądzisz, czy będziesz mi mogła wybaczyć? Wszyscy popełniamy błędy. Ja do dzisiaj płacę za moje. Pewnie będę za nie płacił aż do śmierci.*

*Kochający tata, Mateusz Bodine*

*Kiedy Abigail doczytała do słów o jego samotności, chorobie i starzeniu się, wiedziała, że nikomu nie pokaże listu.*

Było coś symbolicznego - może nawet fatalistycznego - w fakcie, że list przyszedł akurat tego dnia, kiedy Abigail postanowiła, iż nawet wbrew woli Zuzanny dowie się, kim byli jej przodkowie. Dotąd interesowała ją tylko Zuzanna i bezimienna babka. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że ojciec, jakkolwiek odrażający, też jest ważny. Mateusz Bodine w rzeczywistości jest pewnie tak wstrętny, jak mówiła Zuzanna, ale list dowodził, że zawsze zależało mu na Abigail i nadal mu zależy.

Nazajutrz, podczas gdy Zuzanna była zajęta aferą wykrytą w Hawke House, nadszedł drugi list.

*Kochana Abigail!*

*Nagle pomyślałem sobie, że może - ale tylko: może - zechciałabyś ze mną porozmawiać. Tylko przez telefon. Nie martw się, nie będę nalegał na spotkanie. (Chociaż nic na świecie - nawet doskonale zdrowie - nie ucieszyłoby mnie bardziej).*

*Na Seagull Road jest budka telefoniczna. Jeśli chcesz ze mną porozmawiać - żebym mógł jeszcze raz usłyszeć Twój głos - proszę, przyjdź tam w sobotę o drugiej. Zadzwoń do Ciebie i będę się łączył z tym numerem (gdyby ktoś inny zajął budkę) do trzeciej. Jeśli nie przyjdiesz, będę wiedział, że nie chcesz mnie znać, i zrozumiem to.*

*Zawsze kochający tata*

W sobotę, pięć minut przed drugą, Abigail stanęła przy budce. Musiała zaczekać, aż kobieta, która była w środku, skończy rozmowę. Serce jej waliło jak młotem, dłonie miała spocone. Modliła się w duchu, żeby kobieta nie próbowała dzwonić jeszcze w kilkanaście miejsc i żeby Bryan, Connie albo Lucy Battaglia nie zaszli w jakimś celu na Seagull Road, nie zobaczyli jej i nie spytali, co tu robi.

Kobieta prowadziła rozmowę zamiejscową. Co chwila wrzucała do aparatu monety. Abigail zdawało się, że gada już całą wieczność.

Pamiętała, że Bodine obiecał dzwonić do trzeciej, a był dopiero kwadrans po drugiej, ale czekanie doprowadzało ją do szaleństwa. Najgorsze, że w głębi duszy czuła, iż jest niełojalna wobec Zuzanny i Tabity.

Mam prawo porozmawiać z własnym ojcem - powtarzała sobie, ale kobieta gadała i gadała, wrzucała do aparatu kolejne monety, a Abigail czuła się coraz bardziej nieswojo. Wreszcie kobieta skończyła. Odłożyła słuchawkę, wzięła do ręki portmonetkę, upuściła ją, schyliła się, żeby ją podnieść, włożyła do torby, odwróciła się w stronę drzwi, zawahała się i obejrzała jeszcze za siebie sprawdzając, czy nic nie zostawiła. Abigail, drżąc z niecierpliwości, brzęczała monetami w kieszeni.

- Skończyłam - powiedziała kobieta z uśmiechem i wyszła z budki.

- Dziękuję.

Abigail szybko weszła do środka w obawie, że ktoś ją może ubiec. Przez chwilę stała bez ruchu, ale zaraz zauważyła na ulicy mężczyznę, zbliżającego się do budki z ręką w kieszeni. Pewnie sprawdzał, czy ma drobne. Szybko podniosła słuchawkę, palcem prawej ręki naciskając na widełki, i czekała, aż telefon się odezwie.

Minęła minuta, potem druga. Mężczyzna, który - jak sądziła Abigail - chciał zadzwonić, poszedł sobie, ale w pobliżu zaczęły się kręcić dwie młodsze od niej dziewczyny, czekając, aż Abigail, naciskająca palcem na widełki, skończy opowiadać do głuchej słuchawki o filmach, które zamierza zobaczyć, i o spodniach, które chciałyby sobie kupić.

Minęła kolejna minuta.

Telefon zadzwonił. Serce zaczęło jej walić jak młotem.

- Halo!

Telefon znów zaterkotał. Abigail szybko zdjęła palec z widełek.

- Halo!

- Abigail? - Tak.

- To ja.

Ma całkiem normalny głos - pomyślała.

- Zadzwoniłeś - nie wiedziała, jak zacząć rozmowę.

- Zgodnie z obietnicą.

- Wiem.

- Nie byłaś pewna?

- Myślałam, że pewnie zadzwonisz - tłumaczyła się niezręcznie.
- Dziękuję.
- Za co?
- Za to, że przysłałaś. Że mogę z tobą porozmawiać.
- Drobiazg - powiedziała Abigail.
- Dla mnie to znaczy bardzo wiele. Abigail milczała.
- Masz miły głos. Jesteś już całkiem dorosła.
- Dziękuję.
- Chciałbym cię zobaczyć. Przepraszam. Obiecałem sobie, że nie będę z tobą o tym rozmawiał. Tak mi się tylko wyrwało, niechcący... Wiem, że wcale nie chcesz mnie widzieć.
- Trudno byłoby to zrealizować - powiedziała Abigail -nie mówiąc nikomu.
- Wiem. Czy to znaczy, że gdybyś mogła, spotkałabyś się ze mną?
- Nie wiem. Nie jestem pewna.
- Nie szkodzi. Rozumiem. - W jego głosie słychać było smutek.
- Może kiedyś... Ale nie teraz.
- Nie szkodzi - powtórzył.
- Pisałeś, że masz kłopoty ze zdrowiem. Jesteś chory?
- Wprawdzie nie choruję, ale nie mam już tyle sił, co dawniej.
- Och! - Abigail nie wiedziała, co powiedzieć.
- Nie ma powodu do zmartwienia.
- Nie martwiłam się, tylko...
- Rozumiem. - Zaśmiał się. - To nie jest łatwa rozmowa.
- Jest trochę dziwnie.
- Zawsze lepsze to niż nic.
- Chyba tak.
- Żebak nie może kaprysić. Abigail nie odpowiedziała.
- Pewnie musisz już kończyć - odezwał się Bodine.
- Chyba tak - zgodziła się Abigail.
- Jeszcze jedno... -Tak?

- Zastanawiałem się... - zaczął i umilkł.
- Nad czym?
- Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić? Choć to dosyć niezwykle, że taką propozycję wysuwa człowiek, dla którego nie ma żadnej nadziei. Pewnie masz wszystko, czego ci potrzeba.
- Rzeczywiście - przyznała Abigail. - Niczego mi nie brakuje.  
Za jej plecami dwie dziewczyny, znudzone długim czekaniem, zaczęły kaszleć, by zwrócić na siebie uwagę, zdenerwować ją i przyspieszyć koniec rozmowy. Ignorując ich wysiłki, Abigail zastanawiała się nad propozycją Bodine<sup>^</sup> i nad tym, jakie pytania mogłaby mu zadać.
- Czy wiesz coś o życiu mojej matki, zanim...  
Nie wiedziała, jak to powiedzieć. Zanim ją zgwałcił i uwięził w chacie? To nie przeszłoby jej przez gardło. Tym bardziej że od kiedy dostała pierwszy list, zaczęła mieć wątpliwości co do tego, czy Zuzanna powiedziała jej prawdę. Przecież milczała tak długo, potem zaś została zmuszona do wyznania wszystkiego, a Bodine stwierdził, że popełnił wiele błędów, których teraz żałuje. Zresztą od tamtych dni minęło wiele lat... Całe jej życie.
- Chciałabyś wiedzieć coś o twojej mamie z czasów przed twoim urodzeniem? O to ci chodzi? Nic ci o tym nie mówiła?
- Nie wszystko. - Abigail poczuła, że powinna wziąć Zuzannę w obronę.
- Trudno o tym rozmawiać przez telefon, ale pewnie nie chcesz się ze mną widzieć?
- Nie mogę - powiedziała.
- No tak. Sama mogłabyś się wiele dowiedzieć, gdybyś wiedziała, gdzie szukać.
- Ale nie wiem.
- Ja wiem.
- Nie mogę się z tobą spotkać - odparła, zdenerwowana.
- Wiem. Już mówiłem, że cię rozumiem. Może mógłbym ci powiedzieć, gdzie szukać...
- Zrobisz to dla mnie?
- Oczywiście. Skoro ci na tym zależy... Bardzo chciałbym coś dla ciebie zrobić, Abigail. Gdybyś odwiedziła miejsca,

w których mieszkała twoja mama, pewnie byś się czegoś dowiedziała.

- Pewnie tak - powiedziała Abigail. Serce zabiło jej szybciej.

- Na przykład klasztor.

- Tak? - Abigail była podniecona.

- Nie powiedziała ci, gdzie to było?

- Gdzieś na przylądku.

- Mogłabyś tam pojechać. Zobaczyć to miejsce, porozmawiać z kimś, kto ją znał. Zakonnice rzadko się przeprowadzają. Pewnie znajdziesz tam kogoś, kto pamięta twoją mamę.

Abigail zawahała się.

- Jak myślisz, czy powinnam najpierw napisać albo zadzwonić?

- Na twoim miejscu nie robiłbym tego. Lepiej zjawić się nieoczekiwanie, żeby nie zdążyli zawiadomić twojej mamy albo Van Dusenów. Kiedy tam przyjedziesz, będą musieli z tobą porozmawiać.

- Słusznie.

- Nie możesz się jednak tam zjawić o byle jakiej porze. Zakonnice przestrzegają wielu reguł. Są takie godziny dnia, kiedy się modlą i nie chcą z nikim rozmawiać.

- Kiedy więc powinnam je odwiedzić?

- Przed południem - powiedział zdecydowanym głosem Bodine. - Byle nie w niedzielę. Chcesz wiedzieć, gdzie to jest?

- Tak, proszę.

- Masz coś do pisania?

- Nie, ale zapamiętam adres. - Abigail obejrzała się za siebie i stwierdziła, że dziewczyny, które dotąd stały przed budką, poszły sobie. - Możesz mówić.

- To jest na Bay Side, tuż przy zjeździe z 6A, kilka kilometrów na wschód od Brewster, w pobliżu drogi zwanej Cranberry. Klasztor pod wezwaniem świętej Katarzyny. Kiedy znajdziesz się przy parku Nickersona, będziesz wiedziała, że poszłaś za daleko.

- Klasztor pod wezwaniem świętej Katarzyny - powtórzyła Abigail. - Na wschód od Brewster.



- Zapamiętasz?

- Mam dobrą pamięć.

- Ja też.

Abigail nic na to nie powiedziała.

- Kiedy tam pojedziesz? Przecież chodzisz do szkoły.

- Znajdę trochę czasu.

- A jak się tam dostaniesz?

- Pewnie autobusem.

- Jedyne autobusy dojeżdżają do Hyannis.

- Och! Dalej pojedę autostopem.

- Uważaj na siebie.

- Dobrze.

- Kiedy tam będziesz, spytaj o siostrę Dominikę. Pamiętam, że dużo czasu spędzała z twoją mamą. Była wtedy bardzo młoda. Pewnie mieszka tam do dzisiaj.

- Dziękuję - powiedziała Abigail.

- Drobiazg. Niech ci pokażą ogród, w którym pracowałem. Był naprawdę ładny. Bardzo o niego dbałem.

- Rzucę na niego okiem - obiecała Abigail. - Strasznie ci dziękuję.

- Mam nadzieję, że to ci pomoże.

- Mogę do ciebie napisać, kiedy stamtąd wrócę?

- Nie mam stałego miejsca zamieszkania - odparł Bodine. - Ale ja mogę napisać, jeśli chcesz.

- Proszę.

- W końcu jestem twoim tatą.

Abigail zobaczyła oczyma wyobraźni twarz Bryana i ogarnęło ją to samo poczucie winy, jakiego doświadczała czekając przed budką telefoniczną.

- Miło było z tobą porozmawiać - powiedziała.

- Mnie też było miło.

- Mam nadzieję, że dojdiesz do siebie.

- Ja też.

Abigail odwiesiła słuchawkę i wyszła na ulicę. Ręce jej drżały; cała drżała. Klasztor pod wezwaniem świętej Katarzyny. Bodine miał rację. Skoro Zuzanna nie chce jej powiedzieć prawdy, Abigail dowie się sama. Tylko nieprzyjemne wyrzuty sumienia nie dawały jej spokoju. Gdyby

powiedziała o wszystkim mamie i tacie, z pewnością zabroniliby jej jechać do klasztoru, a na Bodine'a nasłaliby policję. A przecież on już zapłacił za swoje błędy i do tego jest chory, chociaż zapewniał, że to nic poważnego. Słyszając jego głos przez telefon, Abigail uwierzyła, że Bodine rzeczywiście przez te wszystkie lata za nią tęsknił.

Mateusz Bodine z okna wynajętego pokoju na pierwszym piętrze w bloku przy Seagull Road widział młodą dziewczynę wychodzącą z pobliskiej budki telefonicznej. Był zadowolony z przebiegu rozmowy. Podobał mu się ironiczny podtekst tej sytuacji. Mógł pomóc Abigail w tym, czego Van Dusenowie nie mogli jej dać, a Zuzanna nie chciała z córką dzielić. Przyjemnie będzie śledzić małą, kiedy pojedzie odwiedzić miejsce, gdzie odebrał dziewictwo jej matce.

Kilka dni wcześniej oglądał „Drużynę A” i przypomniało mu się powiedzenie bohatera granego przez George'a Pepparda. „Lubię, kiedy wszystko idzie zgodnie z planem” - mawiał z uśmiechem George, nie wypuszczając przy tym z ust wielkiego cygara.

Jego plan aż do tej chwili był dość mętny, ale właśnie się wykrystalizował. Czuł to w swoich schorowanych kościach. Gdyby Bodine palił cygara, z pewnością by je teraz wyciągnął.

## *Rozdział 19*

Abigail wybrała się tam w poniedziałek. Wyszła rano, tak jakby szła doszkoły, ale wsiadła do autobusu do Rockland, gdzie miała się przesiąść do innego, jadącego do Hyannis. Tam udało się jej zatrzymać chevroleta, którym jakaś sympatyczna pani, zajmująca się na co dzień prowadzeniem domu mężowi, jechała w odwiedzinach do swojego ojca, mieszkającego w Dennis. Później złapała jakąś półciężarówkę i tak dotarła do Brewster.

Na początku podróży towarzyszyło jej - oprócz podniecenia i podenerwowania - poczucie winy. Wierzyła wprawdzie, że czyni to dla własnego dobra, ale w głębi duszy wiedziała, iż gdyby dała Zuzannie więcej czasu, ta opowiedziałaby jej o wszystkim. Z drugiej jednak strony, podczas spotkania w Woodstock, Zuzanna obiecała Abigail szczerą, by potem, w ostatniej chwili, złamać obietnicę. Tak czy inaczej, Abigail Van Dusen wyruszyła w podróż, która miała jej pomóc lepiej poznać samą siebie, powtarzając w duchu, że gdyby Zuzanna od początku była bardziej szczerą, nie doszłoby do tego.

Zimowy ranek był piękny i umacniał chęć do życia i działania.

Rozglądającej się z ciekawością Abigail przyładek Cod w lutowej szacie wydawał się czysty i gościnny, a ludzie w przydrożnych miasteczkach zadowoleni i pełni werwy. Abigail uspokajała się. Zawsze łatwiej jej przychodziło działać niż myśleć. Bez względu na to, co Mateusz Bodine zrobił w przeszłości i jakim był człowiekiem, wyświadczył jej przysługę namawiając do tej wyprawy. W drodze do Dennis, od-

powiadając od czasu do czasu na uprzejme pytania dobrodusznej mieszkanki Hyannis, Abigail starała się uporządkować wszystko, czego się dotąd dowiedziała o dzieciństwie swojej matki. Nazywała ją w myślach matką. Dziwne, że stało się to w tak krótkim czasie od ujawnienia prawdy. Pewnie byłoby inaczej, gdyby po wielu latach mieszkania z przybraną rodziną okazało się, że jej rodzicami są całkiem obcy ludzie. Abigail jednak zawsze wiedziała, że Connie i Bryan są tylko przybranymi rodzicami, a Zuzanna jest jej najbliższą krewną. Może zmiana roli ze starszej siostry na matkę nie jest aż tak wielka? Jeszcze niedawno Abigail nie chciała znać innych rodziców niż Connie i Bryan, a Tabbie była dla niej taką samą siostrą jak Zuzanna. Teraz matka... Nieco później, kiedy dojeżdżała do Brewster, siedząc wśród pudeł pełnych jedzenia w puszkach, Abigail na nowo wyliczała w myślach te nieliczne fakty z dzieciństwa matki, które poznała. Wiedziała, że jej prawdziwe nazwisko brzmi King, że jej ojciec zmarł, kiedy miała dwa lata, że ma tylko jedno, stare zdjęcie rodziców, a przez pewien czas mieszkała wśród zakonnice. Zuzanna mówiła jej też, iż została zgwałcona przez Mateusza Bodine'a, że ten ukrył ją w chacie wśród wydm, gdzieś w pobliżu Provincetown, i że kilka tygodni po urodzeniu Abigail cała trójka zamieszkała w Cohasset, zaczynając nowe życie. Ponadto Zuzanna, zanim zamieszkała w klasztorze, miała matkę, o której było jej trudniej mówić niż o gwałcie.

Wychodząc w Brewster z ciężarówky, pogrążona w myślach, Abigail zadrżała.

Klasztor i szkoła pod wezwaniem świętej Katarzyny stały w północno-wschodniej części należącego do zakonu kawałka ziemi. Mieściły się w wielkim murowanym budynku o ścianach porośniętych bluszczem, pokrytym spadzistym dachem, podobnie jak przylegająca do klasztoru kaplica. Budynek ze wszystkich stron otaczały trawniki, dalej widać było wysadzaną żywopłotem alejkę ogrodu, a w nim cieplarnie. Jeszcze dalej, na ogrodzonym murem terenie klasztornym, znajdował się piękny las. Abigail nigdy w życiu nie widziała spokojniejszego miejsca. Było tu jeszcze ciszej niż w Hawke House.

Gdy tak stała na zwirowej ścieżce, łączącej budynki z zewnętrznym światem, w absolutnej ciszy przerywanej jedynie skrzypieniem nagich gałęzi drzew i dźwiękami unoszonego przez wiatr śpiewu jakiegoś ptaka, aż trudno było jej uwierzyć, że w takim otoczeniu mogła zrodzić się równie okrutna przemoc jak ta, o jakiej opowiadała Zuzanna.

Po chwili zastanowienia Abigail ruszyła przed siebie. W oddali na trawniku pojawiły się trzy ubrane na czarno zakonnice, wędrujące w kierunku przeciwnym niż Abigail. Patrząc na nie, można było pomyśleć, że płyną w powietrzu. Spowite w długie habity, z przysłoniętymi przez welony twarzami, wyglądały jak wcielenie dobrych manier. Znacznie bliżej dwie sroki, wcale nie przestraszone obecnością Abigail, od czasu do czasu pokrzykując, skubały trawę.

Drzwi wejściowe były wysokie, dębowe, proste, bez kołatki i klamki. Na prawo znajdowała się przymocowana do ściany mosiężna tabliczka z napisem: „Klasztor Świętej Katarzyny”, a pod nią przycisk dzwonka.

Abigail wzięła głęboki wdech i nacisnęła przycisk.

Abigail domyślała się, że siostra Dominika ma około pięćdziesięciu lat. Miała jasną cerę, szerokie, zdecydowane usta i niezwykle jasne, bystre zielone oczy. Dłonie miała mocne, z wyszczerbionymi paznokciami, bardzo zniszczone.

- Tak - powiedziała. Głos miała pełen ciepła, dźwięczny. - Pamiętam twoją matkę. Pamiętałabym Zuzannę King, nawet gdyby nie zniknęła w tajemniczych okolicznościach. Chcesz się czegoś o niej dowiedzieć? - spytała.

- Jeśli siostra może...

- Czy wolno mi spytać, po co ci ta wiedza? - zakonnica była uprzejma, ale szczerą. - Nie masz z matką kontaktu?

- Niezupełnie...

- Nie lepiej byłoby spytać ją samą?

- Nie chce mi powiedzieć. - Abigail czuła, że ta kobieta o przenikliwym wzroku przejrzy każde kłamstwo. - Nigdy nie mówi o swoim dzieciństwie.

- Rozumiem. Nie sądzę, żebym miała ci do przekazania coś ważnego. Coś, co mogłoby mieć dla ciebie jakieś znaczenie.

- Słyszałam - spróbowała Abigail - że spędzałyście razem dużo czasu.
  - Słyszałaś? To prawda - przyznała z uśmiechem. -Chcesz wiedzieć o tym coś więcej?
  - Jeśli można...
  - Ależ tak. To przyjemne wspomnienia. Nie mam nic do ukrycia. Byłam wtedy kimś w rodzaju malarki. Nie byłam dobra, ale siostry okazały się wspaniałomyślne i od czasu do czasu pozwalały mi wystawiać moje dzieła w świetlicy.
  - Pewnie była siostra bardzo dobrą malarką - wtrąciła uprzejmie Abigail.
  - Może nieco lepszą od innych. Jeśli udało mi się namalować kilka dość dobrych portretów, to tylko dzięki twojej matce.
  - Jak to?
  - Była moją modelką.
  - Naprawdę?
  - W wieku dziewięciu, dziesięciu lat twoja mama była prześliczna. Poza tym miała w sobie coś niezwykłego, nie tylko urodę. Była nadzwyczaj zrównoważona. Ty też masz w sobie coś z jej wdzięku. Jesteś do niej bardzo podobna. Pewnie o tym wiesz.
- Siedziały w pokoju gościnnym, skromnym, bez dywanów, z pomalowanymi na biało ścianami. Siostra Dominika przyniosła ze sobą tacę z sosnowego drewna i z porcelanowego czajnika naląła herbaty. Atmosfera była coraz bardziej serdeczna.
- Jeśli chcesz - zaproponowała zakonnica - znajdę jakiś portret Zuzanny.
  - Bardzo dziękuję - ucieszyła się Abigail. -Rysowałam Zuzannę na plaży. Siedziała na kamieniu, a wiatr rozwiewał jej długie włosy. Potrafiła bardzo długo wytrzymać w jednej pozycji. Dzieci na ogół nie umieją długo tkwić w bezruchu, ale Zuzanna była bardzo zdyscyplinowana. Lubiła bliskość oceanu i nigdy się nie skarżyła na zmęczenie.
  - Czy siostra wie - spytała Abigail - że mama jest modelką?

- Tak, wiem.
  - Ale skąd? - zainteresowała się Abigail. Siostra Dominika zaśmiała się.
  - Dziwi cię, że stara zakonnica interesuje się modą? Zajmujemy się tu nauczaniem, Abigail, dlatego mamy kontakt ze światowymi sprawami. Bywamy w mieście, czytujemy gazety, nawet żurnale. Dziewczęta czasem przywożą coś ze sobą. Kiedy zobaczyłam zdjęcie twojej mamy w „Vogue'u”, natychmiast ją rozpoznałam. Inne siostry miały wątpliwości, występowała przecież pod zmienionym nazwiskiem. Ale ja wiedziałam. Wycięłam jej zdjęcie. Do dzisiaj gdzieś je mam. Wygląda na nim pięknie.
  - Jest piękna - powiedziała Abigail.
  - Chyba jesteś z niej dumna? - Zakonnica znów się uśmiechnęła.
  - Bardzo.
  - To dobrze. Jak ona się czuje?
  - Dobrze. Bardzo dobrze.
  - Cieszę się.
- Zrobiły przerwę w rozmowie, żeby napić się herbaty. Siostra Dominika trzymała filiżankę jak dama wychowana w szacownym, bostońskim domu. Abigail pomyślała, że wśród zakonnicy z pewnością znajdują się kobiety z różnych rodzin. Dotąd nigdy nie myślała o zakonnicach.
- Czy mogę - spytała siostra Dominika - zadać ci osobiste pytanie?
  - Ależ proszę.
  - Ile masz lat?
  - Piętnaście. Moja mama była bardzo młoda, kiedy mnie urodziła.
  - Rozumiem. - Abigail dostrzegła w oczach siostry Dominiki nagły smutek. - Podejrzywałam, że tak było. Bardzo się bałam, kiedy twoja mama znikła. Bałam się o nią przez te wszystkie lata, od jej zniknięcia, aż do chwili gdy zobaczyłam po raz pierwszy jej zdjęcie w magazynie. A później oglądałam jej fotografię z mężem, panem Hawkiem. Sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych i zakochanych, i wtedy przestałam się bać.
  - Naprawdę byli ze sobą szczęśliwi.

- Słyszałam o jego śmierci - powiedziała siostra Dominika.  
- Przez długi czas ciężko chorował - wyjaśniła Abigail. - Bardzo go lubiłam.

- To wielkie błogosławieństwo.

Abigail czekała, spodziewając się, że zakonnica zechce się przeżegnać albo życzyć duszy Hawke'a wiecznego spokoju, ale siostra Dominika była całkiem normalna, konkretna i sympatyczna. Tym trudniej było wyobrazić sobie zło, o którym opowiadała Zuzanna.

- Co się działo po zniknięciu mojej mamy? - spytała Abigail, odstawiając filiżankę.

- Tu, w klasztorze? Abigail kiwnęła głową.

- Szukałyśmy jej. Wyjechała w środku nocy, kiedy wszyscy spali. - Zakonnica się zawahała. - Czy mama mówiła ci, co jej się wówczas przydarzyło?

- Tak - odparła zwięźle Abigail.

- To było w listopadzie... siedemdziesiątego piątego roku... Pogoda nie sprzyjała samotnej ucieczce. Powiedziałam to policji, ale oni odparli, że gdyby jakiś uciekinier chciał o tej porze roku czekać na lepszą pogodę na przylądku Cod, zajęłoby mu to kilka miesięcy. - Siostra Dominika odstawiła filiżankę. - Nie mam wiele do dodania. Zuzanna uciekła, zabierając prawie wszystkie swoje rzeczy. Szukałyśmy jej wszędzie, przeczesałyśmy cały teren i wysłałyśmy ludzi, żeby pytali o nią za murami klasztoru.

- Niczego się siostry nie dowiedziały?

- Niczego. Wszyscy chcieli pomóc. Sprzedawcy z Brew-ster obiecali mieć oczy otwarte. Pamiętam, że najbardziej starał się nasz ogrodnik. Szukał jej całymi miesiącami. Czasem wyprawiał się nawet na cały dzień, ale nie znalazł Zuzanny.

Abigail milczała. Przypomniała sobie, co mówiła jej Zuzanna o regularnych wizytach Bodine'a w chacie. Nigdy nie pomyślała o tym (Zuzannie pewnie też nie przyszło to do głowy), że Bodine nie porzucił pracy w klasztornym ogrodzie i musiał pomagać w poszukiwaniach. Gdyby zniknął razem z Zuzanną, policja wiedziałaby, kogo i gdzie szukać.



„Poważne błędy” - napisał w liście. Ale to, co zrobił, nie było błędem - uświadomiła sobie nagle Abigail. Wszystko dokładnie przemyślał.

Poczuła, że robi się jej słabo.

- Nic ci nie jest? - spytała zaniepokojona siostra Dominika.

- Nie, wszystko w porządku.

- Na pewno? Nagle zbladłaś.

- Nic mi nie jest.

- Coś cię zmartwiło?

- Nie, nic takiego. Zakręciło mi się w głowie, ale już przechodzi.

- Przyjechałaś z daleka?

- Nie bardzo. Z Cohasset na South Shore.

- Jesteś głodna? Mogę przynieść coś z kuchni.

- Nic by mi teraz nie przeszło przez gardło. Już mi lepiej.

- Może wyjdziemy na świeże powietrze?

Siostra Dominika dobrze знаła młode dziewczęta, dlatego nie poddała się tak łatwo. Abigail kiwnęła głową.

- Chętnie.

W połowie drogi między laskiem a murowanym ogrodzeniem, na południowy-zachód od domu, czekał ukryty w krzakach Mateusz Bodine. Z tego miejsca mógł obserwować boczne wejście do klasztoru. Śledził Abigail, od kiedy wsiadła do autobusu w Cohasset, aż do chwili gdy - mniej więcej przed godziną - weszła do budynku klasztornej. Nie miał z tym żadnych trudności. Łatwo było śledzić niewinną, naiwną dziewczynę. Kiedy już znaleźli się na terenie posiadłości klasztornej, dobrze wiedział, gdzie się ukryć. Doskonale znał ogród Świętej Katarzyny.

Zrobiło się chłodniej. Ziemia była wilgotna. Bolało go lewe kolano, szczególnie kiedy siedział w kucki. Znosił jednak ten ból pocieszając się, że może mu się uda. Jeśli Abigail wyjdzie frontowymi drzwiami, może nawet w czyimś towarzystwie, i wróci prosto do Cohasset, trzeba będzie odłożyć wszystko na później. Bodine był jednak przekonany, że dziewczyna zechce zobaczyć ogród, w którym pracował jej ojciec.

Mimo dotkliwego bólu, który z każdą chwilą dokuczał mu coraz bardziej, Mateusz Bodine po raz pierwszy od dłuższego czasu czuł, że wszystko idzie po jego myśli. Siedział przyczajony w krzakach, spoglądając na ogród, który niegdyś był jego królestwem, i czekał na córkę. Był ciekawy, czy pytała o niego. Co mogły jej powiedzieć siostry? „Był dobrym pracownikiem” - prawdopodobnie nic więcej. Zawsze go lubiły. Umiał okazywać im szacunek i jednocześnie rozmawiać z nimi jak z kobietami, którymi przecież były, mimo dziwnego stroju. Kobiety lubiły Bodine'a. Ale nie Zuzanna. Chociaż i ona, gdyby ją było stać na szczerłość, musiałaby przyznać, że go lubi. Wszystkie kobiety są w zasadzie takie same.

Spojrzał na swoją lewą dłoń i zobaczył wędrującego po niej żuka. Zmiażdżył go kciukiem i wytarł dłoń w trawę. Spojrzał na zegarek i namacał w kieszeni telefon komórkowy. Zastanawiał się, czy będzie go mógł dzisiaj użyć tak, jak planował. Jeśli mu się poszczęści, wszystko pójdzie po jego myśli. Jeśli nie dzisiaj, to w najbliższych dniach. Już wkrótce!

Instynkt podpowiadał mu, że stanie się to dzisiaj.

Siostra Dominika i Abigail wyszły z budynku bocznymi drzwiami i stanęły na żwirowej ścieżce, takiej samej jak ta od frontu.

- Pięknie tutaj - szepnęła Abigail. - Od frontu ogród wyglądał ślicznie, ale stąd...

Siostra Dominika pokiwała głową.

- Zgadzam się, trudno znaleźć właściwe słowa. „Symetria” brzmi bardzo matematycznie, ale chyba o to chodzi. „Porządek” brzmi bezdusznie, ale tu wszystko jest uporządkowane.

- To jakby inny świat - dodała Abigail. - Całkiem oddzielony od tego, co istnieje na zewnątrz.

- Nie jesteśmy zakonem zamkniętym.

- Podoba mi się tutaj. - Abigail była zdziwiona tym faktem. Zadziwiła ją też siostra Dominika. Dziewczyna spodziewała się, że zakonnice będą nienaturalne i natarczywe. - Tak tu spokojnie, a jednak człowiek czuje się wolny.

- Zuzanna też lubiła ogród. Ruszyły przed siebie.  
- Co bardziej lubiła, ogród czy plażę? - spytała Abigail.  
- Chyba ogród. Powiedziała mi kiedyś, że boi się oceanu. Sądzę, że większość z nas doznaje podobnego uczucia w jego pobliżu. - Zakonnica umilkła. - Nigdy nie podejrzewałam, że czuła się tu uwięziona. Większość dziewcząt miała rodzinę i dom. Na wakacje wracały do siebie. Ale nie Zuzanna.

Abigail nastawiła uszu. Wreszcie usłyszała coś ważnego. Coś, co może ją naprowadzić na właściwy trop. Bała się zbyt wyraźnie okazać zainteresowanie. Oczekiwała, że zakonnica powie jej dużo więcej.

- Widzę, że jesteś zdziwiona - zauważyła siostra Dominika, jakby czytając w myślach Abigail. - Twoja matka pewnie nigdy nie wspomina swojego dzieciństwa. Przepraszam. Zapomniałam o tym.

Przez chwilę szły w milczeniu. Abigail wyciągała nogi. Zakonnica w sięgającym kostek habicie stawiała długie kroki.

- Szkoda - odezwała się Abigail. Jej oddech w zetknięciu z zimnym powietrzem zamieniał się w parę. - Żałuję, że siostra zamilkła.

Chciałabym wiedzieć, co ją spotkało i dlaczego tak trudno jej o tym mówić.

- Do czego jest ci to potrzebne?

- Chcę poznać siebie - zamyśliła się Abigail. Postanowiła odpłacić zakonnicy szczerością za szczerość. - O tym, że Zuzanna jest moją matką, dowiedziałam się dopiero kilka tygodni temu - dodała.

- Rozumiem.

- Nic siostra nie rozumie. Z wielu powodów, o których ze względu na Zuzannę nie powinnam mówić... Chociaż może nie miałyby nic przeciwko temu, żebym powiedziała akurat siostrze...

- Wolałabym, żebyś nie zdradzała cudzych tajemnic - przerwała jej siostra Dominika.

- Przez całe życie myślałam, że Zuzanna jest moją siostrą. Dopiero pierwszego stycznia powiedziała mi prawdę. Trudno mi się z tym pogodzić.

- Rozumiem.

- Chodzi o to - ciągnęła Abigail - że opowiedziała mi wiele o tym, co złego spotkało ją tutaj - Abigail zauważyła, że zakonnica rzuciła jej szybkie spojrzenie, i wyczuła jej zdenerwowanie - a także później, po opuszczeniu klasztoru. Ale nie chce mówić o swoim wcześniejszym życiu. I choć nie potrafię sobie wyobrazić nic straszniejszego od tego, co od niej usłyszałam, podejrzewam, że jej dzieciństwo musiało być dużo gorsze. Inaczej to wszystko nie miałoby sensu.

- Możliwe - powiedziała siostra Dominika - że Zuzanna chce ci oszczędzić bólu.

- Cóż mogłoby boleć bardziej niż fakt, że przez piętnaście lat nie przyznawała się do tego, że jest moją matką?

Weszły między krzewy róż. Nawet teraz, zimą, Abigail mogła sobie wyobrazić, że czuje zapach kwiatów, słyszy brzęczenie pszczoł i os i czyste głosy ptaków.

- Zuzanna, jeśli ją znam - stwierdziła siostra Dominika - nie zrobiłaby czegoś podobnego, gdyby nie została do tego przymuszona.

- Wiem - zgodziła się Abigail. - Zaczynam w to wierzyć. Ale na początku, kiedy mi wszystko wyznała, bardzo cierpiałam. Dlatego trudno mi sobie wyobrazić, żeby to, co przede mną nadal ukrywa, mogło być jeszcze bardziej bolesne.

- Nie umiem na to odpowiedzieć - odparła siostra Dominika. - Sama niewiele wiem. Spójrz! - Nagle przystanęła. Po trawie skakała zięba, kierując się w ich stronę. - Bardzo lubię się im przyglądać - szepnęła. - Niektóre są oswojone. Jeśli staniemy bez ruchu, może podejdzie jeszcze bliżej.

W znajdującym się nieopodal lesie coś się poruszyło i ptaszek odleciał. Siostra Dominika ruszyła przed siebie, a za nią Abigail. Wyszły spomiędzy krzaków róż i skierowały się do ogrodu warzywnego. Tu ziemia była starannie skopana.

- Twoja matka, kiedy do nas przyjechała, była dzieckiem poważnym, a nawet smutnym. Czasem trudno było pamiętać, że jest tylko dzieckiem. Miała zaledwie siedem lat, ale sprawiała wrażenie całkiem dojrzałej. - Siostra Dominika zerknęła na Abigail. - Nie chodzi o to, że była nad

wiek rozwinięta. Była dojrzała. Dorosła. Żadne dziecko nie powinno takie być. - Zamyśliła się. - Z czasem się nieco zmieniła - podjęła po chwili. - Inne dziewczęta bardzo w tym pomogły. Nauczyły Zuzannę dziecięcych zabaw i radości. Bałam się, że będą się z niej wyśmiewały, ponieważ była inna, ale nie. Wszyscy ją lubili.

- Do dzisiaj ludzie ją lubią - powiedziała Abigail.

- Nie dziwi mnie to. Uważałam, że jest ciekawym dzieckiem. Było oczywiste, że ma za sobą bardzo smutne doświadczenia, chociaż nie wiem na ten temat nic konkretnego. To nie moja sprawa - dodała pospiesznie. - Sądzę, że matka przełożona może być we wszystko wprowadzona, pewnie są jakieś dokumenty. Ale ja nic nie wiem, a gdybym nawet wiedziała, nikt mnie nie upoważnił, by o tym opowiadać.

- Mówiła siostra, że Zuzanna była ciekawym dzieckiem - odezwała się Abigail, nie chcąc, żeby rozmowa się na tym skończyła.

- Mimo ciężkich doświadczeń w Zuzannie nie było rozgoryczenia.

Przynajmniej nic takiego się w niej nie wyczuwało.

- Dlaczego miałyby być rozgoryczona?

- Próbujesz coś ze mnie wyciągnąć? - uśmiechnęła się zakonnica.

- Chcę wiedzieć.

- A ja nie mogę ci powiedzieć.

Spacerowały to tu, to tam. Po drugiej stronie żywopłotu lśniły w słońcu szklarnie.

- Chciałabym ci coś pokazać.

- Portret?

- Nie. Obiecałam, że odszukam jeden z portretów i dam ci go w prezencie, ale teraz nie to miałam na myśli. - Siostra Dominika skreśliła w lewo i przyspieszyła kroku. - Idziesz?

- Oczywiście.

Z zadbanego ogrodu przeszły do lasu. Tutaj nie było ścieżek. Wybierały drogę między drzewami, stąpając po zbutwiałych liściach. Słońce przeświecało wąskimi smużkami między gałęziami. Abigail lubiła las i jego czyste powie-

trze, przesycone zapachem mchu, butwiejących liści, deptanej roślinności i dzikich kwiatów.

- Dokąd idziemy? - spytała zdyszana. Słysząc było szelest opadłych liści, poruszanych przez niewidoczne stworzenia, i uderzenia skrzydeł jakiegoś ptaka. Nagie gałęzie miały tak niepowtarzalne kształty, jak linie papilarnie na ludzkiej dłoni.

- Zaraz będziemy na miejscu - powiedziała siostra Dominika, jedną ręką podwijając nieco habit, drugą odsuwając gałęzie. Chwilę później odwróciła głowę. - Gotowa? - spytała.

Stały na skraju jasnej polany. Kiedy Abigail ją zobaczyła, pojęła natychmiast, dlaczego zakonnica ją tu przyprowadziła. To nie była zwykła polana, ale oaza spokoju, zaczarowane miejsce, piękne i urokliwe.

- Jest idealnie okrągła - powiedziała Abigail.

- Nieprawda?

Pośrodku stała drewniana ławka zbita z dwóch wielkich pni, wysiedziana przez licznych gości.

- Usiądziesz? - zaprosiła siostra Dominika.

- Niech siostra usiądzie pierwsza. Zakonnica pokręciła głowę.

- Ja mogę tu przychodzić codziennie. Teraz jestem tu ze względu na ciebie. Przebyłaś kawał drogi i niewiele się dowiedziałaś. Pomyślałam, że może zechcesz spędzić trochę czasu w miejscu, które twoja mama bardzo lubiła.

Abigail usiadła. Przed nią, jak aktorzy na scenie, stały w szeregu sosny, pochylając się ku sobie, wbrew prawom natury i wiatrom; ocierały się o siebie gałęziami i tworzyły naturalne sklepienie. Zrozumiała teraz, co powodowało Zuzanną, gdy wybrała na Hawke House akurat to miejsce, jakie wybrała. Ciekawe, czy w tamtejszym lesie też ma swoje ulubione zakątki?

Zuzanna lubiła tu przesiadywać - pomyślała Abigail, zamykając oczy. - Moja matka patrzyła na te same drzewa.

- Pójdę poszukać obrazu.

Słyszając głos siostry Dominiki, Abigail otworzyła oczy. Wiedziała, że powinna wstać i pójść z zakornicą, ale coś niezrozumiałego przytrzymało ją na tej ławce.

- Zostań - powiedziała siostra Dominika. - Dobrze ci to zrobi.

- Naprawdę mogę zostać?

- Jeśli tylko chcesz.

Zakonnica odwróciła się i odeszła. Wkrótce znikła wśród drzew. Nadal jednak słyhać było jej kroki. Abigail znów zamknęła oczy.

Przyglądał się jej jeszcze chwilę. Chciał mieć pewność, że zakonnica odeszła i są sami. Aż trudno uwierzyć, że ma tyle szczęścia. Była zaledwie kilkanaście metrów od niego. Mają mnóstwo czasu. Dojście do domu zajmie siostrze Dominice dziesięć minut, powrót co najmniej drugie tyle.

Przyglądał się twarzy Abigail. Córka miała prosty, nieduży nosek, jak jej matka. Nie była podobna do niego. W każdym razie nie z tej odległości. Tylko oczy w pierwszych miesiącach życia zmieniły się z niebieskich na piwne, jak u niego. To on dał jej życie.

Moja córka, Abigail - pomyślał.

Zastanowił się, czy jego starannie przemyślany plan da się jeszcze jakoś ulepszyć. Mieszkał w wielu miejscach i robił różne rzeczy, ale od wczesnego dzieciństwa nie miał rodziny. Dopiero w chacie nad morzem zrozumiał, jak to jest mieć kogoś bliskiego.

Kolano bolało nieznośnie, jakby domagając się zmiany pozycji. Poruszył się ostrożnie, przesuwając nieco ciężar ciała na drugą stronę.

Abigail usłyszała jakiś dźwięk i otworzyła oczy.

- Siostra Dominika?

Nikt nie odpowiedział. Przez chwilę nasłuchiwała, ale ponieważ wokół znów panowała cisza, ziewnęła, wyciągnęła wysoko ramiona i zamknęła oczy.

Ogarniał ją błogi spokój.

- Wiedziałem, że cię tu przyprowdzi. Abigail otworzyła oczy i odwróciła głowę.

- Witaj, Abigail.

Mężczyzna był wysoki i silny, wzrostu Bryana Van Duse-na, ale mocniej zbudowany, potężniejszy. Włosy miał kręcone, czarne z siwymi pasemkami, oczy piwne, tego samego koloru co oczy Abigail. Miał na sobie kurtkę myśliwską wyposażoną w liczne kieszenie na noże, kule i inne tym podobne rzeczy. Uśmiechał się do niej, ale tak jakoś dziwnie, że Abigail poczuła się niepewnie.

- Witaj - odparła tak przestraszona, że niezdolna do żadnego ruchu.

- Wiesz, kim jestem, prawda?

Wiedziała. Poznała go po głosie. I po oczach. Zuzanna powiedziała jej kiedyś, że ma taki sam kolor oczu jak ojciec. „Mniej więcej ten sam kolor, ale całkiem inny wyraz” - powiedziała.

- Co ty tu robisz? - spytała.

- A jak sądzisz? - Podszedł bliżej. - Przyjechałem zobaczyć się z tobą.

- Skąd wiedziałeś, że będę tu akurat dzisiaj?

- Wiedziałem.

Śledził mnie - pomyślała Abigail i zaczęła się bać jeszcze bardziej.

Starła się jednak ukryć to przed nim, zachować nieruchomą twarz i powstrzymać drżenie rąk.

- Nie bój się - powiedział. - Chcę spędzić z tobą trochę czasu.

- To niemożliwe. Muszę już wracać. Zaraz przyjdzie siostra Dominika.

- Wiem, ale nas już tu nie będzie. Abigail wstała.

- Dobrze - ucieszył się. - Widzę, że jesteś gotowa. Nie mamy wiele czasu.

- Nie! - odparła. - Nigdzie nie pójdę - dodała, rozglądając się w poszukiwaniu najlepszej drogi ucieczki.

- Nawet nie próbuj, Abigail. Nikt nie zna tego lasu i ogrodu tak dobrze, jak ja.

Wystraszona dziewczyna rzuciła się do ucieczki, ale on okazał się bardzo szybki. Złapał ją zalewą rękę i przyciągnął do siebie. Ciężko dysząc, Abigail kopnęła go w goleń. Stęknął z bólu, ale jego uścisk nie zelżał.

Gdzieś w górze jakiś duży ptak, spłoszony nagłym poruszeniem, uleciał w gó-



rę, mocno bijąc skrzydłami. Abigail otworzyła usta, ale zanim zdążyła krzyknąć, przykrył je swoją wielką dłonią.

- Cicho! - powiedział ze złością. - Nie przesadzaj. Nic ci nie zrobię. Nie zmuszaj mnie, żebym cię skrzywdził.

Abigail przestała się wyrywać. Patrzyła na niego przerażonym wzrokiem.

- Tak jest lepiej. - Wciąż nie zdejmował dłoni z jej ust. - Nie dziwię się, że się mnie boisz. Musieli ci o mnie naopowiadać strasznych rzeczy.

Obiecuję, że cię nie skrzywdzę, jeśli mnie do tego nie zmusisz. - W jego oczach Abigail dostrzegła urazę. - Jesteś moją córką. Moją małą dziewczynką.

Nagle powiał silny wiatr i wierzchołki sosen zaszumiały.

- Mogę zabrać rękę? Mogę ci zaufać? - Abigail kiwnęła głową. - Jeśli spróbujesz krzyknąć, zaknebluję cię. - Abigail pokręciła głową. - Dobrze - powiedział i zdjął dłoń z jej ust. Drugą ręką nadal mocno ją trzymał.

- Czego chcesz? - Abigail odetchnęła głęboko.

- Już ci mówiłem - stwierdził takim głosem, jakby tłumaczył coś małemu dziecku - że chcę być z tobą. I z twoją matką. Chcę, żebyśmy znów byli rodziną.

- Z moją matką? Ona jest daleko stąd.

- Doskonale wiem, gdzie ona jest.

Abigail znów zaczęła się bać. Bodine zerknął na zegarek.

- Czas nagli. Będziesz grzeczna i pójdiesz ze mną? - spytał, zaglądając w jej wystraszone oczy. - Obawiam się, że nie. Będę musiał cię nieść.

Zakonnica niedługo wróci...

- Domyśli się wszystkiego.

- Nie, niczego się nie domyśli.

- Ależ tak. Będzie wiedziała, że mnie porwał.

- Nie ma zielonego pojęcia o tym, że tu jestem - odparł Bodine.

- Powiedziałam jej.

- Co? - spytał złośliwie. - Że jestem twoim ojcem? I co z tego?

- Powiedziałam jej, że to ty mnie tu skierowałeś. - Abigail grała na zwłokę w nadziei, że siostra Dominika się pospieszy. - Domyśli się, że mnie porwał.

- Niczego się nie domyśli - rzucił Bodine bez wahania. -

Będzie sądziła, że uciekłaś, jak twoja mama wiele lat temu. Wtedy też myślały, że się zbuntowała i uciekła.

Po tych słowach zdusił ją w pasie z całej siły. Abigail, śmiertelnie przerażona, zaczęła krzyczeć i wyrywać się. Bodine wyciągnął szeroki plaster i zakleił jej usta.

- Przepraszam, córuś, ale nie mam wyboru. Przewrócił ją na ziemię.

Spieszył się. Wiedział, że ma

niewiele czasu. Abigail zaczęła kopać. Trafiła go w biodro, ale on nie zwracał na to uwagi, jakby była jakimś robaczkiem. Przydusił ją do ziemi kolanem. Ból w nodze się uspokoił. Przyjemnie było wziąć wreszcie to, co mu się należało. Wyjął z kieszeni sznurek, związał jej ręce na plecach, sprawdził, czy węzeł jest mocny i czy nie za bardzo ją ścisnął. Potem związał jej nogi tuż nad kostkami.

- Gotowa? - spytał grzecznie. - Dobra dziewczynka. Potem zarzucił sobie Abigail na ramiona. Była znacznie cięższa, niż się spodziewał, ale wiedział, że da sobie radę. Pierwszy etap dobiegł końca. Teraz trzeba jak najszybciej stąd uciec i zabrać się do realizacji drugiego punktu planu.

Ostatni raz rozejrzał się po polanie i zaśmiał się triumfalnie. Od lat o tym marzył.

- Lubię - powiedział do siebie - kiedy wszystko idzie zgodnie z planem.

## *Rozdział 20*

Tego popołudnia Zuzanna pracowała w swoim biurze. Dochodziło wpół do trzeciej, kiedy zadzwonił telefon. Zajęta swoimi sprawami, pisząc coś na formularzu, podniosła słuchawkę.

- Słucham!

- Mam twoją córkę.

Pióro wypadło z jej zdrtwiałych palców.

- Co powiedziałaś?

- Słyszałaś - odparł Bodine. - Jesteś sama?

Zuzanna nie mogła zebrać rozbieganych myśli. Chciała coś powiedzieć, ale nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Miała wrażenie, że twarz jej zeszywniała, a język waży kilka kilogramów.

- Pytałem, czy jesteś sama.

- Tak - odparła w końcu. W ustach jej zaschło. Na biurku stał kubeczek z kawą. Sięgnęła po niego, ale ręka drżała jej tak bardzo, że nie mogła go podnieść. - Co z nią zrobiłeś?

- Żadnych pytań - warknął Bodine. - Słuchaj mnie uważnie.

- Słucham. - Zuzanna spojrzała na wiszące na ścianie zdjęcie dwunastoletniej, uśmiechniętej od ucha do ucha Abigail. Przymknęła oczy.

- Abigail jest ze mną i czuje się dobrze. - Jego głos zanikł na chwilę i Zuzanna domyśliła się, że Bodine dzwoni z przenośnego aparatu. - Jeśli nawet jeszcze nie wierzysz, że ją mam, to wkrótce odbierzesz telefon od mamy i taty Van Dusenów. Kiedy się zorientują, że dziewczyna za długo

nie wraca ze szkoły. Nie wolno ci, powtarzam: nie wolno, dzwonić do nich. Jasne?

- Tak - szepnęła, odrętwiała z przerażenia i ze zdumienia.

- Chcę pieniędzy. Tyle, o ile prosiłem poprzednio. Pięćdziesiąt tysięcy dolarów gotówką.

- Nie mam aż tyle. - Zuzanna zaczęła myśleć. Nigdy nie miała przy sobie więcej niż kilkaset dolarów. - Bez uprzedzenia żaden bank nie wypłaci mi więcej niż kilka tysięcy.

- Wypłacą ci więcej - upierał się Bodine. - Przynieś tyle, ile będziesz mogła, ale w dobrych pieniądzech, bo inaczej, przysięgam, nigdy więcej nie zobaczysz Abigail.

- Przyniosę. - Zuzanna bezskutecznie starała się pozbiierać myśli. - Powiedz tylko, kiedy i gdzie.

- Gdy już skończymy rozmawiać, wyjdiesz z domu i pojedziesz prosto do banku. Zdasz przed zamknięciem.

- A potem?

- Przyniesiesz mi je.

- Dokąd? - Nagle przestraszyła się, że zechce zrobić jej na złość i odłoży słuchawkę, nie mówiąc, gdzie przetrzymuje Abigail. - Nie powiedziałaś dokąd.

- Nie muszę ci tego mówić.

- Ależ musisz. Skąd mam... - zaczęła i umilkła. Miał rację, nie musi jej mówić. Dokąd ten przeklęty sukinsyn mógł zabrać ich córkę? Tylko tam.

- Rozumiesz? - zapytał.

- Tak - potwierdziła. Ogarnęła ją nowa fala strachu, -r Nie znajdę jej... Nie znajdę cię...

- Spokojnie - przerwał jej Bodine. - Wiem, że sama nie znajdziesz.

Dlatego spotkamy się na drodze. Zaprowadzę cię do niej.

- Do Abigail? - spytała z nadzieją.

- Abigail będzie na nas czekała. Nigdzie nie pójdzie. Nagle Zuzanna poczuła taką furję, że zapomniała o ostrożności.

- Przysięgam, że jeśli zrobiłeś jej coś złego...

- To co mi zrobisz? - spytał denerwująco spokojnie. -Zresztą już ci powiedziałem, że nic jej nie jest. Włos jej

z głowy nie spadł. No, czas leci. Chcesz wiedzieć, gdzie będę na ciebie czekał, czy nie?

- Tak - odparła nieco spokojniejszym głosem. - Proszę, powiedz.

- Dobrze. Jesteś gotowa? -Tak.

- Pojedziesz drogą numer 6, miniesz Truro i dojedziesz do North Truro. Potem będzie kilka zakrętów. Zobacysz drogowskazy na Head, na Meadow Beach, ale nie zwracaj na nie uwagi. Szukaj szlaku Smali Swamp, rozumiesz?

- Szlak Smali Swamp - powtórzyła Zuzanna.

- Przy szosie, na prawym poboczu. Jeśli dojedziesz do Pilgrim Lake, to będzie oznaczało, że pojechałaś za daleko. Zawrócisz i będziesz dalej szukała przy drodze. Wszystko jasne?

- Tak. - Zrozumiała, że nie ma czasu do stracenia. Nie chciała go denerwować. - Będziesz na mnie czekał?

- Mhm - mruknął. - Sprawdźmy zegarki. Na moim jest druga trzydzieści siedem. Nastawiłaś swój?

-Tak.

- W banku zejdziesz ci mniej więcej do wpół do czwartej.

- Może nawet dłużej. Wiesz, jak pracują banki.

- Wiem, że ode mnie zależy życie twojej córki - odparł Bodine. - Wymyślisz coś, żeby ich popędzić.

- Dobrze. - Zuzanna nie zamierzała się sprzeczać.

- Z Hawke House do P-Town jest jakieś pięć godzin drogi, powinnaś więc tu być około dziewiątej.

- Będziesz tam o dziewiątej?

- Będę, kiedy mi się zechce. Ty masz tam być i czekać na mnie.

- A jeśli się spóźnię?

- Nie radzę.

- Jeśli utknę w korku?

- Jest luty - powiedział Bodine. - W lutym ludzie nie jeżdżą do P-Town.

- Postaram się.

- Twój w tym interes. - Jego głos brzmiał oschle. - Pamiętaj, że jeśli powiesz o tym komukolwiek, to przysięgam na śliczną główkę Abigail, że jej więcej nie zobaczysz. Jeśli

w promieniu kilku kilometrów od szlaku Smali Swamp zobaczę choćby jednego policjanta, przysięgam na swoje życie (może nie jest wiele warte, ale nic więcej nie mam), że zabiję Abigail.

- Nikomu nie powiem - obiecała Zuzanna. - Przysięgam.

- Radzę o tym pamiętać.

- Proszę - powiedziała szybko, czując, że Bodine chce odłożyć słuchawkę. - Nie rób jej krzywdy. Chyba nie zrobisz nic złego własnemu dziecku?

- Wolałbym tego uniknąć - odparł Bodine.

Nie musiał mówić nic więcej. Resztę dopowiedział Zuzannie dobrze jej znany wewnętrzny głos.

„Zrobi to, jeśli zostanie zmuszony - usłyszała nagle. -Dobrze wiesz, że to zrobi”.

## *Rozdział 21*

Kiedy zadzwonił telefon, Connie pracowała właśnie w ciemni, a Lucy Battaglia przyprawiała baraninę na kolację i miała ręce ubrudzone rozmarynem i pieprzem. Bryan leżał w łóżku, przeziębiony; bolało go całe ciało, dokuczająca gorączka, ale to on podniósł słuchawkę. Po chwili odłożył ją i wyskoczył z łóżka jak oparzony.

- Czy Abigail jest w domu? - krzyczał, zbiegając po schodach.

Lucy wyszła z kuchni, wycierając ręce.

- Czy Abigail wróciła ze szkoły?

- Nie widziałam jej. - Lucy pokręciła przecząco głową.

- Gdzie jest Connie? Connie! Connie wyjechała wózkiem z ciemni.

- Co się dzieje?

Kiedy spojrzała na Bryana, zatrzymała się nagle.

- Wielkie nieba, Bryan, co się stało?

- Nie wiem - zachrypiał Bryan.

- Słyszałam telefon. Kto dzwonił? - spytała blednąc. - Ktoś miał wypadek?

- Nie. - Bryan pokręcił głową. - Nie o to chodzi.

- Kto to był?

- Zakonnica, siostra Dominika. Powiedziała, że dzwoni z klasztoru Świętej Katarzyny koło Brewster. - Bryan poczuł, że robi mu się słabo, i oparł się o ścianę. - Nic z tego nie rozumiem. Ona twierdziła, że rano odwiedziła ją Abigail...

- Nasza Abigail? - spytała niemądrze Connie.

- Tak twierdziła.

- Ale Abigail była wtedy w szkole.
- Czy na pewno? Zdaniem siostry Dominiki Abigail przyjechała do niej, żeby dowiedzieć się czegoś o Zuzannie.
- Klasztor Zuzanny - domyśliła się Connie. - Jasne!
- Na to wygląda - zgodził się z nią Bryan. - Ale siostra dzwoniła z innego powodu. Zostawiła Abigail na chwilę samą w jakimś ogrodzie i poszła po coś tam... Jakiś stary obraz Zuzanny... Kiedy wróciła, Abigail już nie było.
- I co? - Connie nie rozumiała, co Bryan chce jej powiedzieć. - Widocznie nie chciało jej się czekać.
- Na początku siostra Dominika też tak pomyślała. Przyznała, że nie ma powodu sądzić, że było inaczej, jednak przez całe popołudnie się tym martwiła, bo Abigail sprawiła na niej wrażenie dobrze wychowanej młodej damy i bardzo chciała dostać ten obraz. Dziwi ją, że wyszła bez pożegnania. Myśli, że może ją rozczarowała, bo nie była w stanie odpowiedzieć na jej pytania. Chciała sprawdzić, czy Abigail jest już w domu.

Connie spojrzała na zegarek. Było po piątej.

- Zadzwoń w kilka miejsc - powiedziała, kierując się do pokoju telewizyjnego. - I wracaj do łóżka. Musisz zebrać siły na wypadek, gdyby stało się coś złego.

Do wpół do szóstej Connie zdążyła zadzwonić do paru koleżanek Abigail i do domu jej nauczycielki, ale niczego nowego się nie dowiedziała.

Podniosła słuchawkę telefonu wewnętrznego i połączyła się z sypialnią Bryana.

- Nie wiem, czy alarmować Zuzannę. Nie chciałabym jej martwić.
- Powinnaś zadzwonić. Może Abigail do niej pojechała?
- Wątpię. Zuzanna by nas powiadomiła.
- A może jest jeszcze w drodze? Z Brewster do Hawke House jest kawał drogi.

Connie zadzwoniła do ośrodka, ale dowiedziała się, że Zuzanny nigdzie nie można znaleźć. Joe Zacharias twierdził, że odebrała jakiś telefon, a wkrótce potem ktoś widział ją, jak zdenerwowana wychodziła z domu.

- Wygląda na to, że wyjechała nic nikomu nie mówiąc.
- Kiedy to było? - spytała Connie.



- Mniej więcej za kwadrans trzecia.
- Dziękuję, Joe. - Nagle przyszło jej do głowy jeszcze jedno pytanie. - Czy wiadomo, kto dzwonił?
- Nie mam pojęcia. Jakiś mężczyzna.
- Nie Abigail?
- Z pewnością nie.

Connie odłożyła słuchawkę. Potem zadzwoniła do mieszkania Zuzanny w Nowym Jorku, nagrała informację i wykreśliła numer Pete'a Straussa.

- Może wiesz, gdzie jest Zuzanna?
  - Chyba w Hawke House - odparł Pete.
  - Wyjechała.
  - W takim razie nie potrafię ci pomóc. Co się stało? Connie powiedziała mu wszystko, co wiedziała.
  - Abigail nigdy nie oddalała się bez pozwolenia. Gdyby nawet coś takiego zrobiła, z pewnością zadzwoniłaby do nas.
  - Może autobus utknął gdzieś w korku? - domyślał się Pete.
  - Może.
  - A może są gdzieś razem z Zuzanną?
  - Dlaczego Zuzanna do nas nie zadzwoniła?
  - Nie wiem. Co o tym wszystkim myśli Bryan?
  - Bryan jest chory, bardzo źle się czuje i pewnie sam nie wie, czy jest na Abigail wściekły, czy raczej umiera z niepokoju o nią.
  - Mogę wam jakoś pomóc?
  - Chyba nie.
  - Mam nadzieję, że Abigail zaraz wróci do domu - pocieszał Pete. - Nie martwcie się za bardzo. Co ja wygaduję? - spytał, śmiejąc się nerwowo. - To oczywiste, że umieracie z niepokoju.
- W ciągu następnej godziny Pete dzwonił do Connie dwukrotnie.
- Chyba wybiorę się do was.
  - Po co?
  - Podtrzymać was na duchu. Jeśli zastanowimy się wspólnie, może wpadniemy na to, gdzie może być Abigail.

- Zostań u siebie. Bryan powiadomił policję.
- Co mu powiedzieli?
- Ze nastolatkom różne rzeczy przychodzą do głowy.
- Rozumiem. Jadę do was.
- Nie chciałabym cię fatygować.
- Wtrącam się w nie swoje sprawy? - spytał Pete. - Powiedz mi otwarcie, nie obrażę się.
- Daj spokój, przecież wiesz, że nie o to chodzi.
- Na pewno?
- Jesteś nam bliski jak członek rodziny.
- W takim razie już wyjeżdżam.

W czasie kiedy Pete jechał ku La Guardia, by złapać jakieś połączenie z Bostonem, Zuzanna pędziła na wschód, ku Mass Turnpike, z dziesięcioma tysiącami dolarów (tylko tyle udało się jej wyprosić u nowego kierownika banku) w torebce. Trasę wybrała wcześniej. Skręci w prawo przy roгатce, przejedzie kilkanaście kilometrów Millbury Road, wjedzie na drogę numer 495, zjedzie drugim zjazdem, minie stary holownik przy Hudson, stojący na wzniesieniu koło restauracji, przejedzie kanał Cape Cod, most Bourne... Jechała szybko, ale z troską o bezpieczeństwo. Cały czas myślała o obitej papą chacie wśród wydm. Aż trudno uwierzyć, że po tylu latach szopa jeszcze stoi. Potem pomyślała o spotkaniu z Bodine'em przy szlaku Smali Swamp. Jeśli się spóźni; jeśli go nie znajdzie; jeśli coś się stanie Abigail... Gdyby coś się jej stało...

„Daj spokój - poleciał wewnętrzny głos. - Nic się jej nie stanie. Skoncentruj się na tym, żebyś dojechała na czas, cała i zdrowa”.

Miała przy sobie tylko dziesięć tysięcy dolarów, a on żądał pięćdziesięciu. Kto wie, co zrobi Bodine, kiedy się o tym dowie?

„Powiesz mu, że to dopiero początek. Obiecasz, że dasz mu więcej. Uwierzy ci. Potrzebuje pieniędzy. Nie może sobie pozwolić na odrzucenie takiej okazji...”

Zastanawiała się, czy Bodine ma przy sobie nóż albo pistolet. Dawniej zawsze nosił nóż, chociaż nigdy jej nim nie groził. Nie musiał, ponieważ była słaba i czuła przed

nim lęk. Później zdobył nad nią władzę innego rodzaju. Potrzebowała go. Przynosił jej czerwone jabłka, zupy w puszkach i...

„No właśnie - odezwał się głos. - To doskonały pomysł. Dzięki temu może ci się uda wydobyć Abigail z opresji”.

Dojeżdżała właśnie do zjazdu numer 6 na Springfield. Włączyła kierunkowskaz i skręciła na boczny pas. Chciała coś kupić i zatelefonować.

Kiedy Pete wylądował na lotnisku Logan, skierował się od razu do budki telefonicznej. Chciał powiedzieć Van Dusenom, że wkrótce u nich będzie, ale najpierw zadzwonił do siebie, by sprawdzić, czy ktoś się nie nagrał na sekretarce. Czekala na niego tylko jedna wiadomość, zostawiona

0 osiemnastej czterdzieści pięć.

- Pete, nie zdradź nikomu, że do ciebie dzwoniłam -mówiła zdenerwowana Zuzanna. - Chcę tylko, żebyś wiedział, co się stało, gdyby coś wyszło nie tak. Bodine ma Abigail. Jadę spotkać się z nimi. Mam dla niego pieniądze i muszę ją odzyskać. Pete, za nic w świecie nie wolno ci nikomu powiedzieć o moim telefonie, szczególnie policji. On groził, że zabije Abigail, jeśli zobaczy w pobliżu policjanta, i nie kłamał. - Zuzanna zamilkła na moment. Pete słyszał dobiegający z oddali szum ruchu drogowego, jakby dzwoniła z jakiegoś miejsca na autostradzie. - Jeśli nie odezwę się do ciebie rano... Ale nie o świecie, tylko gdzieś tak koło ósmej... to chcę, żebyś wiedział, że jadę na przylądek. On zabrał Abigail do chaty i tylko ja mogę ją stamtąd wydostać. Wiem, że wiele od ciebie wymagam, ale musisz mi przysiąc, że do rana nic nie zrobisz. Dobrze? Przysięgnij, Pete. - Potem znów zamilkła, jakby się zastanawiała, czy powinna dodać coś jeszcze. - Mam się z nim spotkać tuż za North Truro przy drodze numer 6. Na początku szlaku Smali Swamp. Ale nie wolno ci użyć tej informacji aż do jutra... jeśli się do ciebie wcześniej nie odezwę. Przysięgnij, że nikomu nie powiesz. Jeśli mnie kochasz, nie rób tego. Pete usłyszał trzask odkładanej słuchawki. Automat poinformował, że nie było więcej telefonów. Rozłączył się. Był

zły. Wściekał się na Bodine'a i złościł na Zuzannę, ponieważ związała mu ręce. Bał się jak nigdy w życiu.

Przez chwilę stał bez ruchu, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się wokół. Spojrzał na zegarek. Była za kwadrans dziewiąta. Jeśli Zuzanna wyjechała z Hawke House za piętnaście trzecia, teraz może już być na przylądku. Może jest z nim...

W końcu podjął decyzję. Znalazł dwie monety, wrzucił je do aparatu i wykręcił numer Van Dusenów.

- Connie? Tu Pete. Co nowego?

Nie musiał pytać. Z góry znał odpowiedź.

- Nic. Gdzie jesteś?

- W Nowym Jorku - skłamał. - Przykro mi, ale wynikły pewne sprawy, które uniemożliwiają mi opuszczenie miasta.

- Och! - Connie była rozczarowana. - Trudno. Jakież kłopoty z pacjentami?

- Coś w tym rodzaju. Jak dajecie sobie radę?

- Żyjemy. Nie martw się o nas. Zawiadomiliśmy już Tab-bie i zaraz do nas przyjedzie.

Brak tylko tej, na którą najbardziej czekacie - pomyślał Pete.

- Przepraszam - powiedział.

- To nie twoja wina.

- Nie moja - zgodził się z nią Pete. - Żałuję, że nie mogę być teraz przy was.

- Wiem.

Tego wieczoru żaden samolot nie odlatywał już na przylądek Cod. Pete wynajął mały samochód, ale szybko się rozmyślił i zamienił go na duży, z napędem na cztery koła.

- Jak długo będę jechał do Provincetown? - spytał urzędnika.

- Przy dobrej pogodzie wystarczą dwie godziny, ale na dzisiaj zapowiadają burze. Miejscami droga może być trudna.

Pete wypełnił formularz, wziął kluczyki, dostał mapę przylądka Cod, odszukał swojego dżipa cherokee, wybrał na mapie najlepszą trasę i zapalił marlboro. Już od dwóch godzin miał ochotę na papierosa.

Żałował, że nie zabrał ze

sobą psa, ale Steinbeck nie zniósłby lotu samolotem, nawet dla swojego ukochanego pana.

Pete czuł się bardzo samotny. Nigdy w życiu samotność nie dokuczała mu tak bardzo, jak tej nocy.

W pogodniejszych chwilach - jeśli można je tak nazwać - Zuzanna czuła się jak bohaterka „Strefy mroku”. Miała wrażenie, że cofnęła się w czasie i że w najgorszym momencie obudzi się z tego koszmaru. W chwilach najtrudniejszych - które były tym dłuższe, im bliżej była ostatniego odcinka drogi, między Truro a P-Town - sądziła, że się nie obudzi. Mimo wszystko nie wątpiła w to, że postąpiła słusznie. Cóż innego mogła zrobić? Bodine miał Abigail. Zuzanna myślała tylko o tym, żeby odnaleźć swoje dziecko i zabrać je w bezpieczne miejsce.

Przed Middleboro zaczął padać deszcz. Od kiedy włączyła radio, zapowiadali sztorm na przylądku. Z każdą godziną prognozy były coraz bardziej ponure. Należało się spodziewać paskudnej pogody. Zuzanna przypominała sobie zimowe burze, z grzmotami i błyskawicami, z rykiem wiatru... Wydawało jej się wówczas, że chatka zaraz się zawali. Nocą zawsze strasznie się błyskało. A może jej wyobraźnia wyolbrzymia dawne doznania? Było już całkiem ciemno. Deszcz stukał o szyby i o dach samochodu. Kałuże pogłębiały się z minuty na minutę. Spod kół pędzących drugim pasem ciężarówek i samochodów osobowych tryskały fontanny brudnej wody. Mimo że włączyła wycieraczki i ogrzewanie tylnej szyby, widoczność była bardzo słaba. Zuzanna pamiętała, że nawet Bodine nieomal minął zakręt, kiedy wiozł ją na plażę. Wszyscy twierdzą, że noce na przylądku Cod są ciemniejsze niż gdzie indziej. Czy uda się jej w strugach deszczu i w ciemnościach dojrzeć małą, boczną drogę? Policjanci z Cohasset byli bardzo uprzejmi, ale niewiele mogli zrobić. Wszystko wskazywało na to, że Abigail poszła na wagary, z których jeszcze nie wróciła. Nikt nie miał pewności, czy przypadkiem nie popadła w jakieś tarapaty, należało się jednak spodziewać, że i Abigail, i Zuzanna zjawią się wkrótce w domu całe i zdrowe.

- Chyba im nie wierzysz? - spytała Connie Bryana. Bryan wstał z łóżka i, kompletnie ubrany, siedział na kanapie w pokoju telewizyjnym.

- A ty?

- Sama nie wiem. Chciałabym, ale...

- Masz złe przeczucia. - Bryan pokręcił głową. - Ja też. Próbuje wprawdzie sobie wmówić, iż ta przekłeta grypa tak mnie przygnębia, wiem jednak, że to nieprawda. Boję się, Connie. Wybacz mi, wolałbym kłamać, zapewniać, że nie ma powodu do zmartwienia, ale po tylu latach wspólnego życia nie potrafiłbym cię oszukiwać.

- Ja też nie.

- Tabbie powinna się zjawić lada moment. -Tak.

- Cieszę się.

- Ja też. Pewnie powie to samo, co policja.

- Pewnie tak - przytaknął Bryan, odwracając wzrok. Potem wydmuchał nos.

- Lucy zostawiła dla Abigail porcję pieczeni jagnięcej, ale nakarmi ją dopiero wtedy, kiedy Abigail się przed nią wytłumaczy.

Bryan spojrzał żonie w oczy.

- Coś się jej musiało stać, prawda? Connie wolała nie odpowiadać.

O wpół do dziesiątej Pete nadal stał w korku na John Fitzgerald Expressway, spowodowanym ulewnymi deszczami. Przeklinał innych kierowców, pogodę i wszystko, co utrudniało mu drogę do Zuzanny i Abigail. Jeśli cały czas będzie podróżował w tym tempie, do Provincetown dojedzie dopiero koło północy. Bóg jeden raczy wiedzieć, co się do tego czasu wydarzy między nimi a Bodine'em. Może Zuzanna wręczyła mu pieniądze, odebrała Abigail i są już w drodze do domu? Pete czuł, że sprawa nie jest aż tak prosta. Człowiek o przeszłości takiej, jak Mateusz Bodine, z pewnością nie okaże się uczciwym szantażystą. Jeśli uczciwi szantażyści w ogóle istnieją.

Przypomniał sobie, co Zuzanna opowiadała o chacie, i pomyślał o burzy, o której od wielu godzin mówili w ra-

diu. Bał się, że Zuzanna też mogła utknąć gdzieś w korku i umiera teraz z niepokoju, myśląc o biednej Abigail, samej z Bodine'em. Zastanawiał się też, czy Bodine, po tylu latach, nadal czuje coś szczególnego do Zuzanny i czy może się zniżyć do kazirodztwa...

Sytuacja na drodze nieco się poprawiła. Samochody jechały bardzo powoli, ale bez przestojów. Pete patrzył na twarze innych kierowców: zrezygnowane, zirytowane, złe, nieruchome. Zastanawiał się, co czeka tych ludzi u kresu podróży. Zaniepokojona rodzina, zniecierpliwiona żona, pies z pełnym pęcherzem, niedawno poznana sympatia? Zazdrościł im wszystkim. Sam nie wiedział, co myśleć o sobie. Czy jest dzielnym bohaterem, spieszącym ukochanej na pomoc, czy raczej durniem, wtykającym nos w nie swoje sprawy.

Jeśli tam dzisiaj dojadę i znajdę ich, to co zrobię? - zastanawiał się. Nie mógł zadzwonić na policję. Tego Zuzanna nigdy by mu nie wybaczyła. Nie miał przy sobie żadnej broni. W życiu nie wziął pistoletu do ręki. Nie umiałby się nim posłużyć. A jeśli Bodine ma broń palną? - myślał. - Albo nóż? Może swoim pojawieniem się Pete wywoła niepotrzebne i niebezpieczne zamieszanie? Może Zuzanna sama lepiej potrafi załatwić tę sprawę?

Co będzie, jeśli ich znajdzie? Nigdy nie był w harcerstwie, nie najlepiej czytał z mapy... Do cholery, był psychologiem, a nie Jamesem Bondem. Zastanawiając się nad tym, pokręcił głową. Umieć słuchać - myślał. - Pozwalam się ludziom wygadać i lubię im pomagać budować wiarę we własne siły.

Jednak pod żadnym pozorem nie zamierzał poprawiać samopoczucia Mateusza Bodine'a. Chętnie zobaczyłby go za kratkami albo w trumnie. Pierwszy raz w życiu życzył komuś śmierci.

Co stanowi najlepszy dowód, że wszystko musimy kiedyś zrobić pierwszy raz.

Zuzanna znalazła szlak Smali Swamp za trzecim razem, posługując się wielką latarką, którą kupiła w przydrożnym sklepie niedaleko Springfield. W smudze światła zobaczy-

la, że jej oddech, unoszący się w postaci pary, jest drżący i nieregularny. To ze strachu. Może on czai się w pobliżu i obserwuje ją? Czekala i czekała, ale na próżno. Droga wciąż była pusta. Drzewa gięły się w pól i skrzypiały, szarpane gniewnymi porywami wiatru i smagane strugami deszczu.

Po raz nie wiadomo który spojrzala na zegarek. Była dziewiąta dwadzieścia pięć. Mimo że prawie nigdy się nie modliła, teraz odmawiała w myślach modlitwy, jak gorliwy ksiądz. Prosiła, żeby on się spóźnił, żeby jeszcze przyszedł. Bez jego pomocy nie znajdzie przecież chaty. Na pewno nie w ciemności. Może dotrze tam rano, kiedy będzie już za późno, ponieważ jej ukochana Abigail spędzi z nim całą noc. Nikt na świecie nie wiedział lepiej od niej, co to znaczy; do czego Mateusz Bodine jest zdolny. Na myśl o tym zrobiło się jej niedobrze. Uciekla do samochodu, zatrzasnęła za sobą drzwi i otuliła się ramionami, starając się zapanować nad drżeniem ciała i nad własnym przerażeniem.

- Udało ci się - odezwał się nagle głos z tylnego siedzenia.

Zuzanna krzyknęła. Nigdy nie wierzyła w to, że przestraszony człowiek odruchowo zaczyna krzyczeć. Zawsze się jej zdawało, że to tylko wymysł filmowców, ale teraz, kiedy zobaczyła we wstecznym lusterku jego twarz, poczuła jego zapach, ciepło jego ciała, krzyczała tak głośno, że chyba pól Truro ją słyszało.

- Ulżyło ci? - spytał, kiedy umilkła.

Zuzanna odwróciła się, żeby sprawdzić, czy jest z nim Abigail, chociaż wiedziała, że jej tam nie będzie.

- Gdzie ona jest? - spytała, łapiąc ciężko powietrze.

- Wiesz, gdzie.

- Jak się czuje?

- Dobrze.

- Zaprowadź mnie do niej. - Głos jej zachrypł od krzyku. - Proszę.

- Masz pieniądze?

- Tak. W torebce. -Ile?



Sięgnął na przednie siedzenie, wziął torebkę i zaczął ją otwierać.

- Tyle, ile udało mi się zebrać. - Ile?

- Dziesięć tysięcy... Więcej nie chcieli mi dać. Robiłam, co mogłam...

- Żartujesz?! - ryknął. - Chyba nie mówisz poważnie? Mówiłem o pięćdziesięciu tysiącach, a ty przynosisz mi dziesięć? Nędzne dziesięć tysięcy dolarów zamiast pięćdziesięciu?

- Daliby mi więcej, ale nie potrafiłam wytłumaczyć, na co potrzebne mi nagle tyle pieniędzy. - Zuzanna wyteńczyła wszystkie siły, żeby znaleźć uspokajające słowa. Przypomniała sobie, co jej podpowiadał wewnętrzny głos. - To na początek. Później dam ci więcej, przysięgam. Dostarczę ci je, gdziekolwiek będziesz.

Bodine pokręcił głową.

- Dziesięć tysięcy dolarów. Jezu!

Zacisnął prawą dłoń w pięść i, raz-dwa-trzy, walnął w oparcie jej siedzenia z taką siłą, że cały samochód się zatrzęsł. Zuzanna miała ochotę otworzyć drzwi i uciec, wiedziała jednak, że Bodine ją złapie. Zresztą, gdyby się jej nawet udało, kto wie, jaki los czekałby wówczas Abigail?

- Wielki Boże - powiedział kręcąc głową, jakby się czemuś bardzo dziwił.

- Boże! Zuzanna, muszę przyznać, że przez te wszystkie lata nauczyłaś się nieczystej gry.

- Nie - odparła szybko. - Naprawdę się starałam... Błagałam o więcej, ale dałeś mi mało czasu. Uznałeś to pewnie za najlepsze rozwiązanie...

żebym nie zdążyła się nad tym wszystkim zastanowić. I chyba miałeś rację... Gdybyś zostawił mi cały dzień, może zdecydowałabym się komuś powiedzieć...

- Ale nie powiedziałaś? - spytał Bodine. - Na to jesteś chyba za sprytna? Dobrze wiesz, że jeśli mnie oszukasz, zabiję Abigail. Chyba w to wierzysz?

- Tak - odparła Zuzanna, zastanawiając się, jak najlepiej poprowadzić tę rozmowę. - To znaczy nie, nikomu nie powiedziałam. Przecież ci obiecałam. Ale nie wierzę, żebyś mógł zabić własną córkę, chociaż może się myłę...

- Mylisz się - powiedział twardo. - Jeśli zobaczę w pobliżu choćby jednego policjanta, zabiję ją, a ciebie wezmę jako zakładniczkę. Chwilę milczeli. Deszcz na moment osłabł, ale potem znów zaczął padać z dawną siłą. Jakaś złamana gałąź uderzyła o przednią szybę.

- Chodźmy do niej. Proszę. Jest sama w taką noc. Pewnie się strasznie boi.

- Powinnaś wiedzieć, jak ona się czuje.

- O, tak - przyznała Zuzanna.

- To dobrze. - Bodine cofnął się. - Niech będzie. Idziemy. Zuzanna otworzyła drzwi.

- Mam coś w bagażniku - powiedziała.

- Niczego nie będziesz potrzebować.

- To nie dla mnie. Dla ciebie i dla Abigail. Przynajmniej zobacz. Wyszli z samochodu i podeszli do bagażnika. Zuzanna podniosła klapę i przyświeciła latarką. Bodine schylił się, ale tylko nieznacznie, jakby się bał, że Zuzanna przytrza-śnie go klapą, i zajrzał do środka.

- Pamiętałaś... - powiedział nieco łagodniejszym głosem.

- Oczywiście że pamiętałam. Mogę wziąć?

- Chyba tak. Zuzanna wyjęła pudło.

- Ja poniosę - zaproponował Bodine.

- Nie trzeba. Poradzę sobie.

- Jeszcze upadniesz albo co. - Przewiesił sobie jej torebkę przez ramię i wziął od niej pudło. - Tędy będzie bliżej.

- Idziemy pieszo? - zdziwiła się Zuzanna. Bodine odwrócił się i ruszył przed siebie.

- Nie zadawaj głupich pytań - powiedział.

Pete wreszcie mógł normalnie jechać. Palił jednego papierosa za drugim i starał się nie myśleć o niczym, z wyjątkiem prowadzenia samochodu. Mijając Cohasset drogą numer 3, pomyślał o Van Dusenach i o tym, co teraz przeżywają. Bryan, unieruchomiony przez gripę i noc, pewnie szaleje z niepokoju. Może mimo wszystko wsiadł do samochodu i jeździ po okolicy, szukając Abigail? Biorąc pod

uwagę fakt, że ostatnia wiadomość o zaginionej pochodziła z Brewster, niewykluczone, że w tej chwili Tabita jedzie na przylądek tą samą drogą co Pete. Mam nadzieję, że nie -pomyślał. Najbardziej sfrustrowana z pewnością jest Connie. To ona kieruje życiem całej rodziny, ale w tej sytuacji może tylko siedzieć przy telefonie i czekać na wiadomość. Koło Manomet Pete zajechał na stację benzynową, żeby kupić nową paczkę papierosów i zadzwonić. Najpierw wykręcił numer Van Dusenów. Prawie natychmiast słuchawkę podniosła Connie. Bryan i Tabbie przez pewien czas jeździli po okolicy, ale właśnie wrócili do domu, bez żadnych rezultatów. Potem zadzwonił do siebie i odsłuchał trzy nagrane wiadomości. Zuzanna nie dzwoniła. To znaczy, że nie skończyło się na wręczeniu pieniędzy i odebraniu Abigail. Gdyby już była bezpieczna, z pewnością by go o tym powiadomiła. Pete biegiem wrócił do dżipa. Pośliznął się na czymś, ale nie zwolnił kroku. Usiadł za kierownicą i wjechał na szosę. Przejedzie jeszcze kilkanaście kilometrów, dotrze do mostu Sagamore, potem wjedzie na drogę numer 6, czyli autostradę Mid Cape, która doprowadzi go na miejsce. Nie zatrzyma się, dopóki nie odnajdzie szlaku Small Swamp i starej, obitej papą chaty, gdzie kobieta, którą kocha, na nowo przeżywa koszmar swojego dzieciństwa.

## *Rozdział 22*

Zostawił Abigail w ciemności. Była tam wprawdzie świeczka, ustawiona na starej, przerdzewiałej puszcze, ale zaraz po jego wyjściu zdmuchnął ją wiatr. Siedziała w kącie. Bodine odkleił z jej ust taśmę, ale ręce i nogi nadal miała skrępowane. Kiedy drzwi się otworzyły i zobaczyła światło latarki, krzyknęła ze strachu, ale potem usłyszała głos Zuzanny. Matka przyklękła obok niej, wzięła ją w ramiona, tuliła, całowała, kołysała, sprawdzała, czy nic jej się nie stało... Abigail zaczęła szlochać jak małe dziecko.

- Tak się bałam.

- Już dobrze. Jestem przy tobie.

- Myślałam, że nie przyjedziesz...

- Jak mogłaś tak myśleć? Już jestem.

Bodine przyglądał się im bez słowa, dopóki Zuzanna nie zaczęła rozwiązywać krępujących córkę sznurków.

- Przestań.

- Dlaczego?

- Bo ja tak mówię.

Zuzanna ujęła lodowate dłonie Abigail, starając się ją rozgrzać, dodać jej otuchy. Spojrzała na Bodine'a.

- Obiecałeś, że nas puścisz, jeśli przywiozę pieniądze.

- Ale nie przywiozłaś tyle, o ile prosiłem.

Zuzanna poczuła, że Abigail przebiegł dreszcz. Mocniej ścisnęła jej dłonie.

- Wiesz dlaczego. Obiecałam, że przyślę ci resztę.

- Ja wiem dlaczego, a ty wiesz, że w to nie wierzę - odparł Bodine.

- Ja nie kłamię. -Nie?

- Zresztą, niezależnie od tego, czy odejdziemy stąd, czy też tu zostaniemy, nie rozumiem, dlaczego Abigail miałyby być związana. - Zuzanna starała się nie tracić spokoju. -Przecież sama nie ucieknie, a ja się nigdzie nie wybieram.

- Słusznie.

- A więc mogę?

Abigail przestała płakać, ale jej ciałem nadal wstrząsały spazmy. Czuła, że powinna milczeć, że to sprawa Zuzanny i że jej życie zależy od matki.

- Mogę ją rozwiązać? Proszę. Bodine wzruszył ramionami.

- No dobrze.

Zuzanna najpierw rozwiązała ręce. A gdy Abigail zaczęła rozcierać ściernięte, obolałe nadgarstki, zajęła się roz-supływaniem węzłów na nogach.

- Gotowe. - Zuzanna potarła skórę nóg córki nad butami, gdzie został ślad po sznurze. - Najpierw je rozruszaj, zanim spróbujesz wstać.

- Nie musi wstawać - stwierdził Bodine.

Odwróciły się i w świetle latarki zobaczyły w jego ręku nieprzyjemnie wyszczerbiony nóż myśliwski. Trzymał go w prawej ręce, a palcami lewej dłoni przesuwiał po ostrzu.

- Wiem, że nie będę go musiał użyć - powiedział.

- Nie - zgodziła się z nim Zuzanna. - Nie będziesz musiał. Wyprostowała się i zrobiła krok w jego kierunku.

- Dokąd idziesz?

- Wyjąć coś z pudła.

Zanim jeszcze spytała Bodine'a, czy puści je wolno, wiedziała, jaką odpowiedź usłyszy. Domyśliła się tego już w Springfield, gdzie zrobiła zakupy. Słyszała coś o tak zwanym syndromie sztokholmskim. Pisano o tym w gazetach. Więźniowie odruchowo starają się zaprzyjaźnić ze swoimi oprawcami. Pudło z rzeczami podobnymi do tych, które przed laty przynosił jej Bodine, było jej jedyną bronią. Postanowiła wykorzystać syndrom sztokholmski na swoją korzyść.

- Dobrze - zgodził się.

Abigail milczała. Obserwowała Zuzannę, zerkając ukradkiem na Bodine'a w obawie, że napotka jego wzrok. Zadowolona, że może się czymś zająć i uspokoić nieco nerwy, Zuzanna wyjęła gazową kuchenkę, którą znalazła w dziale ze sprzętem turystycznym, i spróbowała ją uruchomić. Napotkała spojrzenie Abigail i zrozumiała jej niepokój. Córka nie wiedziała, dlaczego matka godzi się z tą nienaturalną sytuacją.

- Pomyślałam, że jesteście obydwójcie głodni i zziębnięci - powiedziała. - Kupiłam trochę zupy.

- Grzybowa - przeczytał Bodine.

- Oczywiście. I krakersy.

- Nie masz ptasiego mleczka? - spytała z ironią Abigail.

- Niestety, nie.

- Co za kłopot z tymi dzisiejszymi dziećmi - odezwał się Bodine. - Zepsute bachory.

- Abigail nie jest zepsuta - odparła Zuzanna.

- Dziękuję - rzuciła z przekąsem Abigail. Bodine postąpił krok w jej kierunku.

- Nie pyskuj swojej mamie.

- Nic nie szkodzi - uspokajała go Zuzanna, widząc w oczach Abigail nową falę strachu.

Potem nikt się nie odzywał. Zuzanna zapaliła ogień na kuchence, otworzyła puszkę, wylała jej zawartość do niewielkiego garnuszka i przysiadła na podłodze, czekając, aż zupa się zagotuje. Doskonale pamiętała ryk oceanu, nieprzyjazną pogodę, migotanie ognia na maszynie... W chacie nie zmieniło się prawie nic, tylko materaca już nie było. Ktoś kiedyś pomalował ściany farbą w kremowym kolorze i załatał nową deską szparę w ścianie, przez którą Zuzanna wiele lat temu wyglądała na świat. Na podłodze leżał dywan. Kiedyś był z pewnością bardzo ładny, ale został tak zniszczony przez piasek, wilgoć i owady, że najlepiej byłoby go stąd wyrzucić.

„Nie zabawisz tu długo - przywołał ją do porządku wewnętrzny głos. - Jeśli już musisz wspominać dawne czasy, to tylko po to, żeby się stąd jak najszybciej wydostać”.

Zuzanna spojrzała na podgrzewającą się zupę, potem na Abigail. Córka wpatrywała się w nią uporczywie, nie rozumiejąc zachowania matki. Dlaczego siedzi spokojnie, przygotowując kolację dla porywacza? Jak jednak miałyby rozumieć, skoro nawet sama Zuzanna nie była pewna, jakie są jej zamiary?

- Chyba jesteś bardzo zmęczona - powiedziała do Abigail.

- Nic mi nie jest.

- Zjedz trochę zupy. - Zuzanna mówiła powoli, wyraźnie, spokojnie, chcąc nakłonić córkę do współpracy. - Mam nadzieję, że potem będziesz się mogła przespać.

Abigail otworzyła usta, ale szybko je zamknęła. Bodine poruszył się gwałtownie. Wpatrywał się w nią z napięciem. Nagle Abigail pomyślała, że chyba zaczyna rozumieć, co się dzieje. Między Zuzanną a Bodine'em istniała jakaś wyczuwalna więź i matka prawdopodobnie chciała to wykorzystać dla dobra córki i własnego.

- Rzeczywiście, trochę zgłodniałam - odparła po namyśle.

- Przyjemnie pachnie, prawda?

- Tak - zgodziła się Abigail. Mateusz Bodine usiadł.

Zjedli zupę i krakersy, Zuzanna dała Abigail i Bodi-ne'owi po jednym czerwonym jabłku.

- Dziękuję, może zjem później - powiedziała Abigail.

- Na pewno?

- Tak - powtórzyła, spoglądając na Bodine'a. - Dziękuję. Zuzanna również na niego spojrzała.

- Kupiłam też trochę kawy.

- To dobrze - odparł.

Po chwili Zuzanna znów spojrzała na Abigail.

- Chcesz się załatwić przed snem?

Abigail zachnęła się i poczerwieniała tak, że nawet w słabym świetle było to wyraźnie widać.

- Nie potrzebuję.

- Na pewno? Mogę z tobą wyjść przed dom.

- Ona nigdzie nie pójdzie - wtrącił Bodine.

- Myślałam...

-Więc nie myśl. Jeśli będzie musiała, może sikać w majtki. Oprócz najbliższej rodziny nikogo tu nie ma.

- Rzeczywiście. - Zuzanna kiwnęła głową.

Abigail wzruszyła ramionami, ale nic nie powiedziała.

- Może spróbujesz się przespać? - zaproponowała Zuzanna. - Dobrze ci to zrobi.

- Spróbuję - przytaknęła Abigail, kładąc się. Po chwili jednak znów usiadła. - Przyniosłaś ze sobą koc?

- Niestety, nie.

- Nie jest zimno - wtrącił Bodine.

- Ciepło też nie jest - Zuzanna uprzedziła odpowiedź Abigail.

- Trudno - powiedziała Abigail i znów się położyła.

- Miłych snów - życzyła jej Zuzanna. Abigail zamknęła oczy.

Burza przybierała na sile. Wiatr uderzał w drewniane ściany. Zuzanna dziwiła się, że chata przetrwała tyle lat. Nagle dał się słyszeć odgłos spadających gontów. Budynek był pozbawiony okien, ale Zuzanna wiedziała, że wydmy zmieniają teraz kształty i miejsca, a w powietrzu unosi się mnóstwo piasku. Po drodze zauważyła, że jedna z wydm o płaskim wierzchołku była bardzo blisko chaty. W dawnych czasach wydmy zaczynały się nieco dalej. Miała też wrażenie, że niepokojący ryk oceanu dochodził jakby z mniejszej odległości, ale przy wyciu wichury, w ciemności, nie mogła mieć co do tego pewności. Zresztą, po co porównywać wspomnienia z rzeczywistością? Powinna raczej myśleć o tym, jak wybawić Abigail i siebie samą z opresji.

Jeśli dożyjemy świtu - pomyślała nagle - Pete wezwie policję. Na początku ucieszyło ją to, ale potem przypomniała sobie o groźbach Bodine'a, o jego nożu i sile, i z nową mocą uświadomiła sobie, że wszystko zależy od niej.

i że musi coś wymyślić przed nadejściem rana.



- Ależ to dziwne - mruknęła znacznie później. Abigail spała w kącie, a ona i Bodine siedzieli po dwóch stronach kuchenki.

- Co cię tak dziwi?

- To, że znów tu jesteśmy - uśmiechnęła się Zuzanna. - Tyle że nasze dziecko jest już duże.

Bodine milczał. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

- Myślisz tak czasem? - spytał. - O nas?

- Czasem.

- Nie wierzę.

- Ale tak jest. Od prawdy nie da się uciec.

Bodine zmienił pozycję. Kolano zaczynało mu dokuczać.

- Boli? - spytała Zuzanna.

- To nic wielkiego.

- Chyba nie mówisz prawdy. Widać, że cierpisz.

- To tylko artretyzm. - Bodine wzruszył ramionami. - Nie powinienem siedzieć w zimnej, wilgotnej chacie.

Zuzanna spojrzała na niego bacznie.

- Czy dlatego chciałeś pieniędzy? Zastanawiałam się...

- Nad czym?

- W przeszłości nigdy o nic nie prosiłeś.

- Kiedy rozmawialiśmy przez telefon, mówiłaś co innego - przypomniał Bodine.

- Wiem. Byłam na ciebie wściekła.

- Rzeczywiście.

Zuzanna pochyliła się ku niemu.

- Gdybyś mi powiedział prawdę... że jesteś chory i dlatego potrzebujesz pieniędzy, dałabym ci je. - Nie sądzę.

- Chybabym to jednak zrobiła, gdybyś nie próbował mnie szantażować.

- Nie wierzę. - Bodine pokręcił głową.

- Dlaczego? - spytała i spojrzała na Abigail. - Nie czujesz tego? Tej więzi między nami? - Doskonale wiem, co jest między nami - powiedział Bodine. - Przyszłaś tu wbrew swojej woli i jesteś w mojej mocy, ponieważ mam nóż w kieszeni, a w pobliżu nie ma nikogo, kto mógłby ci przyjść z pomocą.

Zuzanna nie dała się zniechęcić.

- Wiem. To prawda - powiedziała cicho - ale nie to miałam na myśli. Mówiłam o tym, czemu nie da się zaprzeczyć, choćbyśmy się obie z Abigail starały z całych sił. Jesteśmy rodziną. Jesteś ojcem mojej córki. Taka jest prawda.

- Może tak, może nie.

Powiedział to z niechęcią, ale Zuzanna dostrzegła w jego oczach dziwny błysk. Taki sam jak wtedy, po narodzinach Abigail, kiedy zrozumiała, że jest zaskoczony, ponieważ sam się nie spodziewał, iż będzie mu zależało na dziecku i jego matce. A one nie były mu obojętne. Mimo całej jego urazy były dla niego ważne. I tej straszliwej nocy, w tym przerażającym miejscu zrozumiała, że to jej jedyna broń.

Pete siedział w dziuple na szlaku Smali Swamp i świecił niewielką latarką na mapę, którą wyblągał od kobiety na stacji benzynowej między zjazdem na Hyannis a drogą numer 6. Oprócz mapy przyładka Cod znajdowały się tam też bardziej szczegółowe mapki ważniejszych miejsc. Pete usiłował się domyślić, gdzie może stać chata Zuzanny, ale szybko się poddał.

Równie dobrze mógłby szukać piłeczki do golfa na Antarktydzie.

Wyszedł z samochodu i rozejrzał się, szukając w świetle reflektorów jakichś śladów ich obecności. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nawet znalazł odciski butów, w niczym by mu to nie pomogło, gdyż w ciemności nie wiedziałby, w jaką stronę podążyć. Zawsze byłem gnojkiem - pomyślał. - Powiniennem albo zrobić tak, jak kazała Zuzanna, albo natychmiast zawiadomić policję.

Po chwili jednak zrozumiał, że ubliżanie sobie nic tu nie da. Wrócił do samochodu, usiadł za kierownicą i zapatrzył się na mapę, zastanawiając się, co ma dalej robić.

Muszę sobie przypomnieć wszystko, co mówiła - myślał. - Na pewno dała mi jakąś wskazówkę. Był pewien, że wywołując z pamięci spotkania, podczas których Zuzanna opowiadała o miesiącach spędzonych w chacie, trafi wreszcie na coś, co może się teraz przydać. Czy wspominała, jakie mijali po drodze budynki? Raczej nie. Może wymieniła jakiś punkt, coś stałego, na przykład most? Albo stojącą

przy drodze kawiarenkę lub bar, zamknięty zimą, ale mogący posłużyć za drogowskaz? Nie. Na pewno nie. Chociaż...

Coś jednak mówiła. Jakiś drobiazg... Trzeba to sobie przypomnieć...

Odłożył mapę i zamknął oczy. Deszcz nieco zelżał, ale wiatr wył ze zdwojoną mocą, tak że trudno było zebrać myśli. Pete cieszył się pamięcią lepszą od przeciętnej, szczególnie w sprawach dotyczących pacjentów. Często badał okoliczności dla innych całkiem trywialne, w poszukiwaniu czegoś ważnego. To, co naprawdę istotne, znajdował właśnie wśród nikomu nie potrzebnych resztek.

Latarnia! Mówiła o latarni.

Starał się uspokoić i wrócić myślami do tamtego dnia, usłyszeć głos Zuzanny opowiadającej o tym, czego w życiu doświadczyła, wspominającej rzadkie chwile przyjemności ubarwiające jej dzieciństwo jak krokusy pokrytą śniegiem łąkę.

Cypel Race. Tak! Na cyplu zwanym Race stała latarnia. Zuzanna przebywała wystarczająco blisko, żeby widzieć jej światło i słyszeć ryk syreny we mgle. Otworzył oczy i zaczął studiować mapę w okolicy Provincetown, aż na zachodnim skraju przylądka znalazł cypel o nazwie Race. Dopiero teraz upadł na duchu. Od latarni dzieliło go kilka kilometrów wydm. Wprawdzie znalazł szlak Smali Swamp, ale na mapie nie zaznaczono drózek wśród wydm, nie mógł więc mieć nadziei, że dotrze tam dżipem. Dobrze wiedział, że bez dokładnych wskazówek szybko zabłądzi.

- Żegnaj, dzielny bohaterze - powiedział i osunął się na siedzenie. Deszcz znów zaczął padać, a wiatr wiał jeszcze mocniej.

I co teraz?

- Wiatr strasznie hałasuje. - Abigail obudziła się jakiś czas temu. Przy tej pogodzie trudno było mieć dobry humor. - Huczy tu jak w młynie. Zaczynam mieć tego dość.

- To wyjątkowo gwałtowna burza - przyznała Zuzanna - ale czasem tak tu wieje.

- Nic wielkiego - powiedział Bodine.

- Czasem u nas też zrywają się burze - zwróciła się do niego Abigail. - Kiedyś tak lało, że podmyło kilka domów, ale czegoś podobnego jeszcze nie słyszałam.

- Nie ma się czym martwić - uspokajała ją Zuzanna. - Mamy szczęście, że jesteśmy ukryci między dwiema wydymami. Gdyby nie to, chata nie przetrwałaby tylu lat.

- To solidna budowla - poparł ją Bodine.

- Mówi się podobno, że za dwieście lat po przyładku Cod nie zostanie ani śladu - powiedziała Abigail. - Będzie się rozpadał powolutku, aż całkiem zniknie.

- Możesz się tym pocieszać - stwierdził złośliwie Bodine.

- Dwieście lat to dość długo - zauważyła Zuzanna. Nagle drzwi otworzyły się z łoskotem i wiatr sychnął do środka piaskiem. Zuzanna pierwsza dopadła drzwi, nie miała jednak dość siły, żeby je zamknąć. Nawet Bodine miał z tym trudności, ale po chwili udało mu się; podparł klamkę jakimś kołkiem.

- Boże! - westchnęła Abigail.

- Co się stało? - spytał Bodine, patrząc na Zuzannę obmacującą sobie lewe ramię.

-Nic.

- Boli?

- Nie. - Zuzanna się uśmiechnęła.

- Pokaż.

- To tylko draśnięcie.

- Może należałoby je opatrzyć?

Zuzanna przypomniała sobie tak wyraźnie, jakby to było wczoraj, jak Bodine kazał obandażować sobie udo, jaka była wówczas speszona i co się stało później. Odruchowo, zapominając o syndromie sztokholmskim i o konieczności uśpienia czujności przeciwnika, zadrżała.

- Ja to zrobię - zaofiarowała się Abigail.

Zuzanna słyszała jej głos jak przez mgłę. Potem poczuła na ramieniu delikatny dotyk. - Jak się czujesz? - spytała Abigail.

Patrząc w jej piwne oczy, Zuzanna kiwnęła głową.

- Już dobrze - uspokoiła córkę.

Bodine stał przy drzwiach czekając, czy się znów nie otworzą.

- Nadal uważasz, że to tylko zwykły wiatr i nic więcej? - spytała go Abigail, wycierając chusteczką do nosa zadrapanie na ramieniu Zuzanny.

- Raczej huragan - odparł Bodine, uśmiechając się.

Powoli, uważnie Pete jechał szlakiem prowadzącym wśród wydmy, modląc się, żeby się nie zgubić. Opuścił szybę, żeby lepiej widzieć i pomagać sobie słuchem. Miał nadzieję, że dotrze do plaży i brzegiem morza bez większych przeszkód skieruje się na zachód. Zanim jeszcze dojechał nad brzeg oceanu, usłyszał jego ryk, do złudzenia przypominający grzmienie kotłów w orkiestrze. Był typowym mieszczuchem, bezradnym wobec potężnego świata przyrody i jego niebezpieczeństw. Ilekroć wiatr uderzał z boku w dżipa, kołysząc nim na wszystkie strony, Pete kurczowo ścisnął kierownicę i drżał ze strachu. W taką noc mieszkańiec Manhattanu powinien smacznie spać w ciepłym łóżku, a nie wystawiać się na łaskę burzy, która mogła przewrócić jego samochód, porazić go prądem i zepchnąć do morza.

- Rety! - powiedział głośno i nacisnął na hamulec. Przed nim, w odległości mniej więcej dwustu metrów, uderzyła błyskawica, rozświetlając nocne niebo. - Jejku! - jęknął, zapominając o dwudziestu latach nauki i całym swoim zawodowym doświadczeniu. W obliczu potężnej, niszczącej siły czuł się bezradny jak mały chłopiec.

Nagle uświadomił sobie, że od kilku minut tak bardzo skoncentrował się na szukaniu drogi i na obawach o własną skórę, że całkiem zapomniał o Zuzannie, Abigail, Mateuszu Bodinie i chacie obitej papą. Odwrócił wzrok od oceanu i spojrzał w przeciwną stronę. Panowała tam taka ciemność, jakby Ameryka nie została jeszcze odkryta. Pete ogarnęło zniechęcenie. Z tego, co mówiła Zuzanna, wynikało, że niemal szesnaście lat temu chata stała wtulona między dwie wydmy. Pete pamiętał jednak, jak jego ojciec podczas wyprawy na przylądek powiedział, że wydmy przesuwają się powoli, niedostrzegalnie, jedno ziarenko piasku za drugim, zmieniając położenie i kształt, a może się też zdarzyć, że po gwałtownej burzy tam, gdzie była wielka, piaszczysta góra, zostanie tylko gładka równina. Jeśli tak -

a w tej chwili Pete wierzył w to bez trudu - to jakim cudem ta nędzna chata mogła się ostać?

„Zabrał Abigail do chaty” - poinformowała go Zuzanna. To znaczy tylko tyle, że tak powiedział jej Bodine, ale to wcale nie musi być prawda. Możliwe, że są całkiem gdzie indziej. Załamany Pete objął kierownicę ramionami, oparł na nich głowę i przez chwilę płakał jak małe dziecko. Szybko się jednak opanował. Kiedy podniósł wzrok, zobaczył gdzieś w oddali światło latarni na cyplu Race. Bez względu na to, czy jego wyprawa ma jakiś sens; czy Zuzanna i Abigail są w chacie; czy chata ciągle stoi, czy też już dawno przestała istnieć, Pete wiedział przynajmniej, że jest na dobrej drodze. Będzie jeździł po plaży tam i z powrotem, rozglądając się i nasłuchując. Jeśli nic nie zauważy, powtórzy poszukiwania trochę dalej od brzegu morza. Jeśli chata nadal stoi, ma szansę ją odnaleźć.

Cóż innego mógł zrobić? Czekać na nadejście świtu?

- Muszę iść na stronę - powiedziała Zuzanna. Było koło czwartej nad ranem.

Abigail znów spała wciśnięta w kąt, a Bodine jadł kolejne jabłko. Po trzech kubkach kawy nie wyglądał na śpiącego. Zuzanna robiła sobie wyrzuty, że była tak głupia i nie kupiła kawy bezkofeinowej, co zwiększyłoby szansę na ucieczkę podczas snu Bodine'a.

- Muszę się załatwić - powtórzyła.

- Chyba nie jestem ci do tego potrzebny? - spytał Bodine. - A może się spodziewasz, że zbuduję ci wychodek?

- Muszę wyjść.

- Nie ma mowy.

- Muszę, słyszysz?

- Słyszę, ale nigdzie nie pójdziesz. Ledwo mi się udało zamknąć te cholerne drzwi.

- Jakoś sobie poradzisz - powiedziała, wstając. - Siadaj!

- Nie! - Kiedy na niego spojrzała, trzymał w ręku nóż. - Za nic w świecie nie będę sikała przy tobie. - Abigail poruszyła się w kącie. Zuzanna ściszyła głos. - Nawet wtedy mnie do tego nie zmuszałeś. Nie pozwolę się teraz upokarzać.

- Zostaniesz tutaj. Muszę cię mieć na oku.
- Jak sobie to wyobrażasz? Miałabym uciec w taką pogodę i zostawić tu Abigail? Z tobą?

Po tych słowach zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi.

- Na zewnątrz szaleje burza - oznajmił Bodine.
  - Nic mi się nie stanie. Pomożesz mi otworzyć drzwi? Sama nie dam rady.
- Wiatr wyłamał je z zawiasów.

- Zawsze byłaś uparta. - Z namysłem pokręcił głową.
- Tak? Nie pamiętam.
- Cholernie uparta. Teraz jesteś jeszcze gorsza.
- Może i jestem.

Bodine powoli podniósł się z ziemi.

- Co się stało? - spytała Abigail.
- Nic - odparł Bodine. - Śpij.
- Muszę się załatwić - wyjaśniła Zuzanna.
- Wychodzisz na zewnątrz? - spytała Abigail, siadając.
- Twoja matka to prawdziwa dama - zażartował Bodine. - Woli zmagać się z wichurą niż zsiakać się w majtki w mojej obecności.
- Mogę pójść z tobą?

Abigail próbowała wstać, ale nogi miała zeszywniałe po wielu godzinach spędzonych w niewygodnej pozycji.

- Nie. Zostaniesz tutaj. - Bodine zaczął wymachiwać w jej stronę nożem.
- Uważaj na siebie - zwróciła się Abigail do Zuzanny.
- Nie martw się o mnie.

Bodine podszedł do drzwi, żeby usunąć kołek, którym je zablokował.

- Wychodzisz? - Tak.

Wiatr był tak silny, że Zuzanna z trudem trzymała się na nogach, a Bodine ledwo przytrzymał drzwi. Do chaty nawiało piasku i różnych śmieci.

- Zuzanna, nie wychodź! - krzyknęła Abigail, chwytając się ściany.

Zuzanna wyjęła z kieszeni chusteczkę i zakryła nią usta i nos. Gdyby nie konieczność, za nic nie wyszłaby z chaty, ale wolała stawić czoło żywiołom niż upokorzyć się w obecności Bodine'a.

- Zaraz wracam! - krzyknęła.
- Wychodź już! - zezłościł się Bodine, trzymając drzwi obiema rękami.
- Zuzanno, wracaj! - Abigail była przerażona.

Szesnaście lat temu w takie noce nie wychodziła z chaty. Siedziała przy piecyku i korzystała z przywiezionego przez Bodine'a wiadra, ale wtedy nikt jej nie oglądał.

Wtuliła głowę między ramiona i zasłaniając twarz chusteczką, odeszła kilka kroków od chaty. Wiedziała, że dalej nie wolno jej pójść, bo nie odnajdzie drogi powrotnej. Trafiła na jakiś dołek, zrobiła to, co musiała, w braku czegoś lepszego podtarła się chusteczką i puściła ją na wiatr. Piasek podrażnił jej oczy, kiedy zapinała suwak. Pędem puściła się z powrotem.

I wtedy to zobaczyła. W świetle błyskawicy na moment ukazała się wielka chmura. Wisiała nienaturalnie nisko i szybko zbliżała się do chaty. Tworzył ją piach i różne szczątki unoszone przez nieziemsko ryczący wicher. Zuzanna krzyczała, chcąc ich ostrzec, wiatr zagłuszał jednak jej głos. Próbowwała biec, ale chmura już ich dopadła. Zuzanna uderzyła plecami o ścianę chaty.

- Abigail! - krzyczała. - Abigail!

Najpierw wichura porwała dach. Ciśnięta na mokry piasek, Zuzanna ujrzała, niby na filmie puszczone na zwolnionych obrotach, stare gonty jak karty unoszące się na wietrze. Chmura wciągała wszystko niczym potężny odkurzacz. Potem zawaliła się jedna z belek i cała chata się zapadła.

- O Boże! - zawołała Zuzanna, podnosząc się z ziemi. -Boże!

Wielka chmura, wzbogacona o kawałki chaty, ale nadal głodna czegoś więcej, przesunęła się dalej. Zuzannie udało się stanąć na nogi. Pobiegnęła tam, gdzie powinny być drzwi, ale ich nie było. Nic nie widziała i nie słyszała aż do następnej błyskawicy. W jej świetle kilka metrów dalej zobaczyła włosy Abigail.

- Abigail! - krzyknęła. - Nic ci nie jest?

Nie dostrzegła żadnego ruchu, zaczęła się więc przedzierać przez ruiny chaty i zwały mokrego piasku. Potknęła się



o coś i upadła. Kiedy na niebie pojawiła się kolejna błyskawica, krzyknęła z przerażenia, bo zobaczyła, że potknęła się o ciało Bodine'a. Leżał bez ruchu, z zakrwawioną głową. Coś musiało go uderzyć. Może drewniana belka albo drzwi? Wielkie piwne oczy, które kilka minut temu uśmiechały się do niej, były otwarte i nieruchome. Zuzanna poczuła żal. Cokolwiek by mu zarzucić, to on dał jej Abigail.

- Abigail - szepnęła.

Zostawiła Bodine'a. Idąc na czworakach, odnalazła córkę. Nieco poniżej jej lewego ramienia - niebezpiecznie blisko serca - w ciało wbił się kawał ostrego drewna. Zuzanna przeraziła się. Chciała wyszarpnąć drewno, ale w porę się powstrzymała. Uświadomiła sobie, że może w ten sposób spowodować krwotok.

Usiadła i rozpaczliwie się rozszłochała. Lewa noga Abigail była ledwo widoczna spod zwalonej ściany. Nie można było sprawdzić, czy jest złamana, czy może krwawi. Zuzanna nie wiedziała nawet, czy powinna spróbować ją uwolnić, czy też jest to zbyt niebezpieczne.

- Co ja mam robić? - szepnęła. - Co ja mam robić? - Zamknęła oczy i zaczęła płakać z żalu nad sobą samą. - Nie wiem, co robić.

„Wyciągnij ją - usłyszała głos, który zawsze pomagał jej w najtrudniejszych chwilach. - Musisz ją wydostać”.

Przestała płakać i namacała kłodę leżącą na nodze Abigail. Złapała ją obiema rękami i dźwignęła świadoma, że teraz nie może jej puścić, bo zrobiłaby córce krzywdę. Kłoda była cięższa, niż się zdawało, i Zuzannie zakreśliło się w głowie. Przytrzymała drewniany kłoc w górze, próbując nabrać sił.

„Nie ma czasu - ponaglał głos. - Wyciągnij ją”.

Zuzanna znów szarpnęła. Tym razem uniosła kłodę znacznie wyżej, ale jej drugi koniec uwiązł w rumowisku. Kiedy szarpnęła kolejny raz, kłoda ustąpiła tak nagle, że zaskoczona Zuzanna przewróciła się na plecy; zdążyła się jednak obrócić, tak że ciężki, zwałisty kłoc nie upadł na Abigail, tylko na piasek, wzbijając w górę wielki tuman kurzu. Zuzanna zadławiła się i zaczęła kaszleć.

Abigail jęknęła.

- Abigail? - Zuzanna odwróciła się i zobaczyła, że córka się porusza. - Kochanie, leż spokojnie.

Abigail otworzyła oczy. Była zaskoczona i przestraszona.

- Zuzanna?

- Jestem przy tobie, kochanie. Już po wszystkim. Wydostanę cię stąd.

Abigail poruszyła głowę. Próbowwała usiąść.

- Nie! - powstrzymała ją Zuzanna. - Nie ruszaj się. Musimy zrobić to bardzo powoli, ostrożnie.

Abigail zobaczyła kawał drewna tkwiący w jej piersi niby włócznia i krzyknęła z przerażenia. Twarz jej pobladła. Zamknęła oczy. Zuzanna ujęła dłoń córki i mocno ścisnęła.

- Abigail, postaraj się zachować spokój.

- Gdzie on jest? - szepnęła Abigail, nie otwierając oczu.

- Nie musisz się o niego martwić.

- Gdzie on jest?

- Nie żyje. Został uderzony czymś w głowę. Już go nie ma.

Abigail milczała.

- Słyszysz, kochanie?

- Słyszę. - Abigail kiwnęła głową.

- Nie myśl o nim. Myśl tylko o tym, jak będzie, kiedy się stąd wydostaniemy. Myśl o domu.

Dłuższą chwilę milczały. Raptem Zuzanna spostrzegła, że burza uspokoiła się, jakby nagły atak wichru wyczerpał jej siły. Może już się wyszalała, a może przeniosła się nad morze?

- Nie uniesiesz mnie sama - powiedziała Abigail, nie otwierając oczu. - Jestem za ciężka.

- Ależ nic podobnego!

- Potrzebujemy pomocy. Musisz kogoś znaleźć.

- Nie zostawię cię.

- Musisz! - Abigail otworzyła oczy, ale odwróciła twarz, żeby nie widzieć sterczącego z jej ciała drewna. - On miał przy sobie telefon.

- Telefon?

- Bodine miał przy sobie telefon komórkowy. Dzwonił z niego do ciebie.

Zuzanna przypomniała sobie, że kiedy odebrała telefon w Hawke House (a było to chyba całe wieki temu), krótka przerwa w połączeniu podsunęła jej myśl, że Bodine dzwoni z przenośnego aparatu.

- Włożył go do którejś z kieszeni marynarki - wyjaśniła Abigail. - Możesz go teraz odszukać?

Zuzanna obróciła głowę, wpatrując się w ciemności.

- Chyba tak.

- Będziemy mogły wezwać policję. - Głos Abigail był coraz słabszy. -

Puść moją rękę i poszukaj telefonu.

Zuzanna ostrożnie puściła rękę córki i brnąc na czworakach, odnalazła ciało Bodine'a. Jego blada twarz była widoczna nawet w tę czarną noc.

Zrobiło się jej niedobrze.

- Szybko - szepnęła Abigail.

Zuzanna wstała i odwracając wzrok od twarzy Bodine'a, zaczęła przeszukiwać kieszenie marynarki.

- Znalazłaś? - pytała Abigail.

- Jeszcze nie.

Zuzanna spieszyła się. Cały czas miała wrażenie, że Bodine ożyje, niby jakiś filmowy potwór, i chwyci ją za rękę lub za nogę, jak przed kilkunastu laty na plaży, zanim ją zgwałcił.

„Zuzanno, on nie żyje - napominał ją wewnętrzny głos. - To koniec. Już nigdy cię nie skrzywdzi”.

Telefon znalazła dopiero w czwartej z kolei kieszeni.

- Mam!

Wyciągnęła aparat i przypatrywała mu się w mdłym świetle kończącej się nocy. Nigdy nie korzystała z przenośnych telefonów. Nie lubiła ich; uważała, że używane w miejscach publicznych przeszkadzają innym.

Teraz od telefonu komórkowego zależało życie Abigail.

- Nie wiem, jaki wykręcić numer - powiedziała zdezorientowana. - Jaki numer ma policja? - spytała, ale nie otrzymała odpowiedzi. - Abigail! -

Zuzanna podeszła do córki i zobaczyła, że dziewczyna leży bez ruchu. -

Boże! - jęknęła.

Wykręciła numer 911. Przyłożyła słuchawkę do ucha, ale nic się nie działo. Opuściła lekko telefon. Dostrzegła guzik z napisem „Send” i nacisnęła go. Nadal nic. Powtórzyła całą

operację. Bez skutku. Potem wykręciła „0” i „Send” w nadziei, że odezwie się centrala, ale telefon milczał. Pomyślała, że Bodine pewnie włożył włączony telefon do kieszeni i baterie się wyczerpały. Upuściła aparat.

I nagle, parę kroków dalej, dostrzegła przewróconą kuchenkę. W środku znajdowała się butla z gazem, na której umieszczono nalepkę z najróżniejszymi ostrzeżeniami typu: „Nie stawiać w pobliżu ognia”, „Nie dziurawić nawet po opróżnieniu”. Poniżej nalepki w butlę wbił się ostry kamień. Zuzanna miała wrażenie, że słyszy syczenie wydostającego się gazu.

Jeszcze nigdy nie poruszała się tak szybko.

- Abigail! - krzyknęła władczo.

Zemdlona Abigail nie odpowiedziała. Zuzanna schyliła się, ujęła córkę najpierw pod prawe, potem pod lewe ramię - pamiętała o tkwiącym w omdłym ciele kawałku drewna, ale musiała ryzykować, jeśli chciała uratować życie dziecka - i zaczęła ciągnąć. Chociaż zauważyła, że krwawa plama na piersi się powiększyła, nie zatrzymała się; musiała ją stąd wydostać. Nie spodziewała się, że Abigail jest tak ciężka. Z wysiłkiem ciągnęła córkę. Raz potknęła się o coś i usłyszała jęk Abigail, ale nie ustawała. Deszcz już prawie przestał padać, wiatr się uspokoił i było tak cicho, że Zuzanna wyraźnie słyszała swój ciężki oddech, nieregularne postękiwania i huk oceanu. Jeszcze parę kroków i będą wystarczająco daleko od szczątków chaty...

Pete siedział w dziupie. Wyłączył silnik. Postanowił czekać do świtu, przekonany, że po nocy nie uda się ich odnaleźć. Po pewnym czasie, gdzieś na lewo od samochodu, usłyszał eksplozję.

Podniósł głowę. Wydawało mu się, że zobaczył coś poma-rańczowożółtego, jakby płomień. Tak, to był płomień. Pojawił się na krótko i szybko zgasł. Nie, znów się pojawił, ale znacznie słabszy. Pete domyślił się, że tam z pewnością jest chata, ponieważ w tę upiorną noc w pobliżu nie było nikogo oprócz Zuzanny, Abigail i Bodine'a. Chryste, jeśli on im coś zrobił...

Zadrzał ze zdenerwowania. Uruchomił silnik i nie spuszczać płomienia z oczu, nacisnął pedał gazu.

Raptem, niecały kilometr przed sobą - tylko tyle dzieliło go od nich - wyraźnie zobaczył dopalający się ogień. Potem zobaczył szczątki tego, co jeszcze niedawno było chatą Zuzanny.

Nieco później zobaczył ją i jej córkę.

## *Rozdział 23*

W drodze do Hyannis Pete uświadomił sobie, że z Zuzanną jest coś nie w porządku. Było to coś w jej wnętrzu, czego lekarze nie będą mogli zbadać ani wyleczyć.

Prawie nie ucierpiała podczas wypadku, mimo że w chwili eksplozji odrzuciło ją kilka metrów od chaty. Odniosła tylko parę powierzchownych ran i była posiniaczona, ale to wszystko. Na początku ucieszyła się na widok Pete'a, ale potem zamknęła się w sobie. W drodze do Hyannis prawie się nie odzywała. Siedziała z tyłu i szeptała coś do Abigail, głaszcząc ją po głowie.

Pete zdawał sobie sprawę z jej lęku o życie córki i ze wstrząsu, jakim były dla niej ostatnie wydarzenia. Możliwe, że ukryła przed nim jakąś ranę. Kiedy lekarze udzielią pierwszej pomocy Abigail, poprosi, żeby zbadali też Zuzannę. Jednak jego zawodowy instynkt podpowiadał, że ta ucieczka w wewnętrzny świat ma źródło w czymś głębszym niż szok, rany na ciele, a nawet dramatyczne przeżycia ostatniej nocy. Pamiętał, co Zuzanna mówiła mu o swoim stosunku do szpitali i o gwałtownym ataku lęku, kiedy Hawke został hospitalizowany w Rzymie. Pamiętał też, że podczas pierwszej rozmowy wyznała, iż boi się szpitali. Ale to nie jest zwykły strach. Za tym wszystkim kryło się coś więcej.

- Jak się czujesz? - pytał od czasu do czasu, spoglądając na nią we wstecznym lusterku.

- Dobrze - odpowiadała.

- A Abigail?

- Też dobrze. - Twarz Zuzanny pozostała nieruchoma, pozbawiona wszelkiego wyrazu.

- Bez zmian?

- Bez zmian.

I znów zaczęła mówić do Abigail.

- Poradzisz sobie - szeptała. - Wszystko będzie dobrze.

Gdy wreszcie dojechali do szpitala Cape Cod, Pete zostawił Zuzannę i Abigail w samochodzie, a sam pobiegł na oddział intensywnej opieki medycznej. Kiedy jednak wrócił z dwiema pielęgniarkami i lekarzem dyżurnym, Zuzanna nie chciała puścić Abigail.

- Nie! - powiedziała. - Nie zabierzecie jej.

- Zuzanno, uspokój się - przekonywał ją Pete. - Muszą udzielić jej pomocy.

- Nie! - Zuzanna jeszcze mocniej przytuliła Abigail, a na jej twarzy pojawił się nieubłagany wyraz. Powtarzała z uporem: - Nie możecie jej zabrać.

Najpierw pielęgniarki, potem lekarz dyżurny usiłowali przemówić jej do rozsądku, aż w końcu Pete siłą uwolnił Abigail z objęć matki. Kiedy córkę zabierano do szpitala, Zuzanna przestała walczyć z Pete'em i zrezygnowana osunęła się na siedzenie. Pete'a przeszył zimny dreszcz.

- Nie wejdiesz do środka? - spytał. Milczała.

- Musisz odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących Abigail. Mogę to zrobić za ciebie, ale wolałbym, żebyś tam ze mną poszła.

-Nie.

Pete wziął ją za rękę.

- Kochanie!

- Nie. - W jej oczach widać było paniczny lęk.

- Nie chcesz być przy Abigail?

- Nie pozwolą mi.

- Ależ pozwolą!

- Nie - pokręciła głową.

Pete nie chciał zostawiać jej samej, ale wiedział, że powinien pomóc lekarzom.

- Niech ci będzie - westchnął. - Powiem im wszystko, co

wiem, i zaraz do ciebie wrócę, dobrze? - Nie usłyszał odpowiedzi. - Zuzanno, rozumiesz, co do ciebie mówię? -Tak.

- Ona jest matką Abigail? - Lekarz wskazał głową na Zuzannę, którą Pete w końcu namówił na wejście do izby przyjęć. Potrzebna była jej zgoda na operację.

Pete zastanowił się chwilę.

- Tak, ona jest matką, ale nie jest prawną opiekunką dziewczyny.

- Kto jest prawnym opiekunem?

- Jej przybrani rodzice. Już tu jadą z Bostonu. Dzwoniłem do nich po drodze.

- Kiedy mogą się tu zjawić?

- To pewnie trochę pol rwa.

- Ale ta kobieta jest matką Abigail? -Tak.

- To wystarczy. Niech podpisze.

- Obawiam się, że w takim stanie niczego nie podpisze -odparł Pete.

- Musi. Jej córkę trzeba operować.

- Spróbuję.

- Musi pan zdobyć jej podpis - upierał się lekarz. Pete usiadł obok Zuzanny.

- Jak się czujesz?

- Dobrze.

- Cieszę się.

Czekał chwilę, aż Zuzanna spyta o Abigail, aż zachowa się bardziej normalnie. Poradziłby sobie z nią, gdyby wpadła w histerię, zaczęła krzyczeć albo rzucać krzesłami, Zuzanna zdawała się jednak nie zwracać najmniejszej uwagi na to, co działo się wokół. Pete chętnie dałby jej zastrzyk uspokajający, żeby chociaż w ten sposób wyrwać ją z dziwnego i niezrozumiałego odrętwienia, ale pod nieobecność Connie i Bryana musiał ją jakoś nakłonić do podpisania dokumentów. Dopiero potem będzie mógł jej pomóc.

- Posłuchaj mnie, Zuzanno!

- Słucham - szepnęła.

-Potrzebna jest interwencja chirurgiczna. Ten kawał



drewna tkwiący w piersi Abigail wyrządził wiele szkód. -Wziął ją za rękę; była lodowata. - Straciła dużo krwi i musi być operowana. Zgadzasz się na to?

- Nie - powiedziała Zuzanna.

- Kochanie, musisz to zrobić.

- Powiedziałam już: nie. - Wyrwała mu swoją dłoń. Pete nie wiedział, co robić.

- Zuzanno, chyba nie rozumiesz powagi sytuacji. Abigail musi być natychmiast operowana.

- To niedopuszczalne - powiedziała, nie patrząc na niego. Coś podobnego mówiła już wtedy, kiedy namawiał ją, żeby weszła do szpitala.

- Ależ oczywiście, że to dopuszczalne - odparł, nic już nie rozumiejąc.

-Nie.

Znów wziął ją za rękę i przytrzymał, kiedy chciała się wyrwać. Po chwili przestała się szamotać; podobnie było wcześniej, w samochodzie.

- Musisz podpisać dokumenty - upierał się. Postanowił ją zmusić do złożenia podpisu. - Musisz podpisać! Dopiero potem będą mogli zastosować narkozę. - Zuzanna pokręciła głową. - Zuzanno, musisz podpisać!

- Nie mogę.

- Nie podpisze - oznajmił Pete lekarzowi.

- A to dlaczego?

- Nie może pan zrobić operacji bez jej zgody? Lekarz był zdenerwowany.

- Wykonujemy operacje bez zgody pacjenta i jego rodziny, kiedy istnieje bezpośrednie zagrożenie życia, ale staramy się tego unikać. Skoro matka jest w szpitalu... - Przerwał i spojrzał na Zuzannę. - Czy to jakieś problemy natury religijnej?

- Z tego, co wiem, nie. Pokażmy jej Abigail.

- Dziewczyna jest w bardzo złym stanie.

- Trzeba spróbować - powiedział Pete. - To na pewno nikomu nie zaszkodzi, a może uda się ją w ten sposób przekonać.

Doktor wzruszył ramionami.

- Zgoda.

Pete podszedł do Zuzanny, ujął ją za rękę i pociągnął, żeby wstała.

- Idziemy zobaczyć Abigail.

W jej oczach pojawiła się iskra nadziei.

- Wracamy do domu?

- Nie, Zuzanno.

Poprowadził ją na oddział chirurgiczny. Kiedy zorientowała się, dokąd idą, zaparła się i nie chciała zrobić ani kroku, ale Pete tak ją ponaglał i przekonywał, że Abigail jej potrzebuje, aż w końcu przestała się z nim zmagać i posłusznie poszła dalej.

Nieco wcześniej Abigail odzyskała przytomność, podano jej wówczas jakieś lekarstwo, po którym znów zasnęła. W nosie miała rurki doprowadzające tlen, w lewą rękę wbitą kroplówkę. Była bardzo blada.

- Wygląda bardzo źle - zauważył Pete. Zuzanna wydała z siebie dziwny, miaukliwy dźwięk. - Po operacji dojdzie do siebie.

- Boże! - Zuzanna chwiała się na nogach.

Pete objął ją wpół i podtrzymał. Nic nie mówił. Modlił się tylko w duchu, żeby wreszcie odzyskała rozsądek.

- Dobry Boże!

Zuzanna wpatrywała się w Abigail. W jej oczach widniało przerażenie.

Pete postanowił wykorzystać ten moment, odniósł bowiem wrażenie, że Zuzanna wychodzi z jakiegoś transu.

- Trzeba ją operować - powiedział takim tonem, jakby rozmawiali o tym pierwszy raz, jakby Zuzanna nigdy nie odmówiła swojej zgody. - Musisz podpisać dokumenty.

Nie odrywała wzroku od nieprzytomnej córki.

- Zuzanno - odezwał się surowym głosem Pete - musisz podpisać dokumenty.

Powoli uniosła ku niemu zdziwioną twarz.

- Oczywiście, że podpiszę - powiedziała.

Kiedy przyjechali Van Dusenowie, Abigail przebywała jeszcze na oddziale chirurgicznym. Wszyscy byli zaniepokojeni, przestraszeni, ale i pełni nadziei, że - jeśli Bóg po-

zwoli - znów będą razem. Rodzina otoczyła Zuzannę pełną miłości opieką. Pete przyglądał się temu z boku. Był czujny. Miał wrażenie, że Zuzannie wróciła zdolność trzeźwego myślenia i wewnętrzna równowaga. Na pytania lekarzy, pielęgniarek i policjantów odpowiadała sensownie. Connie usiadła obok niej z jednej strony, Tabita z drugiej. Bryan, chory, ale ze zdenerwowania niezdolny usiedzieć w miejscu, chodził tam i z powrotem. Zuzanna zaczęła opowiadać o tym, co przeżyła w ciągu minionej nocy, aż do chwili, gdy w ruinach chaty znalazła martwe ciało Bodine'a.

Policjanci byli delikatni i taktowni. Zadawali tylko najpilniejsze pytania. Później będą chcieli się dowiedzieć wszystkiego nie tylko o tej nocy, ale i o dawnych, nigdy nie zgłoszonych przestępstwach. Zuzanna rozmawiała z nimi uprzejmie. Sprawiała wrażenie całkiem normalnej. Tylko od czasu do czasu, kiedy inni nie mogli tego dostrzec, spoglądała na Pete'a znacząco. Po latach znajomości doskonale rozumiał jej spojrzenie. Zdecydowała się wyznać mu to, co dotąd przed nim ukrywała. Aż trudno uwierzyć, że coś takiego jeszcze w niej tkwiło, chociaż przecież od dłuższego czasu tego się domyślał.

Minęło siedem dni. Abigail szybko dochodziła do siebie. Po trzech dniach wypisano ją ze szpitala. Zuzanna chciała być przy niej, poprosiła więc Pete'a, żeby wziął dwa dni wolne i dopilnował spraw w Hawke House. Bryan doszedł do zdrowia i służył pomocą policji. Życie znów stało się znośne, choć wszyscy wiedzieli, że na tym nie koniec. Dopóki Abigail nie otrzyma odpowiedzi na swoje pytania, sprawa nie zostanie zamknięta. Nikt jednak nie chciał zamęczać Zuzanny pytaniami i nikt nie wspominał o tym, co jeszcze nie zostało wyjaśnione.

Ósmego dnia Zuzanna zadzwoniła do Pete'a ze swojego mieszkania na Manhattanie. Przyjmował właśnie pacjenta i miał umówione spotkanie z następnym. Oddzwonił do niej dopiero dwie godziny później.

- Wiesz, że to jeszcze nie wszystko, prawda? - spytała.

- Wiem.

- Jestem gotowa opowiedzieć o tym, czego nie wiesz. Byłam na to zdecydowana, jeszcze zanim Bodine...

- Chcesz do mnie wpaść? - spytał Pete. -Tak.

- Kiedy?

- Jak najszybciej.

Pete czuł podniecenie, obawę i zdumienie.

- Przyjdź natychmiast - powiedział.

## *Rozdział 24*

Mieszkaliśmy w Sandwich, na przylądku Cod nad zatoką, kilka kilometrów od Sagamore Bridge. To najstarsze miasto na przylądku, założone już w tysiąc sześćset trzydziestym dziewiątym roku. Od dzieciństwa nas tego uczono. Nasi nauczyciele byli bardzo dumni z tego faktu. Moja matka też często o tym wspominała.

- Mów - zachęcił ją Pete po dłuższej chwili milczenia.

- Być może w drodze do chaty przejeżdżałeś przez Sandwich.

Pete pokręcił głową.

- Jechałem drogą numer 6. Było ciemno. Ale kiedyś widziałem to miasteczko. Jako chłopiec. Ojciec zabrał mnie na przylądek, żeby mi pokazać wydmy.

- Podobało ci się?

- Nie zwróciłem na nie uwagi. Interesowała mnie tylko plaża. - Zamyślił się. - Przypominam sobie jednak, że w mieście stoi znak wskazujący drogę do plaży. Pamiętam, że spytałem wtedy tatę, czy już jesteśmy na miejscu. Jak to dziecko.

- Musiało chodzić o plażę East Sandwich.

- Rozumiem, że miasto jest interesujące.

- Tak. Bardzo szacowne.

- Lubiłaś je? -Nie.

- Dlaczego?

- Pewnie dlatego, że byłam tam bardzo nieszczęśliwa.

- Cały czas byłaś nieszczęśliwa?

- Nie, nie cały czas.

Tym razem Pete jej nie poganiał, tylko czekał. Wiedział, że zdecydowała się mówić. Gdyby tego nie zrobiła, mogłaby stracić Abigail. Mimo że przez wiele lat był jej psychoterapeutą i przyjacielem, wciąż nie znał ostatniej tajemnicy jej życia. Dopiero teraz zdecydowała się ją ujawnić.

-Dopóki to się nie stało, raczej nie zdawałam sobie sprawy z tego, że jestem nieszczęśliwa - powiedziała. -Miałam tylko niejasne poczucie, że nie jestem naprawdę szczęśliwa, rozumiesz? Szczęśliwa w taki prosty sposób, jak potrafią być szczęśliwe małe dzieci. - Umilkła na chwilę.

-Nasz dom był dziwny. Z zewnątrz przypominał inne domy w Sandwich: białe oszalowanie ścian, szare okiennice i szare drzwi wejściowe... był trochę podobny do domu w Cohasset. - Ponownie umilkła. - Kiedy Bodine nas tam zawiózł, pomyślałam, że bardzo przypomina mi mój dom. Zrobiło mi się nieprzyjemnie, ale potem spojrzałam na róże, huśtawkę na ganku, oparte o ścianę rowery i wspomnienie rozmyło się. To był zupełnie inny dom.

- Dlaczego jednak twój był taki dziwny? - spytał Pete.

- Z powodu mojej matki.

- Opowiedz mi o niej.

- Właśnie o niej chcę mówić.

Znów zamilkła. Patrząc na jej twarz, zobaczył skupienie i lęk, pomyślał wtedy, że przypomina dziecko chore na cukrzycę, które ma po raz pierwszy samo zrobić sobie zastrzyk. Z tą różnicą, że w jej przypadku igła musi wejść bardzo głęboko. Nagle zapragnął ją powstrzymać, przytulić i powiedzieć, że nie musi tego robić, że nie ma potrzeby wracać w mrok przeszłości. Ale nie miał prawa tego robić. Teraz był tylko słuchaczem. Musi siedzieć cicho, jak każdy psychoterapeuta, i czekać, aż Zuzanna odsłoni przed nim swoją ranę.

- Miałam siostrę - powiedziała.

Dom stał przy ulicy Main, z dala od centrum, w pobliżu lasu stanowego Shawme-Crowell. Czysty, cichy, zwyczajny, wydawał się niczym nie różnić od typowego domku na przedmieściu, zamieszkanego przez przeciętną amerykań-

ską rodzinę, złożoną z mamy, taty, dwójki lub trójki dzieci i psa. Śniadanie przy stole w kuchni, składające się z naleśników i smażonego bekonu. Dzieci bawią się na podwórku, a mama co jakiś czas wygląda przez okno. W ciepłe wieczory tata gra z maluchami w piłkę albo odkrywa przed chłopcami tajemnice futbolu. W pokoju telewizyjnym cała rodzina zasiada przed ekranem, żeby - podjadając prażoną kukurydzą - kibicować ulubionemu zespołowi. W Święto Dziękczynienia uroczysta kolacja w rzadko używanej jadalni, gdzie wszystkie meble wyczyszczono do połysku, a na stół wyłożono rodzinne srebra. Boże Narodzenie przy ozdobionej migającymi lampkami choince, pod którą leżą prezenty w kolorowych opakowaniach.

Ale w domu przy ulicy Main, w którym mieszkała Marta King, wdowa po Jozuem Kingu, z dwiema córkami: Zuzanną Marią i Abigail Sarą, wszystko wyglądało inaczej. Jej zmarły mąż był katolikiem, ale Marta wychowała się w rodzinie chrześcijan sejentystów w Chatham. Jej rodzice święcie wierzyli we wszystko, czego nauczała Mary Baker Eddy: że człowiek, będący odzwierciedleniem Boga, jest istotą duchową; że jego ciało i śmiertelny umysł są ułudą, podobnie jak cały świat materialny, wobec czego wszelkie ziemskie cierpienia są tylko nieporozumieniem. Marta, podobnie jak jej współwyznawcy, była przeciwna korzystaniu z pomocy medycznej, a ponieważ cieszyła się doskonałym zdrowiem, nigdy nie miała z tego powodu żadnych problemów. Kiedy jednak zaszła w ciążę, Jozue bał się o nią i o dziecko, dlatego często się kłócili. Marta przyszła na świat bez pomocy lekarzy i bez lekarstw. Tak samo urodziła się Zuzanna i, osiemnaście miesięcy później, Abigail.

Sześć miesięcy po narodzinach Abigail Jozue King zginął trafiony przez piorun przy ósmym dołku na polu golfowym Holly Ridge. Trzy miesiące po pogrzebie wszyscy już w mieście wiedzieli, że z wdową King coś jest nie w porządku. Stroniła od ludzi; przestała interesować się życiem lokalnej społeczności. Znajoma zauważyła, że zaraz po śmierci męża Marta jakby się skurczyła i zwiędła, ale po pewnym czasie zaczęła odżywać i odbudowywać w sobie religijne przekonania. Wkrótce stała się tak sztywna i zdzi-

waczała, że jej sąsiadka, Letycja Forbush, rozmawiając o niej przez telefon ze swoją córką, powiedziała, że ta, która kiedyś przypominała chwiejną brzozę, zmieniła się w mocny dąb, a nawet w stalowy dźwigar.

Marta wierzyła, że wzniosła się ponad przeciętny poziom chrześcijańskiego scjentyzmu. Uznała, że jej dom przy ulicy Main jest mieszkaniem Boga, i zaczęła tworzyć własną religię, z nowym wyznaniem wiary i zasadami życia. Nie wystarczył jej zakaz spożywania alkoholu, palenia papierosów i korzystania z pomocy medycznej. W domu Marty King nie było telewizora, radia, muzyki, gazet - z wyjątkiem „Christian Science Monitor”; książek - oprócz Biblii i „Nauki i zdrowia jako klucza do Pisma”; ani żadnych zdjęć z wyjątkiem jednego. Z najpiękniejszej, srebrzonej ramki znikła fotografia Jozuego, a w jej miejsce pojawiła się najcenniejsza rzecz, jaką miała Marta: podobizna Mary Baker Eddy. Rano, po południu, wieczorem, czasem nawet w nocy, Marta modliła się na kolanach przed zdjęciem, prosząc o prowadzenie, pomoc w utrzymaniu dyscypliny, siłę, czystość i wskazanie nowych zasad organizacji prywatnego kościoła.

- Módl się ze mną, Zuzanno Mario - mówiła, nakazując starszej córce klękać przed zdjęciem.

- Tak, mamó - odpowiadała posłusznie Zuzanna.

- Abigail Sara jest jeszcze za mała, żeby coś rozumieć - tłumaczyła Marta - ale ty będziesz mogła tym lepiej pokierować siostrą, im dokładniej poznasz Boga i panią Eddy. Widziałyśmy już, jak Pan zsyła karę, prawda, Zuzanno Mario?

- Tak, mamó.

Zuzanna wiedziała, że „karą Pańską” jej matka nazywa przypadkową śmierć męża. Marta oświadczyła, że pani Eddy odwiedziła ją we śnie i wyjawiała, że Jozue został ukarany za swoje występki: frywolność i wesołość, a także zadowolenie, jakie czerpał czasem z kilku kieliszków whisky czy palenia fajki, przede wszystkim jednak za zamięłowanie do współżycia seksualnego. Powiedziała Zuzannie, że jest jej żal Jozuego smażącego się w piekle, ale Pan, któremu spodobało się spalić jej męża ogniem z nieba, pobłogosławił Martę jasną wizją.



- Teraz o wiele łatwiej przychodzi mi zrozumieć życie -oznajmiła córce uszczęśliwiona.

Zuzannie natomiast trudno było to wszystko zrozumieć. Była bardzo mała i bała się słów matki. To zaś, co słyszała o ojcu, którego prawie nie pamiętała, czyniło ją nieszczęśliwą. Nie lubiła cichego, ciemnego domu. Czowała się niezręcznie, kiedy tak klęczała razem z mamą, modląc się do zdjęcia. Nie spodobało się jej, że Marta wyrzuciła telewizor, radio i książeczki do kolorowania, a jeszcze bardziej to, że zniszczyła wszystkie pamiątkowe, rodzinne fotografie. Marta nie wiedziała (a Zuzanna bała się do tego przyznać), że dziewczynka wyciągnęła z kosza jedno ze zdjęć, na którym widać było rodziców w dniu ślubu, podkleiła je taśmą samoprzylepną i schowała w szufladzie, pod stosem osobistej bielizny. To zdjęcie było pamiątką po szczęśliwszych czasach, których Zuzanna nie pamiętała.

Zuzanna wiedziała, że ludzie z miasta jej współczują. Widziała pełne litości spojrzenia. Między drugim a czwartym rokiem życia prawie cały czas siedziała w domu ze zdziwaczalą matką i maleńką siostrzyczką. Wychodziła rzadko, nawet w najbardziej upalny dzień zawsze ubrana w spódnicę po kostki, bluzkę z długimi rękawami i dziwaczny, przykrywający włosy czepek. Spojrzenia zaciekawionych przechodniów peszyły ją. Przypominała młode zwierzę, nienawykłe do gwaru miasta i widoku ludzi.

W wieku pięciu lat Zuzannie przydzielono pewne obowiązki. Poważna i milcząca, mając zakaz rozmawiania z kimkolwiek, wsadzała swoją siostrzyczkę do wózka i wiozła ją ulicą Main do sklepu spożywczego. Marta przestała robić zakupy. Wyręczała ją w tym starsza córka. Marta w ogóle przestała robić wiele różnych rzeczy: gotować, prać, prasować, uprawiać ogród. Wszystko to zajmowało jej za dużo czasu, wołała go poświęcać modlitwie. Tym bardziej że Bóg dał jej Zuzannę, która ją w tym wszystkim mogła wyręczyć.

Obowiązki domowe były zbyt trudne, a czasem nawet niebezpieczne dla tak małego dziecka. Niełatwo było wspinać się po krześle do kuchenki, deski do prasowania czy

zlewu. Zuzanna szybko się przyzwyczaiła do siniaków, oparzeń i do ciężkiej pracy. Chciała mieć zajęcie, ponieważ wtedy Marta dawała jej spokój i nie zmuszała do klęczenia przed panią Eddy. Najbardziej lubiła chodzić po sprawunki, mimo że ludzie zawsze się jej dziwnie przyglądali; dzisiaj rozumie, że zaciekawiał ich jej niezwykły wygląd. Dla Zuzanny jednak wszystko, co pozwalało na wyrwanie się z mrocznego, ponurego domu, było prawdziwym błogosławieństwem. I choć podejrzewała, że to pragnienie świadczy o tym, iż jest wielką grzesznicą, nie potrafiła tego zmienić.

Zuzanna żyła tylko dla swojej młodszej siostry. Małą Abigail, radość jej życia, nadzieję na przyszłość, najpiękniejsze i najmilsze dziecko na świecie, była gotowa za wszelką cenę chronić przed złem. Pewnie kochała swoją matkę tak, jak kocha każde dziecko, chociaż czasem przyznawała, że wcale nie jest tego pewna, ponieważ niełatwo było kochać kobietę taką jak Marta.

- Zdaje się, że jestem bardzo złą dziewczynką, Abi -szeptała do trzyletniego dziecka, mimo że wiedziała, iż mała jej nie rozumie. - Muszę być bardzo zła, bo nie wiem, czy kocham swoją mamę.

- Abi kocha mamę - odparła Abigail. Miała takie same fiołkowe oczy jak starsza siostra.

- Oczywiście, że ją kochasz.

- Abi kocha Zuzę - dodała. Tylko w obecności Marty Abigail używała pełnego imienia siostry.

- Ja też ciebie kocham - powiedziała Zuzanna. - Najbardziej na świecie.

Gdy patrzyła w słodką, bezmyślną twarzyczkę małej, ogarniał ją lęk.

Zaczynała rozumieć, że jej siostra nie rozwija się normalnie. Zuzanna

była pozbawiona tych samych rzeczy co Abigail, ale bogatsza

wewnętrznie, nauczyła się jakoś sobie bez nich radzić. Zawsze

zatrzymywała się w parku, żeby popatrzeć, jak bawią się dzieci,

posłuchać śpiewu ptaków; przysłuchiwała się, o czym mówią ludzie na

ulicy, a w sklepach sylabizowała nagłówki gazet. Marta nauczyła ją

czytać, ale nie z elementarza, tylko z pism pani Eddy.

Zuzanna starała się wnosić coś z zewnętrznego świata do ponurego,

milczącego domu, w którym przebywała siostra, bała się jednak tego, co

będzie, kiedy ona pójdzie do szkoły, a Abigail zostanie sama z matką.

Kiedy jednak Zuzanna zaczęła już chodzić do szkoły i dopiero popołudniami wracała do domu, w ich życiu nic się nie zmieniło. Abigail nadal była milutka. Ponura atmosfera domu nie zostawiała na niej śladu. Pod nieobecność ukochanej Zuzy towarzyszyła jej wymyślona przyjaciółka

O imieniu Kuka. Rozmawiała z nią, spoglądając z okna sypialni na wielką jabłoń rosnącą za domem.

Za czasów Jozuego wiosną i latem ogród był pełen kwiatów, ale teraz nikt go nie uprawiał. Raz w miesiącu przychodził ogrodnik, kosił trawę i wyrwał chwasty, gdyż wdowa King na nic więcej mu nie pozwalała. Między jego kolejnymi wizytami rozkwitały w trawie stokrotki, mlecze i nagietki. Wiosną drzewo okrywało się białym kwieciem, a jesienią dojrzewały na nim wielkie, czerwone jabłka.

Z braku innych interesujących obiektów najważniejsze stało się dla Abigail drzewo. Podczas gdy Zuzanna była w szkole lub robiła zakupy, mała rozmawiała z Kuką o jego magicznych właściwościach i o maleńkich stworzonkach mieszkających w jego pniu, wychodzących z kryjówek tylko wiosną i latem, kiedy mogły się ukryć wśród liści i owoców.

- Kuka mówi, że to są wróżki - powiedziała Abigail Zuzannie, kiedy ta wróciła ze szkoły. - Kuka mówi, że one śpią w drzewie i czasami wychodzą po jabłka.

- Naprawdę?

- Kuka mówi, że nie powinniśmy jeść jabłek, bo mogłybyśmy zrobić któreś z wróżek krzywdę.

- Na pewno nic złego im nie zrobimy - uspokoiła małą Zuzanna.

- Powiedziała mamie o wróżkach, ale zezłościła się na mnie i kazała mi się modlić.

- Może lepiej nie wspominać mamie o wróżkach i o Kuce.

- Dlaczego mama się na mnie złości? - spytała urażona Abigail.

- *Źle* się czuje. Nie powinniśmy o tym zapominać, kiedy z nią rozmawiamy.

- Dobrze, Zuzo.

Od początku nauki w szkole Zuzanna starała się ukryć przed innymi swoje dziwaczne życie rodzinne. Marta kazała jej wkładać staroświecką długą sukienkę z rękawami i przykrywać włosy, ale Zuzanna widziała, jak ubierają się inne dzieci. Ponieważ Marta nauczyła ją szyć, przez dwa tygodnie Zuzanna siedziała do późnej nocy nad jedną z sukienek, aż nadała jej bardziej normalny wygląd. Codziennie rano, idąc do szkoły, wstępowała na cmentarz i schowana za dużym krzakiem przebierała się, rozpuszczała i czesała włosy, a wracając ubierała się znów tak, jak żyła sobie matka.

Mimo to wszystkie dzieci w miasteczku wiedziały o szalonej wdowie King, o dziwacznych strojach i o domu, do którego nie zaprasza się gości. Zuzanna była jednak w szkole tak szczęśliwa, że z najwyższą chęcią chłoneła wiedzę i cieszyła się towarzystwem rówieśników. Na przerwach dzieci bawiły się na boisku. Ponieważ Zuzanna nie obrażała się z powodu złośliwych przezwisk i przycinków, szybko zdobyła sobie grono wiernych przyjaciół. Jej nauczyciele dziwili się temu. „Ma sześć lat, a za rok skończy szesnaście” - mawiali o niej, zaskoczeni, jak trudy życia potrafiły ukształtować to dziecko.

Drzewo coraz bardziej fascynowało Abigail.

- Wczoraj w nocy widziałam wróżki - powiedziała pewnego wiosennego popołudnia. - Kuka mówi, że jeśli będę grzeczna, pozwoli mi je odwiedzić.

- Nie wydaje mi się, żeby wróżki mogły przyjmować gości, Abi.

- Kuka mówi, że wyjątkowe dzieci mogą je odwiedzać.

- Ty jesteś bardzo wyjątkowa - uśmiechnęła się Zuzanna.

- Pozwolisz mi? Mogę?

- Oczywiście. - Zuzanna wyjrzała do ogrodu i zmarszczyła brwi. - Co Kuka miała na myśli? Jak masz je odwiedzić?

- Zobaczą wróżki mieszkające w drzewie.

- Stojąc na trawie?
- Tak. I będę mogła z nimi porozmawiać.
- Nie wolno ci wspinać się na drzewo, Abi.
- Wiem.
- A wiesz dlaczego?
- Bo to niebezpieczne.
- Właśnie. Wchodzenie na drzewa jest niebezpieczne.
- I mama byłaby na mnie zła.
- Gdybyś to zrobiła, nawet Zuza byłaby na ciebie zła. Abigail zaśmiała się. Zuza nigdy się na nią nie gniewała.

Często powtarzała, że nie potrafiłaby, ponieważ kocha swą małą siostrzyczkę bardziej niż kogokolwiek na świecie.

- Kuka mówi, że może jutro zabierze mnie do wrózek. Zuzanna pocałowała ją.

- Powiedz Kuce, że życzę wam miłego dnia.

Abigail nie udało się jednak odwiedzić wrózek. Powiedziała Zuzannie, że kiedy wyszła na dwór, mama ją zawołała, skarciła za lenistwo i kazała przez godzinę klęczeć przed zdjęciem, prosząc o mądrość. Za drugim razem - dowiedziała się Zuzanna od Abigail - ledwie dziewczynka z Kuka na ramieniu stanęła pod jabłonią, zaczął padać deszcz. Kuka stwierdziła, że wróżki zawsze kryją się przed deszczem w pniu drzewa, ponieważ ich skrzydełka rozpuszczają się w wodzie i trzeba czekać miesiąc, aż odrosną.

- Jutro - pocieszyła Zuzanna siostrę. - Jutro je zobaczysz. - Potem przypomniała sobie, że jutro ma dzień wolny od nauki. - Może pójdziemy do nich razem, jeśli Kuka się zgodzi?

- Oczywiście, że się zgodzi - ucieszyła się Abigail. - Zuza, obiecaj, że je odwiedzimy.

Zuzanna zastanowiła się. Wiedziała przecież, że w pniu drzewa nie ma wrózek, doszła więc do wniosku, że lepiej niczego nie obiecywać. Mimo że w szkole opowiadała czasem różne zmyślane historyjki na temat swojego życia rodzinnego, to nie chciała okłamywać Abigail.

- Nie mogę ci tego obiecać.
- Dlaczego?
- Jutro może padać deszcz.

- Nie będzie padał.
- Wrózek może nie być.
- Kuka mówi, że będą. - Abigail bezgranicznie wierzyła Kuce.
- Skoro tak, to pewnie rzeczywiście będą.

Nazajutrz nie padało. Słońce świeciło już od rana, ale przed dziewiątą Marta powiedziała Zuzannie, że nadszedł czas na kąpiel oczyszczającą.

- Pamiętasz, co to znaczy, Zuzanno Mario?
- Pamiętam, mammo.

Zuzanna zadrżała, gdyż doskonale pamiętała kąpiel po swoich ostatnich urodzinach. Marta wsadziła ją do zimnej wody i szorowała szorstką myjką od stóp do głowy. Potem kazała córce głęboko zaczerpnąć powietrza i modlić się do pani Eddy, po czym wepchnęła jej głowę pod wodę. Dopiero kiedy Zuzanna zaczęła się gorączkowo wyrywać, matka zrozumiała, że dziewczynka się topi, i puściła ją.

- Podczas kąpieli masz milczeć, rozumiesz?
- Tak, mammo, ale obiecałam Abigail, że się dzisiaj z nią pobawię - powiedziała, szukając ratunku.
- Abigail Sara za dużo się bawi. - Marta pobożnie złożyła ręce. Od dawna ubierała się wyłącznie na czarno. - Powinna zająć się wykonywaniem swoich obowiązków, prawda, córko?
- Tak, mammo.
- Powiedz siostrze, żeby była cicho i nie przeszkadzała w kąpieli.
- Dobrze, mammo.

Później, kiedy Abigail weszła do ich pokoju, Zuzanna siedziała skulona na łóżku.

- Możemy teraz odwiedzić wróżki? - spytała.
- Jeszcze nie.

Zuzanna cała się trzęsła. Woda była zimniejsza niż poprzednim razem i zdążyła się jej porządnie napić, zanim ją matka puściła.

- Dlaczego?
- Mama chce, żebym poszła po zakupy. - A widząc malu-

jące się na twarzy dziecka rozczarowanie, dodała: - Jeśli chcesz, możesz iść ze mną.

- Nie. - Abigail rzadko bywała uparta. - Chcę zobaczyć wróżki. Wczoraj mi obiecałaś.

- Nie obiecywałam. - Zuzanna zeszła z łóżka i wyjęła z szafy czepek. - Możemy je odwiedzić, kiedy wrócę.

- Chcę je zobaczyć teraz.

- W takim razie musisz iść sama - zniecierpliwiała się Zuzanna.

Po drodze do sklepu Zuzanna odczuwała niepokój. Niepotrzebnie była tak opryskliwa dla siostry. Kiedy wróciła z torbami i zobaczyła czekającą w drzwiach matkę, ogarnął ją niezrozumiały, paniczny strach.

- Panu znowu spodobało się nas ukarać - powiedziała Marta tak spokojnie, jakby informowała córkę o tym, że zaraz spadnie deszcz.

- Jak to, mamo? - spytała Zuzanna.

- Musimy się modlić, Zuzanno Mario. Musimy się modlić do pani Eddy za Abigail Sarę...

Zuzanna upuściła torby. Nie obchodziło jej, czy jajka się potłuką, czy nie.

- Abigail... Co jej się stało?

- Była nieposłuszna i teraz musi cierpieć, jak ci wszyscy, którzy nie widzą, że weszli na błędną drogę.

- Co jej się stało? - Zuzanna była bliska hysterii. Marta spojrzała z naganą na córkę, która nigdy dotąd nie podnosiła głosu na swoją matkę.

- Chodź, pomodlimy się, Zuzanno Mario.

- Chcę zobaczyć Abigail! Gdzie ona jest? - zawołała Zuzanna, biegnąc ku schodom.

- Zuzanno Mario, wracaj w tej chwili!

- Chcę zobaczyć Abigail!

Abigail leżała w łóżku. Twarz miała bladą jak kreda, a włosy mokre w miejscu, gdzie Marta obmyła je z krwi. Zuzanna przestraszyła się, że dziewczynka nie żyje, ale po chwili zauważyła lekkie drżenie powiek. Kiedy zbliżyła policzek do ust siostry, poczuła jej oddech.

- Abi - szepnęła - to ja, Zuza. - Dziewczynka nie odpowiadała. - Zuza wróciła. Abi, obudź się.

Ale Abigail nie obudziła się ani wtedy, ani później w ciągu dnia, ani wieczorem, ani nawet w nocy. Marta powiedziała Zuzannie, że koło południa skończyła modlitwę i zaczęła szukać Abigail. Znalazła ją leżącą pod jabłonią, z krwią na twarzy i we włosach.

- Wezwałeś lekarza? - Pytając o to, Zuzanna z góry znała odpowiedź. Jej matka uważała leczenie za jedną z najbardziej nagannych rzeczy pod słońcem. - Powiadomiłaś kogoś o wypadku?

- Oczywiście - odparła spokojnie Marta. - Wezwałam Pana i panią Eddy.

- Abigail potrzebuje lekarza. Jest bardzo chora.

- Zostanie uzdrowiona.

-Mamo... - Zuzanna musiała zebrać się na odwagę. -W zeszłym tygodniu w szkole był lekarz. Jedna z dziewczynek przewróciła się i lekarz jej pomógł. Widziałam go. Nie zrobił jej nic złego. Po jego wizycie poczuła się lepiej.

- To złe miejsce - powiedziała Marta. - Wiedziałam, że twój pobyt w szkole nie doprowadzi do niczego dobrego.

- Nie, mamo, to nie jest złe miejsce. To dobra szkoła.

- Chodź, pomodlimy się, Zuzanno Mario. Zuzanna się nie poddawała.

- Mamo, proszę, ten jeden jedyny raz wezwijmy lekarza, żeby obejrzał głowę Abigail. Ja zadzwonię. Pani Eddy nie będzie się mogła na ciebie gniewać...

- Pani Eddy się nie gniewa - przerwała jej Marta. Sama również była spokojna i poważna. - Pani Eddy nieustannie wstawia się za nami u Pana.

- Ależ mamo - głos Zuzanny nawet w jej własnych uszach brzmiał dziwnie smutno - obawiam się, że jeśli nie wezwiemy lekarza, Abigail może umrzeć.

Wdowa King spojrzała na siedmioletnią córkę, a w jej wzroku pojawiło się jakby współczucie.

- Tyle lat i niczego się nie nauczyłaś, Zuzanno Mario? Nie rozumiesz, że uzdrowienia należy szukać w umyśle i że jedyną szansą na uleczenie Abigail Sary z nieposłuszeństwa są jej myśli i nasze modlitwy?



- Jak ona miałaby myśleć? Przecież śpi. Jak może się modlić?

- To dotyczy tylko jej i Pana, dziecko - powiedziała Marta.

Gdyby lekarz zbadał otwartą ranę u podstawy czaszki Abigail Sary, natychmiast zabrałby ją do szpitala w Hyan-nis, gdzie neurochirurg otworzyłby czaszkę i umożliwił odpłynięcie krwi zbierającej się między kością a oponą mózgową. Przepisałby też antybiotyk w celu uchronienia dziecka przed zapaleniem opon mózgowych i mózgu.

Niestety, w ciągu dwudziestu czterech godzin po wypadku jedynym leczeniem, jakie otrzymała Abigail, były pieścizoty jej siostry i błagania o to, żeby dziecko wreszcie się obudziło. A także modlitwy szalonej, ubranej na czarno kobiety, klęczącej przed fotografią.

Nazajutrz o ósmej rano, siadając przy łóżku siostry, Zuzanna zauważyła na jej policzkach wypieki.

- Abigail! - zawołała, ale nie otrzymała odpowiedzi. Delikatnie dotknęła czoła dziecka. Było gorące. Powieki Abigail zadrżały, jej usta rozchyliły się i Zuzanna usłyszała szybki, chrapliwy oddech. Pobiegnęła szukać matki. Marta była już ubrana i klęczała przed fotografią.

- Mamo, Abigail ma gorączkę.

Marta modliła się, nie zwracając na córkę uwagi.

- Mamo, nie słyszysz? Powiedziałam, że Abi ma gorączkę.

- Chodź, pomodlimy się, dziecko.

- Nie, mamo, musisz mnie wysłuchać.

- Okazujesz mi brak szacunku, Zuzanno Mario! - Marta wreszcie otworzyła oczy. Była zdenerwowana.

- Mamo, boję się o Abigail. - Zuzanna zaczęła ciągnąć klęczącą matkę za nogę. - Sama zobacz. Ma gorączkę.

- Widocznie choroba zaczyna z niej wychodzić - powiedziała spokojnie, odpychając córkę. - Niepotrzebnie się martwisz.

Zuzanna pokręciła głową.

- Mamo, chodź. Boję się o Abi.

- Twoja siostra nazywa się Abigail Sara - przypomniała Marta.

- Mamo, proszę!

Ale Marta nie podniosła się z kolan.

O trzeciej po południu Zuzannę, śpiącą na krześle przy łóżku siostry, obudził dziwny dźwięk. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że całe ciało Abigail dziwnie drga.

- Abi, co ci?

Przerażona Zuzanna ujęła ją za prawą rękę, ale dłoń siostry wysunęła się z jej uścisku i znów zaczęła podskakiwać na prześcieradle. Abigail miała otwarte oczy; były tak szkliste, że nawet Zuzanna rozumiała, iż siostra nic nie widzi. Chrapliwy oddech był głośniejszy niż dotąd. Kiedy Zuzanna dotknęła czoła małej, stwierdziła, że jest przeraźliwie gorące.

- Och, Abi! - szepnęła i pobiegła zmoczyć szmatkę, którą od kilku godzin przecierała twarz i dłonie chorej. - Postaraj się nie ruszać, żebym ci mogła pomóc...

Drgawki ustały i ciało Abigail znieruchomiało. Przez moment Zuzanna myślała, że siostra nie żyje. Po chwili jednak zauważyła, że jej piersi unoszą się i opadają, dostrzegła też pulsującą tętnicę na szyi i usłyszała ciężki oddech. Ucieszyła się, bo Abigail jej nie opuściła. Może mama ma rację? Może rzeczywiście choroba, wychodząc z jej ciała, rzucała nim i dręczyła? Może rzeczywiście to wszystko jest przejawem walki między dobrem a złem? Jeśli tak, to Abigail wyzdrowieje, ponieważ nie było w niej ani śladu zła.

Ale już po chwili zrozumiała straszną prawdę.

„Abi umrze - odezwał się jakiś głos, mówiąc wyraźnie i dobitnie. -

Umrze, jeśli zaraz nie zjawi się lekarz”.

Zuzanna wstała z krzesła i podeszła do okna.

Z jabłoni znikły wróżki Kuki i ukryły się głęboko w umyśle nieprzytomnej Abigail. Liście i pąki kołysały się na wietrze. Drzewo było tylko zwykłą rośliną.

Na sąsiednim podwórku Letycja Forbush rozwieszała na sznurze wypraną bieliznę. Najpierw niebieskie prześcieradło, potem białą koszulę męża, na koniec czerwone spodenki córki. Spodenki powiewały na wietrze jak czerwona flaga wolności. Martę zawsze bulwersowało to, co Letycja Forbush rozwieszała na sznurze, i mówiła o tym głośno aż do czasu, kiedy przestała rozmawiać o czymkolwiek, oczywiście poza tym,

co dotyczyło Pana i pani Eddy. Wcześniej mawiała, że Forbushowie są na najlepszej drodze do piekła i że ich bielizna mówi sama za siebie.

Zuzanna odwróciła się od okna i spojrzała na leżącą na łóżku siostrę.

„Nieważne, co mówi mama. Ona umrze - przekonywał głos. - Musisz jej pomóc. Abi potrzebuje twojej pomocy”.

Twarz Abigail była rozpalona, pod oczami miała głębokie cienie.

Zuzanna pomyślała, że może warto porozmawiać jeszcze z matką.

„Mama jest nienormalna - powiedział głos. - Przezywają ją szaloną wdową. Wiesz, że mają rację”.

- Tak - przyznała głośno Zuzanna. - Wiem.

Otworzyła okno i wychyliła się tak mocno, że wiatr rozwiewał jej włosy.

Sąsiadka wieszała właśnie ostatnią parę czarnych i delikatnych, dekadencckich majteczek. Zuzanna nabrała powietrza w płuca.

- Pani Forbush! - zawołała.

Do dzisiaj pamięta twarz lekarza. Była długa i wąska, z ostrym nosem i podbródkiem, ale oczy za oprawnymi w złoty drucik okularami były pełne dobroci, a uśmiechające się do Zuzanny usta niezwykle łagodne i miłe.

To ona go wezwała. Ona wpuściła go do domu mamy. Do jej kościoła.

Za doktorem stała Letycja Forbush, usiłując zajrzeć do środka.

- Jak się czujesz, kochanie? - zawołała do Zuzanny.

- Dziękuję, dobrze - odparła Zuzanna.

- Chcesz, żebym weszła razem z doktorem? - spytała pani Forbush.

- Nie, dziękuję.

Lekarz wszedł do domu. Zuzanna zamknęła za nim drzwi.

Marta, przebywająca wciąż w sanktuarium pani Eddy, usłyszawszy obce głosy podniosła się z klęczek i wyszła do przedpokoju. Twarz miała ściągniętą i bladą od wielogodzinnych modłów.

- Co to? - spytała. - Co to ma znaczyć?

- Jestem doktor Fried. - Lekarz postawił torbę i wyciągnął dłoń do Marty. Marta nie zareagowała na ten przyjazny gest.

- Wyjść - powiedziała.

- Słucham?

- Proszę opuścić mój dom.

Zuzanna ciągnęła lekarza w stronę schodów.

- On przyszedł do Abigail.

- A to dlaczego? - spytała Marta.

- Abigail jest chora.

- Skąd on wie, że jest chora?

- Wezwała mnie pani sąsiadka. Powiedziała, że pani młodsza córka, Abigail, spadła z drzewa.

- Abigail odzyska zdrowie - oświadczyła Marta i tak mocno zacisnęła usta, że na skórze widać było wypukłość jej zębów. - Nie potrzebujemy pańskich usług - dodała po chwili.

- Mimo to - nie poddawał się doktor Fried - skoro już tu jestem, chciałbym ją zbadać.

- Za chwilę ma tu pana nie być.

Zuzanna była zafascynowana tą sceną. Bała się, ale też i dziwiła. Matka od kilku lat nie rozmawiała z nikim obcym. Doktor Fried wiele słyszał o wdowie King.

- Z całym szacunkiem - powiedział, nie tracąc spokoju -jestem zmuszony nalegać, by pozwoliła pani na zbadanie córki.

- To mój dom - odparła Marta - i nie ma pan prawa narzucać mi swojego zdania. - Mamo - odezwała się Zuzanna - samo badanie nie zaszkodzi Abigail. Niech lekarz spojrzy na nią od drzwi i powie, że wszystko jest w porządku.

Marta zdawała się rosnać w oczach.

- Wracaj do siebie, Zuzanno Mario.

- Mamo...

- Natychmiast idź do swojego pokoju!

Zuzanna pobiegła na górę. Po jej policzkach spływały gorące łzy. Na szczycie schodów stanęła, zakryła usta dłonią i przysłuchiwała się dalszej rozmowie.

- A pan - powiedziała Marta dźwięcznym, mocnym głosem - niech łaskawie opuści mój dom.

- Niech się pani jeszcze zastanowi - próbował nalegać doktor Fried. - Jeśli pani córka jest ranna i nie doczeka się fachowej pomocy, to...

- Nie interesują mnie pańskie rady - burknęła Marta. Lekarz westchnął, podniósł torbę i odwrócił się do drzwi. Marta szła za nim, uważając, żeby jej czarna suknia nie dotknęła jego ubrania. Otworzyła drzwi i zobaczyła czekającą przed wyjściem Letycję Forbush.

- Do widzenia panu - powiedziała.

- Proszę do mnie dzwonić... - Lekarz wyciągnął z kieszeni wizytówkę i podał ją Marcie, ale ta stała na baczność i nie zamierzała się ruszyć, wobec czego upuścił kartonik tak, że wylądował na wycieracze. Na jego twarzy malowało się zdziwienie i współczucie.- Proszę zadzwonić, jeśli córce się pogorszy.

Marta zamknęła drzwi.

To była najdłuższa noc w życiu Zuzanny. Spodziewała się, że mama po nią przyjdzie, ale Marta nawet jej nie zawołała na modlitwę. Abigail leżała bez ruchu, zapomniana przez matkę i przez cały świat. Zuzanna przesiedziała tę noc przy łóżku siostry. Od czasu do czasu wyciągała dłoń, żeby ją pogłaskać po policzku. W pewnej chwili z przerażeniem uświadomiła sobie, że nie dlatego to robi, by przynieść ulgę Abigail, lecz aby zdobyć pewność, że dziecko jeszcze żyje.

Niebo zaczynało jaśnieć. Ptaki wyśpiewywały swoje łagodne melodie. Zuzanna nigdy nie słyszała równie żałosnych głosów. Zaburczało jej w brzuchu. Poczowała głód. Poprzedniego dnia prawie nic nie jadła. Spojrzała na Abigail i pomyślała, że siostra może już nigdy nie poczuć głodu, nie usłyszeć śpiewu ptaków nad ranem, nie uśmiechnąć się swym pięknym, niewinnym, słodkim uśmiechem.

Zaczęła płakać. Podeszła do okna i przekonała się, że jednak świat nie zapomniał o niej i o Abigail. Letycja Forbush czekała na swoim podwórku. Zuzanna była ciekawa, od kiedy tam stała i po co, skoro ani jej, ani grzecznemu

doktorowi nie udało się nic osiągnąć. Kiedy pani Forbush wyciągnęła w górę rękę, sygnalizując, że chce z nią rozmawiać, Zuzanna ledwie znalazła w sobie siłę, żeby pomachać w odpowiedzi.

Sąsiadka pytała o coś, dokładnie wymawiając słowa, ale dziewczynka nie potrafiła nic z tego zrozumieć. Po jej policzkach płynęły łzy rozpacz, strachu i żalu. Zuzanna wiedziała, że pani Forbush to zauważyła. Przez moment miała wrażenie, że kobieta również płacze, ale pani Forbush szybko zniknęła w swoim domu i Zuzanna znów została sama.

Najpierw przyjechała policja, potem doktor Fried. Drzwi otworzyła Zuzanna, wbrew woli matki. Mimo że miała dopiero siedem lat, musiała podjąć samodzielną, odpowiedzialną decyzję. Marta próbowała ich wyrzucić, ale szybko się zorientowała, że tym razem nie ma szansy na zwycięstwo, wycofała się więc do swojego sanktuarium i padła na kolana. Zuzanna stała przed drzwiami pokoju, w którym leżała Abigail.

Policjanci wchodzili i wychodzili. Doktor Fried pochylił się nad chorą. Zuzanna nie rozumiała jego słów, ale usłyszała w jego głosie nutę przeżenienia.

Lekarz wyszedł z pokoju po paru minutach.

- Gdzie jest twoja matka?

- Nie wolno jej przeszkadzać - odparła Zuzanna.

- Muszę się z nią widzieć.

Zuzanna kiwnęła głową i poszła przodem. Stała przed drzwiami sanktuarium i zapukała.

- Nie - padła niewzruszona odpowiedź.

- Muszę tam wejść - stwierdził doktor Fried i pogłaskał Zuzannę po głowie.

Wdowa King, jak zwykle ubrana na czarno, klęczała przed zdjęciem zmarłej wiele lat temu kobiety, której wcale by pewnie nie ucieszyło, gdyby wiedziała, w jak bałwochwalczy sposób wykorzystuje się jej podobiznę. W pokoju było ciemno, ponieważ ciężkie zasłony nie wpuszczały słońca. Po obu stronach zdjęcia paliły się białe świece. Ich płomień zamigotał, kiedy lekarz otworzył drzwi.

- Pani King - zwrócił się do Marty, starając się zachować spokój - wezwał karetkę. Zabierzemy Abigail do szpitala Cape Cod w Hyannis. Byłoby dobrze, gdyby pojechała pani z nami.
- Nie - powiedziała Marta, nie podnosząc się z kolan. - Nie byłoby dobrze.
- Będzie pani musiała podpisać kilka dokumentów.
- Niczego nie podpiszę.
- Pani córka jest bardzo chora. Grozi jej śmierć. - Usłyszał, jak za jego plecami starsza dziewczynka głośno wciągnęła powietrze, i pożałował tych nietaktownych słów. - Im szybciej zaczniemy ją leczyć, tym lepiej - dodał. - Tym większa szansa na jej wyzdrowienie.

Marta nawet nie odwróciła głowy.

- Nie pozwalam, żeby zabrano moją córkę do szpitala, i nigdy nie wyrażę zgody na żadne leczenie. Wierzę w uzdrowienie przez umysł. Słyszał pan o pani Eddy?
- O Mary Baker Eddy? Oczywiście.
- W takim razie rozumie pan moje stanowisko.
- Mam nadzieję, że pani zrozumie moje. W pani domu jest policja. Będzie pani musiała odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących okoliczności, w jakich pani córka doznała obrażeń - mówił ze wzrokiem utkwionym w kark Marty. - Abigail pojedzie do szpitala. Z całym szacunkiem proszę panią o wyrażenie zgody na leczenie.
- Nie - odparła Marta. Doktor Fried westchnął.
- Trudno.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Spojrzał na Zuzannę i dostrzegł w jej ślicznych, fiołkowych oczach przerażenie.

- Chcesz pojechać z Abigail? - spytał.

Zuzanna wahała się. Najbardziej na świecie pragnęła być z Abigail i nie wracać do domu, dopóki mama nie wyzdrowieje i nie stanie się taką samą mamą, jak matki jej koleżanek ze szkoły. Wiedziała jednak, że powinna zostać. Dość już narozrabiała wpuszczając ich do domu i płacząc w oknie, gdzie pani Forbush mogła ją zobaczyć.

- Muszę tu zostać - odparła, siłą powstrzymując się od płaczu.

- Na pewno? -Tak.

Lekarz pokiwał głową, wyciągnął rękę i delikatnie, dwoma palcami musnął jej policzek.

- Później ktoś tu przyjdzie porozmawiać z twoją matką.

- Dobrze.

- Chciałabyś, żeby pani Forbush przyszła tu i poczekała razem z tobą? - spytał.

- Nie, dziękuję. - Zuzanna pokręciła głową i spojrzała mu prosto w oczy. - Powiedział pan, że Abigail może umrzeć.

Doktor zawahał się.

- To możliwe, ale mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Zuzanna uporczywie wpatrywała się w niego.

- Niech pan nie pozwoli jej umrzeć - poprosiła.

- Zrobimy wszystko, co się da - obiecał. - Nie martw się. Równie dobrze mógłby zakazać ptakom latania.

Przed dom zajechała karetka. Dwaj sanitariusze wnieśli do środka składane nosze i wbiegli po schodach. Zuzanna, zapomniana przez wszystkich, przyglądała się temu, myśląc, co ją czeka, kiedy obcy wyjdą z domu.

Położyli Abigail na noszach, okryli jej drobne ciało kocem, nos i usta zakryli maską.

- Gdzie jest matka? - spytał sanitariusz.

- Nie jedzie - odparł doktor Fried.

- Dlaczego?

- Musimy dostać nakaz sądowy - wyjaśnił doktor.

- Ach! - zmartwił się pielęgniarz. - Niech to diabli!

- Właśnie - zgodził się doktor.

Wynieśli ją. Zuzanna odprowadziła ich aż do furtki.

- Nie mogę - szepnęła.

- Wiem - powiedział doktor Fried.

Zuzanna spojrzała na siostrę. Abigail była blada jak ściana. Wypieki znikły z jej twarzy. Jedyнным znakiem, że jeszcze żyje, była para osadzająca się na masce przy każdym wydechu.

- Mogę ją pocałować? - spytała.

- Oczywiście - odparł doktor.



Policzek Abigail był zimny. Pocałowała ją lekko. Miała ochotę zdjąć siostrę z noszy, przytulić i kazać im odejść. Ale było za późno. Sama ich wpuściła.

Nosze z Abigail znikły we wnętrzu karetki. Kiedy Zuzanna spojrzała na siostrę ostatni raz, promienie słońca rozświetlały jej jasne włosy.

Czuła rosnący w gardle spazmatyczny szloch. Dusiła się, miała wrażenie, że zaraz wybuchnie. Ale zapanowała nad tym. Drzwi karetki zostały zamknięte. Odjechali.

Kilka minut później Marta wyszła ze swojego sanktuarium do przedpokoju. Była blada, jedynie na jej policzkach pojawiły się czerwone plamy. Wydała się Zuzannie jakaś odmieniona. Nie była już tak opanowana i obojętna jak wobec doktora Frieda, na jej twarzy malowało się natomiast coś nowego, nieznanego i przerażającego. Zuzanna stała w drzwiach wejściowych.

- Mam ci tylko jedno do powiedzenia.

- Tak, mam - szepnęła Zuzanna.

- Słuchasz mnie?

- Tak, mam.

Marta King podeszła bliżej. Zuzanna poczuła zatechłą woń jej sukni i zapach jej ciała. Pomyślała, że matka jest z jakiegoś powodu mniej żywa niż inni ludzie. Cofnęła się, Marta jednak znów zmniejszyła odległość między nimi.

- Jeśli Abigail Sara umrze - powiedziała sucho - to będzie twoja wina, Zuzanno Mario. Tylko twoja. Wiesz o tym?

Zuzanna nie była w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Pytam, czy o tym wiesz, Zuzanno Mario!

- Nie - szepnęła Zuzanna. - Nie, mam.

- Sprowadziłaś swoją siostrę na złą drogę. Wpuściłaś do domu lekarza. Pozwoliłaś im zabrać Abigail Sarę do szpitala. - Ostatnie słowo wypowiedziała z odrazą.

Zuzanna patrzyła na matkę z przerażeniem.

- Jeśli twoja siostra umrze - powtórzyła Marta - będziesz ją miała na sumieniu do końca swoich dni, Zuzanno Mario.

Po czym odwróciła się i wróciła do swojego sanktuarium. To były ostatnie słowa, jakie matka wypowiedziała do Zuzanny.

Zuzanna już nigdy nie zobaczyła Abigail żywej.

Taki sam rozpaczliwy szloch, jaki wydarł się z jej piersi, kiedy Abigail znikła we wnętrzu karetki, powtórzył się znowu po dwudziestu z górą latami w gabinecie Pete'a Straussa, i znów został zduszony. Zuzanna stała przy oknie i spoglądała nie widzącym wzrokiem na Eighth Street, gdzie toczyło się codzienne życie. Ulicą wędrowali ludzie, niektórzy normalni, inni szaleni, większość w nieokreślonym stadium między jednym a drugim stanem.

- Nazajutrz przyjechali po mnie - powiedziała. - Wtedy żyła jeszcze ciotka mojego ojca, staruszka, gorliwa katoliczka. Ona znalazła dla mnie miejsce w klasztorze Świętej Katarzyny i załatwiła wszystkie formalności.

Pete'owi brak było słów. Od godziny nie zapalił ani jednego papierosa. Pierwszy raz w życiu zabrakło mu chęci nawet na nikotynę.

- Po śmierci Abigail mama została uznana za niepoczytalną - mówiła Zuzanna prawie szeptem. - Powiedziano mi, że przebywa w zakładzie zamkniętym, ale jest szczęśliwa. Podejrzewam, że pozwolili jej robić wszystko, co chciała. Pewnie spędziła resztę życia na kolanach, modląc się do pani Eddy. Zmarła na raka, kiedy ja mieszkałam w chacie. Bodine nie kłamał, gdy po narodzinach Abigail oznajmił mi, że mama nie żyje. W końcu odwróciła się od okna. Była blada jak duch.

- To moja wina, Pete. Wierzę jej.

Pete chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić z siebie ani słowa.

- To wszystko moja wina - powtórzyła Zuzanna.

- Nie - wyszeptał. - Nie!

- Ależ tak. Pozwoliłam jej wejść na drzewo. Wpuściłam do domu lekarza.

- W fiołkowych oczach błyszczały powstrzymywane łzy. - Pozwoliłam zabrać ją do szpitala.

Pete wyciągnął ku niej ramiona. Zuzanna powoli zbliżyła się do niego.

Przytulił ją, sztywną i zimną. Wiedział, że ten

chłód niełatwo będzie rozgrzać. Może nigdy mu się nie uda.

Zuzanna zaczęła szlochać.

Pete nie pozwolił jej wrócić do domu. Była zbyt zmęczona. Bał się o nią. Nawet nie bardzo protestowała - a może wcale nie chciała protestować - kiedy smażył dla niej jajecznicę i kroił chleb na małe kawałeczki, jakby była dzieckiem. Kiedy zjadła, przygotował jej gorącą kąpiel, dał puszysty ręcznik i nowy, nie używany szlafrok w kolorze śliwki, który był ostatnim prezentem od Leigh, zanim od niego odeszła. Zuzanna wygrzewała się w wannie przez godzinę. Pete nie przeszkadzał jej, tylko od czasu do czasu pytał przez drzwi, czy nie zasnęła.

- Chcesz się położyć? - spytał, kiedy wyszła z łazienki. W szlafroku, z włosami owiniętymi ręcznikiem, wyglądała ślicznie. Przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie podczas pobytu Hawke'a w szpitalu. Zaskoczyła go wówczas swoją wrażliwością i głębią uczuć. Spodziewał się przecież próżnej, nadętej lalki.

- Prześpię się na kanapie - oznajmiła Zuzanna.

- Nie, połóż się na łóżku. Ja będę spać na kanapie. Nawet nie próbuj protestować, bo nigdy się na nic innego nie zgodzę - dodał, widząc jej wahanie.

- Dziękuję - powiedziała, uśmiechając się lekko.

- Nie ma za co. Nie masz nic przeciwko temu, że spędzimy noc w tym samym pokoju?

- To nawet lepiej.

- A Alicja i Steinbeck? Zwykle śpimy razem - powiedział Pete. - Alicja w nocy nie gada, bo lubi dobrze wypocząć, ale pies bywa niespokojny.

- Ja też. Jeśli nie uda mi się zasnąć, będziemy czuwali razem.

- Zaśniesz na pewno.

Przyglądał się jej, kiedy zdejmowała szlafrok. Wzruszył go widok Zuzanny w jego zbyt na nią obszernej białej koszuli. Pomógł jej wejść do łóżka, otulił kołdrą i pocałował w wilgotny policzek.

- Wygodnie ci? - spytał.

- Mhm.  
- Czy mogę jeszcze nie gasić lampki? Zuzanna kiwnęła głową. Już prawie spała.

- Może się palić nawet całą noc.

- A chciałybyś?

Pete znał ją lepiej niż ktokolwiek inny, ale wciąż nie wszystko o niej wiedział. Może boi się ciemności? Jakżeby chciał, żeby bała się tylko tego.

- Nie boję się ciemności - mruknęła Zuzanna.

- Śpij spokojnie - życzył Pete. - A jeśli będziesz czegoś potrzebowała, budź mnie bez skrzepowania.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry? - Spojrzała na niego spod półprzymkniętych powiek.

- Wiesz dlaczego.

- Tak - powiedziała z uśmiechem. - Chyba wiem.

Pete niewiele spał tej nocy. Próbował czytać, ale nie rozumiał słów.

Myślał o dziecku maltretowanym przez chorą matkę, starającym się żyć w tym nienormalnym otoczeniu jak najlepiej i jak najodważniej, i o ukochanej siostrze, która znalazła ucieczkę w wymyślnym świecie, a potem w śmierci. Patrząc na kobietę śpiącą w jego łóżku, wyobrażał sobie dziewczynkę w dziwacznym stroju, pchającą po ulicach miasteczka wózek z młodszą siostrą. I groteskową matkę, klęczącą w mrocznym sanktuarium przed własnoręcznie wykonanym ołtarzem. Jak to możliwe - zastanawiał się - że z takiego dziecka, które później przeżyło jeszcze niejedno, wyrosła zdrowa, inteligentna, troskliwa, dzielna kobieta? Tyle zła nie zniósłby nawet najsilniejszy, ukształtowany wewnątrz człowiek.

„To ja ich wpuściłam - powtarzała. - Ja wezwałam lekarza. Ja wpuściłam ich do domu mamy. Do jej kościoła. Pozwoliłam im zabrać moją siostrę”.

Dzisiaj lepiej potrafi ocenić tę sytuację. Inteligentna kobieta musi rozumieć, że postąpiła słusznie i wykazała się mądrością ponad swój wiek. Mimo to tydzień temu, w szpitalu w Hyannis, przeżyła kryzys. Zbroja, którą się szczelnie otulała przez ostatnie dwadzieścia trzy lata, pękła i naprawienie szkody będzie wymagało wielkiego wysiłku i dużo czasu.

Jej matka, szalona wdowa, mogła być dumna ze swego dzieła.

„Jeśli twoja siostra umrze - powiedziała Marta - będziesz ją miała na sumieniu do końca swoich dni”.

Na niektórych matkach spoczywa ciężkie brzemie winy.

Pete myślał tej nocy nie tylko o urodzie Zuzanny, która zrobiła na nim wielkie wrażenie już podczas pierwszego spotkania, przypominał też sobie obserwacje, które poczynił wówczas i później. Dopiero teraz zrozumiał niektóre sprawy. To, że nie potrafiła szczerze rozmawiać z mężem i z innymi bliskimi jej ludźmi; jej brak wiary; upór, z jakim po śmierci Hawke'a realizowała plan stworzenia domu dla chorych na AIDS. Dotąd był przekonany, że Zuzanna chce w ten sposób oddać sprawiedliwość Hawke'owi, zadośćuczynić temu, czemu nie była w stanie sprostać podczas jego choroby. Dopiero teraz zrozumiał, że jej pragnienie niesienia pomocy miało o wiele głębsze korzenie. Zuzanna nadal próbowała zrobić coś dla tamtej pierwszej Abigail.

Myślał o niedostatku, w jakim się wychowała. Oczywiście, zaznała też wiele szczęścia. Najpierw z Van Dusenami, potem z Hawkiem, którego kochała; również dzięki swej karierze. Jednak Pete, z przyzwyczajenia porządkując w myślach to, co wiedział o krzywdach, jakie ją spotkały, odczuwał ból.

W żydowskich domach swoich pacjentów trzykrotnie uczestniczył w uroczystościach święta Paschy. Przypomnił mu się fragment Hagady czytanej w języku angielskim, w której wyliczano dobrodziejstwa zesłane na dzieci Izraela przez Wszechmocnego, i słowo, które stale się powtarzało: *dajenu*. To by wystarczyło. To byłoby dość.

Wspominając w bezsennej noc krzywdy wyrządzone Zuzannie, wiele razy powtarzał w myślach to słowo. Gdyby nie dane jej było doświadczyć miłości matki, to byłoby dość. Wystarczyłoby, że straciła siostrę. Ale ona musiała wycierpieć o wiele więcej. Straciła dzieciństwo, niewinność, młodość. Nie mogła decydować o swojej przyszłości, zapuścić korzeni i rozkwitnąć; nie mogła wybrać sobie wiary, być normalna, zwyczajna... W wyniku straszliwej choroby stra-

ciła męża i ze względu na charakter jego dolegliwości zrezygnowała z kariery. Straciła prawo do wychowywania rodzonej córki.

Teraz bała się, że straci również jej miłość.

*Dajenu* - pomyślał. - Dość.

W środku nocy Zuzanna obudziła się z krzykiem. Pete klęczał przy jej łóżku.

- Nie wiedziałam, gdzie jestem - powiedziała drżącym głosem. - Bałam się czegoś, ale nie wiem czego.

- Nic dziwnego.

- Chyba masz rację. - Położyła głowę na poduszce.

- Chce ci się spać? -Nie.

- Masz ochotę pogadać?

- Raczej nie.

- Nie szkodzi - powiedział, podnosząc się z kolan.

- Zostań przy mnie, proszę.

- Dobrze. - Pete usiadł na podłodze.

- Możesz to dla mnie zrobić?

- Jak sądzisz?

- Sądzę, że jesteś najlepszym przyjacielem na świecie.

- Dziękuję - powiedział z żalem.

Zuzanna leżała bez ruchu, wpatrując się w jego twarz. Jej oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Zastłony przepuszczały odrobinę światła z ulicy.

- Wiesz, na co miałabym ochotę? -Nie.

- Chciałabym, żebyś mnie przytulił.

Pete poczuł nagły przypływ nadziei, jakby był nastolatkiem, a nie dorosłym, opanowanym mężczyzną. Szybko odsunął od siebie kuszącą myśl. Zuzanna prosi tylko o przyjacielską pociechę - pomyślał i zamknął oczy.

- Pomóż mi, Pete - poprosiła.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył łzy spływające po jej policzkach.

Wyciągnął ramiona i przytulił ją.

- Zmarłeś - zauważyła, zdziwiona.

- Nie - mruknął. Twarz miał wtuloną w jej włosy.

- Chodź pod kołdrę.

Nadzieja znów ożyła.

- Tak jest dobrze.

- Proszę - szepnęła.

Na noc zdjął ubranie i został tylko w slipach i podkoszulku. Nigdy w życiu nie czuł się tak obnażony jak wtedy, gdy wsunął się pod swoją własną kołdrę i poczuł ciepłą, jedwabistą skórę Zuzanny. Był podniecony. Położył się na boku, nie chcąc, żeby to dostrzegła. Wiedział, że zażenowanie zniszczyłoby wszystko. Po chwili domyślił się, że mimo wszystko zauważyła. Była przecież trzydziestoletnią, doświadczoną kobietą.

- Boże - mruknął. - Przepraszam.

- Za co?

- Za to, że się w tobie kocham. - Nagle przeszył go dreszcz.

- Dlaczego za to przepraszasz?

Pete odwrócił głowę, żeby na nią spojrzeć, i zauważył, że jej łzy, podobnie jak jego zimny dreszcz, nagle znikły, jakby ich nigdy nie było. Jej oczy uśmiechały się.

- Śmiejesz się ze mnie? - spytał. - Mogę to zrozumieć.

- Nie śmieję się z ciebie.

- Ależ tak!

- Jak na psychologa - powiedziała - jesteś dość niepewny siebie.

- Nie wiedziałaś, że psychologowie to trudne przypadki?

- Nic dziwnego, skoro mają takich pacjentów jak ja.

- Takich jak ty jest niewielu.

Rzucił to od niechcienia, ale jego słowa długo jeszcze wisiły w powietrzu. Ich myśli wędrowały odrębnymi szlakami, chociaż ciała tuliły się do siebie.

- Kiedy powiesz Abigail? - spytał w końcu Pete.

- Dzisiaj. Pojadę do Cohasset i powiem jej, dopóki mam odwagę.

- Abigail jest silną dziewczyną. Nie będzie jej łatwo tego słuchać, ale da sobie radę. Obie dacie sobie radę.

- Naprawdę w to wierzysz? - Tak.

Przez chwilę leżeli bez ruchu.

- Najbardziej pod słońcem - odezwał się wreszcie Pete

chciałbym móc ci zwrócić choć odrobinę tego, co przez te wszystkie lata straciłaś. Wiem jednak, że nigdy mi się to nie uda, i ciężko mi z tą świadomością.

- Nikt nie potrafi zmienić przeszłości. Ani jej naprawić. Tylko ja mogę coś na to poradzić.

- Mógłbym jednak spróbować wypełnić puste miejsca w tobie - powiedział, patrząc jej w oczy. - Bo są w tobie puste miejsca, prawda? Zuzanna kiwnęła głową.

- Przyzwyczyłam się zamykać to w głębi siebie. Miałam wrażenie, że dopóki moje tajemnice są dobrze ukryte, podtrzymują mnie jak sztywny gorset. Ale masz rację, czuję się pusta. A może tylko rozbita? Wiem, że chociaż ja się nie zmieniłam, wszyscy inni się pozmieniali. Zwłaszcza ty. Od kiedy wszystko ci powiedziałam, z pewnością patrzysz na mnie innym okiem. Z twojego punktu widzenia jestem inna.

- Nie. Wcale tak nie czuję i nie sędzę, żeby inni się zmienili wobec ciebie. Uzupełniasz braki w swoim życiorysie. Teraz będziemy cię lepiej rozumieli. Ale zawsze jesteś dla nas tym, kim byłaś.

Długo jeszcze rozmawiali. Pete obejmował ją lekko. Mimo że ich ciała były blisko, dzieliła ich jakaś przepaść. Myśli wędrowały od teraźniejszości do przeszłości, potem do przyszłości, zatrzymywały się i wracały na stare terytoria. Pete rozmyślał o Leigh, swojej żonie, ostatniej kobiecie, z którą leżał w łóżku. Nigdy nie uznawał seksu z przypadkową partnerką, a poza tym od pięciu lat pragnął tylko jednej kobiety. Kiedy przestał zastanawiać się nad Leigh, znów zaprzętnęła go Zuzanna.

Zastanawiał się, o czym może teraz myśleć, ale nie odważył się o to zapytać. Chciałby wiedzieć o niej wszystko i wstydział się tego. Pragnął razem z nią zbierać okruchy cierpienia, gniewu i rozpacz. Ponieważ jednak czuł się mężczyzną, nie chciał się jej narzucać. Zuzanna miała prawo do własnych tajemnic i własnego życia wewnętrznego. To prawda, że ją kocha, ale czy to daje mu prawo wdzierać się bez zaproszenia w jej myśli?

Podczas gdy Pete gnębił się takimi problemami i marzył o papierosie, w myślach Zuzanny pojawiały się i szybko zni-



kały różne osoby z przeszłości: Marta i pierwsza Abigail, jej prawdziwa siostra; zakonnice; Mateusz Bodine, który już nigdy jej nie skrzywdzi; uzdolniony, dynamiczny, delikatny Hawke, który pojawił się w jej życiu na kilka lat jak meteor; Connie i Bryan, zawsze razem, ponieważ dla niej jedno bez drugiego byłoby niepełne; miła, silna Tabita, szczerą i lojalną, która nigdy nie zawiodła nikogo bliskiego. Zuzanna nie chciała myśleć tylko o jednej osobie: swojej córce, Abigail. Ona uosabiała niepewną terażniejszość i jeszcze bardziej przerażającą przyszłość. Tymczasem miała u boku Pete'a.

-Śpisz? - spytała, kiedy nad miastem pojawiły się pierwsze promienie słońca. -Nie.

Poczuł, jak się poruszyła, i jego ciało natychmiast na to zareagowało.

- Myślałam... - powiedziała Zuzanna.

- Ja też.

- O tym, o czym jakiś czas temu rozmawialiśmy. O tym, że chyba powinieneś przestać być moim psychoterapeutą.

Pete milczał. Jego serce zaczęło bić szybciej. Zuzanna musiała to poczuć. W drugim końcu pokoju, koło cichej klatki Alicji, Steinbeck jęknął i poruszył się niespokojnie.

- Chyba powinniśmy to zrobić - powiedziała. Pete nadal milczał. - O czym myślisz? - spytała.

- Wiesz o czym.

Zuzanna poruszyła się i usiadła, wysuwając się z jego ramion.

- Dlaczego muszę sama wszystko mówić? - spytała z irytacją. .

- Bo ja nie rozumiem - upierał się Pete.

- Rozumiesz.

- Masz rację - zgodził się z nią.

- Więc dlaczego mówisz, że nie rozumiesz?

- Ze strachu - wyznał Pete.

- Przed czym?

- Że zrobię coś nie tak. Że źle ciebie rozumiem. - Nie chciał na nią patrzeć. Bał się tego, co może wyczytać z jej oczu. - Że posunę się za daleko. Że wszystko zepsuję.

- Niczego nie zepsujesz - zapewniła Zuzanna i oparła się plecami o ścianę.

- Nie wiadomo.

- Wiadomo.

Znow zapadło między nimi milczenie, gęste jak mgła.

Zuzanna wiedziała, że wszystko zależy od niej. Wiedziała to z zaskakującą jasnością. Ostatnio nic nie było proste ani łatwe. Ale teraz chciała tego i nie miała żadnych wątpliwości. Gdyby zdecydowała się czekać, aż Pete wykona pierwszy ruch, trudno byłoby przewidzieć, kiedy to nastąpi. I nie dlatego, żeby Pete był tchórzem, bo z pewnością nim nie był, ale dlatego, że jest delikatny i dobry.

Zuzanna nadal siedziała bez ruchu. Upłynęło tyle czasu... Po Hawke'u nie miała nikogo. Już od dłuższego czasu wiedziała, że Pete jest dla niej właściwym mężczyzną, ale najbardziej potrzebowała jego fachowych porad. Dźwigała przecież ogromny ciężar trudnych emocji. W tej dziedzinie nic się nie zmieniło na lepsze. Jeśli Abigail źle przyjmie prawdę o swoich przodkach, może być nawet ciężiej...

Zuzanna poczuła nagły ból w sercu. Za kogo ona się ma, że każe kochającym ją ludziom czekać, aż będzie gotowa podzielić się sobą?

- Jezu! - jęknęła.

- Co się stało? - przestraszył się Pete.

- Dopiero teraz pojęłam, jaka jestem samolubna.

- Nie rozumiem.

Zerwała się z łóżka, podeszła do okna, uchyliła zasłonę, wyjrzała na ulicę i ponownie zasłoniła okno. Steinbeck obudził się i uderzał ogonem o podłogę, ale ponieważ nikt nie zwracał na niego uwagi, znowu zasnął.

- Każę wszystkim na siebie czekać. - Potrząsnęła głową i odwróciła się ku niemu. - Każę tobie czekać, aż będę gotowa.

Pete też chciał wstać z łóżka.

- Nie, Pete - powstrzymała go. - Tydzień temu ryzykowałeś życie, żeby uratować mnie i moją córkę, a ja, kiedy już było po wszystkim, wysłałam cię do Hawke House i zjawiłam się tu dzisiaj oczekując, że wszystko dla mnie rzucisz. Teraz nagle zdecydowałam, że jestem gotowa na... nas, i spodziewałam się, że się tego domyślisz i ułatwisz mi za-

danie, mówiąc to za mnie. Dlaczego? Dlaczego raptem miałbyś zapomnieć o tym, że jesteś moim psychoterapeutą, i przemienić się w kochanka? - Pete siedział sztywno na brzegu łóżka. - Sam widzisz.

Miałam rację. Nie chcesz. - Zuzanna podeszła do półek z książkami, potem zrobiła jeszcze kilka kroków i stanęła przed sztalugami, na których stało najnowsze dzieło Pete'a. - Powiedz coś, proszę.

- Czekałem - powiedział Pete.

- Na co?

- Aż będziesz gotowa.

- Ale teraz, kiedy ja jestem gotowa, ty masz wątpliwości, prawda?

- Nie.

Zuzanna była skonsternowana. Oddychała ciężko. Nogi się pod nią ugięły. Podeszła wolno do kanapy, na której Pete spędził większą część nocy, i usiadła.

- Mylisz się. - Pete był zdziwiony tym, że drażnienie się z nią sprawia mu przyjemność.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy mogę już wstać z łóżka?

- Oczywiście - zirytowała się Zuzanna.

Pete podszedł do okna i odsunął zasłony. Słońce już wstało, ale zasłaniały je chmury i wysokie budynki. Przed drzwiami sklepu, po drugiej stronie ulicy, na gazecie spał jakiś włóczęga. Nieco dalej, trzymając się za rękę, szła para młodych, zaspanych ludzi.

- Napijesz się herbaty? - spytał Pete. Zuzanna poczuła się nieswojo.

- Chętnie - odparła.

- Może być darjeeling? A może wolisz earl greya?

- Wszystko mi jedno.

- Zwykle o tej porze piję herbatę - wyjaśnił. - Tak?

Poszedł do kuchni. Zuzanna słyszała plusk wody, brzęk czajniczka do herbaty, bulgotanie gotującej się w czajniku wody, dźwięczenie łyżeczek, skrzypienie otwieranych i zamykanych drzwi lodówki. Siedziała bez ruchu, pozwalając, by zawładnęło ją rozczarowanie i pozbawiło resztek nadziei na coś dobrego, zdrowego i silnego.

Tak jest lepiej - przekonywała siebie w myślach. „Kogo chcesz oszukać?”

- pytał wewnętrzny głos. Nic się już nie da zrobić.

Wrócił Pete z tacą. Zuzanna bała się na niego spojrzeć. Podniosła z podłogi „Newsweeka” i zaczęła go przeglądać.

- Zrezygnowałem z herbaty - powiedział.

- Nie szkodzi.

- Uznałem, że to będzie bardziej stosowne.

- Skoro tak uważasz...

- Czytasz coś interesującego?

- Mhm.

Rzuciła mu krótkie spojrzenie i zobaczyła, że trzyma w ręku butelkę. Pete odkręcał drucik. Po chwili dał się słyszeć dźwięk otwieranego szampana.

- Pozwolisz? - spytał, napełniając kieliszki. Zuzanna znów nabrała otuchy. Odłożyła gazetę.

- Jeszcze nigdy nie piłam szampana o świcie.

- Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się o świcie coś równie wspaniałego - odparł Pete, podając jej kieliszek. Potem usiadł obok Zuzanny.

Szampan był chłodny i orzeźwiający.

- O świcie lepiej smakuje - stwierdziła. Pete odstawił kieliszek.

- Wrócimy do łóżka? - spytał.

- Mogę zabrać szampana?

- Możesz zabrać wszystko, co zechcesz.

Było lepiej, niż się spodziewali. Pete był w dobrej formie, biorąc pod uwagę, że rzadko ćwiczył na świeżym powietrzu i biegał tylko od czasu do czasu. Wielką radość sprawił mu fakt, że Zuzanna z wyraźną przyjemnością odkrywała jego ciało i przyglądała mu się uważnie, całując je i dotykając. Znów przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie w szpitalu. „Twarz jak marzenie - pomyślał wówczas -i ponętne ciało”.

Wtedy jeszcze nie wiedział, że Zuzanna ma dziecko. Przyglądając się jej z bliska, był zdziwiony, bo na jej skórze nie było śladu rozstępów czy zwiotczenia. Wiedział przecież, że od czasu kiedy zrezygnowała z kariery modelki, nie krępowała się zbędną dietą, ćwiczenia fizyczne

znacznie ograniczyła, a z Lulu Fiedlander spotykała się najczęściej w restauracji. Pete pomyślał, że nigdy nie widział i pewnie już nie zobaczy kobiety tak pięknej jak Zuzanna. Wiedział też, że kochałby ją także wówczas, gdyby nie była tak doskonała, ale dziękował Bogu za ten dar losu.

Czując na sobie dłonie Pete'a, jego pieszczoty i pocałunki, widząc w jego oczach miłość, odprężenie, zadowolenie i rozkosz, Zuzanna miała wrażenie, że cały świat wiruje, unosząc gdzieś jej ból i zmartwienia. Nie przypuszczała, że obecność tego mężczyzny - jego dotyk, widok, zapach i dźwięk jego głosu - uśmierzy jej smutek i pomoże usunąć w kąt wszelkie obawy.

Zasnęli, mocno przytuleni. Koło dziewiątej obudziła ich Alicja, gadająca coś do siebie. Steinbeck trzącał mokrym nosem twarz pana. Dopóki nie upewnili się, że oboje już nie śpią, starali się poruszać jak najostrożniej.

- Jak się czujesz? - spytał Pete.

- Tego się nie da opisać słowami.

- Spróbuj.

- Szczęśliwa. Ale to mało.

- Ja też jestem szczęśliwy.

- Jestem... spokojna.

- To dobrze.

- Radosna.

- Doskonale.

Odsunęła się od niego z ociąganiem.

- A ty? - spytała, patrząc mu w oczy. Pete uśmiechnął się.

- Jestem najszczęśliwszym człowiekiem na ziemi. Jestem w euforii, z tą tylko różnicą, że euforia szybko mija, a my jesteśmy żywi, z krwi i kości, i będziemy razem jeszcze bardzo długo. Wreszcie jestem w domu. Tak się czuję.

Zuzanna zastanawiała się nad jego słowami.

- Co ci jest? - spytał Pete.

- Nic. Myślę o tym, co powiedziałeś: że jesteś w domu.

- Tak się czuję.

- Ja też - powiedziała. I znów zamilkli.

## *Rozdział 25*

Dwunastego maja Pete Strauss jak zwykle usiadł przy swoim starym, poplamionym atramentem dębowym biurku i po raz pierwszy od kilku tygodni otworzył dziennik. Od lutego nie czuł takiej potrzeby; pewnie dlatego, że zwykle spisywał swoje myśli w samotne wieczory, a ostatnio rzadko bywał sam wieczorami.

*Odwiedziliśmy dzisiaj Provincetown: Zuzanna, Abigail i ja.*

*Postanowiliśmy pogrzebać stare lęki i zapewnić im wieczny spoczynek.*

*Był piękny, wiosenny dzień i wszystko wyglądało zupełnie inaczej. Można by sądzić, że trafiliśmy w jakieś inne miejsce niż to, gdzie rozegrały się tamte wydarzenia. Wydmy i ocean znajdowały się tam, gdzie zawsze, ale wszędzie było pełno spacerujących lub opalających się ludzi. Plażujące rodziny rozkładały na kocach drugie śniadanie. Wiatr poruszał szorstką trawą. Kwitły drzewka owocowe.*

*Po chacie nie zostało ani śladu. Zuzanna i Abigail długo obchodziły wydmy, starając się znaleźć jakikolwiek drobiazg, ale pracownicy parku narodowego wszystko wysprząkali, a to, co przeoczyli, zabrał wiatr i woda.*

*Od dawna podejrzewałem, że klucza do zrozumienia Zuzanny trzeba szukać wśród tych wydm. Teraz wiem, że spoczywa on niecałe sto kilometrów na zachód, w sennym miasteczku, najstarszym na przylądku Cod, jak wpajała swoim córkom Marta.*

*Pytałem Zuzannę i Abigail, czy chcą odwiedzić Sandwich, ale żadna z nich nie miała na to ochoty. Doszedłem do wnio-*

*sku, że miały rację. Jestem psychologiem z zawodu i potrafię docenić znaczenie przeszłości, ale są takie koszmary, których -moim zdaniem - nie da się wymazać. Zresztą Zuzannę, Abigail i mnie samego przyzywa przyszłość. A terażniejszość jest wspaniała.*